

# **DZIEDZICTWO ZNISZCZENIA**

**DAVID WEBER**

Tytuł oryginału: THE ARMAGEDDON INHERITANCE

Copyright © 1994, 2007 David Weber.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Prawa do wydania polskiego należą do ISA Sp. z o.o., Warszawa 2007.

Wszystkie postacie występujące w tej książce są fikcyjne. Jakikolwiek podobieństwo do osób prawdziwych, żyjących lub nie, jest całkowicie przypadkowe.

Wydanie I

Wydawca: ISA Sp. z o.o.

Tłumaczenie: Michał Studniarek

Korekta: Sylwia Sandowska-Dobja

Skład: KOMPEJ

Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej:

ISA Sp. z o.o. AL Krakowska 110/114 02-256 Warszawa tel./fax (0-22) 846 27 59 e-mail: isa@isa.pl

ISBN: 978-83-7418-151-

*Zapraszamy do odwiedzenia naszej strony internetowej:*

*[www.isa.pl](http://www.isa.pl)*

## KSIĘGA PIERWSZA

*Kompleks czujników był wielkości bardzo dużej asteroidy lub bardzo małego księżycy i od dawna krążył wokół gwiazdy typu G6, nie wyglądał jednak zbyt imponująco. Jego kadłub pokryty pyłem, z wyjątkiem paneli baterii słonecznych chronionych polem elektrostatycznym - zbudowano ze złocisto-brązowego stopu. Okrągły kształt szpeciło tylko kilka zaokrąglonych wypustek, brakowało za to anten nadajników i odbiorników, których mogłaby się spodziewać cywilizacja epoki radia. Lecz lud, który stworzył ten kompleks, już od całych tysiącleci nie używał tak prymitywnych środków komunikacji.*

*Czwarte Imperium pozostawiło go tutaj pięćdziesiąt dwa tysiące sto osiemdziesiąt sześć ziemskich lat temu. Do jego elektronicznych zmysłów dopływała tylko odrobina mocy, lecz mimo to samotny strażnik nie zginął, jedynie zasnął. I oto świeże iskry prądu zamigotały wzdłuż wielu kilometrów jego obwodów molekularnych.*

*Wewnętrzne pole stazy zostało rozproszone i komputer obudził się z tysiącletniego snu. Gdy uruchomiły się programy testujące i moc popłynęła szerszym strumieniem, Komputer Główny zauważył, że siedem przecinek trzy dziesiąte procent jego podstawowych systemów uległo uszkodzeniu. Tak niewielkie zniszczenia można by uznać niemal za cud. Zastosował więc odpowiednie procedury drugiego stopnia i uruchomił kolejne programy.*

*Kompleks czujników budził się nie po raz pierwszy, choć od ostatniego razu minęło ponad czterdzieści tysiącleci. Tym razem jednak, jak zauważył Komputer Główny, sygnał, który go uruchomił, nie był wysłanym przez jego budowniczych żądaniem sprawdzenia sprawności systemów. Ten sygnał pochodził od innego kompleksu czujników, oddalonego od galaktyki o siedemset lat świetlnych na wschód, i był to przedśmiertny krzyk.*

*Nadajnik Komputera Głównego przekazał ten sygnał tysiąc lat świetlnych dalej, do centrum komunikacyjnego, które było już stare wtedy, gdy po Ziemi chodzili kromanieńcy, i oczekiwał na odpowiedź. Odpowiedź jednak nie nadeszła. Komputer Główny był więc zdany na samego siebie, co obudziło dalsze autonomiczne programy. Sygnał wysłany do milczących dowódców został zastąpiony przez serię krótszych transmisji; tym razem inne kompleksy czujników obudziły się i odpowiedziały mu sennie.*

*Komputer Centralny zauważył dziury wyrwane w niegdyś skomplikowanej sieci, lecz ten problem nie leżał w jego kompetencjach, dlatego zajął się swoimi sprawami. Kolejne siłownie budziły się do życia, uruchamiając kompleks. Cała instalacja zmieniła się w jaskrawą latarnię morską, nadającą na wszystkich możliwych długościach fali*

elektromagnetycznej i grawitonicznej z mocą większą niż niejeden świat Imperium. Był to znak drogowy, billboard ogłaszający swoją obecność każdemu, kto spojrzałby w jego kierunku.

*A później czekał.*

*Mijały miesiące i lata. Po nieco ponad siedmiu latach komputer otrzymał nowy sygnał - oznaczał śmierć kolejnego kompleksu czujników, który znajdował się w odległości mniej niż czterystu lat świetlnych. Ten, kto niszczył jego samotnych braci, zbliżał się, i Komputer Główny znów wysłał meldunek do swoich budowniczych. Ponownie nikt nie odpowiedział. Nikt nie wydał nowych rozkazów ani nie udzielił żadnych wskazówek. Komputer nadal więc działał zgodnie ze swoim programem, pokazując milczącym gwiazdom swoją obecność niczym człowiek krzyczący w ciemnym pokoju. Aż pewnego dnia, ponad piętnaście lat po jego przebudzeniu, gwiazdy odpowiedziały.*

*Wrażliwe czujniki Komputera Głównego wyczuły nadprzestrzenną falę uderzeniową na wiele tygodni przed jej pojawieniem się. Po raz kolejny złożył raport swoim zwierzchnikom i po raz kolejny nie dostał odpowiedzi. To milczenie było zastanawiające, gdyż zgodnie z oprogramowaniem powinien był otrzymać odpowiedź na taki raport. Jego twórcy uwzględnili jednak mało prawdopodobną możliwość, że raport może nie dotrzeć do właściwych odbiorców. Komputer sprawdził więc swoje możliwości, wybrał odpowiednią komendę i ustawił nadajnik nadprzestrzenny na nadawanie we wszystkich kierunkach. Sygnał do Kwatery Głównej zamikł, zastąpiony ostrzeżeniem skierowanym do wszystkich jednostek Floty Bojowej.*

*Nadal nie było odpowiedzi, lecz tym razem żaden program zapasowy nie powiedział Komputerowi Głównemu, co miałby teraz zrobić, gdyż jego budowniczowie nie uwzględnili takiej możliwości. Kontynuował więc nadawanie, nie przejmując się brakiem odpowiedzi.*

*Nadprzestrzenna fala zbliżała się, a Komputer Główny analizował jej wzór i prędkość, dodając nowe dane do ostrzeżeń, których nikt nie słuchał, i bez wielkiego zainteresowania patrzył, jak fala gwałtownie niknie osiemnaście minut świetlnych od gwiazdy, wokół której krążył. Przyglądał się nowym źródłom energii, obecnie poruszającym się z prędkością podświetlną, i zamieszczał analizę ich poruszeń w swoich meldunkach.*

*Ich pola, otaczające cylindryczne kadłuby długości dwudziestu kilometrów, leciały w stronę kompleksu czujników. Nie były to statki Imperium, lecz Komputer Główny rozpoznał je i tę informację również dodał do raportu.*

*Statki zbliżały się z prędkością równą dwudziestu ośmiu procentom prędkości światła do kompleksu czujników, którego nadajniki przyciągnęły ich uwagę. Komputer Główny*

wzywał je i ściągał do siebie, a tymczasem pasywne instrumenty badały i podpatrywały, zbierając wszelkie możliwe dane. Wreszcie statki znalazły się w zasięgu i wycelowały swoją broń w kompleks, lecz żaden z nich nie wystrzelił. Komputer Główny zapisał również i ten fakt.

Kiedy statki zbliżyły się wreszcie na odległość pięciuset kilometrów, w stronę kompleksu wysunął się promień ściągający - dość prymitywny, lecz skuteczny, jak zauważył Komputer Główny.

W tym momencie komputer uaktywnił ukryte głęboko w jego rdzeniu procedury, przygotowane na taką właśnie sytuację.

Materia zetknęła się z antymaterią i kompleks czujników znikł w wybuchu światła jaśniejszym niż gwiazda, wokół której krążył. Eksplozja była zbyt straszliwa, by nazwać ją „wybuchem”; pół tuzina najbliższych statków uległo anihilacji, tuzin następnych rozpadł się na błyszczące kawałki, inne zaś zostały uszkodzone. Do tego - jak zakładali jego dawno nieżyjący twórcy - eksplozja całkowicie uniemożliwiła reszcie floty zbadanie technologii kompleksu.

Komputer Główny wykonał swoje ostatnie zadanie i już nie przejmował się tym, że nikt nie odpowiedział na jego ostrzeżenie, iż po sześćdziesięciu tysiącach lat Achuultanie powrócili.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

W kwaterze kapitana padał deszcz.

A dokładniej, padało na półtorahektarowym dziedzińcu wewnątrz kwatery kapitana. Starszy kapitan Floty Colin MacIntyre, samozwańczy gubernator Ziemi i ostatni dowódca imperialnej planetoidy *Dahak*, siedział na balkonie i moczył stopy w wannie z gorącą wodą, lecz kapitan Floty Jiltanith - wysoka, smukła pierwszy oficer - wolała zamoczyć się cała. Odłożyła na bok starannie złożony granatowy mundur i wyciągnęła się wygodnie w wannie. Długie czarne włosy spływały jej na ramiona.

Nad nimi unosiły się holograficzne czarne chmury burzowe i rozbrzmiewał odległy grzmot, a „horyzont” rozświetlały błyskawice, Colin jednak wpatrywał się obojętnym wzrokiem w deszcz odbijający się od przykrywającego balkon migoczącego pola siłowego. Koncentrował się na danych przekazywanych poprzez łącza neuralne przez centralny komputer statku.

Jego twarz była jak z kamienia. Przed jego oczami odgrywał się raport opisujący wszystkie wydarzenia od chwili wyłonienia się statków Achuultan z nadprzestrzeni do momentu samozniszczenia kompleksu czujników. Kiedy raport się skończył, spojrzał na Jiltanith. Wargi miała zaciśnięte, a spojrzenie czarnych oczu lodowate, i Colin przez chwilę widział w swoim pierwszym oficerze nie piękną kobietę, lecz maszynę do zabijania.

- I to tyle, *Dahaku*? - spytał.

- To koniec transmisji, sir - odpowiedział głęboki, ciepły głos. Znow rozległ się grzmot stanowiący ponury kontrapunkt dla tych słów, po czym głos dodał: - Ta jednostka znajdowała się w trzecim szeregu skanerów, w przybliżeniu sto dziesięć lat świetlnych na wschód od Sol. Pomiedzy nią a Ziemią nie ma już żadnych czujników.

- A niech to - mruknął Colin, po czym westchnął. Życie było zdecydowanie prostsze, kiedy był tylko pilotem NASA. - Cóż, przynajmniej mamy nowe dane.

- Ano - zgodziła się Jiltanith - jednakowoż cóżeż to nam daje, mój Colinie? Mało tego, a i na Ziemię posłać nie ma jak, gdyż Ziemia nie ma hiperkomu.

- Moglibyśmy zawrócić i dostarczyć je osobiście. Minęły zaledwie dwa tygodnie...

- Nie - sprzeciwiła się Jiltanith. - Jeśli byśmy zawrócili, pełnych sześć tygodni stracimy, gdyż i te bywsze dwa tygodnie zmarnujemy.

- Kapitan Floty Jiltanith ma rację - poparł ją *Dahak*. - Choć te dane z pewnością są użyteczne, nie ma w nich istotnych informacji niezbędnych dla obrony Ziemi.

- Ha! - Colin pociągnął się za nos, po czym westchnął. - Pewnie macie rację. Byłoby inaczej, gdyby zaatakowali i chociaż trochę się pokazali. - Wzruszył ramionami. - Niech to diabli, szkoda, że tego nie zrobili. Przydałyby się nam jakieś informacje na temat ich uzbrojenia!

- To prawda - zgodził się *Dahak*. - Jednak odczyty kompleksu czujników wskazują, iż Achuultanie nie uczynili większych postępów w technologii, co może znaczyć, że ich uzbrojenie również nie zostało znacznie ulepszone.

- Nie mogę uwierzyć, że po sześćdziesięciu tysiącach lat nie wymyślili niczego nowego!

- Rzeczywiście, dla ludzi jest to trudne do pojęcia, jednak całkowicie zgodne z dowodami pozostałymi po ich poprzednich atakach.

- Ano - zgodziła się Jiltanith, zanurzając się głębiej w wannie - acz uwierzyć w to ciężko, *Dahaku*. Jakże to tak, że rasa życie całe na wojaczkę spędza, ino nowych broni nie wymyśla?

- Nie wiadomo - odpowiedział komputer tak spokojnie, że Colin aż się skrzywił. Mimo iż *Dahak* miał świadomość, brakowało mu jeszcze ludzkiej wyobraźni.

- Dobra, to co wiemy?

- Dane zawarte w tym raporcie potwierdzają poprzednie informacje zniszczonych czujników. Dodatkowo odczyty czujników wskazują, że największa prędkość podświetlna, jaką Achuultanie są w stanie rozwinąć, jest równa połowie prędkości tego statku, co może oznaczać przewagę taktyczną naszych jednostek, niezależnie od uzbrojenia. Ponadto potwierdziliśmy ich względnie niską prędkość w nadprzestrzeni, przy której dotrą na Sol za dwa przecinek trzy dziesiąte roku, tak jak początkowo przewidywaliśmy.

- To prawda, lecz nie podoba mi się sposób, w jaki przybyli. Czy próbowali zbadać inne kompleksy czujników?

- Nie, kapitanie. Hiperkomy umieszczone w kompleksach czujników mają maksymalny zasięg nadawania dookolnego mniejszy niż trzysta lat świetlnych. Raporty wszystkich wcześniej zniszczonych czujników zostały nam przekazane przez trzeci rząd i zawierały jedynie informację, iż zostały unicestwione przez statki Achuultan. To pierwsza bezpośrednia transmisja, jaką otrzymaliśmy, i zawiera o wiele więcej danych.

- No tak - Colin zastanawiał się przez dłuższą chwilę. - Ale to nie do końca pasuje do tego, co wiemy o ich sposobach działania, prawda?

- Owszem, sir. Zgodnie z zapisami, standardową taktyką Achuultan było niszczenie czujników natychmiast po ich wykryciu.

- Właśnie o to mi chodzi. Mamy olbrzymie szczęście, że choć część czujników nadal istnieje i dowiedzieliśmy się, że Achuultanie nadchodzą, lecz cały czas zastanawiam się, czy Imperium nie było trochę za sprytne. Ściąganie ich jak najbliżej po to, by zebrać odczyty, to piękna sprawa, ale ci goście również szukają informacji. Co będzie, jeśli zmienią taktykę lub ruszą szybciej, bo domyślą się, że ktoś na nich czeka?

- Mniemam, że zbytnio się turbujesz - odezwała się po chwili Jiltanith. - Z pewnością wiedzieć muszą, że ktoś tychże strażników na granicach umieścił, czegoż jednakowoż się dowiedzieli? Jakże się domyślić mają, gdzie te granice leżą i kiedyż ich statki je przekroczą? Tak niewiele mając, każdą gwiazdę badać muszą.

Colin znów pociągnął się za nos, po czym niechętnie pokiwał głową. To wszystko miało sens, a poza tym nawet gdyby Jiltanith się myliła, nic by na to nie poradził, jednak przejmowanie się należało do jego obowiązków. O które zresztą wcale nie prosił.

- Pewnie masz rację - westchnął. - Dziękuję za raport, *Dahaku*.

- Nie ma za co, kapitanie.

Colin spojrzał na Jiltanith i uśmiechnął się.

- Nie możesz już doczekać się izby chorych, co? - spytał ze złośliwą nutą w głosie, co miało być antidotum na ich zmartwienia.

- Paskudne poczucie humoru masz, Colinie - odpowiedziała ponuro, po czym uśmiechnęła się, akceptując zmianę tematu. - Jak długo pamiętam, tegom oczekiwała, choć rzadko z nadzieją prawdziwą, że me oczy to ujrzą. Teraz dzień ten nadchodzi, i jeśli prawdę mam rzec, w mym sercu cień strachu się kryje. Nie przystoi tak ze mnie szydzić teraz.

- Wiem, ale to taka świetna zabawa.

Prychnęła i pogroziła mu mokrą pięścią, lecz jej zielone oczy śmiały się. Kiedy bunt kapitana Anu unieruchomił *Dahaka* na orbicie Ziemi, a jego załogę na samej planecie, Jiltanith była dzieckiem i jej mięśnie i szkielet były zbyt niedojrzałe, by skorzystać z pełnego biowzmocnienia, z jakiego korzystała Flota Bojowa, potem trwająca całe tysiąclecia walka, którą jej ojciec prowadził z Anu, sprawiła, iż nie mogła otrzymać ulepszeń, gdyż sprzęt medyczny na pokładzie statku-pasożyta *Nergal* był do tego celu niewystarczający. Przed buntem Jiltanith otrzymała jedynie łącza neuralne oraz wzmocnienie zmysłów i przeszła kuracje regeneracyjne; Colin dobrze pamiętał swoje własne doznania i doskonale rozumiał jej niepokój... i dlatego żartował, by ją trochę rozluźnić.

- Zacny druhu, pewnego dnia głośno zakraczesz.

- Nie. Jestem kapitanem, a ranga...

- ...ma swe przywileje - dokończyła, potrząsając groźnie głową. - Te słowa



prześladować cię będą.

- W to nie wątpię.

Uśmiechnął się. Kusilo go, by zrzucić mundur i dołączyć do niej... ale bał się trochę, do czego to może doprowadzić. Nie żeby miał coś przeciwko temu, lecz mieli mnóstwo czasu - zakładając oczywiście, że przeżyją więcej niż dwa lata - i żadne z nich w tej chwili nie potrzebowało takich komplikacji.

- Cóż, pora wracać do biura - powiedział więc. - A szanowna pani pierwszy oficer powinna udać się do swojej kwatery i przespać się. Zaufaj mi - to, co *Dahak* określa jako powolną rekonwalescencję, w niczym nie przypomina twojego i mojego pojmania tego terminu.

- Twojego być i może - powiedziała słodko.

- Przypomnę ci to, kiedy zaczniesz jęczeć o współczucie.

Wyciągnął stopy z wanny i aktywował jedno ze swoich ulepszeń. Kropelki wody natychmiast spłynęły z jego nóg, odepchnięte polem siłowym. Założył skarpetki i wypastowane buty.

- A tak najzupełniej poważnie, Tanni, odpocznij trochę. Będzie ci to potrzebne.

- Prawdę rzekłszy, wierzę ci - westchnęła i ułożyła się wygodniej w wannie - lecz to zda mi się przedsmakiem nieba. Jeszcze tu zostanę.

- Jasne - powiedział z uśmiechem i wszedł na czekającą platformę.

Łagodnie opadł z balkonu na dziedziniec. Pola siłowe jego implantów były niczym niewidzialny parasol, gdy szedł w deszczu w stronę drzwi po drugiej stronie prywatnego parku.

Wejście otworzyło się przed nim i wszedł w jaskrawo oświetloną ziejącą pustkę, głęboką na tysiące kilometrów. Przygotował się na to wcześniej, jednak był znacznie mniej spokojny, niżby chciał. Rzucił się w dół i natychmiast osiągnął prędkość ponad dwudziestu tysięcy kilometrów na godzinę.

*Dahak* spowolnił swoje szyby transportowe jedynie z szacunku dla kapitana i urodzonej na Ziemi załogi; Colin wiedział, że komputer tak naprawdę nie pojmuje ich przerażenia. I tak było im trudno na pokładach statków-pasożytów, choć największy z nich ważył zaledwie osiemdziesiąt tysięcy ton i na pokładzie czegoś tak małego właściwie nie było czasu, by zacząć się bać, gdyż podróż zaraz się kończyła. Ale przebycie w poprzek gigantycznego *Dahaka* zajmowało prawie dziesięć minut, a brak subiektywnie odczuwanego przyspieszenia tylko pogarszał sprawę.

Kwaterna kapitana znajdowała się jednak zaledwie sto kilometrów od stanowiska

dowodzenia - czyli w skali *Dahaka* tyle co nic - i cała podróż trwała tylko osiemnaście sekund. Czyli o siedemnaście sekund za długo, pomyślał Colin, zatrzymując się gwałtownie. Nieco niepewnym krokiem ruszył wyłożonym dywanem korytarzem, ciesząc się, że nikt z załogi nie jest w stanie zobaczyć lekkiego drżenia jego kolan, gdy zbliżył się do masywnego włazu działu dowodzenia.

Spoglądał na niego wyrzeźbiony trzygłowy smok *Dahaka*. Jego spojrzenie wyrażało wierność, która przetrwała tysiąclecia. We wzniesionych przednich łapach smok trzymał gromady galaktyk. Właz - piętnaście centymetrów imperialnej stali - odsunął się, a po nim tuzin kolejnych włazów, i w końcu Colin dotarł do olbrzymiej, mrocznej sfery dowodzenia.

Konsole dowodzenia zdawały się unosić w przestrzeni międzygwiazdnej, otoczone zapierającymi dech w piersiach doskonałymi projekcjami holograficznymi. Najbliższe gwiazdy wyraźnie poruszały się, lecz jeśli się człowiek nad tym zastanowił, sztuczność obrazu stawała się oczywista. *Dahak* pokonywał przestrzeń, wykorzystując niemal do maksimum napęd Echanach; przy prędkości siedemset dwadzieścia razy większej od prędkości światła bezpośrednia obserwacja kosmosu musiałaby być, delikatnie mówiąc, wypaczona.

- Kapitan na mostku - ogłosił *Dahak*, a Colin skrzywił się. Musi coś z tym zrobić, gdyż komputer zaczyna mieć obsesję na punkcie godności swojego dowódcy!

Kilku członków szkieletowej załogi mostka - sami Imperialni - zaczęło się podnosić, lecz machnięciem ręki kazał im usiąść i podszedł do konsoli kapitana. Pod jego stopami unosiły się niezliczone ilości gwiazd. Komandor Floty Tamman, oficer taktyczny i trzeci rangą oficer na statku, podniósł się z fotela.

- Kapitanie - powiedział równie oficjalnie jak *Dahak* i Colin musiał się poddać.

- Przejmuję konsolę, komandorze. - Usiadł na opuszczonym fotelu, który natychmiast przystosował się do jego kształtów. Tamman nie musiał mu składać oficjalnego raportu, gdyż jego łącze neuralne z konsolą już to robiło.

Z pełnym sympatii uśmiechem przyglądał się, jak oficer taktyczny powraca na swoje stanowisko. Tamman był rówieśnikiem Jiltanith, jednym z czternastki imperialnych „dzieci” z załogi *Nergala*, które przeżyły rozpaczliwy atak na enklawę Anu. Wszystkie one przyłączyły się do Colina na pokładzie *Dahaka* i był im za to cholernie wdzięczny. W przeciwieństwie do urodzonych na Ziemi, Imperialni mogli bezpośrednio łączyć się z komputerami i na nich pracować. Stanowili niewielki, lecz godny zaufania trzon kadry oficerskiej, który kierował setką ułaskawionych buntowników wchodzących w skład jego obecnej załogi. W swoim czasie *Dahak* zaopatrzy urodzonych na Ziemi w ulepszenia i odpowiednio ich wyszkoli, lecz

było ich ponad sto tysięcy, a to poważne wyzwanie nawet dla doskonale wyposażonego statku.

Colin MacIntyre usadowił się wygodniej na fotelu. Uśmiech znikł z jego twarzy, gdy wpatrzył się w zbliżające się gwiazdy; w myślach znów widział zgrabne kształty morderczych statków Achultan. Raport kompleksu czujników raz za razem odgrywał się w jego głowie niczym niekończąca się pętla, napęliając go przerażeniem. Wiedział, że nadchodzą, ale teraz sam to „zobaczył”. Byli prawdziwi, podobnie jak straszliwe zadanie, które czekało jego i jego ludzi.

*Dahak* znajdował się ponad dwadzieścia siedem lat świetlnych od Ziemi, a w chwili, gdy pojawił się na ziemskiej orbicie, najbliższa baza Floty Imperialnej była oddalona od Ziemi o ponad dwieście lat świetlnych. Właściwe Imperium znajdowało się jeszcze dalej, jednak w obliczu zagrożenia, które nieustannie zbliżało się do jego ojczystego świata, nie mieli wyboru - musieli wyruszyć w drogę, gdyż jedynie Imperium mogło im pomóc w walce z tym wrogiem.

Lecz *Dahak* od ponad pięćdziesięciu tysięcy lat nie był w stanie porozumieć się z Imperium. A jeśli Imperium przestało istnieć?

Była to ponura sprawa, o której rzadko rozmawiali, a Colin próbował nawet sam sobie nie zadawać tego pytania, choć cały czas zajmowało jego myśli. *Dahak* naprawił hiperkom, kiedy tylko zdobyli zapasowe elementy z arktycznej enklawy buntowników, i cały czas wzywał pomocy. Prawdę mówiąc, wzywał jej nawet w tej chwili.

I, podobnie jak kompleks czujników, nie otrzymał odpowiedzi.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Zastępca gubernatora Horus, były kapitan statku buntowników *Nergal*, a obecnie wicekról Ziemi, zaklął soczyście, oblizując zraniony kciuk.

Opuścił dłoń i z kwaśną miną przyjrzał się zniszczeniom. Od stuleci używał ziemskiego sprzętu i wiedział, że jest bardzo delikatny. Ale imperialna technologia znów zaczynała być dostępna i zapomniał, że interkom na jego biurku jest wytworem ziemskich fabryk.

Drzwi biura otworzyły się i do środka zajrzał generał Gerald Hatcher, głównodowodzący Zjednoczonego Sztabu Planety Ziemi (zakładając, że w ogóle uda im się uruchomić tę organizację). Spojrzał na rozwalony panel.

- Jeśli chciałeś zwrócić moją uwagę, gubernatorze, mogłeś po prostu mnie zawołać zamiast uruchamiać syreny.

- Syreny?

- Cóż, tak sobie pomyślałem, kiedy mój interkom zaczął wrzeszczeć, czy ten panel coś ci zrobił, czy po prostu byłeś wkurzony?

- Ziemianie - mruknął Horus - są strasznie pyskaci.

- To jedna z naszych miłych cech. - Hatcher uśmiechnął się do ojca Jiltanith i usiadł.

- Zakładam, że chciałeś się ze mną zobaczyć.

- Owszem. - Horus wskazał machnięciem ręki stertę wydruków. - Widziałeś to?

Hatcher pochylił się, żeby przeczytać nagłówki.

- Tak. No i co?

- Wedle tych raportów proces zjednoczenia wojsk przebiega z miesięcznym opóźnieniem, ot co. - Horus przerwał i przyjrzał się minie generała. - Czemu nie wyglądasz na zaskoczonego, zawstydzonego albo coś w tym rodzaju?

- Ponieważ i tak jesteśmy szybsi, niż się spodziewałem.

Horus odchylił się do tyłu z pełnym rezygnacji westchnieniem. Czasem myślał, że Gerald Hatcher aż za bardzo przyzwyczaił się do obecności obcych w jego świecie.

- Powiniennem być ci powiedzieć - mówił dalej generał - że specjalnie ustaliliśmy nierealistyczny harmonogram. Dzięki temu mamy pretekst, by wrzeszczeć na ludzi, niezależnie od tego, jak dobrze sobie radzą. - Wzruszył ramionami. - Oczywiście, to nieprzyjemne, lecz kiedy na człowieka wrzeszczy cztero- albo pięciogwiazdkowy generał, zazwyczaj odkrywa w sobie nieznanne pokłady sił.

- Rozumiem. - Horus przyjrzał mu się uważnie. - Masz rację, powinieneś być mi powiedzieć. Chyba że masz zamiar wrzeszczeć również na mnie?

- Jakże bym śmiał - mruknął Hatcher.

- Ulżyło mi. Czy mam zatem rozumieć, że w rzeczywistości jesteś zadowolony?

- Biorąc pod uwagę, że próbujemy zjednoczyć dowództwa wojskowe, które - choć blisko sprzymierzone - nigdy nie miały tego w planach, Frederick, Wasilij i ja jesteśmy zadowoleni, że to idzie tak szybko, lecz mamy mało czasu.

Horus pokiwał głową. Sir Frederick Amesbury, Wasilij Czernikow i Hatcher tworzyli coś, co Wasilij z upodobaniem nazywał *wojskową trojką* Horusa, i pracowali jak szaleni nad niemożliwym do wykonania zadaniem, a zostały im zaledwie dwa lata do spodziewanego pojawienia się pierwszych zwiadowców Achuultan.

- Gdzie jest najwęższe gardło? - spytał.

- Oczywiście Sojusz Azjatycki. - Hatcher skrzywił się. - Jeszcze nie zdecydowali, czy z nami walczyć, czy się do nas przyłączyć. Denerwuje mnie to jak diabli, ale wcale nie zaskakuje. Nie sądzę, by marszałek Tsien postanowił zwrócić się przeciwko nam, lecz najwyraźniej się ociąga, a pozostali wojskowi z Sojuszu nie kiwną palcem, dopóki on nie podejmie decyzji.

- Dlaczego nie zażądamy, żeby Sojusz się go pozbył? - Było to pytanie, ale wcale tak nie brzmiało.

- Bo nie możemy. Jest najlepszym człowiekiem, jakiego mają. Ponieważ wielu ich przywódców politycznych siedziało w kieszeni Anu i zginęło przy zdobywaniu enklawy, jest jedynym, któremu wojsko Sojuszu wciąż ufa. I choć może nas nie cierpieć, nienawidzi nas zdecydowanie mniej niż wielu młodszych oficerów. - Hatcher wzruszył ramionami. - Poprosiliśmy go o spotkanie twarzą w twarz i zgodził się. Musimy bardzo się postarać, bo on jest bystry, Horusie. Uspokoi się dopiero wtedy, kiedy w końcu porzuci myśl, że Zachód w jakiś sposób go podbił.

Horus znów pokiwał głową. Wszyscy trzej najwyżsi rangą wojskowi byli dla Tsiena i jego ludzi przedstawicielami „Zachodu”. Świadomość, że Anu i jego sojusznicy manipulowali ziemskimi rządami i terrorystami, by wygrywać przeciwko sobie Pierwszy i Trzeci Świat, zaczynała już pojawiać się w umysłach zachodnich społeczeństw. Ale minie trochę czasu, nim druga strona przyjmie to do wiadomości. Niektórzy, w rodzaju religijnych fanatyków rządzących takimi krajami jak Iran czy Syria, nigdy się z tym nie pogodzą, więc ich wojska zostały po prostu... rozbrojone. Niestety, nie obyło się bez ofiar w ludziach.

- Poza tym - mówił dalej Hatcher - Tsien jest ich najwyższym rangą dowódcą i

potrzebujemy go. Jeśli ma się nam udać, nie mamy innego wyboru, musimy zintegrować naszą i ich armię. Nie, wykreśl to. Musimy zintegrować wszystkie armie Ziemi pod jednym dowództwem. Nie możemy narzucić Sojuszowi nieazjatyckich dowódców i liczyć, że się nam uda.

- Dobrze. - Horus wrzucił wydruki z powrotem do skrzynki z napisem „Przychodzące”.

- Pojawię się na spotkaniu z nim, jeśli uważasz, że to coś pomoże. W przeciwnym razie będę się trzymał z dala i pozwolę wam tym się zająć. Mam wystarczająco dużo innych obowiązków.

- Jakbym nie wiedział. Szczerze mówiąc, nie zamieniłbym się z tobą robotą.

- Twój altruizm mnie powala - odpowiedział Horus, a Hatcher znów się uśmiechnął.

- Jak idzie reszta?

- Tak dobrze, jak można było oczekiwać. - Starzec wruszył ramionami. - Chciałbym, żebyśmy mieli tysiąc razy więcej imperialnego sprzętu, ale sytuacja się poprawia, bo orbitalne jednostki przemysłowe, które pozostawił *Dahak*, zabrały się już do dzieła. Oczywiście, większość środków przeznaczają na samoreplikację, a część ich fabryk uzbrojenia przestawiłem na produkcję sprzętu inżynierskiego, ale nie będzie źle. Jak wiesz, wszystko idzie w postępie geometrycznym. To zaleta zautomatyzowanych jednostek, które nie potrzebują drobiazgów w rodzaju snu czy jedzenia.

- Instalowanie bazy technologicznej, którą Anu zabrał ze sobą, idzie właściwie zgodnie z harmonogramem, a część, którą *Dahak* posłał bezpośrednio na Ziemię, już działa. Mieliśmy trochę problemów, ale to było do przewidzenia - przecież budujemy zupełnie nową infrastrukturę przemysłową. Właściwie najbardziej martwią mnie planetarne centra obrony, ale tym zajmuje się Geb.

Geb, niegdyś pierwszy inżynier *Nergala*, a obecnie członek trzydziestoosobowej Rady Planetarnej, która pomagała Horusowi zarządzać Ziemią, pracował po dziewiętnaście godzin na dobę jako główny inżynier Ziemi. Hatcher mu nie zazdrościł. Mieli zbyt mało Imperialnych do obsługi już istniejącego sprzętu inżynierskiego, a choć wykorzystywali sporo ziemskiego wyposażenia, w świetle czekającego ich monumentalnego zadania było to niczym korzystanie z pracy kulisów.

Geb i Horus odrzucili pomysł przerobienia imperialnego sprzętu - lub zbudowania nowego - by Ziemianie nie posiadający żadnych ulepszeń mogli się nim posługiwać. Imperialne maszyny tworzone tak, by obsługa mogła się z nimi łączyć bezpośrednio przez implanty i jakakolwiek zmiana zmniejszyłaby ich wydajność. Zaadaptowanie większej ilości

sprzętu wymagało zaś czasu, a już wkrótce powinni mieć wystarczająco wielu ulepszonych Ziemi.

To przypomniało Horusowi o kolejnej kwestii.

- Jesteśmy gotowi zacząć ulepszanie również cywilów.

- Naprawdę? - Twarz Hachera rozjaśniła się. - To dobre wieści.

- Owszem, ale tu pojawia się następny problem. Nikt z ulepszonych nie może działać przez co najmniej miesiąc - a najpewniej dwa albo trzy - zanim nie przyzwyczai się do implantów. Czyli za każdym razem, kiedy ulepszamy jednego z naszych czołowych ludzi, tracimy go na tak długo.

- Mnie to mówisz? - odparł kwaśno Hacher. - Czy zdajesz sobie sprawę... Oczywiście, że tak. Ale to trochę żenujące, żeby szczyty były w porównaniu z podwładnymi takimi mięczakami. Pamiętasz mojego adiutanta Allena Germaine'a?

Horus pokiwał głową.

- Wczoraj zajrzałem do centrum ulepszeń Walthera Reeda, żeby się z nim zobaczyć. On tam w ramach ćwiczeń radośnie wiązał na supły półcentymetrowe stalowe pręty, a ja siedziałem w swoim podstarzałym ciele i czułem się niewiarygodnie sflaczały. Niech to, zawsze mi się wydawało, że jak na swój wiek jestem całkiem sprawny! Za parę tygodni Allen wróci do biura. To będzie jeszcze bardziej przygnębiające.

- Wiem. - Oczy Horsa zamigotały. - Ale będziesz musiał to znieść. Nie mogę wysłać żadnego z szefów Sztabu do ulepszenia, zanim to całe przedstawienie nie zacznie się kręcić.

- A skoro już jesteśmy przy działaniu, co sądzisz o tych instalacjach obronnych, które zaproponowałem?

- Na ile pojmuję tę technologię, wyglądają nieźle, lecz czułbym się lepiej, gdyby nasza obrona orbitalna była głębsza. Czytałem dane operacyjne, które przekazał *Dahak* - to kolejna rzecz, której pragnę: własne łącze neuralne - i nie podoba mi się fakt, że Achultanie tak bardzo lubią broń kinetyczną. Czy naprawdę będziemy w stanie powstrzymać coś wielkości, powiedzmy, Ceres, jeśli nałożą tarcze, zanim w nas tym rzuca?

- Geb tak twierdzi, ale to będzie wymagać wielu głowic. Dlatego właśnie potrzebujemy tak dużej liczby wyrzutni.

- Świetnie, ale jeśli zdecydują się na metodyczny atak, najpierw zaczną wyłuskiwać broń na obrzeżach. To klasyczna taktyka oblężenia i dlatego właśnie jestem za głębszą obroną, by pozwolić im na zniszczenie fortów orbitalnych.

- Zgoda. Ale najpierw musimy przygotować naszą wewnętrzną linię, dlatego tak bardzo spieszę się z budową planetarnych centrów obrony. To one stworzą tarczę wokół

planety, będziemy potrzebowali ich wyrzutni raket. Nawet imperialna broń energetyczna nie jest w stanie zbyt skutecznie przebić się przez atmosferę, a kiedy to zrobi, zaczyna się zabawa z różnymi drobiazgami w rodzaju powłoki ozonowej. Dlatego właśnie łatwiej jest bronić ślicznych, pozbawionych atmosfery księżyców i asteroid.

- Hm. - Hatcher szarpnął za wargę. - Obawiam się, że byłem zbyt zajęty ruchami wojsk i strukturą dowodzenia, by poświęcić wystarczająco dużo czasu studiom nad sprzętem; to Wasilij tym się zajmuje. Jednakże nie mylę się, zakładając, że macie problem z wyrzutniami nadświetlnymi?

- Zgadza się. Ponieważ nie możemy liczyć na broń energetyczną, potrzebujemy pocisków, ale z nimi też są problemy. Jak to Colin aż za bardzo lubi podkreślać, wszystko ma swoją cenę.

- Pociski podświetlne można wystrzeliwać z dowolnego miejsca, lecz są łatwe do przechwycenia, zwłaszcza na odległościach międzyplanetarnych. Pocisków nadświetlnych nie można przechwycić, ale też nie można ich wystrzeliwać z atmosfery, bo nawet powietrze ma swoją masę. A masa, jaką pocisk nadświetlny zabiera w nadprzestrzeń, jest niezwykle ważna, gdy powraca do normalnej przestrzeni. To dlatego okręty wojenne przygotowują pociski nadświetlne do wystrzelenia wewnątrz swoich tarcz.

Hatcher pochylił się do przodu i uważnie słuchał. Przed buntem Horus był specjalistą od pocisków. Cokolwiek miał do powiedzenia na ten temat, generał chciał tego wysłuchać.

- Nie możemy tego robić z planety. Owszem, moglibyśmy, ale planetarne tarcze nie przypominają tarcz okrętów wojennych. Zwłaszcza na planetach zdalnych do zamieszkania. Gęstość tarczy jest pochodną jej powierzchni i od pewnego punktu nie można jej uczynić gęstsza, niezależnie od mocy, jaką się w nią wpompuje. Aby zachować gęstość wystarczającą do zatrzymania naprawdę potężnej broni kinetycznej, nasza tarcza musi ograniczać się do mezosfery. Większość mniejszych pocisków możemy zatrzymać poza atmosferą, ale nie te potężne, a nie możemy liczyć na uniknięcie poważnego ataku kinetycznego. Zresztą prawdopodobnie będziemy w trakcie takiego ataku, jeśli będziemy musieli wystrzeliwać pociski z ziemskich baz.

- A jeśli tarcza się skurczy, pociski znajdą się poza nią i Achuultanie będą mogli je przechwycić - zauważył Hatcher.

- Właśnie. Dlatego zamierzamy od razu wysłać pociski w nadprzestrzeń, a to oznacza, że potrzebujemy wystarczająco dużych wyrzutni - około trzy razy większych od samych pocisków - by pomieścić całe pole nadprzestrzenne, w przeciwnym razie pociski będą zabierać ze sobą kawałki bazy. - Horus wzruszył ramionami. - Ponieważ ciężki pocisk



nadświetlny ma około czterdziestu metrów długości, a wyrzutnia musi być hermetyczna z możliwością szybkiego opróżnienia z powietrza, mówimy tu o poważnych pracach inżynierskich.

- Rozumiem. - Hatcher skrzywił się. - Jak bardzo jesteś opóźniony w stosunku do harmonogramu, Horusie? Niezależnie od tego, co się stanie, będziemy potrzebowali tych baterii do osłony jednostek orbitalnych.

- Nie wpadliśmy jeszcze w tarapaty. Geb pozwolił sobie na pewne opóźnienia w stosunku do pierwotnych planów, ale sądzi, że uda mu się to nadrobić, kiedy będzie miał więcej imperialnego sprzętu. Dajcie nam jeszcze sześć miesięcy, a powinniśmy już iść zgodnie z harmonogramem. Według najbardziej pesymistycznych obliczeń *Dahaka*, mamy dwa lata do przybycia Achuultan, a w pierwszej fali możemy się spodziewać około tysiąca zwiadowców. Jeśli zadamy im poważny cios, zostanie nam jeszcze rok na wzmocnienie obrony przed główną flotą. Miejmy nadzieję, że do tego czasu będziemy w posiadaniu większej liczby własnych okrętów wojennych.

- Miejmy nadzieję - zgodził się Hatcher, próbując okazać pewność siebie. Obaj z Horusem wiedzieli, że mają ogromne szansę na pokonanie zwiadowców Achuultan, lecz jeśli Colin nie znajdzie pomocy, Ziemia nie poradzi sobie w starciu z główną flotą najeźdźców.

\* \* \*

Lodowaty zimowy wiatr i ciemne, pochmurne niebo nad betonowymi pasami startowymi Taiyuan wydawały się marszałkowi Tsien Tao-lingowi doskonałym odzwierciedleniem jego nastroju. Tsien kierował machiną wojenną Sojuszu Azjatyckiego od dwunastu burzliwych lat, a do tego stanowiska doszedł dzięki zdecydowaniu, oddaniu i swoim umiejętnościom. Jego władza była właściwie absolutna, co w obecnej epoce stanowiło rzadkość. Teraz jednak ta sama władza była niczym żelazny łańcuch, ciągnący go bezlitośnie w stronę decyzji, której nie chciał podjąć.

W ciągu niecałych pięćdziesięciu lat jego naród zjednoczył całą liczącą się Azję - poza Japonią i Filipinami, ale ich już właściwie nie traktowano jako krajów azjatyckich. Zadanie nie było tanie ani łatwe, ani też bezkrwawe, lecz Sojusz zbudował machinę wojenną, którą nawet Zachód musiał szanować. Było to jego dzieło, owoc złożonej przez niego przysięgi obrony narodu, partii i państwa. Teraz jednak jego własna decyzja może sprawić, że cały ten wysiłek i wszystkie poświęcenia pójdą na marne.

O tak, pomyślał, przyspieszając, to niebo jest dla mnie właściwe.

Obok niego dreptał generał Quang, a wiatr niemal zagłuszał jego wysoki głos. Tsien pochodził z prowincji Yunnan. Był potężnym mężczyzną, wysokim niemal na dwa metry.

Drobny Quang był Wietnamczykiem; mimo wielkich słów o azjatyckiej solidarności południowochińscy i wietnamscy „bracia” mało się lubili. Nie tak łatwo zapomnieć o tysiącletnich wrogości czy latach podporządkowania Wietnamu Związkowi Radzieckiemu, a fakt, że Quang był miernym, biernym, ale wiernym członkiem partii, jeszcze wszystko pogarszał.

Quang dostał zadyszki i zwolnił, a marszałek uśmiechnął się w duchu. Wiedział, że niższy mężczyzna wygląda idiotycznie, próbując dorównać jego długim krokom, i dlatego właśnie tak się zachowywał za każdym razem, kiedy się spotykali. Teraz jednak najbardziej złościło go, że głupiec w rodzaju Quanga wypowiada na głos kwestie, o których on sam myślał.

To prawda, był sługą partii i przysięgał bronić państwa, ale co ma zrobić, kiedy połowa Komitetu Centralnego znikła? Czy to możliwe, że tak wielu z nich było zdrajcami - nie tylko państwa, ale i całej ludzkości? I dokąd mogli się udać? Co ma zrobić, skoro jego decyzja nagle stała się tak bardzo ważna?

Spojrzał w stronę smukłego pojazdu czekającego na pasie startowym. Brązowy stop błyszczał słabo w to pochmurne popołudnie, a kobieta o oliwkowej skórze, która otworzyła luk, nie wyglądała do końca azjatycko. Widok ten nappełnił go uczuciem, którego nie doznawał zbyt często - niepewnością. Znow pomyślał o tym, co mówił Quang. Westchnął i zatrzymał się. Bez trudu utrzymywał spokojny wyraz twarzy, co było efektem długoletniej praktyki.

- Generale, wasze słowa nie są dla mnie nowe. Sprawy zostały rozważone przez wasz rząd i nasz - „a raczej to, co z nich pozostało, idioto” - i podjęto decyzję. Jeśli ich warunki nie będą całkowicie nierozsądne, mamy się zgodzić na żądania tego gubernatora planety. Przynajmniej na razie.

- Partia nie podjęła właściwej decyzji - mruknął Quang. - To oszustwo.

- Oszustwo, towarzyszu generale? - Uśmiech Tsiena był równie lodowaty jak wiatr.

- Być może zauważyliście, że na nocnym niebie nie ma już księżyca? Być może doszliście już do wniosku, że jeśli ktoś posiada okręt wojenny tych rozmiarów, nie musi oszukiwać? Jeśli nie, zastanówcie się nad tym, towarzyszu generale. - Skinął głową w stronę czekającego na nich imperialnego kutra. - Ten pojazd mógłby zmienić całą tę bazę w stertę gruzu, a to wszystko, co posiadamy, nie byłoby w stanie go zobaczyć, nie mówiąc już o powstrzymaniu. Czy naprawdę sądzicie, że Zachód, który ma teraz do dyspozycji setki nawet potężniejszych rodzajów broni, nie byłby w stanie rozbroić nas siłą, tak jak to zrobili z tamtymi szaleńcami na Bliskim Wschodzie?

- Ale...

- Oszczędźcie mi swoich komentarzy, towarzyszu generale - powiedział dobitnie Tsien. „Zwłaszcza że tak bardzo przypominają moje własne wątpliwości”. - Mamy dwie możliwości: zgodzić się albo stracić te żalosne resztki, które jeszcze posiadamy. Być może są uczciwi i niebezpieczeństwo, o którym mówią, jest prawdziwe. Jeśli tak jest, stawianie im oporu oznaczałoby coś gorszego od rozbrojenia i okupacji. Jeśli zaś kłamią, przynajmniej możemy mieć okazję przyjrzeć się ich technologii, a może nawet uzyskać do niej dostęp.

- Ale...

- Nie będę się powtarzał, towarzyszu generale. - Głos Tsiena stał się cichszy, a Quang zbladł. - Źle jest, kiedy młodszy oficerowie kwestionują rozkazy; w przypadku generałów nie będę tego tolerował. Czy to jasne, towarzyszu generale?

- T...tak - wydusił z siebie Quang, a Tsien uniósł brew. Wietnamczyk przełknął. - Towarzyszu marszałku - dodał szybko.

- Cieszę się, że to słyszę - odpowiedział uprzejmie Tsien i znów ruszył w stronę kutra.

Quang podążył za nim w milczeniu, lecz marszałek wyczuwał niechęć mężczyzny. Quang i jemu podobni, szczególnie mający wsparcie partii, byli niebezpieczni. Stać ich było na zrobienie czegoś kompletnie bezsensownego, i marszałek w duchu zanotował, by przenieść Quanga do jakichś mniej ważnych obowiązków. Może dowodzenie patrolami lotniczymi i bazami pocisków ziemia-powietrze nad Morzem Japońskim? To niegdyś prestiżowe stanowisko stało się obecnie całkowicie bezużyteczne, ale najpewniej minie kilka miesięcy, zanim Quang to sobie uświadomi.

A w tym czasie Tsien będzie mógł zająć się tym, co naprawdę ważne. Nie znał tego Amerykanina Hatchera, który wypowiadał się w imieniu... istot, które przejęły władzę nad Ziemią, ale poznał Czernikowa. Był Rosjaninem, a więc z definicji nie należało mu ufać, lecz jego profesjonalizm sprawiał, że Tsien niemal wbrew swojej woli był pod wrażeniem. Czernikow najwyraźniej szanował Hatchera i Anglika Amesbury'ego. Być może Hatcher rzeczywiście mówił prawdę. Być może jego propozycja współpracy i równego udziału w nowej ogólnoswiatowej organizacji wojskowej była szczerą. W końcu panowie politycy z tej „Rady Planetarnej” mieli mniej oburzających wymagań, niż Tsien się obawiał. Może to dobry znak.

Lepiej, żeby tak było. Wszystko, co powiedział Quangowi, jest prawdą - ich położenie wojskowe sprawia, że opór jest beznadziejny. A jeśli ci ludzie Zachodu chcą efektywnie wykorzystać potężną azjatycką siłę roboczą, część ich nowej technologii Wojskowej musi wpaść w azjatyckie ręce.

Tsien wykorzystał ten argument w rozmowach z dziesiątkami przestraszonych i rozzłoszczonych młodszych oficerów, jednak sam nie był pewien, czy w niego wierzy, i irytowało że nie wie, czy jego wątpliwości są natury racjonalnej, czy emocjonalnej. Po tak wielu latach wrogości trudno logicznie myśleć o propozycji Zachodu, jednak w głębi serca nie wierzył, by mogli kłamać. Ich obecna przewaga była ogromna, a mimo to byli zbyt zmartwieni zbliżaniem się tych „Achuultan”, by groźba najazdu była tylko ich wymysłem.

Pilot zasalutowała i zaprosiła go do kutra, po czym sama zasiadła za sterem. Niewielki pojazd uniósł się bezszelestnie w niebo, po czym wystrzelił, osiągając natychmiast prędkość ośmiu machów. Tsien nie odczuwał przyspieszenia, jednak jego duszę przytłaczał inny ciężar - ciężar odpowiedzialności. Wiatr przemian przetaczał się nad światem niczym tajfun, a opór byłby niczym stawianie ściany ze słomy, by się przed nim uchronić. Niezależnie od swoich obaw Quang i jemu podobni muszą wznieść się na tym wietrze lub przyjdzie im zginąć.

Chiny mają przynajmniej starożytną kulturę i dwa miliardy mieszkańców. Jeśli obietnice tej Rady Planetarnej były szczerze i wszyscy obywatele mają się cieszyć równym dostępem do bogactwa i szans, to wystarczy, by jego naród zyskał olbrzymie wpływy.

Uśmiechnął się w duchu. Być może ci elokwentni ludzie Zachodu zapomnieli, że Chiny zawsze umiały podbijać najeźdźców, których nie potrafiły odeprzeć.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Gerald Hatcher i jego towarzysze podnieśli się uprzejmie, gdy marszałek Tsien wszedł do sali konferencyjnej. Jego twarz była bez wyrazu. Potężny z niego gość jak na Chińczyka, zauważył Hatcher, wyższy nawet od Wasilija, a w barach dwa razy szerszy ode mnie.

- Panie marszałku - powiedział, wyciągając rękę. Tsien przyjął ją z niewielkim wahaniem, jednak jego uścisk był pewny. - Dziękuję za przybycie. Proszę usiąść.

Tsien celowo poczekał, aż jego „gospodarze” zajmą swoje miejsca, po czym sam usiadł i ułożył równo swoją aktówkę na stole. Hatcher wiedział, że Frederick i Wasilij mieli rację, upierając się, że to on, jako jedyny członek Zjednoczonego Sztabu Ziemi bez wcześniejszych związków z Imperialnymi, musi pełnić funkcję głównodowodzącego, żałował jednak, że nie może się temu sprzeciwić. Ten milczący mężczyzna o twardym wyrazie twarzy, najpotężniejszy wojskowy na całej planecie, od którego zależało powodzenie rozmów, nie wyglądał, oględnie mówiąc, na szczęśliwego.

- Panie marszałku - powiedział w końcu - poprosiliśmy, by Pan się z nami spotkał, byśmy mogli porozmawiać bez... nacisku cywilów... z pańskiej czy z naszej strony. Nie będziemy prosili, by podpisywał pan z nami jakieś umowy za plecami przywódców, lecz po prostu musimy się zająć pewnymi kwestiami pragmatycznymi. Pojmujemy trudną sytuację, w jakiej pan się znajduje. Mamy nadzieję - spojrzał prosto w ciemne, pozbawione wyrazu oczy - że pan też rozumie nasze problemy.

- Pojmuję - odparł Tsien pozbawionym akcentu angielskim - że mój rząd i rządy innych krajów, których przysięgaliśmy bronić, otrzymały ultimatum.

Hatcher ukrył grymas niezadowolenia. Postawa marszałka wydawała się niezbyt obiecująca, ale uświadomiła mu jedyne możliwe wyjście z sytuacji, i skorzystał z niego, nim rozsądek kazał mu zmienić zdanie.

- Dobrze, panie marszałku, przyjmę pańską terminologię. W rzeczy samej, zgadzam się z pańską interpretacją. - Wydawało mu się, że zobaczył na twarzy rozmówcy ślad zdumienia. Spokojnie mówił dalej. - Ale jesteśmy wojskowymi. Wiemy, co się może stać, jeśli to ultimatum zostanie odrzucone, i mam nadzieję, że obaj jesteśmy na tyle realistami, by przyjąć prawdę, nawet jeśli wydaje się trudna do zniesienia, i postarać się z nią żyć.

- Proszę o wybaczenie, generale Hatcher - powiedział Tsien - lecz prawda dla waszych krajów wydaje się nieco łatwiejsza do zniesienia niż ta, którą proponujecie swoim lub naszym sojusznikom. Naszym azjatyckim sojusznikom. Widzę tu Amerykanina, przedstawiciela

Zjednoczonej Europy i Rosjanina... a nie widzę Chińczyka, Koreańczyka, Hindusa, Tajlandczyka, Kambodżanina, Malezyjczyka. Nie widzę nawet żadnego z waszych Japończyków. - Znacząco wzruszył ramionami.

- Nie, jeszcze nie - odpowiedział cicho Hatcher, a Tsien spojrzał na niego uważnie. - Ale generał Tama, głównodowodzący Cesarskiego Sztabu Japonii, dołączy do nas w chwili, gdy przekaże swoje obecne obowiązki. Podobnie wiceadmirał Hawter z Królewskiej Marynarki Australii. Liczymy, że pan również do nas dołączy i nominuje kolejnych trzech członków tego ciała.

- Trzech? - To więcej niż się spodziewał. Oznaczało to czterech przedstawicieli Sojuszu przeciwko pięciu z Zachodu. Ale czy to wystarczy? Z namysłem potarł palcem blat stołu. - To nie jest sprawiedliwe, biorąc pod uwagę liczbę mieszkańców, lecz...

Zamilkł, a wówczas Hatcher wykorzystał okazję.

- Jeśli weźmie pan pod uwagę nacje, jakie reprezentują wspomniani przeze mnie ludzie, sądzę, że będzie pan zmuszony przyznać, że to nie jest niesprawiedliwe, mając na względzie obecny stosunek sił.

Znów spojrzał Tsienowi w oczy, mając nadzieję, że mężczyzna doceni jego szczerość. Marszałek nie zgodził się, ale też nie wyraził sprzeciwu, więc Hatcher mówił dalej.

- Pragnę panu również przypomnieć, marszałku Tsien, że nie widzi pan tutaj i nie zobaczy przedstawicieli ekstremistów islamskich ani twardogłowych z krajów Pierwszego Świata. Mówi pan, że reprezentujemy Zachód, i tak jest, jeśli bierzemy pod uwagę miejsce urodzenia. Lecz siedzimy tutaj przede wszystkim jako przedstawiciele kapitana Floty Horusa, pełniącego funkcję wicegubernatora Ziemi, a z pięciu ludzi, których wymieniłem, jedynie marszałek Czernikow i generał Tama byli szefami sztabów swoich państw, przy czym obaj mają długoletnie związki osobiste i rodzinne z Imperialnymi. Grozi nam niebezpieczeństwo, jakiego ta planeta jeszcze nie poznała, i naszym jedynym celem jest to niebezpieczeństwo odeprzeć. Dlatego dokonując wyboru, wyszliśmy poza tradycyjne łańcuchy dowodzenia. Jest pan najstarszym rangą oficerem, którego poprosiliśmy o przyłączenie się do nas. Pragnąłbym podkreślić, *poprosiliśmy* pana, ale jeśli będziemy musieli, zmusimy pana do posłuszeństwa - do czego, jak pan wie, jesteśmy zdolni - chociaż pragniemy sojuszu.

- Być może - odparł z namysłem Tsien.

- Panie marszałku, świat, który znamy, przestał istnieć - powiedział cicho Amerykanin. - Możemy tego żałować lub temu przyklasnąć, ale to prawda. Nie będę pana okłamywał. Poprosiliśmy, by pan się do nas przyłączył, bo pana potrzebujemy. Potrzebujemy waszych ludzi i waszych zasobów, ale jako sojuszników, a nie poddanych, i pan jest jedynym

człowiekiem, który może przekonać do tego wasz rząd, oficerów i ludzi. Proponujemy panu pełny sojusz na zasadzie równorzędności i jesteśmy gotowi zagwarantować równy dostęp do imperialnej technologii, zarówno wojskowej, jak i cywilnej, jak również całkowitą autonomię lokalną. Chciałbym dodać, że nasze własne rządy nie otrzymały więcej od gubernatora MacIntyre'a i wicegubernatora Horusa.

- A co z przeszłością, generale Hatcher? - spytał spokojnie Tsien. - Mamy zapomnieć o pięciu stuleciach zachodniego imperializmu? Mamy zapomnieć o niesprawiedliwej dystrybucji dóbr tego świata? Czy mamy, tak jak niektórzy - skierował spojrzenie w stronę Czernikowa - zapomnieć o rewolucji, by przyjąć zwierzchność rządu, który nie pochodzi nawet z naszego świata?

- Tak, panie marszałku - odpowiedział równie spokojnie Hatcher - o tym właśnie ma pan zapomnieć. Nie będziemy udawać, że to wszystko nie miało miejsca, jednak jest pan znany z zainteresowania historią i wie pan, ile sąsiedzi Chin wycierpieli przez stulecia z chińskich rąk. Nie możemy zmienić przeszłości, tak samo jak nie może tego zrobić pański naród, lecz możemy zaproponować panu równy udział w budowaniu przyszłości, zakładając, że ta planeta w ogóle ją ma. I to, panie marszałku, jest sedno sprawy: jeśli się nie zjednoczymy, nie będzie dla nas żadnej przyszłości.

- Nie wspomniał pan, jak to... ciało ma być zorganizowane. Dziewięciu członków. Każdy z nich, przynajmniej w teorii, ma mieć taką samą władzę? - Hatcher pokiwał głową, a wtedy marszałek potarł brodę gestem dziwnie delikatnym jak na tak potężnego mężczyznę. - To wydaje się zbyt wiele, towarzyszu generale. Obawiam się, że zamierzacie... zachować pozory równości, zatrzymując jednocześnie prawdziwą władzę w swoich rękach.

- Być może tak się wydaje, lecz tak nie jest. Wicegubernator Horus ma o wiele większe doświadczenie wojskowe niż ktokolwiek z nas, dlatego będzie pełnił funkcję ministra obrony. To ciało ma być jego organem doradczym i pomocniczym. Każdy z nas będzie miał określone obowiązki - zapewniam, że będzie ich aż za dużo - i zakres odpowiedzialności, a pozycja szefa sztabu będzie podlegać rotacji.

- Rozumiem. - Tsien położył dłonie na aktówce i przyjrzał się swoim palcom, po czym znów podniósł wzrok. - Czy będę miał swobodę w dokonywaniu nominacji?

- Całkowitą. - Hatcher bardzo starał się ukryć rodzącą się nadzieję. - To wicegubernator będzie ostatecznie zatwierdzał nominacje, ale jeśli któraś z wytypowanych osób zostanie odrzucona, będzie pan mógł zaproponować kolejną nominację. Wszyscy wybrani kandydaci muszą zostać zaakceptowani przez Sojusz Azjatycki i wicegubernatora. Jedynym kryterium będzie gotowość oficerów do pracy pod jego dowództwem, a oceni ją na

podstawie deklaracji lojalności pod imperialnym wykrywaczem kłamstw.

- Ujrzawszy w oczach Tsiena błysk złości, niespiesznie mówił dalej. - Pozwolę sobie dodać, że wszyscy będziemy musieli udowodnić swoją lojalność dokładnie w ten sam sposób, w obecności wszystkich naszych towarzyszy, włączając w to pana i pańskich kandydatów.

Gniew w oczach Tsiena zgasł. Marszałek powoli pokiwał głową.

- Dobrze, generale Hatcher. Zostałem upoważniony do przyjęcia waszej propozycji i tak też zrobię. Ostrzegam, że zgadzam się nie bez zastrzeżeń i trudno mi będzie przekonać wielu moich oficerów do zaakceptowania tej decyzji. Trudno nam oddać to wszystko, o co walczyliśmy, czy to siłom Zachodu, czy siłom z gwiazd, jednak przynajmniej częściowo ma pan rację. Świat, jaki znaliśmy, już się skończył. Przyłączymy się do waszych wysiłków ratowania tej planety i budowania jej od nowa. Nie bez wątpliwości i podejrzeń - inaczej byście nam nie uwierzyli, chyba że jesteście głupcami - ale dlatego, że musimy. Pamiętajcie jednak o jednym, panowie: ponad połowa mieszkańców tego świata to Azjaci.

- Rozumiemy, panie marszałku - odparł cicho Hatcher.

- Tak sędzę, towarzyszu generale. - Na twarzy Tsiena po raz pierwszy pojawił się cień uśmiechu. - Tak sędzę.

\* \* \*

Doradca Geb otrzepał kamienny pył z gęstych siwych włosów, gdy za jego plecami zaryczał kolejny wybuch i jego głowa znów pokryła się pyłem. Przeklęty kurz sprawiał, że powietrze zdawało się aż gęste.

Przyglądał się, jak kolejny z pasożytów *Dahaka* - niszczyciel *Ardat*, jak mu się wydawało - unosi się ponad kłębiącym się kurzem. Wążący osiem tysięcy ton statek wydawał się mały w porównaniu z ziejącym otworem, w którym po zakończeniu prac znajdują się systemy kontrolne, magazyny, generatory tarcz i wszystkie pozostałe skomplikowane systemy wsparcia. Promienie ściągające podniosły w górę ważące wiele ton skały, po czym niszczyciel skierował się z ładunkiem odpadów na zachód, w stronę morskiego grobowca na Pacyfiku. Nim jeszcze *Ardat* zniknął z pola widzenia, brygady złożone z Ziemiaków w maskach przeciwpyłowych ruszyły na świeżo odkrytą powierzchnię, aby przygotować miejsca do założenia kolejnych ładunków.

Geb przyglądał się ich pracy z mieszaniną dumy i niesmaku. Ta całkowicie płaska surowa skała była szczytem ekwadorskiej góry Chimborazo, zanim postanowiono tu umieścić Planetarne Centrum Obrony „Escorpion”. Dwa dni po przypiecztowaniu jej losu przybyły okręty wojenne *Sirhan* i *Escal*. *Sirhan* uruchomił swoje główne baterie energetyczne i zaczął ścinać trzysta metrów ziemi i skały, a *Escal* chwycił tysiące ton skały promieniami



ściągającymi i wrzucał je do oceanu. Tym dwóm okrętom wystarczyły dwadzieścia trzy minuty, by na wysokości niemal sześciu tysięcy metrów stworzyć równy kamienny płaskowyż, po czym odleciały w stronę kolejnej góry.

Za nimi podążyły jednostki inżynieryjne. Imperialna technologia sprawiała, że niebezpieczne dla środowiska skutki uboczne zostały ograniczone do poziomu nieosiągalnego dla ziemskich środków, lecz Geb widział Chimborazo, nim przybyli tu jego ludzie. Bezcieszczenie piękna krajobrazu wywoływało w nim obrzydzenie; to, co udało im się osiągnąć, wprawiało go w dumę.

PCO „Escorpion” było jedną z czterdziestu sześciu baz na powierzchni planety. Każdy z projektów był tak ogromny, że wprawiałby w przerażenie faraonów, i każdy miał zostać ukończony w ciągu dokładnie osiemnastu miesięcy. To zadanie było niemożliwe do wykonania... ale i tak pracowali.

Odsunął się, gdy usłyszał dochodzący z boku jęk napędu grawitonicznego. Korpulentna Imperialna o oliwkowej cerze, która trzymała świder, skinęła mu głową. Mimo swojej rangi Geb był dla niej jedynie stojącym na drodze widzem, dlatego cofnął się jeszcze bardziej. Kobieta starannie umieściła potężną maszynę, sprawdzając koordynaty systemu kierowania z planem przyszłej bazy. Potem pojawił się przeszywający błysk, gdy włączyła końcówkę wierzącą i opuściła maszynę.

Implanty Gęba aż wibrowały od skoncentrowanej energii. Z coraz głębszego szybu unosił się gorący wiatr wraz z gęstą, duszącą chmurą sproszkowanej skały. Zrobił jeszcze jeden krok do tyłu. Rozległ się kolejny wybuch i Geb potrząsnął głową, dziwiąc się, że przeciwko nieszczęsnej górze skierowano tak demoniczną energię. Wszystkie zasady bezpieczeństwa - zarówno ziemskie, jak i imperialne - zostały rozluźnione aż do granicy szaleństwa, a gorączkowa praca trwała dniem i nocą, w deszczu i słońcu, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Byli gotowi ją przerwać tylko na czas huraganu - nic innego nie mogło im przeszkodzić.

Nawet dla Imperialnych było to bardzo trudne zadanie, pomyślał, obserwując zakurzoną kobietę, ale oni przynajmniej mieli do pomocy implanty. Urodzeni na Ziemi nie mieli takiego wsparcia, ich prymitywne urządzenia wymagały użycia zdecydowanie większej siły fizycznej. Horus dysponował zaledwie pięcioma tysiącami Imperialnych, z których tylko trzy tysiące można było zwolnić do zadań inżynieryjnych; budowa planetarnych centrów obrony była tylko jednym z wielu zadań, które Geb i jego towarzysze musieli jakimś cudem wykonać. Ponieważ wzmacnianego personelu i sprzętu było tak mało, nie miał innego wyjścia jak tylko wykorzystać prymitywne substytuty, których dostarczała Ziemia. Dobrze, że

przynajmniej mógł przenosić wyposażenie, materiały i paliwa na promieniach ściąających, gdy to było konieczne.

Obok Geba zatrzymał się jednoosobowy skuter o napędzie grawitonicznym. Tegan, najstarszy rangą Imperialny na terenie „Escorpiona”, zeskoczył z maszyny i podszedł bliżej, podnosząc gogle, by przyrzeć się świdrowi w działaniu.

Tegan był o wiele młodszy od Geba, przynajmniej biologicznie, lecz jego twarz była wynędzniała, a po wyjściu ze śpiączki dużo schudł. Geba wcale to nie dziwiło. Tegan nigdy osobiście nie zrobił mieszkańcom Ziemi niczego złego, lecz tak jak większość Imperialnych uwolnionych z uśpienia w enklawie Anu, zaharowywał się, by zmyć z siebie piętno przeszłości.

Świder umilkł i operatorka wycofała się z pionowego szybu. Natychmiast pojawił się zespół badawczy składający się z Ziemian wyposażonych w imperialny sprzęt. Mierzyli coś i badali, aż w końcu ich przywódca uniósł w górę kciuk w geście aprobaty. Zakurzona kobieta odpowiedziała takim samym gestem i odeszła w stronę kolejnego stanowiska. Geb odwrócił się do Tegana.

- Nieźle - powiedział. - Oceniam, że wystarczy najwyżej dwadzieścia minut do wywiercenia stu pięćdziesięciometrowego szybu. Całkiem nieźle.

- Aha. - Tegan podszedł do krawędzi otworu o pięćdziesięciometrowej średnicy, w którym pewnego dnia znajdzie się wyrzutnia pocisków nadświetlnych, i wpatrzył się w pokryte szklawem ściany. - Jest nieźle, ale mogę uzyskać dodatkowo cztery do pięciu procent efektywności, jeśli jeszcze odrobinę podkręcę oprogramowanie.

- Zaczekaj, Tegan. To może być niebezpieczne!

- Za bardzo się przejmujesz, Geb. - Tegan uśmiechnął się z napięciem. - Te elementy mają naprawdę duży margines bezpieczeństwa. Jeśli skrócimy planowany czas do, powiedzmy, trzech lat zamiast dwudziestu, mogę podkręcić sprzęt bez ryzykowania życia ludzi. A że mamy tylko dwa lata na wiercenie...

- Wzruszył ramionami.

- Dobra - powiedział Geb po chwili namysłu - ale pokaż mi wyliczenia, zanim zaczniesz kolejne modyfikacje. I chcę mieć kopię oprogramowania. Jeśli ci się uda, chciałbym, żeby wszystkie pozostałe bazy poszły za naszym przykładem.

- Świetnie. - Tegan ruszył w stronę skutera, ale zatrzymał się, nim na niego wsiadł.

- O co chodzi z tym wzmacnianiem ziemskich cywilów? - spytał.

Geb przyjrzał mu się uważnie. Kilku Imperialnych mamrotało ponuro, gdy usłyszeli o tym pomysle. Mimo podróży nadświetlnych centralne planety Czwartego Imperium były zbyt

gęsto zaludnione, czego efektem była polityka ograniczania pełnego wzmocnienia - i wiążącego się z tym przedłużania życia - do wojskowych i kolonistów. Między innymi dlatego właśnie, pomyślał Geb, Flota nie miała żadnych problemów ze znalezieniem rekrutów nawet na misje trwające półtora stulecia... i dlatego pomysł Horusa, by każdy dorosły Ziemianin posiadał pełne wzmocnienie, wywołał oburzenie niektórych Imperialnych.

Geb nie spodziewał się jednak, że Tegrans jest jednym z nich. Kierownik projektu doskonale przecież wiedział, że gdyby mieli czas i wzmocnili wszystkich mieszkańców planety, i tak nadal byłoby zbyt mało ludzi, aby powstrzymać najazd Achuultan.

- Zaczęliśmy w tym tygodniu - powiedział w końcu. - A czemu pytasz?

- Nooo... - Tegrans spojrział najpierw na oddalającą się kobietę ze świdrem, później szerokim gestem objął plac budowy. - Chciałem jako pierwszy o nich poprosić. Mam tu cholernie dużo roboty i...

- Nie martw się - przerwał mu Geb, ukrywając ulgę. - Potrzebujemy ich wszędzie, ale planetarne centra obrony mają priorytet. Nie chcę, by ktokolwiek z implantami pozostał bez zatrudnienia. Spróbuję dopasować operatorów do wyposażenia, które macie tu na składzie.

- Świetnie! - Tegrans ponownie założył gogle i uniósł skuter metr nad ziemię, po czym uśmiechnął się szeroko. - Ci Ziemianie są wspaniali, Geb. Pracują do utraty sił, po czym wstają i znów zabierają się do roboty. Jeśli dacie wystarczająco wielu z nich implanty, zbudujemy wam następnego *Dahaka*.

Machnął ręką i zniknął, a Geb uśmiechnął się.

Za stary na to jestem, pomyślał Horus po raz chyba trzymilionowy. Ziewnął, przeciągnął się, podniósł się zza biurka i wziął z podstawki mrożoną herbatę. W Imperium uzależnienie od kofeiny nie było popularne, lecz on miał zaledwie sześćdziesiąt lat, gdy przybył na Ziemię. Całe życie spędzone w obcej kulturze odcisnęło na nim swoje piętno.

Podszedł do wielkiego okna w swoim biurze na szczycie Białej Wieży i wpatrzył się w gorączkową nocną aktywność Centrum Sheperd. Dymy z silników raketowych ziemskich statków kosmicznych były już przeszłością. Wielki kosmodrom zdawał się niemal za mały dla imperialnych statków pomocniczych i większych statków podświetlnych - niszczycieli, krążowników, okrętów wojennych i transportowców - które się teraz na nim tłoczyły. A była to tylko jedna z większych baz. Owszem, największa, ale tylko jedna z wielu.

Pierwsi ulepszeni Ziemianie ćwiczyli w tej chwili na symulatorach. W ciągu miesiąca będzie miał szkieletowe załogi dla wszystkich większych jednostek, które pozostawił im *Dahak* - po kolejnych sześciu będzie miał załogi dla mniejszych statków i pilotów

myśliwców. Owszem, nie będą mieli zbyt wielkiego doświadczenia, ale doświadczenie można szybko zdobyć.

Nawet bardzo szybko.

Westchnął i zabrał się do pracy. Trudno mu było uniknąć depresji, gdy przypominał sobie bezsensowną młodzieńczą namiętność, która popchnęła go do buntu przeciwko Imperium.

Czwarte Imperium powstało siedem tysięcy lat przed narodzinami Horusa na jedynej planecie Trzeciego Imperium, którą Achuultanie ominęli. Natychmiast zajęto się przygotowaniem do odparcia kolejnego najazdu z gorliwością, która dla Ziemi była nie do pojęcia. Ale Achuultanie nie przybyli. Zrodziły się zatem podejrzenia, że być może wroga wcale nie ma. Taka myśl była jednak herezją i nikomu nawet nie przyszło do głowy, by ją wypowiedzieć na głos. W miarę upływu czasu Imperialni zaczęli nienawidzić niekończących się, trudnych i wymagających zdyscyplinowania przygotowań do obrony przed wrogiem. To oczywiście wyjaśniało, choć nie usprawiedliwiało, dlaczego niezadowoleni członkowie załogi *Dahaka* zdecydowali się wreszcie na bunt, który sprowadził ich na Ziemię.

I oto są teraz tutaj, myślał Horus, popijając mrożoną herbatę i przyglądając się bezksiężycowemu niebu nad światem, który stał się jego ojczyzną. Mają do dyspozycji tylko zasoby tej jedynej, prymitywnej planety, jak również tylko tyle imperialnej infrastruktury, ile udało się wybudować w czasie, który im pozostał, i mają stawić czoła potworowi, w którego istnienie przestali już wierzyć.

Jest ich sześć miliardów. Wydawało się to dużo... póki nie porównał tej liczby z ogromem zbliżającego się wroga.

Wyprostował się i wpatrzył w zimne, jasne odpryski światła. Niegdyś zdradził mundur Floty, który nosił, lecz teraz dzielnie stawia czoła starożytnemu wrogowi jego rasy. Wprawdzie są nieprzygotowani i źle wyposażeni, ale jednak rasa ludzka przetrwała dwa poprzednie najazdy. O włos i być może tylko dzięki łasce Stwórcy, ale przetrwała, a to i tak więcej, niż mogli o sobie powiedzieć ich prehistoryczni poprzednicy.

Odetchnął głęboko i jego myśli popędziły przez lata świetlne do córki i Colina MacIntyre'a. Oczekiwali, że będzie bronił ich świata, podczas gdy oni szukali pomocy dla Ziemi. Dlatego kiedy - nie „jeśli” - powrócą, planeta będzie na nich czekać. Przysiągł to w obliczu obojętnych gwiazd, po czym odwrócił się do nich plecami, usiadł przy biurku i pochylił się nad niekończącymi się raportami.

\* \* \*

*Alheer va-Chanak skrzywił się z niesmakiem, czując zbliżające się potężne kichnięcie. Kręcił się na swoim postumencie dowodzenia, walcząc z tym odruchem. Nagle usłyszał wysokie brzęczenie drugiego pilota, oznaczające rozbawienie, a zaraz potem zagłuszyło je przekłete kichnięcie.*

*- Niech Kreegor weźmie wszystkie przeziębienia! - mruknął, wycierając chusteczką szerokie otwory oddechowe. Wreszcie Roghar zaniechał wszelkich pozorów panowania nad sobą i jego śmiech zabrzmiał Alheerowi w uszach. Va-Chanak poruszył skupiskiem zmysłowym i spojrzał na niego surowo. - Co cię tak bawi, niewykluta poczwarko? - warknął.*

*- Pewnie uznałbyś to za bardziej zabawne, gdyby zdarzyło się w kombinizonie próżniowym!*

*- Na pewno nie - odparł Roghar, próbując zapanować nad rozbawieniem. - Ostrzegalem cię, żebyś nie moczył się tak długo tuż przed wylotem.*

*Va-Chanak stłumił niegodne pragnienie uduszenia drugiego pilota. Fakt, że Roghar miał rację, jeszcze zwiększał tę pokusę. Te cztero-pięciomiesięczne misje były dla ziemnowodnych Mersakahów czystą udręką. A już szczególnie, myślał ponuro, dla takiego jak on, w pełni aktywnego samca. Cztery tysiące lat cywilizacji to zbyt słaba tarcza, by powstrzymać pragnienie rozrodu sięgające prehistorii - a gdzie miał znaleźć stado chętnych samic podczas operacji wydobywania surowców na asteroidzie? Nigdzie, a jeśli postanowił spędzić kilka dodatkowych części dnia, mocząc się w bagiennym sektorze habitatu, to powinna być tylko jego sprawa.*

*I byłaby, gdyby nie to przekłete przeziębienie. Ale to nic, za jakiś czas mu przejdzie, a wtedy kilka kolejnych misji zapewni mu środki, które skuszą najwspanialsze z samic. Nie wspominając już o chwale, jaka otacza podróżujących w kosmosie w oczach pozostających na planecie.*

*Rozległ się brzęczyk i skupisko zmysłowe Alheera va-Chanaka powróciło gwałtownie do przyrządów. Wszystkie trzy jego tęczówki rozszerzyły się z niedowierzaniem, gdy ujrzął odczyty.*

*- Niech to Kreegor, popatrz na to! - sapnął siedzący obok Roghar, lecz va-Chanak już wbijał kody w konsolę komunikacyjną.*

*Mnóstwo olbrzymich statków - każdy miał co najmniej dziewięćdziesiąt diharów długości - pojawiło się znikąd, materializując się niczym błędny ognik w kosmicznej pustce. Dziesiątki... Setki!*

*Roghar zaczął cos belkotać o pierwszym kontakcie i obcych formach życia, lecz jednocześnie wprowadził statek w ruch wirowy i ustawił odpowiednio główne silniki, by*

wygasić prędkość. Tymczasem w umyśle Va-Chanaka spierały się sprzeczne emocje. Niedowierzanie. Oszolomienie. Radość, że Mersakahowie nie są sami. Przerażenie, że to on ma pełnić rolę ambasadora wobec obcych, którzy nagle się objawili. Obawa, że ich goście mogą źle zinterpretować jego nieudolne próby. Wizja nieśmiertelności... i myśl, jak zareagują na to samice!

Wciąż jeszcze wciskał guziki na sprzęcie komunikacyjnym, kiedy najbliższy statek Achuultan zniszczył jego pojazd.

Roztrzaskane resztki statku odleciały, a Achuultanie sformowali szyk. Napędy normalnej przestrzeni obudziły się i ogromne cylindry wleciały do systemu, kierując się w stronę planety Mers z prędkością równą dwudziestu ośmiu procentom prędkości światła. Ich sekcje raketowe zaczęły przygotowywać broń.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Niekończąca się, szeroka na dwadzieścia metrów kolumna błyskawicy fascynowała. Tak naprawdę to nie była błyskawica, lecz Wład Czernikow tak o niej myślał, choć serce ziemskiej błyskawicy byłoby martwą strefą w porównaniu z tą ogromną gęstością. Pole siłowe, które nią kierowało, wyciszało ją i tłumilo jej przerażający blask, ale Wład dostał już implanty i jego sensory wyczuwały ją niczym ognisty przyływ, nawet przez pole siłowe. Czuł ogromny podziw.

Odwrócił się, splatając ręce na piersiach, i przemaszerował przez ogromną salę w sercu *Dahaka*. Właśnie tutaj znajdowało się źródło jego magii. Statek miał trzysta dwanaście siłowni działających na bazie fuzji jądrowej i dzięki ich mocy mógł się poruszać i walczyć, ale do prześcignięcia światła potrzebował czegoś więcej.

Owym czymś był właśnie ten huczący łańcuch mocy. Był to główny dopływ mocy *Dahaka*, niematerialny przewód sięgający głęboko w nadprzestrzeń, który łączył statek z wymiarem niewypowiedzianie wyższych stanów energetycznych. Wciągał do środka nieskończoną moc, koncentrował ją i oczyszczał, a potem kierował do wnętrza megatonowego napędu Echanach.

A napęd robił swoje czary i zmieniał moc w doskonale przeciwstawne, skupiające się masy grawitacyjne, które wyrwały *Dahaka* ze zwyczajnej przestrzeni w serii natychmiastowych przeniesień. Budowanie tych mas między przeniesieniami zajmowało mierzalną ilość czasu, lecz jedynie ktoś taki jak *Dahak* był w stanie to dostrzec. Tej malutkiej niedoskonałości kosmos nawet nie zauważał.

I bardzo dobrze. Gdyby *Dahak* zatrzymał się w normalnej przestrzeni nieco dłużej, każdy mijany system gwiazdny czekałaby katastrofa. W tym czasie, gdy pola łączyły się na kadłubie, statek stawał się przez bardzo krótką chwilę cięższy niż najcięższa gwiazda. I dlatego statki tego rodzaju nie poruszały się z prędkością nadświatlną wewnątrz układów planetarnych, gdyż włączenie i wyłączenie napędu Echanach trwało dużo dłużej - mikrosekundy, a nie femtosekundy. Anu spowodował usterkę w napędzie, by na czas „naprawy” sprowadzić statek z pierwotnego kursu, a niewielki błąd w powrocie okaleczonego *Dahaka* do prędkości podświatlnej wyjaśniał nieregularność orbity Plutona, która tak długo zastanawiała ziemskich astronomów. Gdyby zdarzyło się to głębiej w studni grawitacyjnej Sol, gwiazda mogłaby się zmienić w nową.

Czernikow podpiął złącza do podsekcji inżynierskiej sieci *Dahaka* i komputery

odpowiedziały mu z radością, do której wciąż jeszcze dopiero się przyzwyczajał. Dziwiło go, jak bardzo żywe i świadome zdawały się te elektroniczne mózgi; Baltan, jego asystent i dawny buntownik, utrzymywał, że przed buntem nie było to aż tak widoczne.

Czernikow wierzył w to i wydawało mu się, że rozumie radość przepełniającą sieć komputerową. *Dahak* znów miał załogę - może zbyt małą jak na imperialne standardy, ale jednak załogę? - i tak właśnie powinno być. Nie tylko dlatego, że czuł się samotny, ale ponieważ zapewniali coś, co stanowiło niezbędny element funkcjonowania każdego okrętu wojennego - redundancję. Byłoby to niebezpieczne, gdyby tak potężna jednostka całkowicie zależała od centralnego komputera, szczególnie gdy zniszczenia w czasie bitwy mogły odciąć Komputer Główny od ważnych komponentów wewnątrz ogromnego kadłuba.

Dlatego dobrze, że ludzie powrócili w końcu na *Dahaka*. Szczególnie teraz, gdy to od niego zależało przeżycie gatunku.

\* \* \*

- Baczość! - ogłosił *Dahak*. Colin wszedł do sali konferencyjnej i niemal niedostrzegalnie skrzywił się na widok podnoszących się z miejsc członków jego grupy dowodzenia.

Opanował jednak grymas i spokojnie podszedł do szczytu kryształowego stołu, po raz kolejny przypominając sobie, że powinien przeprowadzić z komputerem szczerą rozmowę.

Dookoła stołu siedziały dziesiątki ludzi, lecz przyzwyczał się już do tyłu spojrzeń. Technicznie *Dahak* był jednym statkiem, lecz jego pełna załoga składała się z ćwierć miliona ludzi, do tego normalnie miał dwieście podświetlnych okrętów wojennych i dysponował siłą ognia zdolną do niszczenia planet. Jego dowódcę nazywano kapitanem, lecz praktycznie był admirałem i kierował niszczycielską mocą, której Ziemianie nie potrafili sobie nawet wyobrazić.

W sztabie Colina było wielu „kapitanów Floty”, jednak zgodnie z nowym protokołem *Dahaka*, w obecności Colina należało się do nich zwracać per „komandorze” lub po prostu nazwą działu, którym kierowali, gdyż on był jedynym „starszym kapitanem Floty”, a poza tym okręt wojenny mógł mieć tylko jednego kapitana. Imperium stosowało pełne tytuły i specjalizacje, co Colin i inni Ziemianie uważali za męczące, jednak *Dahak* uporczywie odrzucał jego sugestie, by nazywano go „komodorem”, co rozwiązałoby problem.

Colin przebiegł wzrokiem po zgromadzonych wokół stołu i usiadł, a oni podążyli za jego przykładem. Jiltanith siedziała po jego prawej ręce - była jego zastępcą i oficerem odpowiedzialnym za zarządzanie codziennymi działaniami *Dahaka*.

Miejsce po lewej zajmował Hector MacMahan; w kosmicznej czerni Imperialnych



Marines wyglądał równie nieskazitelnie jak w amerykańskim mundurze. Dalej siedzieli w rzędach oficerowie - szef każdego wydziału w otoczeniu najstarszych rangą doradców - a na drugim końcu stołu Wład Czernikow, który odziedziczył stanowisko zajmowane dawniej przez Anu.

- Dziękuję wszystkim za przybycie - powiedział Colin. -jak wiecie, za mniej więcej dwadzieścia jeden godzin wyjdziemy z prędkości nadświetlnej, by zbliżyć się do systemu Sheskar. Jeśli będziemy mieli szczęście, wkrótce nawiążemy kontakt z Imperium. Wchodzimy w całkowicie nieznaną sytuację i wcześniej chciałbym otrzymać od wszystkich szefów wydziałów ostateczne oceny przygotowania. Chciałbym też, byście je wszyscy usłyszeli.

Odwrócił się do Jiltanith.

- Proszę o rozpoczęcie przeglądu, zastępczo.

- Oczywista, kapitanie - odparła i zwróciła spokojny wzrok na towarzyszy. - Nasz *Dahak* bakałarzem był najbystrzejszym... i gnębicielem najbardziej surowym! - Rozległ się stłumiony śmiech, gdyż *Dahak* rzeczywiście tak wiele wymagał od załogi, że dziesięć procent swoich zasobów przeznaczał na jej szkolenie i osvajanie z łączami neuralnymi. - Prawdą jest, iż z lubością przyjąłbym więcej czasu na ćwiczenia, aleście dobrze swe obowiązki poznali i pewnam, że nasi oficerowie i załoga uczynią wszystko, co w śmiertelnika mocy, jeśli koniecznym to będzie.

- Dziękuję - odparł Colin. Nie był to szczegółowy raport, ale o niego nie prosił. Odwrócił się do Hectora MacMahana.

- Siły naziemne?

- Siły naziemne są zorganizowane lepiej, niż mogliśmy się spodziewać - odparł marine - choć jeszcze nie tak, jak bym chciał.

- W naszych głównych formacjach mamy cztery różne narodowości i będziemy potrzebowali jeszcze kilku miesięcy, żeby to wszystko dobrze się ułożyło. Na razie przyjęliśmy imperialną organizację i stopnie, ale pozostawiliśmy pierwotne struktury oddziałów. USFC i SAS stanowią rozpoznanie i siły specjalne. Druga Marines została wyznaczona jako jednostka szturmowa, niemiecka Pierwsza Pancerna będzie kierować pojazdami, a Dywizja Sendai i Dziewiętnasta Dywizja Spadochronowa stanowią nasze główne siły naziemne.

- Było trochę rywalizacji o to, kto dostanie najlepszy przydział, ale nie dochodziło do bójk, w każdym razie nie za często. - Wzruszył ramionami. - To jednostki elitarne i dopóki nie uda się ich całkowicie zintegrować, nadal będą miały silnie rozwinięte poczucie

tożsamości. Ale ludzie już się przyzwyczaili i nieźle opanowali nową broń. Jestem pewien, że poradzą sobie ze wszystkim.

- Dziękuję - powiedział Colin i odwrócił się do generała Georgija Tresznikowa, niegdyś oficera Rosyjskich Sił Powietrznych, a obecnie dowódcy trzystu imperialnych myśliwców, które *Dahak* zachował dla samoobrony. - Dowództwo pasażerów?

- Podobnie jak Hector, jesteśmy gotowi - odparł Tresznikow. - Mamy jeszcze więcej różnych narodowości, ale mniej problemów z integracją, bo nasze myśliwce nie mają załóg narodowych.

- Dziękuję. Wywiad, komandor Ninhursag?

- Zrobiliśmy wszystko, co można przy tak niewielkiej ilości danych, których *Dahak* nam dostarczył. Widziałeś nasze raporty. - Kępca Imperialna o pospolitej twarzy, która była szpiegiem *Nergala* w obozie Anu, wzruszyła ramionami. - Dopóki nie będziemy dysponować faktami, które będzie można poddać analizie, liczymy tylko upływ czasu.

- Rozumiem. Biotechnologia?

- Biotechnologia jest zmęczona, ale gotowa, kapitanie - odpowiedziała kapitan Floty Cohanna. Pięćdziesiąt tysięcy lat w śpiączce nie przytłumiło jej pewności siebie ani poczucia humoru. - W poprzednim miesiącu ukończyliśmy ostatnie procedury wzmacniania i w tej chwili brakuje nam sprzętu... - tu znowu rozległ się śmiech - ale poza tym jesteśmy w doskonałej kondycji.

- Dziękuję. Utrzymanie zasobów?

- Jest dobrze, kapitanie. - Kapitan Floty Geran był kolejnym „dzieckiem” z *Nergala*, ale pomijając oczy, przypominał wyglądem raczej Ziemianina. Miał kasztanowe włosy, niezwykle jasną jak na Imperialnego skórę i wyraziste wargi, które często się uśmiechały.

- Systemy naprawcze *Dahaka* wykonały kawał dobrej roboty, a on sam uśpił wszystko, z czego nie korzystał. Chciałbym mieć więcej czasu na ćwiczenie minimalizacji uszkodzeń, ale... - Uniósł prawą dłoń spodem do góry, a Colin pokiwał głową.

- Rozumiem. Mam nadzieję, że będziecie mieli mnóstwo czasu na dalsze ćwiczenia. Taktyczny?

- Wszystko w porządku, sir - odpowiedział Tamman. - Komputer Bojowy świetnie sobie radzi z symulatorami i problemami ćwiczebnymi. Nasi Ziemianie nie do końca przyzwyczaili się do łączy neuralnych, ale to tylko kwestia czasu.

- Logistyka?

- Wszystko dopięte na ostatni guzik - odpowiedziała pewnym głosem komandor Floty Caitrin O'Rourke. - Mamy zaplecze dla trzy razy większej liczby ludzi niż rzeczywistość

przebywa na pokładzie. Wszystkie parki i ogrody hydroponiczne zostały uruchomione, więc zapasy i podtrzymywanie życia nie stanowią żadnego problemu. Magazyny są zapełnione w ponad dziewięćdziesięciu ośmiu... a właściwie niemal w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach. Mamy też mnóstwo zapasowych części.

- Inżynieria?

- Inżynieria także wygląda dobrze, sir - odpowiedział Czernikow. - Nasi Imperialni i Ziemianie doskonale się dopasowali. Jestem spokojny.

- To dobrze. Bardzo dobrze. - Colin pochylił się do przodu i uśmiechnął do swoich oficerów, zadowolony, że żaden z nich nie próbował się rozwodzić nad drobnymi problemami, jakie mieli. Zresztą wcale się tego po nich nie spodziewał.

- W porządku. - Podniósł się i skinął im głową. - Rozejdźmy się. - Ruszył do drzwi, a wtedy znów rozległ się ciepły głos:

- Bacność! - Colin zdusił westchnienie, gdy jego poważni oficerowie znów zaczęli się podnosić.

- Róbcie tak dalej, panie i panowie - powiedział i wyszedł przez luk.

\* \* \*

- Wyjście z nadświetlnej za dwie minuty - zameldował spokojnie *Dahak*.

Colin z dużym trudem próbował zachować podobny spokój. Takie samo napięcie, lepiej lub gorzej skrywane, widział na twarzach wszystkich oficerów na mostku. *Dahak* był gotów do walki. Podobna grupa pod kierownictwem Jiltanith przebywała w punkcie dowodzenia numer dwa po drugiej stronie kadłuba. Ich holograficzne obrazy siedziały obok oficerów, przez co mostek wydawał się zatłoczony, ale dzięki temu każdy dokładnie wiedział, co się dzieje. On sam miał obok siebie obraz Jiltanith.

Tak więc dwudziestu oficerów czekało przed konsolami na oświetlonym blaskiem gwiazd mostku. W razie czego Colin byłby w stanie kierować statkiem bez nich wszystkich, co w przeszłości, mając do pomocy niezbyt świadomy Komputer Główny, byłoby w ogóle niemożliwe. Jednak mózg Colina mógł objąć tylko ograniczoną liczbę szczegółów, dlatego każdy z doskonale wyszkolonych oficerów brał na siebie część ciężaru dowodzenia, za co Colin był im ogromnie wdzięczny.

- Podświetlna za minutę - oznajmił *Dahak* i Colin poczuł, jak w jego interfejsie z komputerami inżynieryjnymi Czernikowa pojawiają się pierwsze oznaki wyłączenia napędu. Kolejne komendy następowały niczym w zegarku i już po chwili ogromny kadłub *Dahaka* odczuł niemal niedostrzegalny wstrząs.

- Podświetlna... teraz - poinformował *Dahak* i gwiazdy poruszające się na ekranach

zatrzymały się gwałtownie.

Na obrazie widocznym na konsoli Colina unosiła się gwiazda typu G3. Był to najjaśniejszy obiekt w jego polu widzenia. Gwiazda zaczęła gwałtownie się przybliżać, gdy Sarah Meir, ich astronawigator, włączyła napęd podświetlony.

- Dopływ mocy zamknięty - ogłosił *Dahak*.

- *Dahaku*, powiększ obraz systemu gwiazdowego - poprosił Colin i gwiazda urosła. Otoczyły ją schematyczne rysunki orbit planet systemu Sheskar. Tylko najbardziej zewnętrzna planeta była widoczna, lecz małe kółka na orbitach wskazywały gdzie pozostałe powinny się znajdować.

- Jakieś sztuczne promieniowanie?

- Brak, kapitanie. - Colin zagryzł wargę. Sheskar był przed najazdem Achuultan pierwszym bastionem Imperium. Wróg powinien zostać natychmiast zauważony.

- Kapitanie - przerwał ciszę komputer. - Odkryłem niezgodności w systemie.

Wyświetlany obraz zmienił się. Naszyjnik z dziwnie połączonych mniejszych kropek zastąpiły otaczające główną gwiazdę kółka, oznaczające trzy centralne planety Sheskar. Colin przełknął ślinę.

\* \* \*

*Dakah* opuścił prędkość nadświetlną możliwie najbliżej Sheskar, lecz wciąż znajdowali się jedenaście godzin świetlnych od centrum systemu. Nawet przy maksymalnej prędkości dotarcie do głównej planety zajęłoby im prawie dwadzieścia cztery godziny, jednak coraz bardziej oczywiste było, że nie ma potrzeby udawać się aż tak daleko w głąb systemu. Dla zaoszczędzenia czasu Colin zatrzymał się po pięciu godzinach świetlnych.

W tej chwili siedział z Jiltanith, Hectorem MacMahanem i Ninhursag w sali konferencyjnej numer jeden, przyglądając się pomniejszonemu hologramowi systemu gwiazdowego i zastanawiając się, dokąd powinni teraz się udać.

- Zakończyłem wstępne skanowanie, kapitanie - ogłosił *Dahak*.

-1 co? Czy to byli Achuultanie?

- Oczywiście nie mogę być pewien, ale myślę, że nie. Gdyby to byli oni, musieliby nadejść z innego kierunku niż tradycyjnie wykorzystywany przez Achuultan, gdyż inaczej kompleksy czujników, które dostarczyły nam informacji o tym ataku, już dawno zostałyby zniszczone. Ponieważ tak się nie stało, zakładam, że to nie byli Achuultanie.

- Tylko tego potrzebowaliśmy - powiedział cicho Hector. - Jeszcze ktoś wysadza całe planety.

- Generale MacMahan, nie wydaje się, by to nas bezpośrednio dotyczyło. Moje

badania wskazują, że zniszczenie miało miejsce w przybliżeniu czterdzieści osiem tysięcy lat temu.

- Z jakim błędem? - spytał Colin. - Plus minus pięć procent.

- Cholera. - Colin rzucił przepraszające spojrzenie, lecz chyba nikt nie usłyszał jego przekleństwa. - Dobrze, *Dahaku*, przejdź do rzeczy. Jak sądzisz, co się stało?

- Analiza wyklucza użycie broni kinetycznej, gdyż układ planetarnego gruzu nie pasuje do wzorca uderzeń. Wydaje się raczej, że planety zostały zniszczone przez implozję po użyciu głowic grawitonicznych, a to jest broń, którą wedle imperialnej bazy danych Achuultanie nigdy się nie posługiwali.

- Głowice gawitoniczne? - Colin pociągnął się za pokaźny nos i zmrużył zielone oczy.  
- To mi się nie podoba.

- Mnie także - powiedziała cicho Jiltanith. - Jeśli to nie Achuultanie, kto inny być to musiał, a oręż takowy i my w lukach posiadamy.

- Właśnie. - Colin zadrżał na tę myśl. Ciężka głowica grawitoniczna tworzyła śliczną małą, czarną dziurę. Niezbyt długowieczną i niewystarczającą, by zniszczyć większość gwiazd, lecz odpowiednio wycelowany pocisk nadświatlny był w stanie umieścić to cholerstwo właściwie w środku planety.

- To prawda - zauważył *Dahak*, po czym zawahał się chwilę, jakby nie podobały mu się wnioski, do jakich doszedł. - Przykro mi to mówić, kapitanie, ale zniszczenia pasują do wzorca naszych własnych Mark Dziesięć. Biorąc pod uwagę czas, jaki upłynął, niemal na pewno są to zniszczenia spowodowane przez te głowice.

- Hectorze? Ninhursag?

- *Dahak* owija w bawełnę, Colinie. - Hector spochmurniał - Jest jedno bardzo proste i prawdopodobne wyjaśnienie.

- Zgadzam się - dodała słabo Ninhursag. - Nigdy nie sądziłam, że to się może wydarzyć, ale wszystko wskazuje na wojnę domową.

Ktoś w końcu wypowiedział te słowa. Potem zapadła cisza. Wreszcie Colin odchrząknął.

- Odpowiedź, *Dahaku*?

- Jestem... zmuszony się zgodzić. - Ciepły głos *Dahaka* wydawał się zasmucony. - Szczególnie Sheskar Cztery miało znakomitą obronę. Biorąc pod uwagę posiadane dane i fakt, iż Imperium przed buntem nie napotkało żadnej obcej rasy poza Achuultanami, muszę założyć, że to samo Imperium miało taką moc, aby tego dokonać.

- A jeśli wpadli na kogoś już po zakończeniu buntu?

- To możliwe, ale mało prawdopodobne, kapitanie. Między Sol a Sheskar jest bardzo niewiele - a właściwie wcale nie ma - zdatnych do zamieszkania światów. Obcy musieliby więc przebić się przez sporą część Imperium, by w ogóle dotrzeć na Sheskar. Zakładając rozwój techniki na poziomie tego statku - co sugeruje analiza wykorzystanego uzbrojenia, choć oczywiście nie jest to dowód - musiałyby to być wrogie imperium, które dorównywałoby potencjałem militarnym samemu Imperium lub wręcz je przerastało. Chociaż to nie jest niemożliwe, prawdopodobieństwo napotkania takiego bytu określiłbym jako nie większe niż możliwość ataku Achuultan.

Colin rozejrzał się po sali, po czym znów spojrzał na milczący obraz.

- To niedobrze.

- Iście mistrz niedopowiedzenia z ciebie, Colinie. - Jiltanith potrząsnęła głową. - Cny *Dahaku*, jakże sądzisz, czy Imperium mogło zdecydować, aby Sheskar na nowo nie ufortyfikować?

- To mało prawdopodobne - odparł *Dahak*.

- Dlaczego? - spytał Colin. - Przecież tu nie ma co fortyfikować.

- Nie zgadzam się, kapitanie. Sheskar zostało wybrane na bazę Floty ze względu na lokalizację, a teraz posiada liczne asteroidy, które są idealne do założenia instalacji obronnych.

W rzeczy samej, brak atmosfery uczyniłby te instalacje łatwiejszymi do obrony.

- Innymi słowy - mruknął MacMahan - powinni wrócić, gdyby byli zainteresowani dalszą obroną swoich przedwojennych granic.

- Właśnie, generale.

Znów zapadła cisza. Colin odetchnął głęboko.

- Dobrze, zastanówmy się nad tym. Mamy zniszczoną bazę o niezwykle ważnej lokalizacji. Wydaje się, że została zniszczona imperialną bronią, co sugeruje, że przyczyną była wojna domowa. Nie została odbudowana. O czym to świadczy?

- O tym, czego byśmy odkryć nie pragnęli. - Jiltanith z trudem się uśmiechnęła. - Zda się, iż na Imperium srogię przyszyły terminy.

- To prawda - potwierdził MacMahan. - Widzę dwie możliwości, Colinie. - Colin uniósł brew, zachęcając go do mówienia.

- Pierwsza to taka, że mogli się wzajemnie zniszczyć. To by wyjaśniało, dlaczego bazy nie odbudowano; znaczyłoby również, że nasza misja nie ma sensu.

Słuchaczy przeszedł dreszcz, lecz on bez wahania mówił dalej.

- Z drugiej strony nie sadzę, by twór wielkości Imperium został całkowicie

zniszczony. Imperium jest - albo było, nieważne - olbrzymie. Zakładając nawet, że ktoś byłby na tyle szalony, by wziąć się do dzieła zniszczenia na taką skalę, nie wiem, jak byłby w stanie to zrobić. W miarę niszczenia uprzemysłowionych systemów sam traciłby infrastrukturę, wydaje się też mało prawdopodobne, by ktoś mógł przystać na tak szalony pomysł.

- Jednakowoż z Sheskar tak się stało - zauważyła Jiltanith.

- Zgadza się, lecz Sheskar było przede wszystkim bazą wojskową, Tanni, a nie światem cywilów. Atak musiał być podyktowany korzyściami militarnymi. Znacznie łatwiej jest podjąć decyzję o zrzuconiu głowicy nuklearnej na doskonale broniona bazę na wyspie pośrodku oceanu.

- Zgoda. - Colin pokiwał głową. - Ale jeśli nie zniszczyli siebie nawzajem, dlaczego nie wrócili?

- To druga możliwość - powiedział spokojnie MacMahan. - Dokonali tylu zniszczeń, że cofnęli się w rozwoju. Mogli naprawdę nieźle dołożyć sobie nawzajem, nie niszcząc całych planet. Trudno mi sobie wyobrazić, aby wysoko rozwinięta planeta, na którą nie zrzucono bomb nuklearnych ani niczego w tym rodzaju, powróciła do barbarzyństwa, ale łatwiej mi to przyjąć do wiadomości niż myśl, że wszystkie ich planety wyglądają tak samo jak te. - Wskazał na hologram.

- Poza tym mogli dokonać innych zniszczeń i czekała ich jakaś potężna odbudowa bliżej serca Imperium. Sheskar jest - było - cholernie daleko od najbliższego zamieszkanego systemu, i jak zauważył *Dahak*, te okolice raczej nie są najlepszą dzielnicą. Jeśli mieli bliżej domu poważnie zniszczone planety, mogli postanowić zająć się nimi w pierwszej kolejności.

- Jednakowoż wciąż pozostaje pytanie: czemuż, jeśli Sheskar tak ważnym jest, nie odbudowali go?

- Obawiam się, że umiem na to odpowiedzieć - powiedziała niechętnie Ninhursag.

- Może Anu nie był aż tak szalony - ani tak odosobniony w swoim szaleństwie - jak sądziliśmy. - Wzruszyła ramionami, gdy wszystkie spojrzenia skierowały się na nią.

- Chciałam powiedzieć, że jeśli w Imperium doszło do wojny domowej, to na pewno nie byli Imperialni. Jestem jedyną osobą na tej sali, która była już dorosła podczas buntu, i wiem, jak ja zareagowałabym na pomysł zniszczenia bazy Floty. Nawet ci z nas, którzy tak naprawdę nie wierzyli w Achultan - „ateiści”, chyba tak można nazwać tych, którzy odrzucili wiarę w ich istnienie - zawahaliby się, nim by to zrobili. To dlatego Anu okłamał nas i nie mówił o planie ataku na Imperium.

Przez chwilę wpatrywała się nieszczęśliwym wzrokiem w hologram; nikt nie przerywał jej milczenia.

- Nikt z was nie był obywatelem Imperium, więc może nie rozumiecie tego, co chcę powiedzieć, ale przygotowanie do walki z Achuultanami było czymś, co każdy z nas robił niemal instynktownie. Nawet ci, którzy najbardziej nienawidzili rygoru i dyscypliny, nie zniszczyliby naszej linii obrony. Na Stwórcę, to tak, jakby... jakby Holandia wysadziła w powietrze tamy z powodu jednego suchego lata!

- Mówisz, że brak wiary w istnienie Achuultan stał się powszechny? - spytał Colin. - Że gdyby tak nie było, Flota nie dałaby się wciągnąć w wojnę domową?

- Owszem. A jeśli to prawda, po co odbudowywać Sheskar dla obrony przed wrogiem, który nie istnieje? - Ninhursag zaśmiała się. - Być może byliśmy awangardą, a nie tylko bandą zdrajców i morderców!

- Spokojnie, Hursag. - MacMahan dotknął jej ramienia, a ona odetchnęła gwałtownie.

- Przepraszam. - Jej głos brzmiał nieco ochryple. - Ja po prostu nie chcę wierzyć w to, co mówię, szczególnie teraz, kiedy wiem, jak bardzo się myliliśmy!

- Może nie, ale to ma sens - powiedział powoli Colin.

- Zgadzam się, kapitanie - potwierdził *Dahak*. - Jest jeszcze jedna sprawa. Aby okręty Floty mogły wziąć udział w tej akcji, przynajmniej jedna ze stron musiałaby dokonać potężnych zmian w ich oprogramowaniu. Centralne imperatywy Floty o priorytecie alfa nie pozwalały na działania wojenne, które prowadziłyby do rozproszenia środków i zmniejszenia zdolności Floty do stawienia czoła najazdowi. To zdaje się potwierdzać analizę komandor Ninhursag.

- Dobrze. Musimy pamiętać, że jeśli nie znajdziemy naszego Imperium, możemy napotkać jeszcze jakieś inne imperium. - Colin próbował emanować większym optymizmem, niż naprawdę czuł. - *Dahaku*, jaka jest najbliższa dobra dzielnica? System, który nie był wyłącznie bazą wojskową?

- Defram - odparł bez wahania komputer. - System binarny typu G2-K5 z dwoma zamieszkanymi planetami. Wedle danych z ostatniego cenzusu w mojej bazie, zamieszkiwało je sześć przecinek siedem jeden siedem miliardów ludzi. Główny przemysł...

- To wystarczy - przerwał mu Colin. - Jak daleko stąd leży?

- Sto trzydzieści trzy przecinek cztery dziesiąte lat świetlnych, kapitanie.

- Czyli..- to oznacza trwającą jedenaście miesięcy podróż w tę i z powrotem, zanim dotrzemy na Ziemię.

- W przybliżeniu jedenaście przecinek trzy dwa miesiąca, kapitanie.

- Dobrze - westchnął Colin. - Nie mamy wielkiego wyboru. Lećmy na Defram i zobaczymy, co tam znajdziemy.



- Ano - zgodziła się Jiltanith. - Zda się, że tam leżą nasze nadzieje.

- Ja też tak uważam - powiedział MacMahan, a Ninhursag w milczeniu pokiwała głową.

- W porządku. Chcę tu jeszcze posiedzieć i trochę pomyśleć. Proszę, obejmij wachtę, Tanni. Zwolnij wszystkich z gotowości bojowej, a później niech Sarah skieruje nas na drogę na podświetlonej. Dołączę do ciebie w punkcie dowodzenia numer jeden, kiedy tu skończę.

- Hectorze, ty i Hursag usiądźcie razem i stwórzcie mi modele wszystkich scenariuszy, jakie jesteście w stanie wymyślić. Wiem, że nie macie żadnych potwierdzonych danych, lecz zróbcie burzę mózgów z innymi dorosłymi Imperialnymi i *Dahakiem* i spróbujcie ekstrapolować tendencje.

- Tak, sir - odpowiedział cicho MacMahan, a Colin oparł brodę na dłoniach i wpatrzył się smutno w hologram, podczas gdy inni opuszczali salę. Nie spodziewał się nagłego olśnienia. Wiedział jedynie, że musi przez chwilę pozostać sam ze swoimi myślami, a w przeciwieństwie do podwładnych, miał wystarczająco dużą władzę, by tak się stało.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- I jak, marszałku Tsien?

Tsien popatrzył spokojnie na Geralda Hachera. To były pierwsze słowa, jakie padły od chwili opuszczenia biura wicegubernatora. Potem uniósł brew, zachęcając do wyjaśnień, Amerykanin jednak tylko się uśmiechnął. Tak naprawdę Tsien doskonale rozumiał jego pytanie i szczerze doceniał takt mężczyzny.

- Jestem... pod wrażeniem, towarzyszu generale - odpowiedział. - Wicegubernator to potężny człowiek. - Jego odpowiedź znaczyła więcej niż słowa, które się na nią składały, i Tsien na tyle dobrze poznał Amerykanina, by wiedzieć, że to zrozumie.

- To prawda - zgodził się Hatcher i gestem zaprosił Tsiena do swojego biura.

- Musi być - dodał poważniejszym tonem.

Tsien pokiwał głową. Przeszli przez opustoszałe biuro. Znowu pada, zauważył, patrząc na krople wody spływające po szybach. Hatcher wskazał mu fotel przed biurkiem, a sam usiadł na obrotowym krześle.

- Ja też tak sędzę - stwierdził Tsien, siadając ostrożnie. - Jednak wydaje się tego nieświadomy. Nie robi wrażenia kogoś...

- Imponującego? Dumnego? - odpowiedział Hatcher z uśmiechem i Tsien roześmiał się wbrew sobie.

- I to, i to, jak sędzę. Wybaczcie, lecz wy na Zachodzie zawsze wydawaliście mi się przesadnie zainteresowani osobistą pompą i ceremoniałem. U nas to urząd lub okazja, a nie człowiek, zasługuje na uznanie. Nie zrozumcie mnie źle, towarzyszu generale, mamy własne sposoby ubóstwiania, a nauczyliśmy się tego na dawnych błędach. Ci, którym oddajemy część, są w większości... bezpiecznie martwi. Mój kraj rozumiałby waszego gubernatora. Naszego gubernatora, powinienem chyba powiedzieć. Jeśli pragniecie uzyskać potwierdzenie, że jestem pod jego wrażeniem, to wam się udało, generale Hatcher.

- To dobrze. - Hatcher zamyślił się; jego twarz zdawała się bardzo napięta. - Czy wierzy pan, że jesteśmy z panem szczerzy, panie marszałku?

Tsien przyglądał mu się przez chwilę, po czym skinął lekko głową.

- Tak. Wszystkie moje nominacje zostały zatwierdzone, a pokaz... - Tsien zawahał się przez chwilę przed wypowiedzeniem wciąż obcego mu słowa - biotechnologii w wykonaniu gubernatora, jak również innych imperialnych technologii, był bardzo przekonujący. Wierzę - właściwie nie mam innego wyboru - w wasze ostrzeżenia dotyczące Achultana, jak również

w to, że wraz z sojusznikami robicie wszystko, by odnieść sukces. W świetle tych wszystkich wydarzeń nie mam innego wyboru, jak tylko przyłączyć się do waszych wysiłków. Nie mówię, że będzie to łatwe, generale Hatcher, ale z pewnością spróbujemy. I wierzę, że nam się uda.

- To dobrze - powtórzył Hatcher, po czym usiadł wygodniej, uśmiechnął się. - W takim razie, panie marszałku, jak tylko Pekin przygotuje listę, jesteśmy gotowi przeprowadzić ulepszenie pierwszego tysiąca wybranych przez was ludzi.

- Ach tak? - Tsien wyprostował się. Rzeczywiście, wszystko nabrało tempa. Nie spodziewał się, że ci ludzie Zachodu... przerwał i poprawił się. Nie spodziewał się, że ci ludzie tak szybko zaproponują coś takiego. Przecież wcześniej powinien nastąpić okres testowania i oceny uczciwości!

Ale kiedy spojrzał na Amerykanina i lekki ironiczny błysk w jego oku uświadomił mu, że gospodarz doskonale widzi jego tok myślenia, poczuł się nieco zawstydzony.

- Towarzyszu generale - powiedział w końcu - doceniam waszą szczodrość, ale...

- To nie szczodrość, panie marszałku. Ulepszyliśmy swoich ludzi od chwili odlotu *Dahaka*, a to oznacza, że Sojusz jest daleko w tyle. Musimy nadrobić tę różnicę, dlatego wysłaliśmy transportowce ze sprzętem do ulepszania do Pekinu i trzech innych wybranych przez was miast. A kontrolowane przez was urządzenia naziemne otrzymacie, jak tylko je wybudujemy.

Tsien zamrugnął, a Hatcher uśmiechnął się.

- Marszałku Tsien, jesteśmy dwoma oficerami służącymi pod dowództwem tego samego głównodowodzącego. Jeśli nie będziemy zgodni z tym się zachowywać, niektórzy zaczną wątpić, czy nasze deklaracje solidarności są szczerze.

Odchylił się do tyłu i czekał. Wreszcie Tsien powoli pokiwał głową.

- Macie rację. To i tak jest szczodrość, ale macie rację. A ja powoli dochodzę do wniosku, że nie tylko wasz gubernator jest potężnym człowiekiem, towarzyszu generale.

- Geraldzie, proszę. Albo Ger, jeśli tak będzie wygodniej. Tsien chciał grzecznie odmówić, ale zrezygnował. Nigdy nie traktował swobodnie zażyłości, jaka panowała między oficerami w służbie czynnej, nawet wśród jego braci Azjatów, jednak w tym Amerykaninie było coś czarującego. Nie chłopięcego, choć Tsien wiedział, że ludzie Zachodu z jakiegoś niezrozumiałego powodu bardzo tę cechę cenią, lecz czarującego. Kompetencja Hachera i jego niezachwiana uczciwość wzbudzały szacunek, lecz tu chodziło o coś innego. Charyzma? Prawie, ale to nie do końca właściwe słowo. Właściwym określeniem byłaby... otwartość. A może przyjaźń. Czy to nie dziwne, że po tak wielu latach poczuł coś takiego w stosunku do

zachodniego generała? A jednak... właśnie, „a jednak”.

- Dobrze... Geraldzie - powiedział.

- Wiem, że to jak wyrywanie zębów, panie marszałku. - Łagodny uśmiech Hachera sprawił, że te słowa nie zabrzmiały obraźliwie. - Od zbyt wielu lat byliśmy zajęci wymyślaniem sposobów zabijania siebie nawzajem, by mogło być inaczej, tym większa szkoda. Wie pan, w pewien sposób jestem niemal wdzięczny Achuultanom.

- Wdzięczny? - Tsien przechylił głowę. - Rozumiem. Wcześniej nie myślałem o tym w taki sposób, tow... Geraldzie, ale rzeczywiście lepiej jest stawiać czoła inwazji obcych niż ewentualności, że sami wysadzimy ten świat w powietrze.

- Właśnie. - Hatcher wyciągnął z szuflady biurka butelkę brandy i dwa kieliszki. Postawił je na biurku i nalał, po czym jeden kieliszek podał gościowi, a sam uniósł drugi. - Czy wolno mi powiedzieć, marszałku Tsien, że bycie pańskim sojusznikiem jest o wiele większą przyjemnością, niż się spodziewałem?

- Wolno panu. - Tsien pozwolił, by na jego zwykle pozbawionej wyrazu twarzy pojawił się uśmiech. Nie było to do końca właściwe, lecz nie umiał nad tym zapanować. Mimo wszelkich różnic byli zbyt podobni, by zostać wrogami.

- Geraldzie, mam na imię Tao-ling - powiedział cicho. Ich kieliszki zetknęły się i kryształ łagodnie zabrzączał.

\* \* \*

Z szacunku dla członków Rady, którzy nie otrzymali jeszcze implantów, Horus kazał wyświetlić materiał filmowy, zamiast pobrać go bezpośrednio przez łącze neuralne.

Raport skończył się i ziemski trójwymiarowy odtwarzacz z powrotem zapadł się w ścianę. Trzydzieścioro mężczyzn i kobiet siedzących w sali konferencyjnej patrzyło po sobie, lecz żadne z nich nie spojrzało na niego.

- Chciałbym wiedzieć, panie i panowie - powiedział w końcu, przerywając ciszę - jak to możliwe, że pozwoliliśmy, by to się wydarzyło?

Jedna czy dwie osoby skrzywiły się, choć nie podniósł głosu. Nie musiał. Krzyki i grzmot broni automatycznej, gdy wjechały pojazdy opancerzone, zrobiły to za niego.

- Nie „pozwoliliśmy” - powiedział ktoś w końcu. - To było nieuniknione.

Horus przechylił głowę, zachęcając do dalszego mówienia, a wtedy Sophia Pariani pochyliła się do przodu i spojrzała mu w oczy. Jej włoski akcent był bardziej wyraźny niż zwykle, lecz na jej twarzy nie widać było prośby o wybaczenie.

- Bez wątplenia ta sytuacja została niezręcznie rozwiązana, lecz będzie więcej takich „sytuacji”, gubernatorze, i to nie tylko w Afryce. Wprowadzone przez nas zmiany zakłóciły

światową ekonomię; w miarę jak większe i głębsze zmiany, które są nieuniknione, zaczną stawać się oczywiste, coraz więcej zwykłych mieszkańców tego świata będzie reagować tak jak ci ludzie.

- Sophia ma rację, Horusie. - Tym razem mówiła Sarhantha, jedna z dziesięciu ocalałych członków załogi *Nergala*. - Powinniśmy byli to zauważyć. I tak naprawdę zauważyliśmy, nie spodziewaliśmy się tylko, że to nastąpi tak szybko, ponieważ zapomnieliśmy, jak bardzo ten świat jest przeludniony. Pracujemy ciężko i szybko, jednak tylko niewielka część ludzi bierze aktywny udział w naszych wojskowych lub obronnych projektach. Większość widzi tylko, że ich rządy zostały zastąpione nowymi, że ich planecie zagraża coś, czego nie pojmują i w co jeszcze nie do końca wierzą, a ich gospodarki podlegają katastrofalnym przemianom. Akurat ten bunt został spowodowany nałożeniem się na siebie głodu, inflacji i bezrobocia - to lokalne czynniki z czasów jeszcze przed naszym pojawieniem się, które jednak ostatnio się pogorszyły - i świadomości, że nawet ci, którzy mają jakiś wyuczony zawód, już niedługo staną się niepotrzebni.

- A wkrótce pojawią się kolejne czynniki. - Mimo czarnej skóry komisarz Abner Johnson mówił z wyraźnym nosowym akcentem Nowej Anglii. - Ludzie to ludzie, gubernatorze. Grupy interesów zaczną się sprzeciwiać, i to bardzo silnie, kiedy tylko się zreorganizują. Ich potęga ekonomiczna i polityczna wkrótce się rozpadnie, a niektórzy z nich są na tyle głupi, że będą walczyć. Nie zapominajmy też o aspekcie religijnym. W Iranie i Syrii siedzimy na beczce prochu, ale mamy też własnych świrów i wasi ludzie są poważną obelgą dla ich przekonań.

Uśmiechnął się ponuro.

- Mycos? Birhat? Chyba nie sądzicie, że Bóg stworzył planety o takich nazwach, prawda? Gdybyście chociaż pochodzili z planety o nazwie Eden, to mogłoby coś pomóc, ale tak... - Johnson wzruszył ramionami. - Kiedy oni się zorganizują, będziemy mieli do czynienia z prawdziwymi szaleńcami!

- Towarzysz Johnson ma rację, towarzyszu gubernatorze. - Dziwnie brytyjski akcent komisarz Hsu Yin brzmiał niemal melodyjnie. - Możemy debatować nad przyczynami ubóstwa Trzeciego Świata - powiodła spokojnie wzrokiem po wszystkich towarzyszach - lecz musimy pamiętać, że ono istnieje. Tam ignorancja i strach będą największe, a zgoda na przemoc najszybsza, lecz to tylko początek. Kiedy Pierwszy Świat uświadomi sobie, że jest dokładnie w takiej samej sytuacji, przemoc może stać się jeszcze groźniejsza. Musimy przygotować się na najgorsze, bo to, co sobie wyobrażamy, z pewnością nie dorówna temu, co rzeczywiście się wydarzy.

- Zgadzam się. Ale to brutalne stłumienie...

- Było dziełem miejscowych władz - wtrącił Geb. - A zanim ich potępisz, powiedz, co innego mogli zrobić. W tym tłumie było prawie dziesięć tysięcy ludzi, a tylko część z nich stanowiły bezbronne kobiety i dzieci. Przynajmniej zachowali na tyle zdrowego rozsądku, by wezwać nas, kiedy już przywrócili spokój, choćby i przez wprowadzenie stanu wojennego. Wykorzystałem tuzin transportowców klasy *Shirut* do przywiezienia żywności z Północnej Ameryki. To powinno nieco złagodzić sytuację, ale gdyby miejscowe władze nie „stłumiły” rozruchów, samo jedzenie nic by nie dało, i dobrze o tym wiesz.

Rozległy się głosy poparcia; Horus zauważył, że Ziemianie reagują bardziej gwałtownie niż Imperialni. Może mają rację? To ich planeta i może czują, że rozruchy to tylko początek?

- Dobrze - westchnął w końcu. - Nie podoba mi się to, ale możecie mieć rację. - Odwrócił się do Gustava van Geldera, Komisarza do spraw Bezpieczeństwa Planety. - Gus, chcę żebyście razem z Gebem zajęli się dostarczaniem miejscowym władzom karabinów ogłuszających. I chcę, żeby więcej ulepszonych trafiało do sił policyjnych. Isis, zajmij się tym razem z Myko.

Doktor Isis Tudor, jego urodzona na Ziemi córka, teraz Komisarz do spraw Biotechnologii, spojrzała na swojego asystenta, dawnego buntownika, z rezygnacją. Isis miała ponad osiemdziesiąt lat. Ulepszenia były jej potrzebne tylko po to, by spowolnić proces starzenia i złagodzić bóle, gdyż jej umysł był w pełni sprawny. Pokiwała głową. Wiedziała, że jakoś sobie poradzi.

- Zanim uda nam się wzmocnić miejscową policję - mówił dalej Horus - generał Hatcher stworzy ze swoich wojskowych mieszane drużyny szybkiego reagowania. Nie podoba mi się ten pomysł - sytuacja jest i tak wystarczająco paskudna bez „obcych” tłumiących sprzeciw wobec naszej „tyranii” - ale tuzin wojskowych w pancerzach bojowych byłby w stanie uspokoić sytuację przy dziesięć razy mniejszej liczbie ofiar, szczególnie gdyby mieli karabiny ogłuszające.

Zebrani pokiwali głowami, a Horus stłumił westchnienie. Problemy, problemy! Czemu nie wziął pod uwagę tego, co się wydarzy, kiedy imperialna technologia pojawi się na Ziemi w większej ilości? Teraz czuł się bardziej jak strażnik niż gubernator, ale niezależnie od tego, co się stanie, musi wszystko utrzymać w kupie - siłą, gdyby okazało się to konieczne - dopóki Achuultanie nie zostaną powstrzymani. Jeśli to w ogóle jest możliwe...

Natychmiast odrzucił tę myśl i zwrócił się do Christine Redhorse, Komisarza do spraw Rolnictwa.

- Dobrze. Przechodzimy do kolejnego problemu. Christine, chciałbym, żebyś przedstawiła nam raport na temat zbiorów pszenicy, a później...

\* \* \*

Większość Rady Horusa wyszła, pozostawiając go tylko z planistami i inżynierami. Niezależnie od tego, co się działo, to na nich spoczywała największa odpowiedzialność, a radzili sobie lepiej, niż Horus się spodziewał. W przypadku jednej piątej planetarnych centrów obrony wyprzedzali nawet harmonogram, choć budowa umocnień w Sojuszu Azjatyckim dopiero się rozpoczynała.

Komisarze jeden po drugim załatwiali swoje sprawy i wychodzili. W końcu pozostał jedynie Geb. Horus uśmiechnął się ze zmęczeniem do swego najstarszego żyjącego przyjaciela, gdy obaj jak jeden mąż usiedli wygodnie i położyli nogi na stole konferencyjnym.

- Stwórco! - jęknął. - Nawet walka z Anu była łatwiejsza! - Łatwiejsza, ale nie tak satysfakcjonująca.

Geb pociągnął łyk kawy, po czym skrzywił się - była ledwo ciepła. Podniósł się i podszedł do stołu, gdzie po kolei potrząsał izolowanymi karafkami, aż wreszcie znalazł jedną częściowo pełną. Potem powrócił na swoje miejsce.

- Prawda, prawda - zgodził się Horus. - Przynajmniej tym razem sądzimy, że mamy szansę zwyciężyć. To przyjemna odmiana.

- Z twych ust do uszu Stwórcy - powiedział Geb żarliwym tonem, a Horus roześmiał się. Wyciągnął rękę po karafkę Geba i dolał sobie kawy.

- Uważaj - poradził przyjacielowi. - Pamiętaj o fanatykach religijnych Abnera.

- Nie będzie ich obchodzić, co mówię ani jak to mówię. Już samo moje istnienie jest dla nich obelgą.

- Pewnie tak. - Horus napił się kawy. Nagle na jego twarzy pojawił się grymas. - A tak przy okazji, miałem cię o coś spytać.

- A o cóż, nieustraszony przywódco?

- Ostatnio znalazłem pewną anomalie w bazie danych. - Geb uniósł brew, a Horus wzruszył ramionami. - Pewnie to nic takiego, ale natrafiłem na priorytetowy kod blokujący, którego nie rozumiem.

- O? - Jeśli głos Geba był odrobinę za spokojny, Horus tego nie zauważył.

- Przeglądałem dane, które wyciągnęliśmy z komputerów z enklawy Anu, i okazało się, że Colin zablokował dostęp do niektórych danych wizualnych.

- Naprawdę?

- Tak. Zainteresowało mnie to, więc przeprowadziłem małe dochodzenie. Założył na

wszystkie obrazy Innany blokadę, którą tylko on może zdjąć. A raczej nie na wszystkie, tylko na te z ostatnich stu lat.

- Musiał mieć jakiś powód.

- Nie wątpię, ale miałem nadzieję, że ty masz jakieś pojęcie, o co może chodzić - przecież byłeś głównym prokuratorem. Czy powiedział ci, dlaczego to zrobił?

- Nawet gdyby powiedział, nie wolno by mi było o tym swobodnie mówić. Zresztą to i tak nie miałyby większego znaczenia podczas procesów - w końcu nie mogliśmy jej osądzić.

- Wiem, wiem, ale to mnie martwi. - Horus postukał palcami w blat. - Była zastępczynią Anu, to ona robiła te wszystkie ohydne transplantacje mózgow. Tylko Stwórca wie, ilu Ziemian i Imperialnych osobiście zamordowała przy tej okazji! To wydaje mi się... dziwne.

- Jeśli cię to martwi, zapytaj Colina, kiedy wróci - zaproponował Geb. Dokończył kawę i wstał. - Na razie jednak muszę siodłać konia, przyjacielu. Dziś po południu mam przeprowadzić inspekcję w Minya Konka.

Pomachał wesoło na pożegnanie i pogwizdując, ruszył w stronę wind. Wesoły ton zniknął jednak w chwili, gdy zamknęły się za nim drzwi. Stary Imperialny stanął i oparł czoło o umieszczone na drzwiach zwierciadło.

Stwórco Ludzkości i Miłosierdzia, modlił się bezgłośnie, niech nie zapyta Colina. Proszę, niech nie zapyta Colina!

Łzy paliły jego policzki. Otarł je gniewnie, ale nie mógł zetrzeć wspomnienia, kiedy to zwrócił się do Colina jeszcze przed rozpoczęciem procesów i błagał go o zablokowanie obrazów Innany. Był gotów rzucić się na kolana, lecz nie musiał - przerażenie Colina było jeszcze większe niż jego własne.

Wbrew swej woli Geb ponownie przeżywał tragiczne chwile na pokładzie dziewięćdziesiątym okrętu podświetlnego *Osir*, w samym sercu enklawy Anu. Te straszliwe chwile, gdy Colin i Tanni ruszyli do walki z Anu, pozostawiając na pokładzie ciało, które strzały Tanni przeszły niemal na wylot. Ciało, które należało do komandor Innany, lecz tylko dlatego, że jego mózg został wyrwany, pierwotny właściciel zamordowany, a ciało skradzione, by służyć oficerowi medycznemu buntowników.

Geb zniszczył je swoim karabinem energetycznym, gdyż niegdyś należało do jego bliskiej przyjaciółki, pięknej kobiety imieniem Tanisis - żony Horusa... i matki Jiltanith.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pięćdziesięciu chińskich spadochroniarzy w czarnych imperialnych mundurach stanęło na baczność, gdy zagrała orkiestra. Marszałek Tsien Tao-ling, zastępca szefa sztabu operacyjnego wicegubernatora Ziemi, przyglądał im się z niepokojem, jakiego nie odczuwał od wielu dziesięcioleci. To była pierwsza od pięciu miesięcy wizyta jego zwierzchnika w Chinach i bardzo pragnął - żądał - by wszystko przebiegało nienagannie.

I tak też się stało. Generał Gerald Hatcher zszedł po trapie z kutra; za nim podążał jego adiutant i kilku asystentów.

- Prezentuj broń!

Uniesiono karabiny energetyczne. W skład straży honorowej wchodziłi pierwsi azjatyccy żołnierze, którzy zostali wyposażeni w implanty. Z rozmachem wzniesli potężną broń, a Tsien zwrócił uwagę na ich doskonale wyposażenie. Zasalutował Hatcherowi bez uśmiechu. Jedyne tym, którzy go dobrze znali, błysk w oku Amerykanina zdradzał rozbawienie całym tym ceremoniałem. Tsien wciąż był zadziwiony, że zalicza się do tych ludzi.

- Dobrze cię widzieć, Tao-ling - przywitał go Hatcher, a Tsien odpowiedział mu najdelikatniejszym z uśmiechów, nim ich prywatność została przerwana przez wojskowy ceremoniał.

\* \* \*

Gerald Hatcher położył czapkę na kolanach i usadowił się wygodniej, gdy tylko miasto Chengdu znikło za rufą. Kuter kierował się w stronę Minya Konka, góry, w której wnętrzu miało zostać wybudowane PCO „Huan-Ti”. Skrzywił się, przeciągając palcem po ciasnym kołnierzu koszuli.

Po raz kolejny zastanawiał się, czy mądrze zrobił, zakładając imperialny mundur. Jego zdecydowaną zaletą był fakt, że nie należał do żadnej z rywalizujących ze sobą armii, które próbowali połączyć, jednak niepokojąco przypominał mundur SS. Zrobił wszystko, co możliwe, by ograniczyć podobieństwa - znacznie powiększył symbol gromady galaktyk, który naziści zastąpili czaszkami, przywrócił ząbkowane liście na klapach i zamienił srebrne sznury na złote - ale ogólne wrażenie i tak go martwiło.

Odepchnął tę myśl i zwrócił się do Tsiena.

- Wygląda na to, że twoi ludzie wykonali kawał dobrej roboty, Tao-ling. Szkoda, że musisz spędzać tak dużo czasu w Pekinie, żeby tego dopilnować. Naprawdę jestem pod

wrażeniem.

- Niestety, rzeczywiście zbyt rzadko jestem tutaj, Geraldzie. - Tsien bardzo lekko wzruszył ramionami. - Jest nawet gorzej niż wtedy, gdy byliśmy wrogami. Każdej dobie brakuje przynajmniej ośmiu godzin.

- Mnie to mówisz? - Hatcher roześmiał się. - Jeśli przez następnych sześć miesięcy będziemy pracować jak szaleni, w końcu być może będziemy mogli przekazać to komuś innemu na tak długo, żeby dostać własne ulepszenia.

- To prawda. Muszę jednak przyznać, że prędkość, z jaką się posuwamy, niemal mnie przeraża. Brakuje czasu na właściwą koordynację działań. Zbyt wiele projektów wymaga mojej uwagi, a ja nawet nie mam czasu, żeby poznać swoich oficerów.

- Wiem. My jesteśmy w lepszej sytuacji niż wy, gdyż ludzie z *Nergala* przeniknęli do naszych armii, zanim w ogóle wiedzieliśmy o ich istnieniu. Wy musicie zaczynać od zera i tego wam nie zazdrozczę.

- Poradzimy sobie - powiedział Tsien, a Hatcher uwierzył mu na słowo. Od czasu ich ostatniego spotkania potężny chiński oficer stracił co najmniej pięć kilogramów, co sprawiało, że wyglądał jeszcze bardziej imponująco, jakby jego ciało składało się tylko z kości i mięśni. Cokolwiek jeszcze miało przynieść połączenie z Sojuszem Azjatyckim, Hatcher był ogromnie wdzięczny, że dzięki niemu poznał Tsien Tao-linga.

Kuter zaczął opadać w stronę ziejącej pyłem rany, która niegdyś była szczytem góry. Hatcher sprawdził swoją maskę tlenową. Nie znosił jej, lecz pył i fakt, iż PCO „Huan-Ti” znajdowało się na wysokości niemal siedmiu i pół tysiąca metrów, czynił ją niezbędną. Poczul się nieco lepiej, kiedy zobaczył, jak Tsien sięga po swoją maskę... i zignorował ukłucie zazdrości, że major Allen Germaine może zignorować swoją maskę. To musi być bardzo miłe, pomyślał kwaśno, spoglądając na ulepszanego adiutanta.

Wylądowali i zimne, rzadkie powietrze, gorzkie od pyłu, wpadło przez luk. Hatcher pospiesznie nałożył maskę. Kołnierz jego munduru nagle okazał się małym problemem, gdyż imperialna tkanina natychmiast dostosowała się, by zapewnić mu odpowiednią temperaturę. Ruszyli w hałaśliwy, zakurzony, wirujący w oczach chaos - kolejny projekt Geba.

\* \* \*

Tsien podążał za Hatcherem, starając się ukryć zniecierpliwienie. Nienawidził inspekcji i tylko świadomość, że Hatcher nienawidzi ich równie mocno, pozwalała mu w miarę spokojnie przetrwać czasochłonną paradę. Ważny był również fakt, że defilada pomagała budować morale żołnierzy, motywowała ich, nic lepiej nie przekonuje ludzi o wadze ich zadań niż widok dowódców przeprowadzających inspekcję.

Mimo zniecierpliwienia Tsien był pod wielkim wrażeniem - Imperialny sprzęt zaczynał być dostępny w takiej ilości, że centra ulepszania miały problemy z dostarczaniem operatorów. Dla kogoś, kto dorastał wśród czysto ziemskiej technologii, było to zadziwiające. Główny wykop został niemal ukończony - główne pomieszczenia kontrolne były już gotowe, czekały tylko na zainstalowanie komputera - do tego zaczynała się już budowa generatorów tarczy. To nieprawdopodobne.

Pochylił się, by móc lepiej słyszeć inżyniera, gdy nagle kątem oka zauważył jakiś ruch. Oficer z maską na twarzy zniknął za stertą materiałów budowlanych, po czym machnął ręką do innego oficera stojącego z boku. Drobną sylwetką wydawała mu się znajoma, lecz inżynier wciąż mówił, więc Tsien znów skoncentrował się na jego słowach.

\* \* \*

- Jestem pod wrażeniem, Gebanie - powiedział Hatcher, a główny inżynier „Huan-Ti” uśmiechnął się. Krępy były buntownik miał zaledwie półtora metra wzrostu, ale wyglądał tak, jakby był w stanie jedną ręką podnieść dzipa... i to jeszcze przed wzmocnieniem.

- Naprawdę jestem pod wrażeniem - powtórzył Hatcher, kiedy drzwi pomieszczenia kontrolnego odgrodziły ich od hałasu. - Jesteście... Ile? Cztery tygodnie przed harmonogramem?

- Prawie pięć, panie generale - odpowiedział z dumą Geban. - Przy odrobinie szczęścia ukończymy pracę co najmniej dwa miesiące przed terminem.

-Znakomicie!

Hatcher poklepał Gebana po ramieniu, a Tsien stłumił uśmiech. Nie pojmował, jakim sposobem bezpośredniość Hachera wobec podwładnych dawała tak dobre rezultaty, ale jednak tak było. I to nie tylko w odniesieniu do ludzi Zachodu, którzy byli do tego przyzwyczajeni. Tsien widział szerokie uśmiechy na twarzach chińskich i tajskich rolników.

- W takim razie - Hatcher zwrócił się do marszałka - sądzę, że...

Potężny wybuch zagłuszył jego słowa.

\* \* \*

Diego McMurphy był irlandzko-meksykańskim geniuszem w sprawach dotyczących materiałów wybuchowych. Platformy wiertnicze i zapory, lotniska dla samolotów pionowego startu i kompleksy mieszkaniowe - wszystko to już znał, lecz tym razem to był najbardziej męczący, trudny i wspaniały projekt, w jakim brał udział, a fakt, że w ten sposób kupował sobie prawo do pełnego zestawu implantów, był jak lukier na cieście. Dlatego właśnie był szczęśliwy, kiedy machnięciem ręki kazał swojej załodze założyć ładunki na zachodniej ścianie magazynu dwunastego.

Zginął szczęśliwy, a razem z nim sześćset osiemdziesiąt sześć osób, mężczyzn i kobiet. Zginęli, ponieważ jeden z ludzi McMurphy'ego uruchomił swój świder, nie wiedząc, że ktoś podłączył jego sterowanie do tysiąca stu kilogramów imperialnego materiału wybuchowego.

Eksplozja odpowiadała sile wybuchu bomby atomowej o mocy trzech kiloton.

\* \* \*

Gerald Hatcher odbił się od Tsien Tao-linga, jednak potężne ramię marszałka chwyciło go, nim upadł. Rozległy się alarmy, zawyły syreny, a Geban pobiełał na twarzy. Na szczęście drzwi otworzyły się, zanim do nich sięgnął, w przeciwnym razie wyrwałby je gołymi rękami.

Hatcher potrząsnął głową, próbując zrozumieć, co się stało, i ruszył za Tsieniem w stronę otwartych drzwi. Zachodni horyzont pokrywała olbrzymia chmura w kształcie grzyba. Na jego czach pięcioosobowy transporter z ładunkiem stali obrócił się w powietrzu grzbietem do dołu, pochwycony przez krawędź fali uderzeniowej, a potem, ponieważ standardowy napęd pojazdu cywilnego nie był przygotowany na takie sytuacje, samolot runął na ziemię z prędkością sześciuset kilometrów na godzinę.

Pojawiła się nowa ognista kula, liczba ofiar wzrosła do sześciuset dziewięćdziesięciu jeden.

- Mój Boże! - westchnął Hatcher.

Tsien pokiwał w milczeniu głową. Niezależnie od przyczyny to katastrofa. Czuł do siebie niechęć, iż najpierw pomyślał o straconym czasie, a dopiero potem o zabitych ludziach. Odwrócił się w stronę rampy, by podążyć za Gebanem, który już zniknął im z oczu, jednak zatrzymał go widok zbliżającej się grupy ludzi. Byli uzbrojeni, a drobny oficer na ich czele wydał mu się znajomy.

- Quang! - ryknął.

Wściekłość w głosie Tsiena sprawiła, że Hatcher spojrzał w jego stronę. Zaczął coś mówić, ale w tym momencie marszałek rzucił się na niego, zwalając go z nóg. Wpadli z powrotem do pomieszczenia kontrolnego z taką siłą, że wystarczyłoby do połamania żeber, w chwili, gdy pierwsza salwa ognia z karabinów wpadła przez otwarte drzwi.

\*\* \*

- Naprzód! - wrzasnął generał Quang Do Chinh. - Zabić ich! Zabić ich natychmiast!

Jego żołnierze ruszyli biegiem do nieukończonego bloku kontrolnego, a serce Quanga przepełniło uczucie triumfu. Tak, zabić zdrajców! A szczególnie tego zdrajcę, który próbował odsunąć go na bok! Cóż to za radość rozpocząć wojnę przeciwko najeźdźcom!

Podczas gdy on i jego ludzie biegli do bloku, a robotnicy odciągali zabitych i rannych z miejsca wybuchu, sześć innych starannie ukrytych oddziałów szturmowych zaczęło wyciągać broń automatyczną i granaty. Koncentrowali się głównie na Imperialnych, ale każdy cel był dobry.

\* \* \*

- Co się, do cholery, dzieje?! - Głos Geralda Hachera był stłumiony przez maskę tlenową, ale i tak byłby ochrypliwy... dzięki ważącemu sto kilogramów szarżującemu chińskiemu marszałkowi. Podniósł się na kolana, odruchowo sięgając po pistolet maszynowy.

- Nie wiem - odpowiedział krótko Tsien, sprawdzając magazynek swojej broni.

- Wietnamczyk prowadzący tu żołnierzy nazywa się Quang. Był jednym z tych, którzy najbardziej sprzeciwiali się połączeniu naszych sił.

Kolejna salwa wpadła przez otwarte drzwi i zagwizdały rykoszety. Hatcher nacisnął przycisk i luk natychmiast się zatrzasnął, lecz był ze zwykłej ziemskiej stali i następne pociski przebiły go na wylot.

- Cholera! - Przeczłoł się na drugą stronę pomieszczenia. Major Germaine już stał na lewo od drzwi, przywierając plecami do ściany. W jego rękach pojawił się karabin grawitacyjny.

- Co oni, do kurwy nędzy, chcą osiągnąć?!

- Nie wiem, Geraldzie. Ale ich cel nie ma znaczenia, przynajmniej dla nas.

- To prawda. - Hatcher przywarł do ściany, gdy w drzwiach pojawiły się kolejne dziury. - Al?

- Już przekazałem wieści, sir. - W przeciwieństwie do swojego szefa, Germaine miał wbudowany komunikator. - Ale nie wiem, czy to coś da. Inne sukinsyny strzelają do ratowników. Geban jest poważnie ranny, a to nie jest jedyny Imperialny.

- A niech ich wszyscy diabli! - syknął Hatcher, czując wypełniające go na wpeł zapomniane uczucie przerażenia i przyływ adrenaliny, jak zawsze podczas walki.

Ciągłe salwy przeszywały drzwi, w powietrzu przelatywały z gwizdem kule i kawałki stali. Ta sala to pułapka. Próbował ocenić, gdzie byli napastnicy w momencie, gdy Tao-ling przewalił go na ziemię. Na południu. To znaczy, że musieli się wspiąć co najmniej na trzy rampy i że ci, którzy ostrzeliwali drzwi, osłaniali ich aż do chwili, gdy dotarli na miejsce, prawdopodobnie z ładunkiem burzącym, który miał ich zamienić w mielone mięso.

- Musimy mieć pole ostrzału - wychrypiał. Jego pistolet maszynowy był zabawką w porównaniu z tym, co mieli tamci, ale to lepsze niż nic. Wszystko jest lepsze niż śmierć bez walki.

- Zgadzą się - powiedział Tsien głosem bez wyrazu.

- Dobra. Tao-ling, ty otwierasz drzwi. Al, sądzę, że nadchodzą z południa, więc możesz ze swojego miejsca ostrzeliwać szczyt rampy. Tao-ling, podejdziesz tu do mnie i spróbujemy ich powstrzymać, jeśli będą szli z przeciwnej strony, ale tylko Al ma prawdziwą siłę ognia.

- Tak, sir - potwierdził Germanie, a Tsien pokiwał głową. Potem Chińczyk nacisnął przycisk i przetoczył się po ziemi, lądując na kolanach tuż obok Hachera. Obaj przywarli do ściany, gdy do pomieszczenia wpadła kolejna salwa. Hatcher zaklął, kiedy rykoszet otarł mu się o policzek.

- Al, możesz wykończyć tego snajpera, nie dając się zabić?

- Z przyjemnością, sir - odpowiedział zimno Germanie.

Jego implanty zaczęły szukać źródła ognia. Przykucnął i zrobił jeden krok w bok. Dzięki wzmocnieniu poruszał się z osłepiającą prędkością. Jego karabin grawitacyjny zasyczał krótko i wypuścił trzymilimetrowe wybuchowe strzałki z prędkością pięciu tysięcy dwustu metrów na sekundę.

\* \* \*

Quang zaklął, gdy ogień osłonowy ustał. A więc mają przynajmniej jeden z tych przeklętych karabinów grawitacyjnych. To źle, ale on ma dwudziestu pięciu mężczyzn i wszyscy są ciężko uzbrojeni.

Nie miał pojęcia, jak idzie reszta ataków, lecz reakcja Tsiena była aż za bardzo znacząca. Jedyne człowiek, który mógł go rozpoznać, musi zginąć.

Jego ludzie ruszyli za nim rampą.

Nazywała się Litanil i miała, pomijając czas spędzony w uśpieniu, trzydzieści sześć lat. Kilka cennych chwil minęło, nim uświadomiła sobie, co się dzieje, a jeszcze kilka, nim w to uwierzyła, lecz kiedy w końcu tak się stało, wypełniła ją zimna wściekłość.

Ludzie Anu bez trudu ją zwerbowali, gdyż była młoda i znudzona. Teraz wiedziała, że również dlatego, iż była głupia i podobnie jak jej towarzysze, pracowała tak, jakby goniły ją demony samego Niszczyciela, by zadośćuczynić za swoje błędy. W miarę upływu czasu zaczęła podziwiać Ziemiaków, z którymi pracowała, a tymczasem teraz całe ich setki ginęły, zabijane przez bestie odpowiedzialne za tę rzeź. Nie obchodziło jej dlaczego. Nie zastanawiała się nawet, czy ten atak oznacza zdradę. Myślała tylko o martwych przyjaciółach i w jej wnętrzu coś wyło z rozpacz.

Skierowała swój świder w stronę miejsca walki.

\* \* \*

Allen Germaine opadł na kolano i uniósł karabin grawitacyjny, gdy trzech pierwszych napastników ukazało się na szczycie najwyższej rampy z karabinami szturmowymi w trybie automatycznym.

Udało im się wystrzelić pierwszą salwę, nim ich ciała rozpadły się na kawałki.

\* \* \*

Litanil ustawiła świder na maksymalną moc i popędziła nad kamienną równiną z prędkością ponad dwustu kilometrów na godzinę. Przy takiej prędkości nawet napęd grawitoniczny nie był w stanie zapewnić maszynemu świdrowi równowagi, lecz ona jechała na nim jak na spłoszonym koniu. Jej implanty sięgały daleko naprzód, a twarz była maską wściekłości, gdy uniosła głowicę tnącą na wysokość piersi.

\* \* \*

Szeregowiec Pak Chung z armii koreańskiej nic nie słyszał, lecz instynkt kazał mu obrócić głowę. Jego źrenice rozszerzyły się z przerażenia, gdy ujrzał zbliżającą się potężną maszynę. Pył i dym unosiły się za nią niczym kilwater, a to... to coś z przodu było skierowane prosto w niego.

Ostatnią rzeczą, jaką ujrzał szeregowiec Pak, był straszliwy błysk, a milisekundę później jego ciało wybuchło przegrzаныmi płynami fizjologicznymi.

\* \* \*

Generał Quang zaklął, gdy trzech pierwszych mężczyzn zginęło, lecz nie był zaskoczony. To musi być ten afrykański adiutant Amerykanina, jednak on jest tylko jeden, czy z implantami, czy bez, a rampa to nie jedyna droga prowadząca na górę.

\* \* \*

- Rozpraszają się - poinformował Germaine. - Przez rampę nie mam dobrych odczytów z implantów, ale niektórzy z nich kierują się w stronę frontu.

- Pod krawędzią platformy jest rusztowanie - powiedział Tsien.

- Niech to diabli! Przypomnij mi, żebyśmy wystawili uzbrojonych strażników na każdym placu budowy, kiedy wrócimy do domu, Al.

- Tak, sir.

\* \* \*

Litanil wykończyła drużynę szeregowca Paka i ruszyła w poszukiwaniu nowych celów. Pół tuzina wzmocnionych ziemskich robotników, uzbrojonych w stalowe pręty i imperialny materiał wybuchowy, zachodziło od flanki drugą grupę szturmową.

\* \* \*

Quang podniósł głowę. To za długo trwa. Wreszcie jego ludzie znaleźli się na swoich

pozycjach. Mógł wydać rozkaz.

\* \* \*

- Padnij! - krzyknął Germaine. Hatcher i Tsien natychmiast padli na ziemię, gdy wystrzeliły granatniki. Dwa granaty upadły za blisko lub uderzyły w zewnętrzną ścianę, trzeci jednak wleciał prosto w otwór wejściowy. Lewa dłoń Germaine'a chwyciła go niczym piłkę. Wybuch rozerwał jego rękę na kawałki, a odłamki wbiły się w pierś i ramię.

Przeszył go ból, lecz implanty natychmiast powstrzymały dopływ krwi do rozszarpanej ręki i wypełniły jego ciało adrenaliną. Pierwszą falą napastników, którzy ruszyli rampą w ślad za granatami, skosił niby krwawe zboże.

Hatcher wystrzelił, gdy znad krawędzi rusztowania wyłoniła się czyjaś głowa. Za pierwszym razem spudłował, za drugim trafił tuż nad lewym okiem. Tsien leżał obok niego na brzuchu, trzymając broń w obu rękach.

\* \* \*

Nagle eksplozje rozproszyły kurz, gdy robotnicy rzucili swoje bomby domowej roboty. Grupa szturmowa zatrzymała się gwałtownie, kiedy trzech jej członków zostało rozerwanych na strzępy. Czwarty opróżnił cały magazynek w kierunku atakującego go mężczyzny. Zabił napastnika, lecz nigdy się o tym nie dowiedział - niesiony przez niego stalowy pręt przebił go na wylot.

Sześciu pozostałych przy życiu żołnierzy załamało się i zaczęło uciekać - prosto w stronę świdra Litanii.

Kolejnych ośmiu ludzi Quanga zginęło, lecz dziewiąty trafił Allena Germaine'a prosto w serce. Major Germaine był już trupem, ale z pełnym zestawem implantów, dlatego udało mu się jeszcze ustać na nogach wystarczająco długo, by starannie wycelować przed naciśnięciem spustu.

Gerald Hatcher zaklął paskudnie, widząc, jak jego adiutant pada, upuszczając karabin grawitacyjny. Sukinsyny! Sukinsyny! Kolejny raz wystrzelił. Trafił napastnika w pierś, a potem dobił go kolejnym strzałem. Doskonale wiedział, że to nie wystarczy.

Czwarta grupa szturmowa Quanga zajęła dobrą pozycję między dwoma potężnymi buldożerami, lecz w ich polu ostrzału nie było już żadnych celów, zaczęli więc wymykać się parami. Każda para zatrzymywała się, by zapewnić ogień osłonowy swoim towarzyszom - manewr jak z podręcznika.

Kiedy pierwsza dwójka dotarła wreszcie do osłaniającego ich buldożera, zza maszyny wysunęła się para wzmacnianych rąk i palce dziesięć razy silniejsze od ich własnych zacisnęły się, miażdżąc ich gardła, a potem odrzuciły drgające ciała na bok. Ukryci napastnicy



cierpliwie czekali na kolejne ofiary.

\* \* \*

Quang podniósł głowę i ujrzał leżący dwa metry od wejścia karabin grawitacyjny wroga. Teraz! Ścisnął mocniej swój karabin i podniósł się. Kazał swoim ludziom ruszyć przodem, po czym sam podążył za nimi rampą.

Ostatni z atakujących kulił się na rusztowaniu. Widział, co się stało, kiedy jego towarzysze się ujawnili, postanowił więc wysunąć zza osłony tylko swój karabin. To był bardzo dobry pomysł, ale w podnieceniu odrobinę za bardzo się podniósł i odsłonił czubek głowy. Gerald Hatcher umieścił w niej kulę, zanim ogień z karabinu zmiażdżył jego nogi.

Litanil znów obróciła świder. Wiedziała już, że wygrywają.

Napastnicy nie mieli pojęcia, kogo atakują. Większość pracowników na budowie była zwykłymi ludźmi, lecz nie wszyscy - ci, którzy zostali ulepszeni, mieli pełen zestaw implantów Floty, na rozkaz Colina MacIntyre'a uzupełniony o komunikatory złożonej przestrzeni. Może więc nie mieli broni, ale za to byli silni, twardzi, szybcy i cały czas utrzymywali ze sobą kontakt.

Ponadto, co udowodniła sama Litanil, na placu budowy było pełno przedmiotów, z których dało się zrobić broń.

\*\* \*

Tsien Tao-ling nie był już marszałkiem polnym. Był wojownikiem, samotnym i zdradzonym, a Quang nadal żył.

Odrzucił pistolet z pustym magazynkiem i podniósł się niczym biegacz w bloku startowym. Jego umysł był zimny i spokojny.

\* \* \*

Generał Quang zamrugął ze zdziwienia, gdy Tsien wypadł z pomieszczenia kontrolnego. Nie wierzył, że potężny mężczyzna może poruszać się tak szybko. Co on chce zrobić? Przecież nie może biec szybciej niż kule!

Wtedy zobaczył, jak Tsien pada i chwyta karabin grawitacyjny, po czym przetacza się w stronę rusztowania. Nie!

Karabiny zawarczały, lecz ich właściciele byli równie zaskoczeni jak Quang i spóźnili się. To nic, trafią go, gdy przeturla się w poszukiwaniu jakiejś osłony.

\* \* \*

Tsien skrzywił się - uderzenie w beton spowodowało pęknięcie rzepki. Ale osiągnął zamierzony cel. Kule, które miały go zabić, nie trafiły. Uniósł lufę karabinu Germaine'a, próbując nie podnosić się z ziemi.

Quang wrzasnął z wściekłości, kiedy Tsien otworzył ogień. Trzech jego ludzi zginęło. Później czterech. Pięciu! Uniósł broń i strzelił, lecz wściekłość pozbawiła go celności.

Tsien poczuł, że pocisk rozerwał jego prawy biceps. Kolejny zmiądzzył ramię, lecz on nadal naciskał spust karabinu grawitacyjnego, a jego ogień omiatał rampę niczym miotła.

Wreszcie ostatni żołnierz Quanga zginął i generał nagle poczuł przerażenie. Rzucił karabin i próbował wspiąć się na rampę, lecz było już za późno. Jego ostatnim wspomnieniem była zimna, bezlitosna nienawiść w oczach Tsien Tao-linga.

\*\* \*

Gerald Hatcher jęknął i zagryzł wargę, by nie krzyknąć, gdy ktoś poruszył jego lewą nogą. Z trudem uniósł powieki, zastanawiając się przez chwilę, dlaczego jest taki słaby, dlaczego czuje taki ból.

Ujrzał pochylającego się nad nim Tao-linga i stłumił kolejny krzyk, gdy marszałek zacisnął coś na jego prawej nodze. Opaska uciskowa, pomyślał.

Potem ujrzał obok martwego Allena Germanie'a. I wtedy sobie przypomniał. Jego umysł nadal działał. Słabo, powoli, ale działał. Wymiana ognia najwyraźniej ustała, a skoro nikt nie strzelał i Tao-ling zajmuje się nim, to znaczy, że musieli zwyciężyć, prawda? Był zadowolony, że udało mu się dojść do tak logicznego wniosku.

Jedno ramię Tsiena pokrywał zakrwawiony prowizoryczny opatrunek, do tego ciągnął za sobą lewą nogę, lecz jego ręka ścisnęła karabin Allena, gdy z jękiem opuścił się na ziemię obok Hatcher'a. - T... Tao-ling? - wyszeptał generał.

- Jesteś przytomny? - Głos Tsiena był ochryply od bólu. - Jesteś twardy jak byk.

- Dzie... dzięki. Jak... jak wygląda sytuacja?

- Wydaje mi się, że odparliśmy atak. Nie wiem, jakim sposobem. Obawiam się, że jesteś ciężko ranny, przyjacielu.

- Prze... żyję...

- Tak sądzę. - Mimo bólu Hatcher uśmiechnął się. Miał mętlik w głowie i poczułby ulgę, gdyby zupełnie stracił przytomność, ale najpierw musiał coś powiedzieć.

- Tao-ling?

- Cicho, Geraldzie - upomniał go surowo marszałek. - Jesteś ranny.

- A ty... nie? Chyba... ja pierwszy dostanę... implanty. - Amerykanie! Zawsze musicie być pierwsi.

- Po... powiedz Horusowi, że... że przejmujesz moje stanowisko.

- Ja? - Na twarzy Tsiena malowały się ból i wstyd. - Ależ to zrobili moi ludzie!

- Bzdura. To... ważne... żebyś przejął... moje stanowisko. Powiedz Horusowi! -

Resztkami sił Hatcher ścisnął rękę przyjaciela. To była ranna ręka, ale Tsien nawet się nie skrzywił.

- Powiedz mu! - rozkazał, mimo bólu trzymając się resztek świadomości.

- Dobrze, Geraldzie - powiedział łagodnie marszałek. - Powiem.

- To dobrze - wyszeptał Hatcher i w końcu się poddał.

\* \* \*

*W mieście śpiewano i tańczono, gdy Lud Riahn świętował. Trwająca dwanaście lat wojna przeciwko Tur skończyła się, i to po prostu zwycięstwem. Królewskie rody Riahn i Tur zakończyły nieustające potyczki i bitwy o kopalnię miedzi w Fithan, wykazując się większą niż wcześniej mądrością, gdyż Córka Tur poślubi Syna Riahn i od tego czasu oba Ludy będą jednością.*

*To dobrze. To bardzo, bardzo dobrze, gdyż Riahn-Tur będzie największym z miast-państw całego T'Yir. Ich miecze i włócznie nie będą zwracały się przeciwko sobie w wojnie, lecz będą ich chronić przed sąsiadami, a miedź z Fithan przyniesie im bogactwo i dobrobyt. Statki Riahn już i tak były najszybsze, a mając miedź z Fithan do osłony kadłubów przed robactwem i wodorostami, posiadają morza T'Yir!*

*Wielka była radość w Riahn. Nikt z Ludu nie wiedział o statkach Achuultan, które dotarły do ich systemu, gdy trwała jeszcze wojna. Nikt nie wiedział, że przybyły właściwie przypadkiem, nieświadome istnienia Ludu aż do chwili, gdy weszły w system, ani też że zatrzymały się wśród asteroidów. Nikt z Ludu nie wiedział nawet, czym są asteroidy, nie wspominając już o tym, co się stanie, gdy największe z nich zostaną posłane w stronę T'Yir.*

*A ponieważ tego wszystkiego nie wiedzieli, nikt z nich nie zdawał sobie sprawy, że zostało im zaledwie siedem miesięcy życia.*

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Colin MacIntyre nie bał się, gdyż „bać się” było zbyt łagodnym określeniem.

Podczas gdy inni wchodzili do sali konferencyjnej, on siedział odwrócony plecami do luku i czuł strach w kręgosłupie. Zaczekał, aż wszyscy usiądą, po czym odwrócił się i spojrzał im w oczy. Ich twarze wyglądały gorzej, niż się spodziewał.

- Dobrze - powiedział w końcu. - Musimy zdecydować, co teraz robimy.

Ich spokojne spojrzenia, nawet Jiltanith, mówiły, że przejrzeni jego kłamstwo. Miał ochotę wrzeszczeć. Oni nie musieli zdecydować. To on musiał podjąć decyzję i całym sercem żałował, że kiedykolwiek usłyszał o statku kosmicznym *Dahak*.

Odetchnął głęboko, przymykając oczy. Kiedy znów je otworzył, jego spojrzenie nieco złagodniało.

- *Dahaku* - powiedział cicho - czy masz dla nas coś jeszcze?

- Nie, kapitanie. Sprawdziłem wszystkie znane rodzaje imperialnej broni i wyniki badań. Nic w mojej bazie danych nie pasuje do uzyskanych informacji.

Colin z trudem powstrzymał się przed przekleństwem. Uzyskane informacje. Cóż za eleganckie określenie, gdy w grę wchodzi dwie niezamieszkałe planety, całkowicie pozbawione życia. Ani drzewa, ani krzewu. Nic. Żadnych równin pokrytych wulkanicznym szkłem i utrzymującego się promieniowania, żadnych śladów działań wojennych - tylko naga, zwietrzała ziemia i kilka żałosnych kompleksów popadających w ruinę budynków. Ich istnienie świadczyło o trwałości imperialnych materiałów budowlanych, gdyż *Dahak* ocenił, że na planetach nie było życia od prawie czterdziestu pięciu tysięcy lat.

Żadnych ptaków, pomyślał. Żadnych zwierząt. Nawet owadów. Po prostu... nic. Jedynie wiatr. Warunki atmosferyczne odarły ogołoconą planetę aż do kamieni, które wyglądały niczym zęby w czaszce, odsłonięte w straszliwym grymasie zbezczeszczenia i śmierci.

- Hectorze? - spytał w końcu. - Masz jakiś pomysł?

- Żadnego. - Zazwyczaj opanowany głos MacMahana był teraz jeszcze bardziej pozbawiony wyrazu. Mężczyzna zdawał się kulić na krześle.

- Cohanna?

- Niewiele mogę dodać, sir, ale muszę powiedzieć, że to była broń biologiczna. Jakaś niewyobrażalna broń. - Cohanna zadrżała. - Wysłałam bezzałogowe sondy, by przeprowadziły badania na miejscu; nie mam odwagi wysłać tam ludzi.

Colin pokiwał głową.

- Nie mogę sobie wyobrazić, jak oni to zrobili - mówiła dalej oficer. - Jaka broń mogła do czegoś takiego doprowadzić? Gdyby napromieniowali planetę... Ale nie mam żadnych poszlak, kapitanie. Nic.

- Rozumiem. - Colin wciągnął powietrze. - Tanni, co możesz nam powiedzieć?

- Tyleż samo co i Hanna. Znaleźli my sześć dziesiątek pojazdów orbitalnych i instalacji, wszelako opuszczonych i martwych. Jakoż i z planetami, podejść bliżej się nie ważyliśmy, lubo nasze sondy dokładnie je zbadały. Wszędzie jeno kości.

- *Dahaku*? Udało ci się podłączyć do ich komputerów?

- Nie bardzo, kapitanie. Nie udało mi się przeprowadzić dokładnego badania ich wyposażenia, gdyż bardzo poważnie różnią się od technologii, którą znam. Przede wszystkim sieci komputerowe najwyraźniej były zespolone łącami w przestrzeni złożonej, co z pewnością dawało im przewagę szybkości w porównaniu z moimi obwodami molekularnymi. Komputery te działały na zupełnie innej zasadzie, utrzymując przepływ danych przez na wpół stałe pola siłowe, nie zaś w istniejących fizycznie jednostkach pamięci. Ich dopływ mocy ustał dawno temu, a bez ciągłego dostarczania energii...

Komputer zamilkł, co było elektronicznym odpowiednikiem wzruszenia ramionami.

- Częściowe odzyskanie danych było możliwe jedynie na pokładzie artefaktu siedemnastego, statku Floty *Cordan* - powiedział po chwili. - Niestety, rdzeń danych miał ograniczoną pojemność, gdyż sama jednostka była zaledwie trzyosobowym pojazdem podświetlnym i ucierpiała z powodu uszkodzenia elementów opartych na przestrzeni złożonej. Większość danych w pamięci została zakodowana za pomocą wielopoziomowego kodu Floty, którego nie udało mi się jeszcze złamać, choć sądzę, że jest to możliwe, jeśli zdobędziemy większą próbkę. Dane, które udało mi się uzyskać, to głównie rutynowe zapisy operacyjne i astronawigacyjne.

- Dzięki ostatniej notatce kapitan *Cordana* udało mi się ustalić datę katastrofy. Nie ma w niej niczego, co wskazywałoby na jakiś niepokój, do tego kapitan była małowówna. Ostatni zapis to informacja o zaproszeniu jej i załogi na obiad do rezydencji gubernatora planety na Defram-A Trzy.

- Nic więcej? - spytała cicho *Ninhursag*.

- Komandorze, bez wątpienia były jeszcze inne dane, lecz to komputer dowodzenia *Cordana* je zapisywał, a one niestety zostały uszkodzone. Zlokalizowałem dwanaście innych pomocniczych i specjalistycznych sieci komputerowych, lecz żadna z nich nie zawiera informacji, które mógłbym odzyskać.

- Wład? - Colin zwrócił się do inżyniera.

- Fakt, że boimy się zbliżyć, by przeprowadzić badania, sprawia, że nie mamy zbyt wielu danych eksperymentalnych, lecz informacje przekazane przez sondy wskazują, że ich technologia była bardziej rozwinięta niż *Dahaka*. Z drugiej jednak strony nie widzieliśmy zbyt wielu dowodów jakichś fundamentalnych przełomów technologicznych - raczej bardzo wyrafinowane udoskonalenia tego, co już mamy.

- Jakże to, Wład? - spytała Jiltanith. - Czyż *Dahak* nie rzekł, iż ich komputery jego nie przypominają?

- To prawda, Tanni, jednak różnice są z rodzaju przyrostowych. - Wład skrzywił się. - Tak naprawdę *Dahak* chciał powiedzieć, że zaszli dalej w inżynierii wysokich stanów energii. Nie mogę być pewien, dopóki nie dostanę czegoś, co mógłbym rozłożyć i złożyć z powrotem, lecz sądzę, że ta pamięć oparta na polach siłowych po włączeniu prawdopodobnie ukazywała się w postaci materialnej powierzchni. Imperium zmierzało w tę samą stronę jeszcze przed buntem - nasza tarcza jest dokładnie tym samym, tylko na ogromną skalę. Oni odkryli, jak robić takie rzeczy w skali, przy której nasze obwody molekularne wydają się wielkie i niezgrabne, lecz teoretycznie było to możliwe od samego początku. Widzicie, to jest właśnie postęp przyrostowy.

Jiltanith powoli pokiwała głową, a Colin oparł łokcie na stole.

- Biorąc to pod uwagę, powiedz, *Dahaku*, jakie mamy szansę na odzyskanie użytecznych danych z innych komputerów, które napotkamy?

- Zakładając, że będą z rodzaju opisanych przez kapitana Floty Czernikowa i że pozostawały bez opieki i dopływu mocy - zerowe. Proszę jednak zauważyć, że komputer dowodzenia *Cordana* nie należał do tego rodzaju maszyn.

- To znaczy?

- To znaczy, kapitanie, że prawdopodobnie Flota miała fizyczny zapis danych dla krytycznych systemów dlatego, że zapis energetyczny jest podatny na uszkodzenia w razie przerwy w dopływie mocy. Jeśli rzeczywiście tak jest, duże jednostki podświetlne powinny nam dostarczyć znaczącą ilość danych. Okręty wojenne osiągające prędkość nadświetlną z dużym prawdopodobieństwem zachowały zapasową kopie, wszystkich danych.

- Rozumiem.

Colin odchylił się do tyłu i przetarł oczy.

- W porządku. Znajdujemy się pięć i pół miesiąca od Ziemi, i na razie znaleźliśmy tylko jedną całkowicie zniszczoną bazę Floty i dwie kompletnie martwe planety. Jeśli *Dahak* myli się co do okrętów Floty zachowujących fizyczne kopie danych z głównych komputerów,

nie możemy mieć nawet nadziei, że dowiemy się, co się stało, nie wspominając już o znalezieniu pomocy w którymś z tych systemów, które dotknęła katastrofa.

- Jeśli teraz zawrócimy, dotrzemy na Sol ponad rok przed zwiadowcami Achuultan, co przynajmniej pozwoli nam pomóc Ziemi w odparciu ich ataku. Jeśli zaś postanowimy posuwać się dalej w głąb Imperium, nie zdążymy wrócić na Sol przed głównym najazdem. Pytanie brzmi więc, czy lecimy dalej z nadzieją, że coś nam się uda znaleźć, czy zawracamy.

Przyjrzał się twarzom zebranych osób, lecz widział w nich jedynie odbicie swojej własnej niepewności.

- Nie sądzę, że powinniśmy się już poddać - powiedział w końcu. - Wiemy, że nie zwyciężymy bez pomocy, ale nie wiemy, czy nie uda nam się jej znaleźć. Będę absolutnie szczerzy, nie jestem zbyt wielkim optymistą, ale nie widzę innego wyboru, jak tylko ruszyć dalej i się modlić.

Jiltanith i MacMahan pokiwali lekko głowami. Inni milczeli. Wreszcie Czernikow przerwał ciszę. - Jedna uwaga, sir.

- Tak?

- Zakładając, że *Dahak* ma rację i jednostki Floty są najbardziej prawdopodobnym źródłem informacji, może powinniśmy skoncentrować się na bazach Floty i na razie zignorować systemy cywilne.

- Dokładnie o tym samym myślałem.

- Lecz czyż nie byłoby rozsądnym sprawdzić kilka innych systemów, nim opuścimy tę przestrzeń? - spytała Jiltanith. - Zda mi się, iż ledwie piętnaście lat świetlnych stąd inny świat leży. Nie baza Floty to była, ino gęsto zaludniony świat, prawda, *Dahaku*?

- Zgadza się - odpowiedział komputer. - Kano leży czternaście przecinek sześć sześć jeden roku świetlnego od Defram, niemal po drodze na Birhat. Wedle ostatnich informacji zamieszkiwało go dziewięć przecinek osiem trzy miliarda ludzi.

A więc przy maksymalnej prędkości droga na Kano zajęłaby im niewiele ponad tydzień.

- Dobrze, Tanni - zgodził się Colin. - Ale jeśli nic tam nie znajdziemy, zaczynam się zastanawiać, czy nie powinniśmy skierować się do Centrali Floty na Birhat.

Doskonale rozumiał wstrząs, jakiego doznali jego oficerowie. Birhat leżało niemal osiemset lat świetlnych od Sol. Gdyby się na to zdecydowali, pomimo prędkości *Dahaka* nie byłiby w stanie powrócić na Ziemię przed przybyciem zwiadowców Achuultan.

Być może *Dahak* nawet w pojedynkę byłby w stanie powstrzymać zwiadowców Achuultan, szczególnie z pomocą tego, co udało się wyprodukować w tym czasie na Ziemi.

Lecz jeśli Colin zdecyduje się udać na Birhat, *Dahak* nie będzie mógł nawet spróbować. Ale decyzja należała do niego. Wyłącznie do niego.

- Jestem świadom ryzyka - powiedział cicho - lecz mamy coraz mniejszy wybór i brak nam czasu, by latać od gwiazdy do gwiazdy. Jeśli nie uda nam się niczego znaleźć na Kano i postanowimy udać się na Birhat, nie możemy sobie pozwolić na zejście z kursu, gdyż nie zdążymy wrócić przed głównym najazdem. Jeśli skierujemy się tam prosto z Kano, będziemy mieli kilka miesięcy na pokręcenie się po Centrali Floty i wciąż zdążyć wrócić do domu przed głównymi siłami wroga. Przyjmując nawet najgorszy scenariusz, że całe Imperium wygląda tak jak Defram, może przynajmniej dowiemy się, co się stało i gdzie jest - jeśli w ogóle istnieje - reszta Imperium. Nie mówię, że musimy skierować się na Birhat, mówię tylko, że możemy nie mieć innego wyboru.

Umilkł, pozwalając im poszukać luk w jego rozumowaniu. Wręcz modlił się, by je znaleźli, lecz oni jedno po drugim zaczęli kiwać głowami.

- Dobrze. *Dahaku*, niech Sarah ustawi nas natychmiast na kursie na Kano. Zajrzymy tam, zanim podejmiemy jakąkolwiek decyzję.

- Tak, kapitanie.

- Sądzę, że to wszystko - powiedział Colin i ciężko wstał. - Jeśli ktoś będzie mnie potrzebował, jestem na mostku.

Wyszedł. Tym razem *Dahak*, jakby wyczuwając nastrój kapitana, nie kazał im wstawać... ale i tak to zrobili.

\* \* \*

- Wykrycie w odległości dwunastu minut świetlnych - ogłosił *Dahak* i Colin poczuł przypływ nadziei. Gwiazda typu F5 nazywana Kano błyszczała na wyświetlaczach *Dahaka*, planeta Kano Trzy była jasnym punktem. Zostali wykryci. Wykryci! A więc w systemie jest wysoko rozwinięta technologia!

Jednak następne słowa *Dahaka* położyły kres jego radości.

- Atak - powiedział spokojnie komputer. - Wielokrotny atak. Pociski podświetlne zbliżają się z prędkością siedemdziesięciu ośmiu procent prędkości światła. Pociski?

- Taktyczny, alarm czerwony jeden! - warknął Colin. Potwierdzenie Tammana przepłynęło przez jego łącze neuralne. Sieć promieni przechwytyjących obudziła się, unieruchamiając go na fotelu, a potężna broń *Dahaka* ożyła. Hałaśliwe alarmy dźwiękowe i sygnały idące przez implanty obudziły załogę i wezwały ją do walki.

- Żadnych działań ofensywnych! - rozkazał.

- Potwierdzam. - Pozbawiony wyrazu głos Tammana należał do człowieka



sprężonego z komputerami. Tarcza *Dahaka* podniosła się, uruchomiła się także obrona przeciwrakietowa. Colin umilkł, pozostawiając innym walkę o jego statek.

*Dahak* ruszył z maksymalną prędkością podświetlną i rozpoczęły się uniki. Gwiazdy wirowały szaleńczo wokół nich. Na holograficznym wyświetlaczu pojawiły się szkarłatne kropki; kierowały się w stronę *Dahaka* niczym stado śledzących go rekinów.

Zagłuszacze statku wypełniły zwykłą i złożoną przestrzeń interferencją, a na środku wyświetlacza pojawiły się niebieskie plamki - ważące pięćset ton wabiki, doskonale naśladowujące elektroniczny i grawitoniczny wzorzec *Dahaka*. Ponad połowa czerwonych plamek skierowała się w stronę wabików lub po prostu straciła orientację, jednak reszta nadal poruszała się w ich kierunku.

Ich prędkość była równa niemal osiemdziesięciu procentom prędkości światła, lecz odległość sprawiała, że wydawały się pełzać. Ale dlaczego w ogóle poruszają się z prędkością podświetlną? Dlaczego nie ma pocisków nadświetlnych? Dlaczego...

- Wykryto drugą salwę - oznajmił *Dahak* i Colin zaklął. Druga linia obrony włączyła się do działania. Pociski nadświetlne były bezużyteczne, gdyż nie były w stanie podążać za unikającymi ich celami, więc wystrzelono w ich stronę podświetlne pociski przeciwrakietowe, wybuchające w chwili aktywowania zapalników zbliżeniowych. Na wyświetlaczu pojawiły się oślepiające błyski i czerwone plamki zaczęły ginąć.

- Mają całkiem skuteczną obronę, kapitanie - zauważył *Dahak*, co Colin poczuł przez własne łącze. Systemy obrony elektronicznej odciągały ogień *Dahaka*, a wbudowane systemy manewrowe wprowadzały czerwone kropki w szaleńcze wibracje. Do tego kropki były szybsze niż goniące je pociski przeciwrakietowe.

- Skąd pochodzą, *Dahaku*?

- Skanery wykryły dwadzieścia cztery identyczne instalacje krążące wokół Kano Trzy - odpowiedział *Dahak*, gdy jego działa energetyczne bliskiego zasięgu otworzyły ogień i zniszczyły kolejny tuzin pocisków. Przynajmniej dwadzieścia leciało jednak dalej. - Salwy pochodziły z czterech z nich.

Tylko czterech? Colin zastanawiał się nad tym, gdy ostatni tuzin pocisków przebił się przez aktywną obronę *Dahaka*. Uświadomił sobie, że zaciska ręce na oparciach fotela. Nic więcej nie mógł zrobić.

Wyświetlacz *Dahaka* zgasł w chwili wybuchu, chroniąc nerwy wzrokowe załogi. Głowice antimaterii o mocy mierzonej w megatonach przebiły się przez ostatnią linię obrony, lecz *Dahak* został zbudowany tak, by wytrzymać podobny atak. Chmura plazmy ominęła go, odpychana przez pole siłowe niczym dziób statku. Jednak oprócz antimaterii wśród pocisków

byli również prawdziwi imperialni zabójcy statków - głowice grawitoniczne.

Mimo niewyobrażalnej masy i nieprawdopodobnej mocy napędu starożytny statek podskoczył jak galeon ze złamanym masztem. Colinowi żołądek podszedł go gardła - nie pomogło nawet wewnętrzne pole grawitacyjne. Wolał nie zastanawiać się nad straszliwą wściekłością, która spowodowała, że grawitoniczne elementy tarcz aż zajęczały, lecz one również zostały zbudowane tak, by to wytrzymać. I jakimś sposobem wytrzymały.

Znów zapalił się wyświetlacz, zasłonięty przez chwilę rozpraszającymi się chmurami gazu. W łączu neuralnym Colina pojawił się sygnał uszkodzenia. Potem nad jego konsolą ukazał się schemat kadłuba *Dahaka*. Na przedniej półkuli widać było nowe czerwone rysy w kształcie klina o głębokości ponad kilometra.

- Niewielkie uszkodzenia w kwadrantach alfa jeden i trzy - poinformował *Dahak*. - Żadnych ofiar. Druga salwa wchodzi w zakazaną strefę. Wykryto także trzecią salwę.

Zabłyśły kolejne pociski przeciwrakietowe.

- Taktyczny, usunąć atakujące nas instalacje! - zdecydował Colin.

- Potwierdzam - powiedział Tamman i na wyświetlaczu pojawiły się bursztynowe kręgi celowników. Każdy z nich otaczał jedną z instalacji, zbyt małych, by *Dahak* mógł je przedstawić. Colin przełknął ślinę. W przeciwieństwie do atakujących, Tamman wykorzystywał pociski nadświetlne.

- Pociski wystrzelone - zameldował *Dahak*. A później niemal natychmiast dodał: - Cele zniszczone.

W bursztynowych kręgach pojawiły się jaskrawe błyski, lecz mimo to dwie wystrzelone w ich kierunku salwy nadal się zbliżały. Ale *Dahak* zdobył wiele informacji podczas pierwszego ataku i bardzo szybko myślał. Komputer Bojowy dobrze przewidział reakcje pocisków, świadom ich szybkości i sztuczek w wykonaniu obrony elektronicznej, i z nieubłaganą precyzją je niszczył. Gdy zasięg się zmniejszył, do walki włączyła się broń energetyczna. Z drugiej salwy przebiły się jedynie trzy pociski, wszystkie uzbrojone w głowice antimaterii. Ostatni pocisk z trzeciej salwy wybuchł dziesięć sekund świetlnych od tarczy.

Colin opadł na fotel.

- *Dahaku*? Coś jeszcze? - spytał.

- Nie, sir. Wykryłem aktywne systemy namierzania na siedmiu z pozostałych instalacji, lecz nie wystrzelono stamtąd żadnych pocisków.

- Jakież próby komunikacji?

- Nie, kapitanie. Nie odpowiedzieli też na moje wezwania.

- Cholera.

To wszystko nie ma sensu. Czemu odmawiają nawiązania kontaktu i od razu atakują? W jaki sposób *Dahak* wszedł tak głęboko w ich system i nie został wykryty? I skoro już musieli zaatakować, to czemu tylko jedną szóstą baz obrony? Te cztery bazy, które Tamman zniszczył, z pewnością dały z siebie wszystko, ale jeśli chcieli się bronić, czemu trzymali pozostałe w odwodzie? Zwłaszcza teraz, kiedy *Dahak* odpowiedział w tak brutalny sposób?

- Cóż - powiedział w końcu bardzo cicho - spróbujmy się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Sarah, połowa prędkości. Tamman, utrzymujemy alarm czerwony jeden.

Otrzymał potwierdzenia i *Dahak* ostrożnie ruszył z prędkością równą dwudziestu ośmiu procentom prędkości światła. Colin przez chwilę uważnie obserwował wyświetlacz.

- *Dahaku*, połącz mnie ze wszystkimi.

- Połączenie ze wszystkimi otwarte, sir.

- W porządku. To było bardzo niebezpieczne, ale najwyraźniej wyszliśmy z tego bez szwanku. Jeśli ktoś chce wiedzieć, co dokładnie się stało - przerwał i uśmiechnął się; ku jego zaskoczeniu wyszło to niemal naturalnie - może później otrzymać informacje od *Dahaka*. Ale na razie informuję was, że w tej chwili nikt do nas nie strzela, więc mamy zamiar przyjrzeć się temu z bliska. Nikt też nie chce z nami rozmawiać, nie są więc zbyt przyjaźnie nastawieni, ale wkrótce dowiemy się więcej. Panujemy nad sytuacją.

Zaczął wydawać *Dahakowi* rozkaz zamknięcia połączenia, ale nagle przerwał.

- Aha, jeszcze jedno. To była dobra robota. Jestem z was dumny. Bez odbioru.

- Zamknij połączenie, *Dahaku*.

- Potwierdzam, kapitanie. Połączenie zamknięte.

- Dziękuję - powiedział cicho Colin; jego słowa nie odnosiły się tylko do uprzejmości statku. - Bardzo ci dziękuję.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

W punkcie dowodzenia numer jeden wisiał holograficzny obraz miejsca, które niegdyś było przyjemnym, błękitno-białym światem zwanym Keerah. Kontynenty, kiedyś zielone, a teraz zniszczone przez wiatr i wodę, przypominały pomarszczoną twarz wiedźmy, a miejsca, gdzie dzieła człowieka pozostały niczym strażnicy zaginionych mieszkańców, wyglądały jak blizny.

Colin wpatrywał się w ten obraz i był jeszcze bardziej nieszczęśliwy niż na Defram. Pociski, które ich tam przywitały, dawały jakąś nadzieję, więc na ich widok niemal się ucieszył, nawet jeśli próbowano ich zabić. Ale widok martwej planety Keerah był przygnębiający.

Odwrócił wzrok, koncentrując uwagę na kręgu orbitalnych twierdz. Tylko siedem z nich częściowo funkcjonowało, a najbliższa wypełniała ekran *Dahaka*, błyszcząc słabo w grobowym blasku Kano. Miała ponad osiem kilometrów średnicy, i kiedy Colin na nią spojrzał, przeszedł go dreszcz.

Nawet teraz jej systemy celownicze skierowane były w stronę *Dahaka*, a okaleczone przez czas komputery wysyłały sygnały. Zadrżał, gdy wyobraził sobie starożytne wyrzutnie raz za razem przechodzące przez sekwencje wystrzałów i strzelające na sucho, gdyż ich zasobniki były już puste. Sama myśl, że opuszczona machina wojenna próbuje go zabić, była paskudna, lecz jeszcze gorsze było zastanawianie się, ile statków zginęło od jej ognia skoro zapasy amunicji wyczerpały się.

A jeśli *Dahak* i Hector mieli rację, większość tych statków została zniszczona nie dlatego, że próbowały Keerah zaatakować, ale dlatego, że próbowały z niego uciec.

- Zgłasza się sonda numer jeden, kapitanie. - Ciepły głos *Dahaka* oderwał Colina od tych przerażających myśli.

- Dobrze. Jaki mają status?

- Zewnętrzne skanowanie zakończone. Kapitan Floty Czernikow prosi o pozwolenie wejścia na pokład.

Colin odwrócił się do obrazu holograficznego.

- Jakież sugestie?

- Moją pierwszą sugestią jest wyciągnięcie stamtąd Włada - powiedziała Cohanna głosem bez wyrazu. Siedziała za biurkiem w izbie chorych, tysiąc kilometrów od punktu dowodzenia numer jeden. - Wolalabym nie narażać życia naszego głównego inżyniera.

- Zgadzą się, ale popełniłem błąd, pytając, czy ktoś się zgłasza na ochotnika.

- W takim razie równie dobrze możemy im pozwolić wejść na pokład.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście, że nie! - warknęła i Colin natychmiast uniósł dłoń uspokajającym gestem.

- Przepraszam, Hanno. Chciałem jedynie usłyszeć twoją opinię.

- Nic się nie zmieniło. - Niemal normalny ton jej głosu był dowodem przyjęcia jego przeprosin. - Inne bazy są równie martwe jak Keerah, lecz na jej pokładzie są przynajmniej dwie żywe termy hydroponiczne - nie wiem, jakim cudem działają po tak długim czasie - a może ich być jeszcze więcej. Z takiej odległości zewnętrzne bioskanery nie były w stanie niczego ustalić.

Cała atmosfera tej bazy musiała przejść przez farmy parę milionów razy, a mimo to rośliny nadal żyją. Być może to zmutowana odmiana, która przypadkiem okazała się odporna na to, co zabiło wszelkie życie na Keerah, ale wątpię. Cokolwiek to było, nie sądzę, by zakaziło stację. - Wzruszyła ramionami. - To wszystko, nic więcej ci nie powiem.

- Nie ma innych śladów życia?

- Żadnych. - Holograficzna twarz Cohanny była ponura. - Ale jeśli nie weszli w stan uśpienia, nie może ich być. Na czymś tak małym dryf genetyczny już dawno doprowadziłby do zaniku wszelkiego życia.

- Rozumiem. Dziękuję.

Colin jeszcze przez chwilę wpatrywał się w swoje dłonie, po czym pokiwał głową.

- *Dahaku*, otwórz bezpośrednie połączenie z Władem.

- Połączenie otwarte, kapitanie.

- Wład?

- Tak, kapitanie? - Nie było obrazu holograficznego, gdyż prosta szalupa Czernikowa miała ograniczone możliwości komunikacyjne, lecz głos inżyniera zabrzmiał tuż przy jego uchu.

- Pozwolę wam lepiej się przyjrzeć, Wład, lecz uważajcie na siebie. Do środka wchodzi tylko jeden człowiek, i nie będziesz to ty, kolego. Do tego pełna bioochrona i całkowita dekontaminacja, zanim wejdzie z powrotem na pokład.

- Z całym szacunkiem, kapitanie, sądzę...

- Wiem, co sądzisz - przerwał mu ostro Colin. - Odpowiedź brzmi „nie”.

- Dobrze. - Czernikow wydawał się zrezygnowany, a Colin mu współczuł. Wolałby sam podjąć to ryzyko, lecz był kapitanem *Dahaka* i nie mógł narażać łańcucha dowodzenia...

a zresztą Wład też nie mógł.

\* \* \*

Wład Czernikow spojrzał na inżyniera, którego wybrał do tego zadania. Jehru Chandra sprawiał wrażenie pełnego zapału kiedy kolejny raz sprawdzał zabezpieczenia kombinezonu. Nie wesołego czy pozbawionego obaw, lecz pełnego zapału.

- Bądź ostrożny, Jehru.

- Tak, sir.

- Włącz skanery kombinezonu. Będziemy przekazywać odczyty *Dahakowi*.

- Rozumiem, sir. - Czernikow uśmiechnął się, słysząc cierpliwą odpowiedź Chandry.

Czyżby on sam wyglądał na zdenerwowanego?

- W takim razie ruszaj - powiedział i inżynier wszedł do służy.

Na prośbę Cohanny nie było bezpośredniego kontaktu między łodzią Czernikowa a stacją bojową. Wład po raz kolejny przyglądał się górującemu nad ich łodzią potężnemu kadłubowi, podczas gdy Chandra przemierzał dzielący ich od stacji kilometr za pomocą silniczków kombinezonu. Ta starożytna budowla była o tysiące lat młodsza od *Dahaka*, lecz okręt wojenny przez cały czas krył się pod osiemdziesięcioma kilometrami skał, a stacja bojowa nie. Niegdyś błyszcząca stal zmatowiała, pokryta warstwą pyłu, do tego pojawiły się ślady po mikro uderzeniach meteorytów.

Chandra wylądował elegancko obok niewielkiej służy osobowej i jego implanty sprawdziły włącznik.

- Hm. - Napięcie w jego głosie ustąpiło, pojawiła się koncentracja. - *Dahak* miał rację, komandorze. Są tu działające komputery, ale niech mnie diabli, jeśli rozpoznają język programowania. O! Zaraz, zaraz, coś mam...

Zamilkł na dłuższą chwilę, po czym rozległ się najbardziej nieoczekiwany odgłos - śmiech.

- Niech mnie diabli, sir. To coś rozpoznało moje próby dostępu i włączyło jakieś oprogramowanie tłumaczące. Luk się otworzył.

Wszedł do środka i luk znów się zamknął.

- Ciśnienie w służy - powiedział. Jego komunikator złożonej przestrzeni działał równie dobrze za barierą z grubej stali jak w próżni. - Raczej niskie, zero przecinek sześćdziesiąt dziewięć atmosfery. Czujniki mówią, że zdatne do oddychania.

- Zapomnij o tym, Jehru.

- Nawet o tym nie pomyślałem, sir. Naprawdę. Teraz otwiera się wewnętrzny luk. - Nastąpiła krótka przerwa. - Jestem w środku. Wewnętrzny luk się zamknął. Główne

oświetlenie nie działa, ale około połowy światła awaryjnych funkcjonuje.

- Czy główna sieć działa, czy tylko komputery służą?

- Wygląda na to, że sieć pomocnicza działa. Chwileczkę. Tak, sir. Ale poziom mocy jest niski. Nie mogę na razie znaleźć głównej sieci.

- Zrozumiano. Daj mi odczyt sieci pomocniczej. Chcę, żebyś później skierował się w głąb stacji. Rozglądaj się za...

\* \* \*

Colin usadowił się wygodnie w fotelu i zamknął oczy, koncentrując się na przekazie neuralnym, podczas gdy Chandra penetrował na wpół martwą stację, z każdym metrem zyskując pewność siebie. Widać to było nawet w fachowych rozmowach z Władem.

Colin miał tylko nadzieję, że pozwolą mu wrócić do domu.

\* \* \*

- ...i to by było na tyle - zakończyła Cohanna, wyłączając osobisty komputer. - Potraktowaliśmy kombinezon Chandry wszystkimi środkami dekontaminacyjnymi, jakie posiadamy. Na ile *Dahak* i ja jesteśmy w stanie stwierdzić, był w stu procentach sterylny, zanim pozwoliliśmy mu zdjąć kombinezon, ale na wszelki wypadek trzymamy go w izolatce. Sądzę, że jest czysty, ale nie pozwolę mu stamtąd wyjść, dopóki nie będziemy mieć pewności.

- Zgadzam się. *Dahaku*, chcesz coś dodać?

- Wciąż rozmawiam z głównymi komputerami *Omegi Trzy*, kapitanie. A właściwie próbuję z nimi rozmawiać. Nie mówimy tym samym językiem, a ich prędkość transmisji danych jest znacznie większa od mojej. Niestety, wydają się całkiem głupie.

Colin zdusił uśmiech, słysząc nutę rozdrażnienia w głosie *Dahaka*. Wśród wszystkich ludzkich cech, które posiadał ogromny komputer, jedna niezbyt mu się podobała - niecierpliwość.

- Jak głupie? - spytał po chwili.

- Skrajnie. Szczerze mówiąc, nigdy nie miały nawet ograniczonej świadomości. Zdolności *Omegi Trzy* do samodzielnej naprawy nigdy nie były równe standardom Floty, a do tego w miarę upływu czasu pogarszały się, jak przypuszczam głównie z powodu braku części zamiennych. Nie mam dostępu do około czterdziestu procent sieci *Omegi Trzy*. Główne komputery działają lepiej niż systemy pomocnicze, lecz błędy pojawiły się nawet w ich podstawowym oprogramowaniu. Używając ludzkich określeń, cierpią na demencję.

- Rozumiem. Czy udało ci się coś z nich wydobyć?

- Potwierdzam, sir. Jestem gotów przedstawić hipotetyczną rekonstrukcję wydarzeń

prowadzących do obecnej sytuacji *Omegi Trzy*.

- Naprawdę? - Colin wyprostował się, podobnie jak wszyscy siedzący wokół stołu.

- Potwierdzam. Musicie jednak mieć świadomość, że to tylko spekulacje. Dane są mocno niekompletne.

- Zrozumiano. Mów.

- Przyjąłem do wiadomości. Kapitan Floty Cohanna miała rację. Brak jakiegokolwiek życia na planetach, które dotychczas odwiedziliśmy, jest skutkiem działania broni biologicznej.

- Jakiego rodzaju broni biologicznej? - spytała ostro Cohanna pochylając się do przodu, jakby chciała wyciągnąć odpowiedź z komputera.

- Jeszcze nie wiem. Gubernator systemu uważała, że była pochodzenia imperialnego.

- Słodki Jezu - jęknęła Jiltanith. - W jednym ześ rację miał, fetorze. Nie żaden wróg ich zniszczył, jeno oni sami.

- Zgadza się - potwierdził *Dahak*. - Jak powiedziałem, dane są niekompletne, lecz udało mi się odzyskać część notatek gubernator. Mam nadzieję zdobyć więcej, lecz te, które już mam, potwierdzają tę hipotezę. Nie wiedziała, gdzie broń została pierwotnie uwolniona, lecz najwyraźniej mówiono o niej już od dłuższego czasu.

- Głupcy - szepnęła Cohanna. - O, głupcy! Czemu stworzyli coś takiego? To pogwałcenie etyki badań medycznych Imperium!

- Obawiam się, że moja próbka danych jest zbyt mała, by na to odpowiedzieć, jednak odkryłem bardzo ciekawy fakt. To nie Czwarte Imperium stworzyło tę broń, lecz byt zwany *Czwartym Cesarstwem*.

Przez chwilę Colin nie mógł pojąć znaczenia tych słów. *Dahak* mówił w uniwersalnym imperialnym, który znacznie różnił się od angielskiego. „Imperium” w uniwersalnym brzmiało *umsuvah*, z akcentem na ostatnią sylabę, a „cesarstwo” - *umsuvaht*, z akcentem na drugą.

- Co? - zamrugła zaskoczona Cohanna.

- Jeszcze nie ustaliłem pełnego znaczenia odmiennej terminologii, ale sugeruje ona wiele możliwości. W szczególności wydaje się, iż Senat Imperium został zastąpiony przez cesarza Herdana Dwudziestego Czwartego w roku trzynaście tysięcy sto siedemdziesiątym piątym.

- Herdan Dwudziesty Czwarty? - powtórzył Colin.

- Tytuł wydaje się znaczący, gdyż sugeruje wyjątkowo długi okres rządów jednostek. Ponadto data jego wstąpienia na tron pokrywa się z naszym datowaniem katastrofy na



Defram.

- Zgadza się - potwierdził Colin. - Czy masz jeszcze jakieś dane?

- Nie natury politycznej czy społecznej, kapitanie. Być może *Omega Trzy* poda jakieś dodatkowe informacje, zakładając, że uda mi się zlokalizować odpowiednią część rdzenia danych i że istotne informacje nie uległy zniszczeniu. Prawdopodobieństwo oceniam jednak jako niezbyt duże. *Omega Trzy* i inne bazy zostały zbudowane w wielkim pośpiechu przez miejscowe władze, a nie przez Flotę. Poza oprogramowaniem niezbędnym do pełnienia podstawowych funkcji, ich bazy danych są bardzo ubogie.

Mimo wstrząsu Colin uśmiechnął się, słysząc skwaszony ton komputera.

- Dobrze - rzekł po chwili. - Co możesz powiedzieć o skutkach działania broni biologicznej i powodach zbudowania tych umocnień?

- Danych nie jest zbyt wiele, kapitanie, ale zawierają podstawowe informacje. Broń biologiczna najwyraźniej miała szerokie spektrum oddziaływania na różnorodne formy życia. Jeśli zapiski gubernator Yirthany są prawdziwe, celem użycia broni było zniszczenie wszelkiego życia. Na przykład na ssaki działała jak neurotoksyna, zaburzając reakcje chemiczne zachodzące w układzie nerwowym, co w efekcie prowadziło do śmierci.

- Ale taka broń nie unicestwiłaby drzew i traw - zaprotestowała Cohanna.

- To prawda, pani komandor. Niestety, nie mamy żadnego śladu tej broni, lecz udało mi się uzyskać pewne dane z działu biotechnologii gubernator Yirthany. Wydaje się, że projektanci uświadomili sobie pewien prosty fakt: dla istnienia wszystkich znanych form życia niezbędne są pewne reakcje chemiczne. Reakcje te są różne dla różnych form życia, lecz ich obecność jest rzeczą stałą. Broń została zaprojektowana tak, by je zaburzać.

- To niemożliwe - powiedziała Cohanna, po czym zarumieniła się.

- Wedle mojej bazy danych ma pani rację. A jednak Keerah jest pozbawione życia. Empiryczne obserwacje wskazują więc, że to było możliwe w okresie Czwartego Cesarstwa.

- Zgadzam się - mruknęła szefowa działu biotechnologii.

- Dział biotechnologii gubernator Yirthany przypuszczał, że broń została zaprojektowana tak, by z dużą szybkością mutować w ciałach swoich ofiar, aż do osiągnięcia skutku śmiertelnego. Przypuszczam, że stworzenie takiej broni wcale nie było proste.

- Proste?! Wciąż trudno mi uwierzyć, że było możliwe!

- Jeśli zaś chodzi o *Omegę Trzy* i inne stacje - mówił dalej *Dahak* - ich zadaniem było zapewnienie Keerah ścisłej kwarantanny. Gubernator Yirthana najwyraźniej była świadoma skażenia swojej planety i podjęła kroki, by zapobiec rozprzestrzenianiu się zarazy. Jest też wzmianka, którą nie do końca rozumiem, o jakimś systemie „trans-mat”, który kazała

wyłączyć.

- Trans-mat? - spytał Colin.

- Tak, sir. Wydaje mi się, że to było urządzenie do przenoszenia personelu na odległości międzygwiazdne bez użycia statków kosmicznych.

- Co?! - Colin aż podskoczył.

- Dostępne informacje sugerują istnienie systemu zdolnego do przenoszenia ładunków wielkości co najwyżej kilku ton na odległość nawet kilkunastu tysięcy lat świetlnych... niemal natychmiast, kapitanie. Najwyraźniej ten system stał się preferowaną metodą podróży. Koszty energetyczne wydają się jednak wysokie, co najprawdopodobniej tłumaczy niską górną granicę masy. Statki kosmiczne nadal wykorzystywano do hurtowego przewozu towarów, zaś Flota i niektóre agencje rządowe zachowały statki kurierskie do przenoszenia ściśle tajnych informacji.

- Jezu! - mruknął Colin. - Czemu nie wspomniałeś o tym wcześniej?

- Nie pytał pan, kapitanie. Ani ja nie byłem tego świadom. Proszę pamiętać, że przez cały czas badam pamięć *Omegi Trzy*.

- Dobrze, rozumiem. - Colin spojrzał na Czernikowa. - Transmisja materii? Teleportacja?! Czy to możliwe?

- Jak powiedział *Dahak*, obserwacje empiryczne wskazują, że to jest możliwe, lecz jeśli pytasz, w jaki sposób, nie mam pojęcia. Jego baza danych zawiera publikacje naukowe na temat skoncentrowanych pól nadprzestrzennych w połączeniu z technologią przestrzeni złożonej, lecz badania z okresu przed buntu do niczego nie doprowadziły. A potem? - Znów wzruszył ramionami.

- Na Stwórcę! - Cichy głos Cohanny zwrócił uwagę wszystkich zebranych. Była śmiertelnie blada. - Jeśli mogli... przerwała i wpatrując się w swoje dłonie, zaczęła rozmawiać z *Dahakiem* przez łącze neuralne. Kiedy znów zwróciła się do swoich towarzyszy, w jej oczach czaił się smutek.

- A więc o to chodzi. - Jej głos był zupełnie bez wyrazu. - Tak to sobie zrobili.

- Wyjaśnij nam - powiedział łagodnie Colin.

- Zastanawiałam się... zastanawiałam się, jak mogli zejść tak daleko. Widzicie, Hector ma rację. Tylko szaleńcy mogliby świadomie niszczyć całe planety taką bronią. Te informacje to potwierdzają.

Patrzyli na nią, niczego nie rozumiejąc. Jedyne twarz Jiltanith wykrzywił grymas świadczący, że wie, o czym Cohanna mówi.

- Imperium mogło przenosić broń biologiczną za pośrednictwem statków kosmicznych

- powiedziała oficer biotechnologii. - Mogły być zmuszane do przenoszenia tego... zarazka - czy czynnika - z systemu do systemu. Imperium było ogromne i czynnik wywołujący skażenie mógłby zostać rozpoznany, zanim rozprzestrzeniłby się na wszystkie planety. A zatem gdyby to nie była świadoma operacja wojskowa, kwarantanna mogłaby ograniczyć skutki działania tej broni.

- Lecz Cesarstwo miało to przeklęte „trans-mat”. Niezależnie od długości okresu inkubacji, wystarczyło jedno - tylko jedno - źródło zakażenia, o którym mogli nie wiedzieć, i nim uświadomili sobie, co się stało, zarazek mógł się rozprzestrześć na całe Cesarstwo. Zatrzymywanie statków kosmicznych ani trochę nie spowolniłoby tego procesu!

Colin wpatrywał się w nią, a jej słowa zapadały mu w umysł, dzięki „trans-mat” światy Imperium nie były oddalone od siebie o tygodnie czy miesiące podróży. Były ściśle zintegrowaną jednością. Czas i przestrzeń, największe bariery utrudniające utrzymanie spójności międzygwiazdnej cywilizacji, przestały się liczyć. Cóż za triumf techniki! Ale za to jakże śmiertelnie niebezpieczny triumf.

- W takim razie myliłem się - mruknął MacMahan. - Mogli sami siebie zniszczyć.

- Mogli i tak właśnie zrobili. - Zaciśnięta pięść Ninhursag lekko uderzyła w stół, a jej głos był pełen cierpienia. - I to wcale nie celowo. Przypadkiem. Przypadkiem, niech ich Niszczyciel przeklnie!

- Zaczekajcie. - Colin uniósł dłoń. - Zakładając, że masz rację, Cohanno, czy sądzisz, że wszystkie planety zostały skażone?

- Prawdopodobnie nie, ale większość mogła być zarażona. Sądząc z ograniczonych informacji, jakie *Dahak* i ja posiadamy na temat tego ich potwora - a pamiętajcie, że te dane to spekulacje z trzeciej czy czwartej ręki, od gubernator Yirthany - okres inkubacji był dość długi. Co więcej, zarazek był w stanie przetrwać w odpowiednich warunkach, nawet bez gospodarza, bardzo długo, może nawet kilka stuleci.

- To wskazuje raczej na broń strategiczną niż taktyczną. Dzięki długiemu okresowi inkubacji czynnik miał dużo czasu na ukrycie się i rozprzestrzenienie, zanim go wreszcie odkryto. Świadczy o tym również fakt, iż Yirthana zdążyła wybudować bazy, zanim Keerah zostało zniszczone. Wysoka śmiertelność powodowała, że przez bardzo, bardzo długi czas nikt nie miał odwagi zbliżyć się do zakażonej planety. To idealny sposób wyeliminowania gwiazdznego wroga.

- Dzięki długiemu okresowi inkubacji prawdopodobnie nikt nie wiedział, że czynnik został uwolniony, dopóki ludzie nie zaczęli umierać. To oznacza, że jako pierwsze zginęły planety centralne, najczęściej odwiedzane.

- Ludzie są ludźmi, więc naturalną reakcją była - musiała być - panika. A spanikowana osoba ucieka. - Cohanna wzruszyła ramionami. - Rezultatem tego mogła być eksplozja zakażeń.

- Z drugiej strony wiemy, że mieli hiperkomy. Ostrzeżenia mogły być przekazywane z prędkością nadświatlną bez wykorzystania „trans-matu”, dlatego można założyć, że niektóre planety wprowadziły kwarantannę, nim zostały zakażone. I tu pojawia się problem „okresu przetrwania”. Nie wiedzieli, jak długo mają utrzymywać kwarantannę, ile czasu mają nie kontaktować z innymi planetami, jak długo istnieje ryzyko zakażenia.

Przerwała. Colin pokiwał głową.

- Dlatego porzucili przestrzeń kosmiczną - powiedział.

- Nie mogę być pewna, lecz to się wydaje bardzo prawdopodobne. Nawet jeśli któraś z planet przetrwała, jej „Cesarstwo” mogło ze zrozumiętego strachu ulec samozniszczeniu. Co oznacza - spojrzała Colinowi prosto w oczy - że z wielkim prawdopodobieństwem Imperium, z którym moglibyśmy się skontaktować, już nie istnieje.

\* \* \*

Władimir Czernikow pochylił się nad stołem roboczym, badając rozłożoną broń, która przypominała karabin. Ustawił swój wzmocniony wzrok na widzenie mikroskopowe i z wielką ostrożnością zaczął manipulować wyjątkowo wrażliwymi elementami. W głębi duszy wiedział, że próbuje uciec przed otepiającą depresją, która opanowała załogę *Dahaka*, choć jego fascynacja bronią była prawdziwa. Radował się urodą leżącego przed nim przedmiotu. Teraz jeszcze musi się dowiedzieć, do czego służył.

Oto kondensator. Bardzo potężny mimo niewielkich rozmiarów karabinu. Osiem albo dziewięć razy mocniejszy od zwykłego ładunku karabinu energetycznego. A to rezystory nastawne. Jeden bez wątplenia regulował moc tego, co emitowała broń, zatem do czego był drugi?

Hm. To fascynujące. Brak standardowego obwodu zakłócającego. Ale z drugiej strony... Aha! Co my tu mamy?

Pochylił się jeszcze bardziej, koncentrując nie tylko wzrok, ale i implanty, po czym zamarł. Po chwili uniósł głowę i wezwał gestem Baltana.

- Popatrz na to - powiedział. Jego asystent pochylił się i podążył wzrokiem za sondą Czernikowa w stronę wskazanego elementu, po czym cichutko gwizdnął.

- To musi być generator nadprzestrzeni - powiedział. - Ale rozmiar...

- Właśnie. - Czernikow wytarł chusteczką idealnie czyste palce, gdyż nagle stały się lepkie. - *Dahaku* - powiedział.

- Tak, sir?

- Co o tym sądzisz?

- Chwileczkę. - Zapadła cisza, po czym ciepły głos powiedział: - Komandor Floty Baltan ma rację, sir. To generator nadprzestrzeni. Nigdy nie spotkałem tak małego ani o tak skomplikowanej budowie, lecz podstawowa funkcja jest oczywista. Proszę jednak zauważyć, że wewnętrzne ściany generatora są zbudowane z nieznannej mi substancji, która sięga na całą długość lufy.

- Jak to wyjaśnisz?

- Wydaje się, że to jest tarcza obudowy, która osłania generator, sir, odporna na promieniowanie wypaczeniowe. To fascynujące. Taki materiał miałby oczywiste zastosowanie w urządzeniach w rodzaju atmosferycznych wyrzutni pocisków nadświetlnych.

- To prawda. Ale czy mam rację, zakładając, że od strony wylotu lufy obudowa jest otwarta?

- Ma pan rację, sir. Wydaje się, że to wysoko rozwinięta adaptacja granatu wypaczeniowego. Po uruchomieniu broń wypuszcza skoncentrowane pole - a właściwie promień - wielowymiarowego przeniesienia, które może wyrzucić jego cel w nadprzestrzeń.

- I tam go pozostawić - dodał Czernikow głosem bez wyrazu.

- Oczywiście. To wyjątkowo pomysłowa broń.

- Pomysłowa - powtórzył Wład.

- Owszem. Dostrzegam jednak pewne ograniczenia. Pola tłumiące, które wymyślono po to, by powstrzymać granaty wypaczeniowe, będą przeciwdziałać również i temu urządzeniu. Nie mogę mieć pewności bez wypróbowania broni, lecz przypuszczam, że można z niej strzelać poza polem tłumiącym lub w poprzek. Wiele zależy od natury skupiających pól siłowych. Ale zwróćcie uwagę na te niewielkie urządzenia po obu stronach lufy. Wyglądają na małe generatory Ranhar. Jeśli tak rzeczywiście jest, najprawdopodobniej tworzą tunel mocy rozciągający obudowę generatora i obejmujący pole nadprzestrzenne, ograniczając w ten sposób pole działania broni i być może niwelując działanie pola tłumiącego.

- Na Stwórcę, zawsze nienawidziłem granatów wypaczeniowych - jęknął Baltan.

- Ja też. - Czernikow powoli wyprostował się i spojrzał na kolejne niewinnie wyglądające urządzenia, które zabrał z *Omegi Trzy*, kiedy Cohanna uznała, że jej żmudne badania potwierdzają istnienie działających farm hydroponicznych. Na stacji bojowej nie było śladu niczego, co mogłoby być bronią biologiczną. Czernikow zabrał wszystkie urządzenia, które był w stanie wziąć, i nie mógł się już doczekać, kiedy rozbierze je na części.

Teraz niemal się tego bał.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Colin MacIntyre znów siedział w sali konferencyjnej numer jeden. Zaczynam jej już nienawidzić, pomyślał, spoglądając na blat. Nienawidzić. Kiedy ostatnia osoba zajęła miejsce i zapadła cisza, podniósł wzrok.

- Panie i panowie - powiedział - przez ostatni miesiąc sprzeciwiałem się opuszczeniu tego miejsca, ponieważ wierzyłem, że Keerah odzwierciedla wszystko to, co prawdopodobnie wydarzyło się w całym Imperium. Teraz sądzę, że dowiedzieliśmy się już wszystkiego, co można. Ale - tu zamilkł na chwilę - wciąż pozostaje kwestia, co mamy zrobić. Nim jednak tym się zajmiemy, chciałbym zrobić przegląd wszystkich naszych odkryć, zaczynając od głównego inżyniera.

Odchylił się do tyłu i skinął głową w stronę Czernikowa. Ten odchrząknął cicho, jakby zbierał myśli, i zaczął mówić.

- Zbadaliśmy wiele artefaktów odzyskanych z *Omegi Trzy* - Na podstawie tego, co dotychczas odkryliśmy, sformułowaliśmy kilka wniosków co do bazy technologicznej Imperium..- to znaczy Cesarstwa.

- Trzeba przyznać, że dokonali znacznych postępów, choć nie tak wielu, jak mogliśmy się spodziewać. Proszę pamiętać, że pomijam tu biotechnologię; ani Cohanna, ani ja nie jesteśmy w stanie powiedzieć, co osiągnęli w naukach biologicznych. Wiemy tylko, że broń, która ich zniszczyła, z pewnością jest dowodem bardzo zaawansowanego rozwoju inżynierii biologicznej.

- Nasza pierwotna hipoteza, że ich technika jest bardzo wyrafinowaną wersją naszej własnej, wydaje się prawdziwa, pomijając trans-maty - na ich temat nie udało nam się jeszcze zdobyć informacji - nie natknęliśmy się na nic, czego dział inżynierii i *Dahak* nie byłoby w stanie rozgryźć. Zasady leżące u podstaw ich rozwoju są dla nas zrozumiałe. Wydaje się, że osiągnęli szczyt dojrzałej technologii, i wierzę, iż mogli znajdować się na progu fundamentalnych przełomów i powstania nowego porządku wiedzy, lecz jeszcze tego nie dokonali.

- Mówiąc ogólnie, ich postęp można opisać jako połączenie miniaturyzacji z ogromnym wzrostem mocy. Na przykład okręt wojenny o mocy *Dahaka*, zbudowany przy użyciu technologii, na którą się natknęliśmy - a proszę pamiętać, że to właściwie była próba zbudowania jednostki wojskowej przez cywilów - miał dwadzieścia razy większą moc bojową.

Przerwał dla podkreślenia wagi tych słów. Na niejednej twarzy widać było zdumienie.

- Jednak stały się dla nas oczywiste również pewne sprzeczne tendencje, szczególnie w dziedzinie informatyki i cybernetyki. Ich sprzęt komputerowy jest ogromnie rozwinięty w stosunku do naszego - najlepszym przykładem jest *Omega Trzy* - ale ich komputery mają niższy poziom samoświadomości niż nasz Komputer Główny przed buntem. Pojemność baz danych Głównego Komputera *Omegi Trzy*, którego waga stanowi zaledwie trzydzieści procent wagi głównego rdzenia pamięci *Dahaka*, pięćdziesiąt razy przekracza jego pojemność, liczoną razem ze wszystkimi systemami pomocniczymi. Z drugiej jednak strony możliwości *Omegi Trzy*, mimo wielokrotnie większej prędkości obliczeniowej, nawet nie zbliżają się do możliwości Komputera Głównego *Dahaka* przed buntem.

- Wskazuje to wyraźnie na świadome obniżanie wydajności komputerów. Zgaduję - podkreślam, że tylko zgaduję - iż jest to skutek wojny domowej, która przekształciła Imperium w Cesarstwo. Komputery Floty mogły nie zgadzać się na strzelanie do innych jednostek Floty, i choć można to było zmienić przez wprowadzenie nowych rozkazów o priorytecie alfa, walczący mogli niechętnie odnosić się do faktu że na wpół świadome komputery mają decydować, czy strzelać do innych ludzi. To tylko hipoteza, ale z pewnością jedna z możliwych.

- Ponadto stwierdziliśmy kolejną ważną kwestię. Choć komputery *Omegi Trzy* wykorzystywały technologię stanów wzbudzonej energii, miały też fizyczne kopie zapasowe, co wydaje się być odzwierciedleniem standardowej praktyki wojskowej Imperium. Oznacza to, że wyłączony komputer Floty nie tracił całkowicie podstawowego oprogramowania, tak jak to się stało w przypadku jednostek cywilnych napotkanych na Defram. Jeśli włączy się go ponownie, uruchamiając obwody wzbudzonej energii, powinien odzyskać swoje funkcje.

- Co więcej, nawet instalacje cywilne, które przez cały czas zachowywały dopływ mocy, powinny w pełni działać. Możliwości *Omegi Trzy* zmniejszyły się zatem nie z powodu uzależnienia od czynników energetycznych, lecz dlatego, że stacja była pozostawiona sama sobie na tak długo, że elementy materialne uległy uszkodzeniu. Gdyby komputery stacji miały umiejętność samonaprawy i posiadały części zamienne, *Omega Trzy* byłaby obecnie w pełni funkcjonalna.

Przerwał, jakby szukając czegoś w myślach, po czym spojrzął na Colina.

- To konkluzja mojego raportu, sir. Szczegółowe informacje znajdują się w bazie danych, każdy zainteresowany może je przeczytać.

- Dziękuję. - Colin przez chwilę czekał na pytania, ale żadnych nie było.

- Komandor Cohanna? - rzekł w końcu.

- Wciąż nie wiemy, jak to zrobili - odparła Cohanna - ale jesteśmy niemal pewni, że wiemy, co zrobili. Wyjaśnienia *Dahaka* pasują do naszych hipotez.

- Praktycznie rzecz biorąc, broń biologiczna była śmiertelnie niebezpieczna dla każdego żywego organizmu. Możemy nigdy się nie dowiedzieć, w jaki sposób została uwolniona, lecz efektem jej oswobodzenia było nieuniknione zniszczenie wszelkiego życia, które znalazło się na jej drodze. Każda planeta, która została skażona, jest martwa, panie i panowie.

- Z drugiej strony - Cohanna umilkła dla podkreślenia wagi swoich słów, tak jak wcześniej Czernikow - udowodniliśmy, że broń miała skończony okres przetrwania. I że był on krótszy niż czas, który od tych wydarzeń upłynął. Stworzyliśmy testowe ekosystemy z użyciem roślin i zwierząt z naszych farm hydroponicznych i terenów rekreacyjnych oraz wody i gleby pobranej przez sondy z całej powierzchni Keerah. Z zapisków gubernator Yirthany wiemy, że okres inkubacji broni biologicznej w ciałach ssaków wynosił w przybliżeniu trzydzieści ziemskich miesięcy.

- Wykorzystaliśmy techniki przyspieszania leczenia, by przeprowadzić nasze ekosystemy przez czterdziestopięciomiesięczny cykl rozwoju. Oczywiście nie proponuję, by przedmioty badania ponownie włączyć do systemu podtrzymywania życia *Dahaka*, lecz wierzę, że dowody są niemal rozstrzygające. Broń biologiczna zginęła prawdopodobnie na wszystkich planetach, które zostały zakażone w podobnym czasie.

- Na tym kończy się mój raport, kapitanie.

- Dziękuję. - Colin czuł spoczywający na nim ciężar odpowiedzialności. - Na podstawie tych raportów zamierzam skierować się na Birhat, do Centrali Floty.

Ktoś głośno wciągnął powietrze, a jego twarz stężała.

- To, co tu odkryliśmy, wskazuje, iż jest bardzo mało prawdopodobne, że Birhat przetrwało, lecz to niczego nie zmienia. Nie wiem, co tam znajdziemy, ale jestem pewien trzech rzeczy. Po pierwsze, jeśli wrócimy bez pomocy dla Ziemi, przegramy. Po drugie, najlepsze stanowisko dowodzenia Imperium - albo Cesarstwa - znajdowało się w Centrali Floty. Po trzecie, logika wskazuje, że broń biologiczna będzie tam równie martwa jak tutaj. Przy tych założeniach mamy ogromną szansę znaleźć na Birhat potrzebny nam sprzęt, prawdopodobnie będziemy też w stanie uruchomić każdą broń, którą tam znajdziemy. A w najgorszym razie poznamy pełen zasięg tej katastrofy.

- Opuszczamy Keerah za dwanaście godzin. Do tego czasu proszę wrócić do swoich obowiązków. Jeśli będę potrzebny, można mnie znaleźć w mojej kwaterze.

Dostrzegł na wielu twarzach zdziwienie, że nie zamierza z nimi dyskutować.



- Bacność - powiedział cicho *Dahak* i oficerowie wstali. Colin wyszedł w milczeniu, zastanawiając się, czy wiedzą, dlaczego nie dopuścił do żadnej dyskusji.

Odpowiedź była równie prosta jak gorzka. Gdyby pozwolił im na dyskusję, musieliby mieć swój udział w podjęciu decyzji, a on nie mógł wyrazić na to zgody. Decyzja musiała należeć wyłącznie do niego.

Nie wiedział, czy obecność *Dahaka* była niezbędna do pokonania zwiadowców Achuultan, ale miał rozpaczliwą nadzieję, że nie, gdyż on, Colin MacIntyre, zdecydował się chwycić słabej nadziei zamiast bronić swej ojczystej planety. Jeśli źle ocenił możliwości Horusa, skazał ten świat, który mógł być jedyną jeszcze zamieszkaną przez ludzi planetą, na zagładę.

Świadomość, że logika kazała mu udać się na Birhat, wcale nie łagodziła strachu, że się pomylił. Może niewłaściwie ocenił skutki działalności Horusa? Może Centrala Floty - jeżeli wciąż istnieje - przypomina *Omegę Trzy*, okaleczoną i zniszczoną przez czas? Może to on będzie odpowiedzialny za śmierć własnego gatunku?

Nie chciał - nie mógł - dzielić się tą odpowiedzialnością z innymi. - Gdy starszy kapitan Floty Colin MacIntyre wszedł do szybu komunikacyjnego, w końcu w pełni poczuł straszliwy ciężar swojego stanowiska.

\* \* \*

Mech był miękki i lekko wilgotny. Colin leżał na plecach, wpatrując się w wysświetlane w górze niebo i słuchając cichego śpiewu ptaków. Zaczynał rozumieć, dlaczego Imperium dawało swoim kapitanom taką wspaniałą zieleni i świeże powietrze. Prawdziwą przestrzeń mógłby znaleźć na jednym z pokładów parkowych, nad którym przelatowały podmuchy wiatru, lecz ten niewielki prywatny kącik należał tylko do niego, dawał mu wytchnienie, kiedy przytłaczał go ciężar odpowiedzialności.

Zamknął oczy i odetchnął głęboko, sięgając daleko wzmocnianymi zmysłami. Szum fontann i delikatnego wietrzyka muskającego skórę uspokajał go, łagodził ból, ale nie odsuwał go całkowicie.

Nie miał pojęcia, jak długo leżał na mchu, kiedy jego łącze neuralne zaczęło mrowić.

Ktoś stał przy luku. Kusilo go, by odmówić dostępu, gdyż świadomość tego, co zrobił, była zbyt świeża i bolesna. Ale ta myśl nagle go przeraziła. Bardzo łatwo byłoby wycofać się w egzystencję udreżonego pustelnika, ale od Birhat dzieliło ich sześć miesięcy i samotny człowiek mógłby w tak długim czasie oszaleć.

Otworzył luk i gość wyłonił się zza gąszczu azalii i wawrzynu. Powoli otworzył oczy.

- Strapionyś, Colinie - powiedziała cicho.

Chciał jej wszystko wyjaśnić, lecz wtedy ujrzał w jej oczach, że ona wie. Przynajmniej jeden z jego oficerów wie, dlaczego nie pozwolił na dyskusję i sam podjął decyzję.

- Mogę usiąść obok? - spytała łagodnie, a on pokiwał głową.

Usiadła na dywanie z mchu z typową dla niej kocią gracją wyprostowana i smukła w granatowym mundurze, wysoka jak na Imperialnego, lecz delikatna. Jej błyszczące czarne włosy podtrzymywała ta sama ozdobiona klejnotami spinka co w dniu gdy się poznali. Wtedy widział w jej oczach nienawiść. Nienawiść z powodu jego pewnych siebie, niefortunnnych działań, które kosztowały życie jej ukochanego ciotecznego wnuka i ciotecznych prawnuczek. Z powodu zagrożenia, jakie stanowił dla jej ojca - buntownika. Z powodu pełnego wzmocnienia, które posiadał, podczas gdy ona go nie miała. I z powodu tego, że on który nie wiedział nawet o istnieniu *Dahaka* i o samotnej, beznadziejnej walce jej ludzi przeciwko Anu, został dowódcą statku kosmicznego, z którego ona została wygnana za zbrodnie popełnione przez innych.

W Jiltanith krył się zabójca. Widział to od samego początku. Bunt kosztował życie jej matki i wolność wśród gwiazd, a bezustanna skryta walka jej ludzi na Ziemi była niczym odłamki szkła w gardle, gdyż jako wojowniczką wierzyła w otwartą walkę. Te długie, bolesne lata pozostawiły w niej mroczne ślady. Była bardziej niż on skłonna do zadawania śmierci i siania zniszczenia, bardziej niezdolna do odczuwania litości.

Lecz teraz w jej oczach nie było nienawiści; w słońcu atrium ich spojrzenie było łagodne i delikatne. Colin przyzwyczaił się już do wyglądu Imperialnych, lecz w tej chwili jej subtelna uroda poraziła go niczym cios. Miała dwa razy tyle lat co on, lecz mimo to wciąż była młoda. Dzięki wzmocnionym ciałom oboje wciąż byli dziećmi. Emanująca z niej młodość była jeszcze cenniejsza i doskonalsza przez wzgląd na niezliczone lata, które miała za sobą. Oczy Colina płonęły.

Ta kobieta-dziecko doświadczyła i wycierpiała o wiele więcej od niego. Była symbolem ludzkości, awatarem wszystkich jej słabości i żelaznej siły. Chciał jej dotknąć. Ale ona była mityczną dziewicą-wojowniczką, symbolem, a na nim spoczywał ciężar jego decyzji. Był nieczysty.

- Och, Colinie - wyszeptała, wpatrując się w jego udęczone oczy - cóżeś ty na siebie wziął.

Zacisnął dłonie w pięści, chwytając mech, i z jego gardła wydało się łkanie.

Przysunęła bliżej, ostrożnie niczym myśliwy skradający się do dzikiego zwierzęcia w paściach, i uklękła obok niego. Delikatna, szczupła dłoń, na której widok zapominało się o

kryjącej się w niej sile, dotknęła jego ramienia.

- Onegdaj - powiedziała - w żywocie, którego nie pamiętam już, zazdrościłam ci. Tak, zazdrościłam ci i nienawidziłam cię, bowiem otrzymałeś ten jeden skarb w całym wszechświecie, którego najbardziej pragnęła. Zabiłabym cię, gdybym tylko mogła skarb ci ten odebrać. Wiedziałeś?

Pokiwał głową, a ona uśmiechnęła się.

- Lubo wiedząc to, swym zastępcą mnie uczyniłeś, gdyż oczy twe jaśniej widziały niż moje. Może być, że przypadek na mostek *Dahaka* cię posłał, jednakowoż swoje prawo do niego udowodniłeś. Jeszcze nigdy bardziej niż dziś.

Jej dłoń delikatnie przesunęła się z ramienia na pierś, gdzie wyczuwała silne uderzenia ulepszego serca, a on zadrżał jak przerażone dziecko.

- Aleś ty nie stałaś bojową, Colinie - powiedziała cicho. - Tyś ciałem i krwią, mimo całej biotechnologii i bez względu na to, czegoś by od ciebie obowiązki wymagały.

Pochyliła się i położyła głowę na swojej dłoni, a jej delikatne włosy musnęły jego policzek. Ich jedwabista pieśczoła była niemal cierpieniem dla jego wzmacnianych zmysłów. W jego oczach pojawiły się łzy, i choć przeklinał swoją słabość, błogosławił kobietę za to, że mu ją udowodniła. Łkanie, z którym walczył, wreszcie się uwolniło, a ona szepnęła uspokajająco:

- Tak, ciałem i krwią, choć i kapitanem nas wszystkich. Miarkuj to sobie, gdyż nie jesteś *Dahakiem*, a twoja ludzka natura twym przekleństwem jest i mieczem, który zranić cię może.

Uniosła głowę i Colin ujrzał łzy również w jej oczach. Poplamioną mchem dłonią pogłaskał ją po kruczonych włosach, na co odpowiedziała uśmiechem.

- Rany jednakowoż uleczyć można, Colinie, a jam również ciałem i krwią - szepnęła.

Pochyliła się nad nim. Jej wargi smakowały solą ich zmieszanych łez. Podniósł drugą rękę i przyciągnął ją do siebie, a ona znowu się uśmiechnęła.

- Tyś był mym wybawieniem - wyszeptała, głaszcząc go po płowych włosach. - Teraz ja twoim będę, bowiem twoją jestem, a tyś mój. Nie zapomnij o tym, najmilszy mój, gdyż prawdą jest to teraz i prawdą będzie na zawsze.

I przyciągnęła go, by znów go pocałować.

\* \* \*

Komputer zwany *Dahakiem* wyłączył czujniki w kwaterze kapitana. Czynił wielkie postępy w pojmowaniu tych krótko żyjących, irytująco nielogicznych i czasami niezgrabnych, ale nieskończenie pomysłowych i nieustraszonych potomków jego pierwotnych

budowniczych. Bardziej niż ktokolwiek z jego rodzaju pojmował ludzkie uczucia, gdyż niektóre z nich nauczył się dzielić. Szacunek. Przyjaźń. Nadzieja. Na swój sposób nawet miłość. Wiedział, że jego obecność zawstydziłaby Colina i Jiltanith, i choć nie do końca pojmował przyczynę, postanowił zostawić swoich przyjaciół samych.

Wydał z siebie elektroniczny odpowiednik westchnienia - wiedział, że nigdy nie zrozumie ich tajemnic. Nie musiał ich jednak rozumieć, by wiedzieć, jak są ważne, i czuć ogromną wdzięczność dla nowej przyjaciółki Tanni za zrozumienie i miłość, jakie dawała jego pierwszemu przyjacielowi Colinowi.

A teraz, pomyślał, gdy są zajęci i nie musi zaspokajać potrzeb i pragnień kapitana, może poświęcić malutką część swojej uwagi innemu problemowi. Te zakodowane przekazy ze statku kurierskiego *Cordana* bardzo go intrygowały.

Ostatni algorytm zawiódł na całej linii, choć w końcu udało mu się złamać szyfr i przekształcić wiadomości w zestaw symboli. Niestety, symbole te były pozbawione znaczenia. Może powinien przygotować nowy podprogram dla substytucji wartości? Jednak analiza wzorca wskazywała, że substytucja była niemal przypadkowa. Ciekawe. Albo oznacza to ogromny zestaw symboli, albo też istnieje metoda generowania symboli, które tylko wydają się przypadkowe...

Komputer radośnie analizował fascynujący program, podczas gdy w jednym kącie jego ogromnego ciała dwoje bardzo szczególnych ludzi cieszyło się bezcennym darem prywatności, nie wiedząc nawet, że go im podarowano.

\* \* \*

*Ostatni prymitywny statek kosmiczny został zniszczony i asteroid przebił się przez wraki z prędkością trzystu kilometrów na sekundę. Kawalki skał uderzały w jego niklowo-żelazny dziób i znikaly w płomieniach. Tam, gdzie uderzyły największe odłamki, powstawały rany, z których wyciekalo ciepło, ale asteroid leciał dalej.*

*Wokół wielkiego pocisku, który kierował się w stronę błękitno-białego świata, leciało w szyku sześć statków Achuultan. Zostały oddelegowane, by go strzec przed żalonymi atakami mieszkańców tego otoczonego chmurami szafiru, i ich zadanie niemal zostało wykonane.*

*Nagle rozproszyły się, oddalając się od asteroidu. Ich broń energetyczna była gotowa, gdy pierwsze pociski przebiły atmosferę. Niezgrabne rakiety na paliwo chemiczne popychały do przodu żalose głowice nuklearne, ale statki bez trudu je zniszczyły. Skazana na zagładę planeta w rozpacz i desperacji rzucała całą swoją broń przeciwko zabójcom... ale to nic nie pomagało.*

*Tymczasem asteroid leciał dalej, pełen energii i pragnienia niszczenia. W końcu posmakował powietrza i w jednej krótkiej chwili zmienił się z kawałka otoczonego lodem kamienia i metalu we wspaniałą, buchający płomień, który niósł śmierć.*

*Uderzył, plując ogniem w niebo, a statki Achuultan jeszcze przez chwilę obserwowały, jak skorupa planety pęka. Z ziejących ran wystrzeliła magma. Szczeliny poszerzały się niczym pęknięcia na lodzie, aż wreszcie planeta rozpadła się na kawałki.*

*Statki nie czekały dłużej. Odwróciły się od zniszczeń, które były ich dziełem, i pospieszyły dalej. Dwadzieścia jeden minut świetlnych od gwiazdy przeskoczyły w nadświetlną i znikły niczym bańki mydlane, spiesząc na spotkanie ze swoimi towarzyszami w umówionym punkcie.*

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Horus stał na mostku *Nergala* - po odnowieniu był trudny do rozpoznania - i obserwował, jak jego kapitan wyprowadza statek poza atmosferę. Przed rokiem Adrienne Robbins, jedna z niewielu kobiet-kapitanów łodzi podwodnych w amerykańskiej marynarce, nie miała pojęcia o istnieniu Czwartego Imperium, a teraz kompetentnie wypełniała swoje obowiązki; na jej twarzy malował się niemal senny uśmiech głodnego tygrysa. Obserwowanie jej sprawiało mu równie wielką przyjemność jak słuchanie wirtuoza skrzypiec grającego koncert Mozarta. Dobra jest, pomyślał, spoglądając na jej gładkie stalowe włosy. Lepsza niż on sam kiedykolwiek był.

Gdy *Nergal* wszedł na orbitę, Horus odwrócił się do wyświetlacza holograficznego. Marszałek Tsien, pełniący obowiązki szefa Zjednoczonego Sztabu Ziemi, górował nad nim po jego prawej, a Wasilij Czernikow stał po lewej. Wszyscy trzej obserwowali uważnie, jak *Nergal* leniwie mija na wpół ukończone orbitalne centrum obrony numer dwa. Nagle Horus pstryknął palcami i zwrócił się do Tsiena.

- Panie marszałku Tsien. Miałem panu powiedzieć, że tuż przed pańskim przybyciem rozmawiałem z generałem Hatcherem. Spodziewa się, że powróci do nas w ciągu czterech do pięciu tygodni.

Na twarzach obu oficerów pojawiła się ulga. Życie Geralda Hachera wisiało na włosku. Choć pierwsza pomoc Tsiena uratowała mu życie, bez imperialnej techniki medycznej straciłby obie nogi, lecz paradoksalnie ta sama technika omal go nie zabiła.

Hatcher był jednym z niewielu osobników - było ich nie więcej niż jedna dziesiąta procentu ludzkości - uczulonych na standardowe leki przyspieszające leczenie. Rzeź w Minya Konka nie pozwoliła na przeprowadzenie odpowiednich badań, przez co podjęto złą decyzję. Reakcja alergiczna była szybka i gwałtowna, a nie okazała się śmiertelna jedynie dlatego, że lekarz, który się nim zajął, bardzo szybko rozpoznał objawy.

Minęły długie miesiące, zanim jego nogi zostały wyleczone na tyle, by można było zastosować wzmocnienie. Tradycyjna metoda była równie skuteczna, ale zdecydowanie wolniejsza, a to oznaczało, że powrót generała do zdrowia po wszczepieniu implantów będzie trwał dłużej niż zazwyczaj. Jego przyjaciele i współpracownicy ucieszyli się więc, że wkrótce do nich powróci.

Będzie, pomyślał Horus, przypominając sobie, jak Hatcher śmiał się z uwagi Tsiena w Minya Konka, pierwszym ulepszonym członkiem Sztabu.

- Cieszę się, że to słyszę, panie gubernatorze - powiedział Tsien. - Jestem pewien, że pan również będzie zadowolony, mając go z powrotem.

- Oczywiście, ale chciałbym także pogratulować panu doskonałej pracy w ostatnich miesiącach. Pragnę dodać, że Gerald podziela moją opinię.

- Dziękuję, panie gubernatorze.

Tsien nawet się nie uśmiechnął - Horus nie pamiętał, by kiedykolwiek widział uśmiech na twarzy tego potężnego mężczyzny - lecz w jego oczach widać było zadowolenie.

- Zasługuje pan na nasze podziękowania, panie marszałku - dodał cicho.

W pewnym sensie rany Hatcher'a bardzo im pomogły. Jeśli któryś z członków Sztabu dorównywał generałowi, to właśnie Tsien.

Różnili się bardzo - Tsienowi brakowało swobody, z jaką Hatcher odnosił się do ludzi, i talentu, który sprawiał, że najbardziej skomplikowane operacje wojskowe zdawały się łatwe, lecz był niestrudzony, wnikliwy, zawsze opanowany i nieubłagany, a jednocześnie elastyczny i pragmatyczny. Usprawnił ich organizację, przyspieszył budowę centrum i szkolenie prawie o miesiąc i - co najważniejsze - stłumił rodzącą się w Azji partyzantkę z bezwzględnością, do której Hatcher prawdopodobnie nie byłby zdolny.

Początkowo Horus był bardziej niż trochę przerażony sposobem, w jaki Tsien się za to zabrał. Zazwyczaj nie brał do niewoli uzbrojonych partyzantów; tych, którzy zostali ujęci, stawiano zbiorowo przed sądem wojennym i skazywano na śmierć, przeważnie w ciągu dwudziestu czterech godzin. Jego oddziały szybkiego reagowania były wszędzie, napędzając Horusa obawą, że Hatcher popełnił straszliwy błąd, wyznaczając Tsiena na swojego zastępcę. Potężny Chińczyk miał w sobie jakąś zajadłość, która sprawiała, że Horus zastanawiał się, czy w ogóle go obchodzi, kto jest niewinny, a kto winny.

Postanowił jednak poczekać, a czas pokazał, że była to mądra decyzja. Tsien nadal był bezlitosny i zajadły, ale jednocześnie udręczony poczuciem wstydu - w końcu to jego oficerowie zawiedli zaufanie sojuszników. Każdego złapanego w jego sieci człowieka przesłuchiowano teraz pod imperialnym wykrywaczem kłamstw - i niewinnych wypuszczano równie szybko jak zostali pojmani. Nie pozwolił też, by niepotrzebna brutalność plamiła działania jego i jego ludzi.

Poza tym, co jeszcze ważniejsze, nie był „człowiekiem Zachodu”, karzącym patriotów, którzy przeciwstawili się okupacji lecz ich własnym głównodowodzącym, działającym przy pełnej aprobachie partii i rządu, nikt też nie mógł oskarżyć Tsien Tao-linga o to, że jest czyjąś marionetką. Jego reputacja i fakt, że to właśnie on został wybrany, by zastąpić rannego Hatcher'a, uczyniły więcej dla wzmocnienia azjatyckiego wsparcia dla

nowego rządu i wojska niż cokolwiek innego.

W ciągu dwóch tygodni wszystkie ataki ustały. W ciągu miesiąca partyzantka przestała istnieć. Wszyscy przywódcy zostali pochwyceni i straceni.

Ta mrożąca krew w żyłach wiadomość dotarła również do reszty świata. Horus cierpiał z powodu brutalnego stłumienia buntów w Afryce, lecz lekcja Tsiena wszystkim zapadła w pamięć. Wciąż trwały niepokoje, lecz transmitowane na żywo w kanałach informacyjnych procesy i egzekucje sprawiły, że akty przemocy ustały niemal z dnia na dzień.

Tsien lekko pochylił głowę, przyjmując komplement, a Horus uśmiechnął się i odwrócił do wyświetlacza, na którym OCO numer dwa stawało się coraz większe.

Po potężnej budowli pełzały ogniste plamki robotów-spawaczy, zaś ludzie w kombinezonach unosili się w pobliżu ciężko pracujących mechanicznych poddanych z niemal, jak się zdawało, samobójczą pogardą dla życia i zdrowia. Promy z częściami z orbitalnych hut przybywały z regularnością porządną ziemskiej kolei, wyrzucając swój ładunek i wracając po kolejny. Statki inżynieryjne, które wyglądały dosyć surowo ze swoimi odkrytymi dźwigarami, chwytaly elementy stacji promieniami przechwytyjącymi i przekazywały je robotom-spawaczom, po czym wracały po następne. Zwoje ziemskich przewodów na sieci komunikacyjne, kryształowe sople imperialnych obwodów molekularnych na rdzenie komputerów i system kierowania ogniem, wielkie, błyszczące bloki prefabrykowanych generatorów tarczy, ziemskie instalacje oświetleniowe i hydrauliczne, puste w środku, przycięte pnie wyrzutni rakiet - wszystko to na jego oczach znikalo, porywane przez pracujące gorączkowo roboty i ich panów.

To robi wrażenie, pomyślał Horus. Nawet na nim - a może *szczególnie* na nim. Geb wspomniał mu o uwagach Tegrana na temat Ziemian i Horus mógł się z tym tylko zgodzić. Wiedział, że zadanie jest niemal niemożliwe do wykonania, ale ci ludzie najwyraźniej nie przyjmowali tego do wiadomości i zaprzeczali jego obawom.

Przez kilkanaście minut przyglądał się wraz z generałami gorączkowej pracy, aż w końcu odwrócił się z westchnieniem i poprowadził ich do szybu transportowego.

W sali konferencyjnej, którą kapitan Robbins oddała do ich dyspozycji, wskazał im wielki stół, po czym sam usiadł i wygodnie skrzyżował nogi.

- Panowie, jestem pod wrażeniem - powiedział. - Musiałem to zobaczyć osobiście, gdyż inaczej bym w to nie uwierzył, dokonujecie tutaj cudów.

Widział w ich oczach zadowolenie. Wiedział, że ci ludzie nie znoszą pochlebstw, które tak często słyszeli. Ale świadomość, że ich kompetencja jest zauważona - i co



najważniejsze, doceniona - to coś zupełnie innego.

- Teraz - powiedział, kładąc ręce na stole i spoglądając na Tsiena - może powiecie mi, jakie jeszcze cuda planujecie zdziałać.

- Za pozwoleniem, panie gubernatorze, chciałbym na początek przedstawić krótkie podsumowanie - rzekł marszałek, a Horus pokiwał głową.

- Ogólnie rzecz biorąc, mamy zaledwie tydzień opóźnienia w stosunku do pierwotnych planów generała Hatchera. Z powodu oporu w Azji opóźniliśmy ukończenie pewnych naszych projektów - w szczególności PCO „Huan-Ti” i „Shiva” doznały znacznych uszkodzeń, które nie zostały jeszcze naprawione - lecz w przypadku nie azjatyckich planetarnych centrów obrony wyprzedzamy harmonogram o miesiąc do siedmiu tygodni. Pojawiły się pewne niespodziewane problemy, o których szerzej opowie za chwilę marszałek Czernikow, lecz ogólnie nasze postępy są zadowalające.

- Oficjalnie połączenie wszystkich istniejących struktur dowódczych zostało zakończone. W rzeczywistości jednak konflikty dotyczące starszeństwa trwały nadal i dopiero teraz je kończymy.

Polityka Tsiena była prosta, przypomniał sobie Horus. Ci, którzy sprzeciwiali się swoim przydziałom, byli zwalniani do rezerwy. Być może ceną za to była utrata kilku kompetentnych ludzi, lecz marszałek wiedział, co robi i jak postawić na swoim. - Ulepszenia to być może nasz najjaśniejszy punkt. Komisarz Tudor i jej ludzie rzeczywiście czynią cuda. Jesteśmy dwa miesiące do przodu, jeśli chodzi o ulepszanie wojskowych, i prawie pięć tygodni w przypadku cywilów, mimo włączenia do programu kolejnych grup zawodowych. Mamy teraz wystarczająco dużo ludzi do obsadzenia wszystkich okrętów wojennych i myśliwców. Za pięć miesięcy będziemy mieli ulepszoną obsługę wszystkich PCO i OCO. Wtedy można będzie zacząć wszczepianie implantów załogom okrętów, które są obecnie w budowie. Przy dobrym zarządzaniu i odrobinie szczęścia powinniśmy zapewnić załogę każdej jednostce.

- To bardzo dobre wieści! Zaczynam myśleć, że nam się uda, panie marszałku.

- Naszym największym problemem, panie gubernatorze - kontynuował spokojnie Tsien - pozostaje zachowanie równowagi między produkcją broni a ciągłym rozwojem przemysłu, lecz przydziały zasobów są bardziej niż wystarczające. Sądzę, że obecne plany marszałka Czernikowa pozwolą nam na przezwycięzenie problemów w tym zakresie.

- Generał Chiang ma pewne kłopoty z dowództwem obrony cywilnej, lecz sytuacja się poprawia. Jeśli chodzi o organizację i szkolenie, jest dwa miesiące do przodu. Największe problemy sprawia mu budowanie schronów w głębi lądu oraz magazynowanie żywności.

Horus pokiwał głową. Chiang Chien-su, jeden z nominowanych przez Tsiena do Zjednoczonego Sztabu, był niskim, okrągłym służbistą z umysłem komputera. Często się uśmiechał, lecz za jego uśmiechem krył się granit. Jeszcze mniej widoczny, lecz nie mniej prawdziwy, był jego głęboki szacunek dla ludzkiego życia, który sprawiał, że był absolutnie bezlitosny, jeśli chodziło o jego ratowanie.

Jak duże są opóźnienia w budowaniu schronów?

- Ponad trzy miesiące. Generał sądzi, że część zaległości uda mu się nadrobić, kiedy skończymy budowę PCO. Muszę jednak zauważyć, że nasze pierwotne harmonogramy już uwzględniały zwiększenie wydajności po zakończeniu budowy umocnień. Nie wierzę, że uda się całkowicie nadrobić stracony czas, a to oznacza, że większa część mieszkańców wybrzeży zostanie zmuszona do pozostania w pobliżu domów.

Horus skrzywił się. Biorąc pod uwagę stosunek powierzchni oceanów do lądów, to, co przebiję planetarną tarczę, z trzy razy większym prawdopodobieństwem uderzy w ocean niż w ląd. A to oznacza tsunami, powódzie, słone deszcze... i wielką liczbę ofiar w rejonach wybrzeży.

- Chcę, by ten program został przyspieszony, marszałku Tsien - powiedział cicho.

- Panie gubernatorze - odpowiedział równie cicho Tsien - już przesunąłem do tego projektu osiemdziesiąt procent środków rezerwowych. Wykorzystujemy wszystkie możliwości, ale projekt jest ogromny, a opór cywilów wobec pewnych utrudnień większy, niż pańska Rada się spodziewała. Sytuację pogarsza jeszcze program żywnościowy. Gromadzenie nadwyżek nawet w Pierwszym Świecie stanowi duże obciążenie dla ludzi i dostępnych środków transportu. Jednak to jest konieczne - nie ma sensu ratować ludzi przed bombardowaniem, jeśli później mają zginąć z głodu.

- Mówisz, że nam się nie uda?

- Nie, panie gubernatorze. Nie mówię, że nam się nie uda, ostrzegam tylko, że mimo naszych wyteżonych wysiłków najprawdopodobniej nie odniesiemy pełnego sukcesu.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, po czym Horus pokiwał głową. Jeśli mają zaledwie trzy miesiące opóźnienia, to i tak czynią cuda. A jeśli marszałek powiedział, że podejmą wszelkie wysiłki, to znaczy, że rzeczywiście wszelkie wysiłki zostaną podjęte.

- A teraz coś z przyjemniejszych rzeczy - odezwał się po chwili Tsien. - Admirał Hawter i generał Singhman bardzo dobrze sobie radzą ze szkoleniem oddziałów. Niestety, duża część szkolenia musi się odbywać jedynie na symulatorach, lecz jestem w pełni zadowolony z ich postępów. Prawdę mówiąc, osiągnęli więcej, niż się spodziewałem. Generał Tama i generał Amesbury równie dobrze radzą sobie z logistyką. Pozostają jeszcze pewne

problemy z personelem, głównie kwestia odpowiedniego przydziału ludzi, lecz przekazałem im rozwiązania generała Ki i jestem pewien, że będzie dobrze.

- Moim zdaniem, największe braki w szkoleniu dotyczą kwestii operacyjnych. Za pańskim pozwoleniem, wypowiem się szerzej na ten temat po zapoznaniu się z raportem marszałka Czernikowa.

- Oczywiście - odpowiedział Horus i spojrzął na Rosjanina. Ten z namysłem przeciągnął palcem po blacie.

- Mówiąc krótko, Horusie - rzekł - program budowy PCO wyprzedza harmonogram. Udało nam się to dzięki przesunięciu dodatkowych środków produkcji na wytwarzanie sprzętu budowlanego i niezwykłym wysiłkom naszych pracowników.

- Prace na orbicie nie są tak zaawansowane, lecz zgadzamy się z Gebem, że przed końcem następnego miesiąca nadrobimy wszystkie opóźnienia, choć jest mało prawdopodobne, byśmy ukończyli projekt na długo przed terminem. Mimo to wierzymy, że w najgorszym razie skończymy go na czas.

- Ale mamy dwa problemy. Jeden to planetarna sieć energetyczna, drugi to względnie priorytetowy charakter broni i infrastruktury. Jeśli pozwolicie, omówię je po kolei.

- Po pierwsze, energia. - Czernikow splótł ręce na szerokiej piersi. - Jak wicie, zawsze zakładaliśmy użycie istniejących ziemskich siłowni, lecz obawiam się, że nasze oceny ich wydajności były zbyt optymistyczne. Nawet jeśli uwzględnimy w PCO elektrownie wykorzystujące fuzję termonuklearną, będzie nam brakować energii, by uruchomić tarcze z pełną mocą, a sytuacja OCO jest jeszcze gorsza.

- Przepraszam, ale mówiłeś, że działacie zgodnie z planem - zauważył Horus.

- Owszem, ale jak wiesz, nasze OCO polegają na transmisji energii z Ziemi w przestrzeni złożonej. Ta decyzja została na nas właściwie wymuszona przez brak możliwości wybudowania elektrowni w danym nam czasie. Bez dodatkowej mocy z Ziemi stacje nie będą w stanie w pełni wykorzystywać wszystkich systemów.

- A ty się boisz, że tej energii nie będzie. Rozumiem.

- Może nie do końca. Nie *boję* się, że jej nie będzie; ja *wiem*, że tak się stanie. A bez niej... - Wzruszył lekko ramionami, a Horus pokiwał głową.

Bez energii OCO stracą połowę możliwości obrony i niemal tyle samo siły ataku. Nie wpłynie to na wyrzutnie rakiet, ale broń energetyczna to już zupełnie inna kwestia.

- No dobrze, Wasilij, nie jesteś człowiekiem, który zrzuciłby na mnie problem, gdybyś nie sądził, że znasz rozwiązanie. Jaki królik tym razem wyskoczy z kapelusza?

- Dopływ mocy z przestrzeni - odpowiedział spokojnie Czernikow, a Horus aż

podskoczył na krześle.

- Czy ty kompletnie... Nie. Czekaj. - Machnął ręką i znów usiadł. - Nie, oczywiście, że nie. Czy ty zdajesz sobie sprawę z ryzyka?

- Oczywiście. Ale musimy mieć tę moc, a Ziemia jej nie dostarczy.

Stwórco, powiedz mi, co robić, pomyślał błagalnie Horus. Dopływ mocy na planecie?! To szaleństwo! Jeśli stracą nad tym kontrolę, nawet na chwilę...

Zadrzał, gdy wyobraził sobie, jak demon mocy, wzbudzony i wściekły, zwraca się przeciwko nic nieznaczącym pyłkom, które próbowały go opanować. Dymiąca jałowa ziemia, pozbawiona życia, szalejące fronty burzowe i huragany szarpiące powierzchnię planety...

- Czy nie ma innego wyjścia? - Jego głos brzmiał niemal błagalnie. - Żadnego?

- Mój sztab nie był w stanie żadnego znaleźć - odpowiedział Czernikow głosem pozbawionym wyrazu.

- Gdzie... - Horus przerwał i odchrząknął. - Gdzie chcecie to umieścić?

- Antarktyka.

To ironia losu, pomyślał Horus. To właśnie tam przez tysiąclecia ukrywała się enklawa Anu. Ale na biegunie? Tak blisko biocenozy Oceanu Indyjskiego? A gdzie wolałbyś to umieścić? Nowy Jork? Moskwa? Pekin?

- Czy obliczyliście, co się stanie, jeśli stracie nad tym kontrolę? - spytał wreszcie.

- Najlepiej, jak potrafimy. W najgorszym razie stracimy około pięćdziesięciu trzech procent powierzchni Antarktyki. Zniszczenie lokalnego ekosystemu będzie niemal całkowite. Dewastacja biocenozy Oceanu Indyjskiego będzie znaczna, ale wedle przewidywań do naprawienia. Podniesie się poziom oceanów, czego konsekwencją będzie zatopienie wybrzeży, można też oczekiwać pewnego obniżenia temperatury na świecie. Spodziewana liczba bezpośrednich ofiar: sześć przecinek pięć dziesiątych miliona. Liczba ofiar niebezpośrednich i tych, którzy stracą dach nad głową, jest niemożliwa do oszacowania. Zastanawialiśmy się też nad Arktyką, ale tam w pobliżu żyje więcej ludzi, zalanie wybrzeży byłoby co najmniej równie poważne, a skażenie środowiska słonymi deszczami byłoby jeszcze większe, gdyby morska woda pod lodem wyparowała.

- Stwórco! - wyszeptał Horus. - Czy omówiłeś to z Gebem?

- Owszem. Muszę powiedzieć, że był całkowicie przeciwny, jednak po dłuższej dyskusji nieco zmienił zdanie. Nie będzie aktywnie sprzeciwiać się dopływowi mocy, lecz w swoim sumieniu nie może tego popierać, chociaż - twardy niczym agat wzrok marszałka przeszył Horusa - to tylko jego przybrana planeta. Nie mówię tego z lekceważeniem, Horusie, ale to prawda. Co gorsza, on nadal doświadcza - sędzę, że podobnie jak ty - poczucia winy,

które budzi w nim pewne instynkty opiekuńcze. Gdyby mógł odrzucić logikę moich argumentów, wyraziłby sprzeciw; przypuszczam jednak, że tym razem jego logiczne myślenie nie jest w stanie wygrać z uczuciami. Być może - twarde spojrzenie nieco złagodniało - dlatego, że jest dobrym człowiekiem.

- I mimo to chcecie to zrobić.

- Nie widzę innego wyjścia. Jeśli wprowadzimy nasz plan w życie, ryzykujemy siedem milionów ofiar. Jeśli nie, narażamy się na całkowite zniszczenie planety.

- Marszałku Tsien?

- Nie jestem tak obeznany z liczbami jak marszałek Czernikow, lecz ufam jego wyliczeniom i osądowi. Całkowicie popieram jego zalecenia, panie gubernatorze. Na piśmie, jeśli pan sobie życzy.

- To nie będzie konieczne - westchnął Horus. Opuścił ramiona i jednocześnie potrząsnął głową. - Wy, Ziemianie, jesteście niezwykli, Wasilij!

- Być może, ale mieliśmy dobrych nauczycieli - odparł Czernikow i w jego oczach pojawiła się prawdziwa sympatia. - Dzięki wam możemy siebie uratować. Nie odrzucimy szansy, którą nam daliście.

Horus poczuł, że się rumieni. Szybko przeszedł do kolejnego punktu narady.

- Na Stwórcę! Mam nadzieję, że nie postanowiłeś omawiać swoich problemów od najmniej do najbardziej ważnych. Jeśli problemy z amunicją są jeszcze gorsze...

- Nie, nie! - wykrzyknął ze śmiechem Czernikow. - Nie, to nic poważnego. Właściwie można by to nawet nazwać planowaniem na przyszłość.

- Cóż, to rzeczywiście brzmi pocieszająco.

- Rosjanie nie zawsze są ponurakami, Horusie. Zazwyczaj tak, ale nie zawsze. Moją główną troską jest duże prawdopodobieństwo, że nasza tarcza planetarna będzie musiała zostać cofnięta do atmosfery. OCO będą w stanie się bronić, choć spodziewamy się sporych strat, jeśli tarcza się cofnie. Niestety, nasze orbitalne fabryki również zostaną wystawione na cios, ale przeniesienie ich na powierzchnię planety nie jest dobrym pomysłem.

To prawda, pomyślał Horus. Zaakceptowali to od samego początku, gdy budując fabryki w nieważkości, byli w stanie wyprodukować dwa razy więcej w dwa razy krótszym czasie.

- Jakie masz pomysły?

- Znowu będę ponurakiem - ostrzegł Rosjanin, a Horus zaśmiał się. - Założmy, że udało nam się odpędzić zwiadowców, lecz *Dahak* nie powrócił przed przybyciem głównych sił inwazyjnych Mam świadomość, że w takiej sytuacji nasze szansę są minimalne, jednak nie

powiem, że nie mamy ich wcale. Być może brak mi realizmu, lecz podziwiam Amerykanina Johna Paula Jonesa i szanuję jego rady, zwłaszcza tę: „Wydaje się niewzruszonym prawem, że ten, kto nie ryzykuje, nie może wygrać”. Być może cytat nie jest dokładny, lecz wierzę, że przekazałem jego sens.

- Czy ty w ogóle do czegoś zmierzasz? - spytał żartobliwie Horus.

- Owszem. Jeśli stracimy fabryki orbitalne, utracimy osiemdziesiąt procent wydajności. To sprawi, że będziemy znacznie słabsi, kiedy będziemy musieli stawić czoła głównemu najazdowi. Nawet jeśli odpędzimy zwiadowców szybko i z minimalnymi stratami własnymi - co byłoby szczęśliwym zbiegiem okoliczności, na którym z pewnością nie możemy opierać swoich kalkulacji - będziemy musieli ciężko pracować, by osiągnąć nawet obecną wydajność przy wykorzystaniu imperialnej bazy przemysłowej na powierzchni planety. Dlatego też proponuję, byśmy położyli większy nacisk na rozwój planetarnej infrastruktury przemysłowej.

- Zgadza się, że to dobry pomysł, ale skąd weźmiesz na to środki?

- Za pozwoleniem, zakończyłbym produkcję min. - Co?!

- Sprawdziłem ich możliwości. Choć robią duże wrażenie, sądzę, że ich użyteczność w walce ze zwiadowcami będzie mniejsza niż planetarnej infrastruktury przemysłowej dla obrony przed głównymi siłami.

- Dlaczego?

- Miny to właściwie wysoko rozwinięte satelity samonaprowadzające. Z pewnością ich umiejętność atakowania statków wyłaniających się z nadprzestrzeni jest przydatna, lecz dla skutecznej obrony wielkiej przestrzeni, jaka nas otacza, potrzebowalibyśmy ogromnej liczby min. Ich promień ataku wynosi zaledwie dziewięćdziesiąt tysięcy kilometrów, a żeby pokonać mechanizmy obronne celów, niezbędny byłby zmasowany atak. Wątpię, byśmy byli w stanie wyprodukować wystarczającą liczbę min w czasie, który nam pozostał. Wolałbym raczej radzić sobie bez nich, a za to zapewnić nam przyszły rozwój.

- Rozumiem. - Horus zagryzł wargi, po czym pokiwał głową. - Dobrze, zgadzam się.

- Dziękuję.

- A teraz, panie marszałku - Horus odwrócił się do Tsiena - wspominał pan coś o problemach operacyjnych.

- Tak, panie gubernatorze. Dowództwo czujników generała Amesbury'ego jest przygotowane, by wykryć zbliżanie się wroga, ale nie wiemy, czy lepiej będzie wysłać nasze jednostki na ich spotkanie, gdy będą poruszać się w głąb systemu po wyjściu z nadprzestrzeni, czy też skoncentrować się bliżej Ziemi i przeprowadzać wypadki zza tarczy,

kiedy zbliżą się do planety. Całą kwestię komplikuje jeszcze możliwość, że Achuultanie spróbują manewru okrążającego, wykorzystując jedną grupę zwiadowców do odciągnięcia naszych jednostek podświetlnych, a następnie wykonując w obrębie systemu mikroskoki, by zaatakować nas z innej strony.

- I chciałby pan ostatecznie określić doktrynę operacyjną?

- Nie do końca. Mam świadomość, że jeszcze przez jakiś czas nie będzie to możliwe i że dużo zależy od różnic między technologią Achuultan a naszą. Na razie jednak chciałbym odpowiedzieć pozytywnie na prośbę generała Hawtera, by wysłać nasze jednostki na szkolenie i ćwiczenia w rejonie pasa asteroidów. Jednostki zyskają cenne doświadczenie w posługiwaniu się bronią, a ich dowódcy zaczną bardziej wierzyć w siebie.

- Całkowicie się zgadzam - powiedział stanowczo Horus. - Wykorzystają co większe asteroidy do ćwiczeń strzeleckich a to oznacza, że Achuultanie nie będą w stanie rzucić ich przeciwko nam! Proszę natychmiast wprowadzić to w życie, marszałku Tsien! Wasilij, przedstawię twoje sugestie Radzie. Jeśli nikt nie będzie miał kontrargumentu nie do odrzucenia, zostaną zaaprobowane w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Czy to wystarczy?

- Zdecydowanie, panie gubernatorze.

- Dobrze. W takim razie, panowie, zakładajmy kombinezony. Chciałbym zobaczyć OCO dwa z bliska.

\* \* \*

*Zwiadowcy Achuultan znów zebrali się razem, tworząc jedną olbrzymią formację dookoła okrętu flagowego. W odległości pięciu lat świetlnych znajdowała się jasna gwiazda typu F5, lecz nie byli nią zainteresowani. Ich czujniki badały i sprawdzały, nasłuchując elektromagnetycznych głosów, w których poszukiwaniu zaszli tak daleko. Wszechświat był ogromny. Nawet tak doskonali zabójcy jak oni nie byli w stanie zniszczyć całego życia, dlatego światy w rodzaju T'Yir były bezpieczne, chyba że zwiadowcy dosłownie by na nie wpadli.*

*Ale inne światy nie były niezagrożone - załogi czujników natrafiły na słabe sygnały, których szukali. Anteny kierunkowe obróciły się i zaczęły nasłuchiwać, po czym zwiadowcy zmienili kierunek lotu. Wzywała ich niewielka gwiazda typu G2. Ruszyli, by ją na zawsze uciszyć.*

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Barbarzyńca! - Tamman ponuro pokiwał głową, biorąc od żony nową szklankę lemoniady i topiąc smutek w jej zawartości.

- O co ci chodzi, ty zniewieściały, przesadnie cywilizowany, żeby nie powiedzieć, dekadenski epikurejczyku? - spytał Colin.

- To powinno być oczywiste. Węgiel drzewny z mesauite? Jakie to... teksańskie!

Colin pokazał mu język. Steki zasyczały, gdy je obrócił. Z grilla uniosła się chmura wonnego dymu, poniesiona wkrótce nad jezioro przez chłodne wiatry z pokładu parkowego. Trwał turniej siatkówki. Podniósł wzrok i ujrzał, jak pułkownik Tama Matsuo, prawnuk Tammana, serwuje piłkę po paraboli. Jeden z Niemców próbował odebrać ją z dołu, lecz mimo pełnego zestawu implantów nie był w stanie odbić takiej zagrywki.

- Banzai! - wrzasnęła drużyna Dywizji Sendai, a Niemcy zaczęli ponuro mamrotać. Jiltanith zaklaskała. Matsuo uklonił się i przygotował do kolejnego serwisu. Jego dłoń uderzyła w piłkę jak młot, a Colin skrzywił się, gdy przeleciała nad siatką niczym pocisk.

- Tammanie, nie bądź taki surowy - wtrąciła się jego żona. - W końcu Colin robi tak, jak umie najlepiej.

- Dziękuję ci, szlachetna pani! Dziękuję! Pamiętaj tylko, że to twój cudowny małżonek sprowadził na nas nieszczęście, piekąc w tamtym tygodniu *tai* na *miso*.

Na śniadej twarzy kapitan zwiadu Amandy Givens pojawił się piękny uśmiech. Tamman przyciągnął ją do siebie i pocałował.

- Bzdury - powiedział z wyższością. - Po prostu robię wszystko, by wykorzeń przesady. Poza tym skończyła mi się sól.

Colin wyszczerzył zęby w uśmiechu. Pobyt Amandy w izbie chorych *Dahaka* pozwolił kobiecie zregenerować nogę, którą utraciła podczas ataku na La Paz, a radość, jaką ona i Tamman czerpali z bycia razem, cieszyła Colina, mimo że ich ślub spowodował kilka nieprzewidzianych problemów.

*Dahaka* zawsze irytowało przekonanie Ziemiaków, iż jedno imię to za mało. Jednak zaakceptował to - chociaż niechętnie - ale tylko do chwili, gdy miał być świadkiem pierwszego od pięćdziesięciu tysięcy lat ślubu na jego pokładzie. Na swój sposób wydawał się nawet bardziej uradowany niż szczęśliwa młoda para i nie mógł się doczekać, aż Colin oficjalnie zarejestruje to wydarzenie.

I właśnie wtedy zaczęły się problemy, gdyż imperialne konwencje wyglądały



absurdalnie w odniesieniu do ziemskich nazwisk, ale *Dahak* uparł się, że jakoś sobie z tym poradzi. Colin zwykle się poddawał, gdy *Dahak* w jakiejś sytuacji przyjmował postawę całkowicie bezkompromisową - skłonienie komputera, by czegoś nie robił, było niczym rozdzielenie wód Morza Czerwonego, tylko znacznie trudniejsze - ale tym razem kategorycznie nie pozwolił, aby *Dahak* narzucił jego przyjaciółce imię w rodzaju Amanda Collette Givens-Tam. Myśl, że będzie słyszał coś takiego za każdym razem, gdy *Dahak* będzie mówił o Amandzie lub zwracał się do niej, była przerażająca - i choć Tamman z początku upierał się - kiedy już przestał się śmiać - że to piękne imię, zmienił zdanie, kiedy odkrył, jakie imię *Dahak* chciałby nadać jemu. Tamman-Amcolgiv było krótsze - i tylko tyle dobrego można było o nim powiedzieć.

- Mniemam, iż nieważnym, cóże rzeczesz, Tammanie. - słowa Jiltanith przywołały Colina z powrotem do terażniejszości. - Kobieta otwierała właśnie kolejną butelkę piwa. - Nasz Colin nie odstąpi od ohydny planu zatrucia nas owymi dymami i oparami.

- Posłuchajcie - odparł Colin, opierając ręce na biodrach. - Jestem kapitanem tej łajby i będziemy przygotowywać jedzenie tak jak ja chcę!

- Słyszałeś, jako rzecze o tobie twój kapitan, *Dahaku*? „Moja łajbo” - zaśmiała się Jiltanith, a Colin pogroził jej pięścią.

- Wierzę, iż właściwą odpowiedzią jest: „Kamienie i kije połamią mi szyję, lecz słowa nie mogą mnie zranić” - odparł ciepły głos.

- Co za idiota zachęcił go do uczenia się klisz? - jęknął Colin.

- Wszyscyśmy niewinni, Colinie. Myśmy ino go nie zniechęcali.

- Cóż, powinniście byli.

- Przestańcie narzekać i pozwólcie mu gotować. - Wład Czernikow, który leżał na plecach w cieniu młodego dębu, otworzył jedno oko. - Jeśli nie odpowiada ci jego kuchnia, Tammanie, możesz tego nie jeść.

- Akurat! - prychnął Colin i ukradł Jiltanith piwo.

Przełknął łyk, radując się padającymi na jego plecy promieniami „słońca”. Tanni miała rację, namawiając go na zorganizowanie imprezy. Rocznicą upadku enklawy Anu zasługiwała na uczczenie, miała im przypomnieć o „niemożliwych” rzeczach, które już udało się osiągnąć, tym bardziej że nadal dręczyła ich niepewność, co ich czeka na Birhat.

Popatrzył na szczęśliwe, roześmiane grupki członków załogi. Nie wszyscy, którzy akurat nie mieli służby, przyszli na imprezę. Na pokładzie 2460 trwał bowiem mecz koszykówki zerograwitacyjnej, a generał Tresznikow zorganizował na symulatorach konkurs na najlepszego pilota. Na parkowym jeziorze o średnicy trzydziestu kilometrów odbywały się

także regaty.

Popatrzył na ukryte w cieniu stoły piknikowe. Cohanna i Ninhursag siedziały przy jednym z nich, zapamiętale grając w imperialne szachy bitewne. Ponoszone przez nie straty wywołałyby u zwykłego oficera liniowego przerażenie. Przy kolejnym stole Caitrin O'Rourke i Geran urządzili sobie zawody w picciu; australijskie pochodzenie Caitrin najwyraźniej zapewniało jej przewagę. Generałowie von Grau i Tsukuba zakładali się o wynik turnieju siatkówki, zaś Hector wyglądał na nieprzytomnego, gdyż właśnie omawiał z *Dahakiem* taktykę Hannibala w Italii, korzystając przez łącza neuralne z pomocy wizualnych. Sarah Meir siedziała obok niego, przysłuchiwała się i od czasu do czasu drapała za uchem Dzwoneczka - należąca do Hectora półlabradorkę, półrottweilerkę, która przysypiała u stóp pana.

Colin oddał Jiltanith piwo. Uśmiechnął się ciepło, gdy spojrzała na niego. Tak, miała rację - tak samo jak miała rację, nalegając, by na zakończenie zabawy ogłosili swoje „niespodziewane” oświadczenie. I dzięki Bogu, że tak stanowczo potraktował *Dahaka*! Nie wiedział, jak zareagowałyby na Jiltanith-Colfranmac, ale wiedział, jak on sam by się czuł jako Colinfrancismacintyre-Jil!

\* \* \*

- Za dziesięć minut wychodzimy z nadświetlnej - ogłosił *Dahak*. W półmroku punktu dowodzenia numer jeden panowało napięcie. Colin uśmiechnął się do holograficznego obrazu Jiltanith, żałując, że jest w punkcie dowodzenia dwa.

Odetchnął głęboko i zajął się raportami płynącymi przez jego łącze neuralne. Na razie nie wysłano do nich żadnych wezwań ani sygnałów, ale zostali starannie zeskanowani przez kogoś (albo coś), kiedy znajdowali się cały dzień świetlny od Birhat.

Colin czułby się niezmiernie szczęśliwy, gdyby wiedział, kto znajduje się po drugiej stronie skanerów... i jak ma zamiar zareagować. Na Kano przekonali się, że broń Czwartego Cesarstwa była lepsza od najlepszego uzbrojenia *Dahaka*. Wład i *Dahak* zrobili wszystko, żeby poprawić ich możliwości obronne, lecz gdyby Centrala Floty była w bojowym nastroju, mogliby zginąć w ciągu zaledwie kilku godzin.

- Za trzy minuty wychodzimy z nadświetlnej.

- Dział taktyczny, przygotować się - powiedział cicho Colin.

- W gotowości, panie kapitanie.

Ostatnie minuty zdawały się boleśnie powoli płynąć. Colin poczuł w implantach, że zaczynają wychodzić z nadświetlnej, i nagle gwiazdy znieruchomiały.

- Dopływ mocy odcięty - powiedział *Dahak* i niemal natychmiast dodał: - Wykrycie w

odległości dziesięciu minut świetlnych. Wykrycie w odległości trzydziestu minut świetlnych. Wykrycie w odległości pięciu godzin świetlnych.

- Wyświetlić system - warknął Colin i słońce Bia, gwiazda typu GO, wciąż odległa o dwanaście godzin świetlnych, pojawiła się w otoczeniu swoich planet.

- Na zęby Boga!

Szept Jiltanith doskonale wyraził odczucia Colina. Nawet z tej odległości obraz na wyświetlaczu był zatłoczony, a z każdą chwilą pojawiało się coraz więcej oznaczeń świetlnych. Sarah prowadziła ich z szybkością równą połowie prędkości światła. Skanery *Dahaka* dodawały punkt po punkcie, aż wreszcie obraz na wyświetlaczu stał się całkowicie niezrozumiały.

- *Dahaku*, czy jest jakaś reakcja na naszą obecność?

- Nie ma żadnej, poza tym, że zostaliśmy wykryci. Nikt mnie nie wezwał ani też nikt nie odpowiedział na moje powitania.

Colin pokiwał głową. Był rozczarowany, gdyż poczuł przypływ nadziei na widok tych wszystkich punktów światła, lecz jednocześnie odetchnął z ulgą. Przynajmniej nikt do nich nie strzelał.

- Co to jest, do licha, te wszystkie punkty? - zapytał.

- Nie wiadomo, sir. Pasywne skanery wykrywają tylko niewielką liczbę aktywnych źródeł energii, ale gdybyśmy nawet wykorzystali skanery przestrzeni złożonej, znajdujemy się zbyt daleko od aktywnych systemów. Zakładam, że to systemy obronne. W rzeczy samej...

Nagle komputer przerwał. Colin uniósł brew. To co najmniej niezwykle, by *Dahak* przerywał w połowie zdania.

- Sir - odezwał się po chwili komputer. - Ustaliłem funkcję niektórych instalacji.

Grupa symboli świetlnych zamigotała i zapłonęła zielenią. Tworzyły pierścień odległy o czterdzieści minut świetlnych od Bia. Potem zaczęły się pojawiać nowe zielone symbole - każdy oznaczał instalację mniejszą od gigantów z pierwotnego kręgu - dokładnie w tej samej odległości od centrum, jakby chciały objąć cały wewnętrzny system. A dalej były dwa kolejne pierścienie większych symboli, współśrodkowe wobec pierwszego, lecz odchylone o trzydzieści stopni. Pierścieni było tysiące... Miliony! W miarę wchodzenia w zasięg skanerów pojawiały się kolejne, otaczające Bia sferą.

- No i? Co to jest?

- Wydaje się, sir - odpowiedział *Dahak* - że to generatory pola siłowego.

- Że co? - wyrwało się Colinowi. W sieci wyczuł podobne zaskoczenie Włada Czernikowa.

- Generatory pola siłowego - powtórzył komputer - które po włączeniu otoczyłyby cały wewnętrzny system. Większe stacje są w przybliżeniu dziesięć razy cięższe od mniejszych i najwyraźniej są pierwotnymi generatorami.

Colin słuchał tego z niedowierzaniem. Nikt nie jest w stanie stworzyć pola siłowego o takiej powierzchni! A jednak jeśli *Dahak* mówi, że to są generatory pola siłowego, to musi tak być.

- Co by nie mówić, Cesarstwo nie oszczędzało - mruknął.

- Rzekłeś - zgodziła się Jiltanith. - Mniemam jednakowoż...

- Zmiana statusu - powiedział nagle *Dahak* i jaskrawy czerwony krąg otoczył potężną instalację na odległej orbicie w okolicy samego Birhat. - Wykryto aktywację dopływu mocy.

- Na Stwórcę! - mruknął Tamman. Źródło mocy, które się obudziło, było wielokrotnie potężniejsze od tego na pokładzie *Dahaka*.

- Nowe źródło wykryte w odległości dziewięć przecinek osiem godzin świetlnych. Otrzymałem wezwanie.

- Jakiej natury? - spytał Colin.

- To jedynie prośba o identyfikację, ale niesie ze sobą imperatyw Centrali Floty. Powtarza się.

- Odpowiedz.

- Przyjęto. - Na chwilę zapadła cisza, po czym *Dahak* znów się odezwał. Po raz pierwszy wydawał się nieco zmieszany. - Wezwanie ucichło, sir.

- Co to znaczy? Jak odpowiedzieli?

- Nie odpowiedzieli, sir, jedynie wezwanie umilkło. Colin uniósł brew, spoglądając na holograficzny obraz Jiltanith. Kobieta wzruszyła ramionami.

- Nie pytaj mnie, mój Colinie. Tyleż wiem co i ty.

- Tak, a żadne z nas nie wie za wiele - mruknął. Odetchnął głęboko. - *Dahaku*, otwórz połączenie z całą załogą.

- Przyjęto. Połączenie otwarte.

- Ludzie - zwrócił się Colin do załogi - właśnie odpowiedzieliśmy na wezwanie - najwyraźniej z samej Centrali Floty - nikt do nas nie strzela. To dobre wieści. Złe wieści są takie, że nikt się do nas nie odzywa. Wchodzimy. Będziemy was informować. Ale przynajmniej coś tu jest. Wyluzujcie się.

- *Dahaku*, zakończ połączenie.

- Połączenie zakończone, sir.

- Dziękuję. - Colin odchylił się do tyłu i zaczął pocierać dłoń o oparcie fotela,

wpatrując się w niewiele mówiący obraz na Wyświetlaczu. W miarę jak *Dahak* wchodził w głąb systemu, pojawiały się kolejne oznaczenia, zaś aktywny dopływ mocy pulsował pośrodku niczym serce.

\* \* \*

- Znaleźliśmy to - powiedział Colin, wstając z fotela kapitana, by się przeciągnąć - lecz Bóg tylko wie, co to jest.

- Ano. - Jiltanith siedziała przy swojej konsoli w punkcie dowodzenia numer dwa, lecz jej hologram podniósł się i przełożył nogi przez oparcie fotela. - Nie pojmem, cóż tu się wydarzyło, lecz radam, iż Geb widzieć tego nie może.

- Amen - odpowiedział Colin.

Niegdyś zastanawiał się, dlaczego Geb jest jedynym Imperialnym, który ma jednosylabowe imię. Dzięki Jiltanith i archiwom *Dahaka* dowiedział się, że taki był zwyczaj na jego ojczystej planecie. Geb był rzadkością we Flocie Bojowej - urodził się na Birhat. Był to powód do dumy, lecz Geb już się tym nie chwalił - biorąc udział w buncie, był niczym wnuk Waszyngtona ogłaszający się królem Stanów Zjednoczonych.

- Cóż by się tu jednak nie stało, te najnowsze fakty dziwniejszymi są niż wszystko, cośmy pierwaj napotkali. - Jiltanith nawinęła kosmyk włosów na palec wskazujący i wpatrzyła się w wyświetlacz punktu dowodzenia numer dwa; w jej oczach widać było niepewność.

I nic dziwnego, pomyślał Colin. Przez trzydzieści dwie godziny przedzierali się przez gęszcz kosmicznych i orbitalnych instalacji, aż w końcu dotarli do układu Bia. Widać było, że uległ zniszczeniu. Dwa razy mijali ruiny dryfujące w odległości mniejszej niż dziesięć tysięcy kilometrów.

Mimo śladów zniszczenia Colin poczuł przyływ nadziei, gdy w jego polu widzenia pojawiło się Birhat. Starożytna stolica Imperium żyła, była otoczonym bielą szafirem, zaś masy lądów porastała bujna zieleń.

Ale to była dziwna zieleń.

Colin usiadł i podrapał się po głowie. Birhat leżało zaledwie o minutę świetlną dalej od Bia niż Terra od Sol, a jego odchylenie osi od płaszczyzny było o pięć stopni większe, więc pory roku były bardziej skrajne niż na Ziemi, lecz poza tym było to całkiem przyjemne miejsce. Wciąż takie było, chociaż zaszło kilka zmian.

Według posiadanych przez nich danych, drzewa na Birhat były przeważnie zimnozielone, a tymczasem teraz rosły tu niemal wyłącznie drzewa liściaste. Prócz tego widzieli inne dziwne rzeczy, których nigdy wcześniej tu nie było: rośliny przypominające

paprocie oraz długie na całe kilometry rośliny płożące z kłaczami przypominającymi pień cypryśnika i wyrastającymi pionowo pióropuszami liści. Miejscowa fauna była jeszcze bardziej zaskakująca.

Podobnie jak Ziemię, Birhat zamieszkiwały ssaki, ale teraz oprócz ssaków były też inne istoty, szczególnie w pasie równikowym. Jedna z nich przypominała niewyrośniętego stegozaura, a inna - paskudny bydlak - zdawała się łączyć w sobie najbardziej nieprzyjemne cechy tyranozaura i triceratopsa. I jeszcze ptaki. Żaden z nich nie wydawał się do końca normalny, a wielkich drapieżników podobnych do pterodaktyli z pewnością w ogóle nie powinno tu być.

Colin doszedł do wniosku, że to najbardziej nieudana podróbka ekosystemu, o jakiej kiedykolwiek słyszał; żaden z elementów - rośliny, ssaki, gady czy ptaki - do niego nie pasował.

Jego to zastanawiało, zaś Cohannę doprowadzało do szału. Szefowa działu biotechnologii zamknęła się w swoim biurze z *Dahakiem*, próbując znaleźć jakiś sens w odczytach instrumentów i warcząc na każdego nieszczęśnika, który nieostrożnie jej w tym przeszkodził.

Dobrze, że przynajmniej zerodowane góry i morza były na swoim miejscu, jeśli można to tak określić. Pozostały też niektóre grupy budynków. Były to zwietrzałe ruiny - i nic dziwnego, biorąc pod uwagę wygląd gór - bujnie porośnięte roślinnością.

Niektóre z zagadek układu Bia dawały jednak Colinowi nadzieję. Jedna z nich unosiła się kilka tysięcy kilometrów od *Dahaka*, krążąc spokojnie wokół czegoś, co niegdyś było stolicą Imperium.

Tajemnicza konstrukcja była większa od *Dahaka*. Nie posiadała napędu, co oznaczało, że cała jej kolosalna masa mogła zostać wykorzystana na inne rzeczy. Na przykład na systemy obronne. Mnóstwo systemów obronnych. Na wyrzutnie rakiet, broń energetyczną i lądowiska dla myśliwców i statków-pasożytów wielkości *Nergala* albo jeszcze większych.

Co gorsza, było to również wykryte przez *Dahaka* źródło dopływu mocy. Przez cały czas we wnętrzu tajemniczej konstrukcji ryczała energia zasysana z przestrzeni. Najwyraźniej miała być jakoś wykorzystana, lecz nie było żadnych oznak mogących wskazywać, o co chodzi. Konstrukcja nie odezwała się do *Dahaka* mimo jego uprzejmych próśb o informację. Po prostu była.

- Kapitanie?

- Tak, *Dahaku*?

- Sądzę, że udało mi się określić funkcję tej instalacji. - I...?

- Sądzę, sir, że to jest Centrala Floty.

- Myślałem, że Centrala Floty była na planecie!

- Tak rzeczywiście było pięćdziesiąt jeden tysięcy lat temu. Udało mi się zlokalizować główny komputer instalacji. Jest to faktycznie kombinacja elementów materialnych i opartych na wyższych stanach energii. W przybliżeniu ma średnicę trzystu pięćdziesięciu przecinek dwie dziesiąte kilometra.

Colin odwrócił się i spojrzął na Jiltanith - zdawała się równie oszołomiona jak on. Mój Boże, pomyślał. Słodki Jezu. Jeśli dokonana przez Włada i *Dahaka* ocena możliwości komputerów opartych na wyższych stanach energii była poprawna, to coś było... było...

- Przepraszam, sir? - spytał uprzejmie *Dahak*.

- Nie... nieważne. Kontynuuj raport.

- Nie mam dużo więcej do powiedzenia. Rozmiar rdzenia komputera w połączeniu z widocznymi możliwościami obronnymi wskazuje, że musiał to być główny kompleks dowodzenia dla układu Bia. Biorąc pod uwagę, że Birhat pozostało stolicą Cesarstwa, tak jak było stolicą Imperium, należy założyć, że to Centrala Floty.

- Rozumiem. Nadal nie odpowiada na twoje wezwania?

- Nie. A nawet komputery Cesarstwa powinny były już nas zauważyć.

- Czy mogli nas zauważyć i zignorować?

- Taka możliwość istnieje, lecz otrzymaliśmy wezwanie i odpowiedzieliśmy. Po tym powinno automatycznie nastąpić polecenie transmisji danych z nowo przybyłej jednostki.

- Nawet jeśli na pokładzie nie ma ludzkiej załogi?

- Sir - powiedział *Dahak* cierpliwie, starając się nie być nieuprzejmym wobec tępego przełożonego - zostaliśmy wezwani do przedstawienia się, co wskazuje na istnienie jakiejś automatycznej procedury. Centrala Floty nie powinna była pozwolić statkowi o rozmiarach i sile ognia *Dahaka* na zbliżenie się, nie upewniając się przedtem, czy statek podał prawdziwe informacje. Ponieważ nie doszło do żadnej wymiany informacji, Centrala Floty nie może wiedzieć, czy moja odpowiedź na jej wezwanie była prawdziwa. Dlatego powinna przynajmniej wycelować w nas swoją broń aż do chwili, dopóki nie udowodnimy, kim jesteśmy, lecz ta instalacja nawet nie zareagowała na skanowanie. Centrala Floty nigdy nie pozwoliłaby nieznanemu statkowi na coś takiego.

- Dobrze, przyjmuję to wyjaśnienie, lecz prędzej czy później będziemy musieli uzyskać jakąś odpowiedź. Jakies sugestie?

- Jak wyjaśniłem - powiedział *Dahak* jeszcze bardziej cierpliwie - powinniśmy byli już wywołać odpowiedź.

- Wiem - odparł równie cierpliwie Colin - ale jej nie uzyskaliśmy. Czy jest jakaś nadrzędna procedura na wypadek sytuacji awaryjnych?

- Nie, sir, nie ma. Żadna procedura nigdy nie była potrzebna.

- A niech mnie! Chcesz mi powiedzieć, że nie możemy z tym czyś porozmawiać, jeśli nie odpowie na twoje wezwania?

Zapadła cisza, tak długa, że Colin uniósł brwi. Miał już powtórzyć swoje pytanie, kiedy jego elektroniczny podwładny w końcu się odezwał.

- Jest jeden sposób - powiedział z tak wyraźną niechęcią, że Colin natychmiast poczuł się niepewnie.

- Wyduś to z siebie!

- Możemy spróbować dostać się tam, ale tego bym nie polecał.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ, kapitanie, dostęp do Centrali Floty był bardzo ograniczony. Bez wyraźnych instrukcji dowództwa przekazanych systemom bezpieczeństwa tylko dwie grupy osób mogły zażądać wejścia i nie obawiać się zastrzelenia.

- Ach tak? - Colin był zadowolony, że powiedział to tak spokojnie. - A któż to taki?

- Oficerowie flagowi i dowódcy głównych statków Floty Bojowej.

- Co oznacza...

- Co oznacza - przerwał mu *Dahak* - że jedynym członkiem załogi tego statku, który może podjąć tę próbę, jesteś ty.

Colin podniósł wzrok i ujrzał Jiltanith wpatrującą się w niego z przerażeniem.



## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Udali się do swojej kwatery, żeby się pokłócić. Oczy Jiltanith niebezpiecznie płonęły. Otworzyła już usta, lecz pokonał ją elektroniczny refleks *Dahaka*.

- Starszy kapitanie Floty Colinie MacIntyre - powiedział oficjalnym tonem - to, co pan proponuje, nie jest i może nigdy nie będzie konieczne, a ja pragnę panu przypomnieć regulamin Floty, rozdział dziewięć-jeden-siedem, podpunkt trzy-jeden, akapit drugi: „Dowódca każdej jednostki Floty ma obowiązek zapewnić ciągłość łańcucha dowodzenia, chroniąc ją przed niepotrzebnym ryzykiem”. Stwierdzam, sir, że pańskie zamiary stanowią pogwałcenie treści i ducha tego przepisu, i muszę wobec tego z całym szacunkiem nalegać, by natychmiast zrezygnował pan z tego nierozważnego i niebezpiecznego planu.

- *Dahaku* - odpowiedział Colin. - Zamknij się.

- Starszy ka...

- Powiedziałem, żebyś się zamknął - powtórzył Colin niebezpiecznie spokojnym głosem. Komputer umilkł. - Dziękuję, obaj wiemy, że ludzie, którzy napisali regulamin Floty, nigdy nie wyobrażali sobie takiej sytuacji, ale jeśli chcesz przerzucać się paragrafami, oto coś dla ciebie. Regulamin Floty, rozdział Jeden-trzy, podpunkt jeden brzmi: „W razie braku rozkazów od zwierzchników dowódca każdej jednostki lub grupy jednostek Floty Bojowej powinien wykorzystać swoją jednostkę, dowolną jednostkę podległą lub dowolnego członka tej jednostki tak aby zgodnie ze swoją najlepszą oceną zrobić wszystko, by ocalić swoje Imperium i rasę”. Powiedziałeś kiedyś, że mam mentalność dowódcy. Cóż, może to prawda, a może nie, ale to jest decyzja dowódcy i musisz się z tym pogodzić. - Ale...

- Podjąłem już decyzję, *Dahaku*. Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

- Przyjęto - powiedział wreszcie komputer lodowatym tonem, lecz Colin wiedział, że i tak najgorsze dopiero go czeka. Uśmiechnął się krzywo do Jiltanith, zadowolony, że są sami, i wykorzystał swoją najmocniejszą broń.

- Tanni, nie chcę się też kłócić ze swoim zastępcą.

- Byłażby to prawda? - wybuchła. - To z białogłową swą się swadź, kpie! Jeno dzień żeśmy w tym systemie przebyli, a ty żywotem swym ryzykować chcesz?! Jakież to robał mózg twój toczy?! Byłażby to próżność, co przez cię przemawia, gdyż mądrością to nie trza nazwać?

- To nie próżność i dobrze o tym wiesz. Po prostu nie mamy czasu do stracenia.

- Czasu, rzeczesz? - wysyczała jak wściekły kot. - Mniemasz, iżem równie durna co

ty? Cóż by nie zrobił, nie dotrzem na Terrę przed zwiadowcami Achuultan! A skoro tak, po cóż ten bezmyślny pośpiech? Cztery, pięć miesięcy spędzić tu mogę, a powrócić na Ziemię przed najazdem głównym... i dobrze o tym wiesz!

- Dobrze - powiedział, a ona zmrużyła oczy na tę niespodziewaną zgodę. - Załóżmy, że masz rację, i zaczniemy badać okolicę. Co się stanie, jeśli zrobimy coś, co się nie spodoba Centrali Floty, Tanni? Dopóki nie będziemy wiedzieć czemu możemy się sprzeciwić, nie wiemy też, co może sprawić, że cała załoga tego statku zginie. Dlatego dopóki nie uda nam się nawiązać z nią kontaktu, nie możemy nic innego zrobić.

Palce Jiltanith poruszyły się niczym pazury kota, którego tak bardzo przypominała. Odetchnęła jednak głęboko i zmusiła się do rozważenia jego argumentu.

- Racja w tym jest - przyznała, wyraźnie wbrew własnej woli - Jednakowoż prawdą jest, iżemy niewiele czasu na to poświęcili. Musiszże tak szybko ten szaleńczy czyn wypełnić?

- Obawiam się, że tak - westchnął. - Jeśli to rzeczywiście jest Centrala Floty, będzie dla nas albo Sezamem, albo puszką Pandory, i musimy szybko się tego dowiedzieć. Zakładając, że Centrala Floty wciąż działa - a sposób, w jaki uruchomiło się zasilanie, sugeruje, że coś może działać - nie wiemy, jak wiele czasu zajmie jej złożenie wszystkiego w całość. Potrzebujemy każdej chwili, Tanni.

Dziewczyna odwróciła się i zaczęła spacerować z rękami splecionymi na piersi. Colin wiedział, że umiera ze strachu, ale nie o siebie. Pragnął jej powiedzieć, że ją rozumie, ale czuł też, że nie powinien tego robić... i że ona o tym wie.

W końcu odwróciła się do niego. Jej oczy były smutne - już wiedział, że wygrał.

- Ano - westchnęła, przytulając go mocno i wciskając twarz w jego ramię. - Serce me przeciwnym jest, jeno umysł mój - przeklęty umysł - rację przyznaje. Najdroższy z najdroższych, gdybym władna była ci tego zabronić!

- Wiem - wyszeptał w jej pachnące jedwabiste włosy.

\* \* \*

Colin czuł się niczym mrówka przeciwko nadchodzącej powodzi. Uzbrojony kadłub Centrali Floty górował nad nim i zdawał się grozić, że go skruszy. Miał nadzieję, że Cohanna nie monitoruje teraz jego odczytów. Zatrzymał kuter. Zielono-żółta latarnia oświetlała niewielki krąg - Chociaż zaczynała go już boleć głowa od koncentrowania się na implantach, nadal nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Starannie zmierzył sekwencję latarni.

- *Dahaku*, mam błysk długości zero przecinek siedemdziesiąt pięć sekundy, zielony-żółty-żółty-zielony-żółty, na luku klasy siódmej.

- Zakładając, że konwencje Floty się nie zmieniły, kapitanie, to powinno oznaczać aktywny punkt dostępu dla małych jednostek.

- Wiem. - Colin przełknął ślinę, żałując, że ma tak sucho w ustach. - Niestety, moje implanty nic nie wychwytyją.

Nagle poczuł niemal słyszalny trzask w głębi czaszki i w jego łączu pojawiło się nie do końca znane mrowienie, wywołujące krótki zawrót głowy.

- Coś mam. Wciąż nie jest jasne, ale... - Mrowienie stało się ostre i znajome. - Mam!

- Przyjęto, kapitanie - odpowiedział *Dahak*. - Programy tłumaczące stworzone na potrzeby *Omegi Trzy* nie wywiązały się wystarczająco dobrze ze swojego zadania, lecz sądzę, że moje modyfikacje oprogramowania implantów powinny wystarczyć. Po raz kolejny jednak ostrzegam przed innymi, nieprzewidzianymi trudnościami.

- Zrozumiano. - Colin zbliżył się, ostrożnie przekazując swoje myśli komputerom luku. Coś mu odpowiedziało. Był to rozkaz identyfikacji, ale jakiś taki... dziwny.

Z niezwykłą starannością wstukał osobisty kod implantu. Przez krótką chwilę - na tyle długą, by mógł poczuć przyływ ulgi - nic się nie działo. Potem luk się otworzył i Colin wytarł spoczone dłonie o spodnie munduru.

- Cóż - mruknął - drzwi się otworzyły. Życie mi szczęścia.

- Wszyscyśmy z tobą - powiedziała cicho Jiltanith. - Bądź ostrożny, miłości moja.

\* \* \*

Następne pół godziny należało, do najbardziej nerwowych w życiu Colina. Podstawowe kody jego implantów wystarczy by otworzyć luk, lecz jednocześnie obudziło to wewnętrzne systemy obrony.

Ich pytania były bardzo dokładne i dziwne, krył się w nich zawzięty, mechaniczny upór, z jakim nigdy się nie zetknął u *Dahaka*. Na każdym zakręcie pojawiały się żądania identyfikacji na coraz głębszych poziomach bezpieczeństwa. Odkrywał, że odpowiada kodami oficerów mostka, których istnienia nie był nawet świadom. Nic dziwnego, że Druaga miał pewność, iż Anu nigdy nie będzie w stanie uchylić jego ostatnich rozkazów dla *Dahaka*! Colin nawet się nie domyślał, jak wiele kodów bezpieczeństwa *Dahak* ukrył w jego podświadomości i implantach.

W końcu dotarł do centralnego szybu transportowego. Poczul ulgę i inny rodzaj napięcia, gdy poprosił o przeniesienie do punktu dowodzenia alfa Dowództwa Floty. Spodziewał się kolejnych pytań, lecz tym razem komputery odpowiedziały jedynie sygnałem gotowości. Wkroczył do szybu.

O strachu przed nieznanym można powiedzieć jedno, pomyślał ironicznie, gdy szyb

pochwyił go i rzucił w głąb: niemal całkowicie przysłania tak przyziemne uczucia, jak obawa przed zgnieciem na papkę przez siły działające w szybie transportowym!

\* \* \*

Szyb wyrzucił go na zewnątrz punktu dowodzenia alfa, w jasno oświetlonej sali, tak dużej, że zmieściłby się w niej prom desantowy. Na pokładzie dowodzenia nie było żadnych symboli jednostek, jakby Dowództwo Floty było ponad tym wszystkim. Widział jedynie symbol Czwartego Imperium - gromadę galaktyk otoczonych skomplikowanym wzorem.

Colin rozejrzył się, wykorzystując do tego naturalne zmysły i neuroimpulsy, i aż zbladł, gdy odkrył systemy obronne strzegące migoczącego wejścia. Ciężkie karabiny grawitacyjne w elegancko krytych obudowach miały wsparcie broni, którą Wład nazwał karabinami wypaczeniowymi, a ich celowniki były skierowane w jego stronę. Wyprostował skulone ramiona i podszedł równym krokiem do wielkiego włazu.

Ten, ku jego zaskoczeniu, odsunął się na bok. Za nim otwierały się kolejne włazy - było ich dwa razy więcej niż w punkcie dowodzenia numer jeden na *Dahaku* - gdy Colin szedł jasno oświetlonym tunelem, walcząc z uczuciem osaczenia. W końcu znalazł się w samym sercu i mózgu Centrali Floty i ostatni właz zasunął się za nim.

To miejsce nie robiło aż tak wielkiego wrażenia jak punkt dowodzenia numer jeden - taka była jego pierwsza myśl... ale tylko pierwsza. Brakowało doskonałych hologramów z mostka *Dahaka*, lecz delikatnie oświetlona sala była o wiele, wiele większa. Wzdłuż ścian ciągnęły się konsole komunikacji nadświetlnej, podpisane w zamaszystym alfabecie Imperium. Nosiły nazwy, które podczas edukowania go przez implanty wydawały się tylko mało wiarygodnymi legendami. Na podłodze rozciągała się sieć Dowództwa Kwadrantów, rzędy foteli i konsoli - zbyt wiele, by je zliczyć. Wszystko to uświadamiało Colinowi niepojęty ogrom Cesarstwa.

Sprawiało, że czuł się bardzo, ale to bardzo mały.

A jednak był tutaj. Przebył osiemset lat świetlnych, by dotrzeć do tej olbrzymiej sali; przybył z planety pełnej ludzi do tej ciszy, której od czterdziestu pięciu tysiącleci nie przerwał żaden głos, a cała ta moc i potęga była przecież dziełem Człowieka.

Ruszył przez błyszczący pokład, stukając obcasami w zdobioną klejnotami mozaikę. W kątach unosiły się obserwujące go duchy. Zastanawiał się, co o nim myśla.

Dotarcie do podwyższenia pośrodku pokładu dowodzenia zajęło mu dziesięć minut. Powoli wspiał się po szerokich schodach na szczyt i tam opadł na stojący przed konsolą fotel, który przypominał tron. Ten natychmiast dopasował się do jego ciała. Colin opanował niepokój i głęboko, powoli odetchnął, następnie sięgnął do konsoli.

Odpowiedź pojawiła się błyskawicznie - aż poczuł przyływ nadziei - po czym okazało się, że został gwałtownie wyrzucony z sieci.

- Odmowa dostępu przez interfejs neuralny - powiedział głos. Był to łagodny, melodyjny kontralt, całkowicie pozbawiony życia i emocji.

Colin potarł czoło, próbując złagodzić nagły ból w głębi mózgu, i rozejrzył się po pokładzie dowodzenia w poszukiwaniu natchnienia. Nie znalazłszy go, znów sięgnął do konsoli, tym razem ostrożniej.

- Odmowa dostępu przez interfejs neuralny. - Głos jeszcze gwałtowniej wyrzucił go z sieci. - Ostrzeżenie. Próba nieautoryzowanego dostępu do tej instalacji jest zagrożona karą pozbawienia wolności na okres nie krótszy niż dziewięćdziesiąt pięć standardowych lat.

- A niech to - mruknął Colin. Nieco się obawiał, jak Centrala Floty zareaguje na jego próbę połączenia przez komunikator przestrzeni złożonej, lecz nie widział innych możliwości.

- *Dahaku?*

- Tak, kapitanie?

- Mam odmowę dostępu przez interfejs neuralny.

- Głosową czy przez łącze?

- Głosową. To cholerstwo nie chce się nawet do mnie odezwać przez implant.

- To ciekawe... i nielogiczne. Zostałeś dopuszczony do punktu dowodzenia alfa, więc Centrala Floty rozpoznaje w tobie oficera Floty Bojowej. Nie powinna zatem odmówić ci dostępu.

- Tak samo pomyślałem - powiedział Colin nieco sarkastycznie.

- Próbowałeś komunikacji głosowej, sir?

- Nie.

- Doradzałbym to jako kolejny logiczny krok.

- Dzięki - mruknął Colin i odchrząknął.

- Komputerze - powiedział, czując się trochę głupio, że mówi do pustki.

- Przyjęto - odpowiedział beznamiętny głos, a Colinowj mocniej zabiło serce. A niech to, może jeszcze jest jakaś droga do środka.

- Czemu odmówiono mi dostępu przez interfejs neuralny? - Niewłaściwa identyfikacja implantu.

- Dlaczego niewłaściwa?

- Wykryto anomalie danych. Odmowa dostępu przez interfejs neuralny. - Jaka anomalie? - Starał się być cierpliwy, choć było to trudne.

- Implant niezidentyfikowany przez bazę danych Centrali Floty. Osobnik

nierozpoznany przez podstawowe programy. Odmowa dostępu przez interfejs neuralny.

- W takim razie dlaczego akceptujesz komunikację głosową?

- Na czas kryzysu aktywowano nadzwyczajne podprocedury. - Colin ciekaw był, co to są owe „nadzwyczajne podprocedury” i dlaczego zezwalają na komunikację głosową, ale nie miał zamiaru pytać. Nie chciał przecież, żeby komputer zmienił zdanie!

- Komputerze - powiedział w końcu - dlaczego zostałem dopuszczony do punktu dowodzenia alfa?

- Przyczyna nieznana. Ochrona nie należy do Komputera Głównego.

- Rozumiem. - Colin myślał coraz bardziej gorączkowo. - Komputerze, czy ochrona Centrali Floty dopuściłyby osobnika z nieważnymi kodami identyfikacyjnymi implantu do punktu dowodzenia alfa?

- Nie.

- W takim razie jeśli ochrona mnie wpuściła, jej baza danych musiała rozpoznać moje implanty. Zapadła cisza.

- Hm, nie jesteś bardzo gadatliwy, co? - zapytał Colin.

- Pytanie niezrozumiałe - odpowiedział głos.

- Nieważne. - Odetchnął głęboko. - Zakładam, że moje kody identyfikacyjne implantu mogą się znajdować w bazie danych ochrony Centrali Floty. Czy się zgadzasz?

- Istnieje taka możliwość.

- W takim razie wydaję ci polecenie - powiedział Colin bardzo ostrożnie - przeszukania bazy danych ochrony i potwierdzenia kodów moich implantów.

Znów zapadła cisza. Colin zagryzł wargę.

- Ustne instrukcje wymagają autoryzacji - powiedział w końcu głos. - Podaj źródło upoważnienia.

- Moje własne jako starszego kapitana Floty Colina MacIntyre'a, dowódcy statku liniowego *Dahak*, numer kadłuba Jeden-Siedem-Dwa-Dwa-Dziewięć-Jeden. - Colin był zdziwiony, że jego głos brzmi tak spokojnie.

- Autoryzacja tymczasowo zaakceptowana. Przeszukuję bazę danych ochrony.

Po dłuższej chwili głos w końcu się odezwał.

- Przeszukanie zakończone. Kody identyfikacyjne implantów zlokalizowane.

Anomalie.

- Określić anomalie.

- Po pierwsze: kody identyfikacyjne są nieaktualne. Po drugie: żaden starszy kapitan Floty Colinmacintyre nie jest wymieniony w bazie danych Centrali Floty. Po trzecie: *Dahak*,

numer kadłuba Jeden-Siedem-Dwa-Dwa-Dziewięć-Jeden, zaginął pięćdziesiąt jeden tysięcy sześćset dziewięć przecinek osiem cztery sześć standardowego roku temu.

- Moje kody były aktualne, gdy *Dahak* wyruszył na zwiad do systemu Noarl. Powinienem zostać włączony do bazy danych jako spadkobierca załogi *Dahaka*, promowany, by zająć wolne stanowisko powstałe w wyniku strat bitewnych.

- To niemożliwe. *Dahak*, numer kadłuba Jeden-Siedem-Dwa-Dwa-Dziewięć-Jeden, już nie istnieje.

- W takim razie co tu robi jego nieistniejący dowódca? - Pytanie o wartości zerowej.

- O wartości zerowej?! *Dahak* właśnie krąży wokół Centrali Floty.

-Dane nieważne. Taka jednostka nie jest obecna.

Colin powstrzymał pragnienie wbicia wzmacnianej pięści w konsolę.

- W takim razie czym jest obiekt towarzyszący obecnie Centrali Floty? - warknął.

- Anomalia danych - odpowiedziała beznamyślnie Centrala. - Jaka anomalia danych, do diabła?!

- Oprogramowanie ochrony granic planety Birhat nie pozwala na zbliżenie się jednostek bez ważnych kodów identyfikacyjnych na odległość mniejszą niż osiem godzin świetlnych. *Dahak*, numer kadłuba Jeden-Siedem-Dwa-Dwa-Dziewięć-Jeden, już nie istnieje, dlatego żadna taka jednostka nie może być obecna. I dlatego raporty skanerów to anomalia danych.

Colin nagle zrozumiał i uderzył ze złością w oparcie fotela. Z jakiegoś powodu ten kretyn - albo jego zewnętrzne systemy nadzoru - zaakceptował identyfikację *Dahaka* i wpuścił go. Z jakiegoś innego powodu centralne komputery nie zaakceptowały tej samej identyfikacji. Wiedząc, że żadna jednostka, która nie przedstawiła odpowiednich kodów identyfikacyjnych, nie może tu być, ten idiota uznał *Dahaka* za anomalię danych i postanowił go zignorować!

- Komputerze - powiedział w końcu - załóżmy - hipotetycznie - że jednostka identyfikująca siebie jako *Dahak* została wpuszczona do systemu Bia przez ochronę granic. Jak mogło dojść do takiej sytuacji?

- Błąd programowania - odpowiedziała spokojnie Centrala Floty.

- Wyjaśnij.

- Potwierdzenie zaginięcia statku *Dahak*, numer kadłuba Jeden-Siedem-Dwa-Dwa-Dziewięć-Jeden, nie zostało wypełnione i złożone w Centrali Floty. Zaginięcie statku zostało zapisane w odnośniku do logu Ro-Epsilon-Beta-Siedem-Sześć-Jeden-Dziewięć-Cztery, lecz brak potwierdzenia zaginięcia statku spowodował niewłaściwe przechowywanie danych. -

Centrala Floty umilkła, a Colin z trudem powstrzymał się, by nie zakląć.

- Co to oznacza?

- Kody identyfikacyjne *Dahaka*, numer kadłuba Jeden-Siedem-Dwa-Dwa-Dziewięć-Jeden, nie zostały usunięte z pamięci.

Colin zamknął oczy. Dobry Boże. Ten bezmózgi cud wpuścił *Dahaka* do systemu, ponieważ został zidentyfikowany, a kody wciąż były w pamięci, lecz teraz, kiedy tu jest, już mu nie wierzy.

- Jak można naprawić ten błąd oprogramowania?

- Należy usunąć z bazy danych sprzeczne dane.

Colin znów odetchnął głęboko, świadom, jak bardzo niebezpieczna jest ta cała dyskusja. Jeśli ten komputer mógł zdecydować, że coś wielkości *Dahaka* nie istnieje, z pewnością może zrobić to samo z kapitanem tej „anomalii danych”.

- Oceń prawdopodobieństwo, że odnośnik do logu Ro-Epsilon-Beta-Siedem-Sześć-Jeden-Dziewięć-Cztery jest błędny - powiedział głosem bez wyrazu.

- Istnieje prawdopodobieństwo, ale nie da się go ocenić - odparła Centrala Floty. Colin pozwolił sobie na lekkie uczucie ulgi. Bardzo lekkie.

- W takim razie wydaję ci polecenie usunięcia go z pamięci - powiedział i wstrzymał oddech.

- Błędna procedura.

- Dlaczego błędna?

- Pełne usunięcie z pamięci wymaga autoryzacji ludzkiego dowództwa.

Pełne usunięcie z pamięci?

- Czy dane dotyczące mojej jednostki mogą zostać na moje polecenie umieszczone w nieaktywnej bazie danych w oczekiwaniu na właściwą autoryzację?

- Potwierdzam.

- W takim razie wydaję ci polecenie zrobienia tego z wcześniej wspomnianym odnośnikiem.

- Procedura w toku. Dane przeniesione do nieaktywnej bazy danych.

Colin odetchnął z ulgą, po czym szybko sam siebie skarcił. Nie wiadomo, czy nie rozluźnia się zbyt wcześnie.

- Komputerze, kim jestem? - spytał cicho.

- Jesteś starszym kapitanem Floty Colinmacintyrem, dowódcą HIMP *Dahak*, numer kadłuba Jeden-Siedem-Dwa-Dwa-Dziewięć-Jeden - powiedział głos bez wyrazu.

- A gdzie obecnie znajduje się moja jednostka?



- HIMP *Dahak*, numer kadłuba Jeden-Siedem-Dwa-Dwa-Dziewięć-Jeden, znajduje się obecnie na orbicie Birhat, dziesięć tysięcy siedemnaście przecinek pięć kilometra od Centrali Floty.

Colin wypowiedział krótką, żarliwą modlitwę dziękczynną, zanim przepełniła go radość.

\* \* \*

-Dobra! - Colin triumfalnie uderzył dłońmi w oparcie fotela.- Cóż się dzieje, mój Colinie? - spytał głos w jego komunikatorze. Dopiero teraz uświadomił sobie, że nie zamknął połączenia.

- Jesteśmy w środku, Tanni. Powiedz wszystkim na pokładzie, że jesteśmy w środku!

- Dzielnieś uczynił! Jakże dzielnie, serce moje!

- Dziękuję - powiedział cicho, po czym powrócił do pracy. - Komputerze?

- Tak, starszy kapitanie Floty? - Jak się nazywasz?

- Ta jednostka jest oficjalnie nazywana Komputerem Głównym Centrali Floty - odpowiedział melodyjny głos.

- Czy tak nazywał cię twój ludzki personel? - Nie, starszy kapitanie Floty.

- W takim razie jak cię nazywali?

- Personel Centrali Floty zwracał się do Komputera Głównego „Matko”.

- Matko - mruknął Colin, potrząsając z niedowierzaniem głową. Cóż, skoro Centrala Floty była do tego przyzwyczajona.

- Dobrze, Matko, przygotuj się do transferu danych z *Dahaka*.

- Pełna gotowość - odpowiedziała natychmiast Matka.

- *Dahaku*, rozpocznij transfer danych z rdzenia, ale później ich nie usuwaj.

- Transfer rozpoczęty - odpowiedział spokojnie *Dahak* i Colin poczuł nieprawdopodobny przepływ danych.

Przez jego łącze przechodziła tylko niewielka ich część, a mimo to czuł się tak, jakby stał na brzegu rzeki podczas powodzi. Wrażenie było niemal przerażające, nagle stał się świadom ograniczeń ludzkiego mózgu. Mimo ogromnych rozmiarów plików danych cała operacja trwała zaledwie dziesięć minut.

- Transfer zakończony - ogłosiła Matka. - Dane zarchiwizowane.

- Doskonale! Teraz przedstaw mi raport o stanie Floty.

- Wymagany kod autoryzacji Centrali Floty. - Colin skrzywił się; jego entuzjazm nagle zniknął. Nie znał kodów autoryzacji.

Pociągnął się za nos, myśląc intensywnie. Tylko Matka może mu podać kody, ale był

absolutnie pewien, że tego nie zrobi. Uznała go za starszego kapitana Floty, co dawało mu pewną władzę w kwestiach związanych z jego jednostką, lecz nie zapewniało dostępu do informacji, których tak rozpaczliwie potrzebował. Był wściekły, gdyż przyzwyczyił się już do natychmiastowego dopływu informacji od *Dahaka*.

A właściwie dlaczego otrzymywał informacje od *Dahaka*? Ponieważ był dowódcą *Dahaka*. A w jaki sposób stał się dowódcą? Ponieważ dowodzenie przechodziło na najstarszego rangą członka załogi obecnego na pokładzie, a *Dahak* postanowił uznać prymitywnego mieszkańca Ziemi za członka swojej załogi. To wskazywało na tylko jedno możliwe rozwiązanie.

Wzdrygnął się na samą myśl o tym. Ale dlaczego? Przecież zaakceptował fakt, że jest kapitanem *Dahaka* i nawet gubernatorem Ziemi, dlaczego więc tak bardzo go to niepokoi?

Ponieważ, pomyślał, to jasno oświetlone mauzoleum uzmysławia mu ogrom odpowiedzialności, a to go przeraża. Co jest dość głupie w przypadku kogoś, kto już został zmuszony do zaakceptowania odpowiedzialności za ni mniej, ni więcej, tylko przetrwanie własnej rasy, ale tak właśnie się czuł.

Otrząsnął się. Imperium nie żyje. Pozostały jedynie artefakty w rodzaju Matki, a on musi przejąć dowodzenie nad od dawna opuszczoną Kwaterą Główną, nawet jeśli jej załoga składa się tylko z duchów i komputerów.

- Matko - powiedział w końcu.

- Tak, starszy kapitanie Floty? - odpowiedział komputer.

- Ja, starszy kapitan Floty Colin MacIntyre, dowódca - przypomniał sobie skrót, jakim Centrala Floty określiła *Dahaka* - HIMP *Dahak*, numer kadłuba Jeden-Siedem-Dwa-Dwa-Dziewięć-Jeden, jako najstarszy obecny oficer Floty Bojowej przejmuję, zgodnie z regulaminem Floty, rozdział pięć-trzy-trzy, podrozdział dziewięć-jeden, artykuł dziesiąty, dowodzenie nad Fl...

- Autoryzacja nieważna - przerwała mu Matka.

- Co? - Colin zamrugał zaskoczony.

- Autoryzacja nieważna - powtórzyła Matka.

- Jak to nieważna? - spytał ostro, zirytowany z powodu opóźnienia w chwili, gdy wreszcie podjął decyzję.

- Rozdział pięć-trzy-trzy regulaminu Floty nie odnosi się do przekazywania dowództwa.

- Ależ tak! - wykrzyknął, lecz to nie było pytanie ani rozkaz, więc Matka zachowała milczenie. Zacisnął zęby. - Dobrze, skoro nie odnosi się do przekazywania dowództwa, to

czego dotyczy?

- Rozdział pięć-trzy-trzy regulaminu Floty i jego podrozdziały odnoszą się do usuwania odpadów w bazach orbitalnych Floty Bojowej.

- Co?!

Colin wpatrywał się ze złością w konsolę. Oczywiście, że rozdział pięć-trzy-trzy mówi o przekazywaniu dowództwa! Właśnie na tej podstawie *Dahak* zmusił go do całego tego bezsensu! Sam go przeczytał, kiedy...

Nagle go olśniło. Owszem, czytał go - ale w zbiorze zapisanym pięćdziesiąt jeden tysięcy lat wcześniej. A niech to.

- Proszę przekazać obecny regulamin Floty i wszystkie istotne dane do mojej jednostki.

- Przyjęto. Transfer rozpoczęty. Transfer zakończony - powiedziała Matka niemal bez chwili przerwy. Colin znów uruchomił swój komunikator.

- *Dahaku?*

- Tak, kapitanie?

- Potrzebuję pomocy. Jaki rozdział zastąpił rozdział pięć-trzy-trzy?

- Rozdział pięć-trzy-trzy regulaminu Floty został zastąpiony przez rozdział jeden-dziewięć-jeden-pięć-siedem-trzy-dziewięć, sir.

Colin skrzywił się. Przez siedem tysięcy lat Imperium udawało się ograniczać regulamin Floty do niecałych trzech tysięcy punktów - najwyraźniej Cesarstwo odkryło uroki biurokracji.

Nic dziwnego, że Matka ma tak dużą pamięć.

- Dziękuję. - Zamierzał znów zwrócić się do Matki, lecz *Dahak* go powstrzymał.

- Chwileczkę, kapitanie. Czy masz zamiar wykorzystać ten rozdział do przejęcia dowodzenia Centralą Floty?

- Oczywiście, że tak - odpowiedział cierpko.

- Odradzałbym to.

- Dlaczego?

- Ponieważ skutkiem byłaby natychmiastowa egzekucja.

- Co? - spytał słabo. Był pewien, że coś źle usłyszał.

- Próba skończyłaby się egzekucją, sir. Rozdział jeden-dziewięć-jeden-pięć-siedem-trzy-dziewięć nie znajduje zastosowania w przypadku Centrali Floty.

- Czemu nie? Przecież to jednostka Floty Bojowej.

- To nie jest już prawdą. Teraz wszystkie jednostki Floty Bojowej podlegają Centrali

Floty. Dowódcy Floty Bojowej nie są lansowani na stanowiska w Centrali.

- W takim razie skąd, u diabła, bierze się jej personel?

- Pochodzi z załóg Floty Bojowej, ale dowódcy Centrali Floty są wybierani przez cesarza spośród wszystkich oficerów flagowych Floty Bojowej i służą zgodnie z jego życzeniami. Wszelkie próby objęcia dowództwa inaczej niż na rozkaz cesarza traktowane są jako zdrada stanu i karane śmiercią.

Colin zbladł. A więc Matka, która zwróciła uwagę na zły numer rozdziału, uratowała mu życie.

Zadrzał. Jakie inne pułapki kryją się w Centrali Floty? Niech to, czemu Matka nie jest na tyle inteligentna, by mówić mu takie rzeczy?!

Ponieważ, odpowiedział mu cichy, spokojny głosik, nie do tego została zaprojektowana.

I bardzo dobrze, ale jeśli nie przejmie dowodzenia, Matka nie powie mu rzeczy, których musi się dowiedzieć, a jeśli spróbuje przejąć dowodzenie, od razu go zabije!

- *Dahaku* - powiedział w końcu - znajdź mi odpowiedź. Muszę być w stanie wydawać tutaj rozkazy albo w ogóle mogliśmy tu nie przylatywać.

- Dowodzenie Centralą Floty jest w wyłącznej gestii cesarza, kapitanie. Nie ma żadnego innego sposobu, by je uzyskać.

- A niech to wszyscy diabli, nie ma żadnego cesarza! - wykrzyknął Colin, walcząc z histerią. Czuł, że wszystko wali się na jego oczach. Jeszcze tylko brakuje, żeby *Dahak* zaraził się od Matki doprowadzającym do szaleństwa brakiem wyobraźni! - Słuchaj, czy jesteś w stanie dostać się do podstawowego oprogramowania i je zmienić?

- Próba skończyłaby się zniszczeniem *Dahaka* - odpowiedział komputer. - Podstawowe oprogramowanie Centrali Floty zawiera pewne nakazy; jeden z nich mówi, że nie może ono zostać zmienione nawet na rozkaz cesarza.

- To szaleństwo - powiedział Colin głosem bez wyrazu. - Mój Boże, komputer, którego nie da się przeprogramować, kieruje wszystkimi instalacjami wojskowymi!

- Nie powiedziałem, że wszelkie przeprogramowanie jest niemożliwe, tak samo jak nie rozumiem, dlaczego akurat tych fragmentów nie można zmienić. Nie znam zawartości nakazów ani przyczyn, dla których powstały. Opieram swoje stwierdzenie na danych technicznych, które zostały mi przekazane.

- Ale dlaczego, do diabła, nie można tego zmienić? Nie możesz tego po prostu wyłączyć, wyrzucić całej pamięci i zaprogramować od zera?

- Nie, sir. Nakazy nie są częścią oprogramowania. Używając ziemskich określeń, są

elementem hardware'u. Ich usunięcie wymagałoby fizycznego zniszczenia sporej części rdzenia Komputera Głównego.

- Cholera. - Colin zastanawiał się jeszcze przez chwilę, po czym rozszerzył zasięg swojego łącza. - Wład? Tanni? Słuchaliście tego?

- Ano, Colinie - odparła Jiltanith.

- Macie jakieś pomysły?

- Żadnych, jak mniemam - odparła jego żona. - Wład, azaliż ty jakieś spostrzeżenie masz, które sprawie naszej pomóc by mogło?

- Obawiam się, że nie - powiedział Czernikow. - Obecnie przeglądam dane techniczne, o których mówił *Dahak*. Na ile jestem w stanie stwierdzić, jego analiza jest poprawna. Zakładając nawet, że Matka pozwoliłaby na fizyczne zniszczenie Komputera Głównego, stracilibyśmy w ten sposób dane, których potrzebujemy. Moim zdaniem system został stworzony właśnie po to, by zapobiec temu, co zaproponowałeś.

- Cholerni twórcy pułapek! - mruknął Colin, a Czernikow stłumił śmiech. To sprawiło, że Colin poczuł się trochę lepiej... ale tylko odrobinę.

- *Dahaku* - powiedział w końcu - czy jesteś w stanie uzyskać dostęp do danych, których potrzebujemy?

- Nie.

- I nie możesz ominąć tych przeklętych nakazów?

- Nie.

- No to mamy pecha. - Colin westchnął i opadł na fotel. Jego poczucie klęski było szczególnie wielkie po odczuwanej wcześniej chwili triumfu. - A niech to diabli! A niech to diabli! Potrzebujemy cesarza, by dostać się do tego przekłętego systemu, a ostatni cesarz zmarł czterdzieści pięć tysięcy lat temu!

- Kapitanie - powiedział po chwili *Dahak* - sądzę, że może być jakieś wyjście.

- Co? - Colin wyprostował się gwałtownie. - Powiedziałeś, że nie ma żadnego.

- Niezupełnie. Powiedziałem, że nie ma jak „ominać tych przeklętych nakazów” - komputer dokładnie zacytował jego słowa. - Chyba jednak można by je wykorzystać. Chciałbym jednak zwrócić uwagę, że...

- Wykorzystać? Jak?!

- Zgodnie z klauzulą omega, sir, możesz...

- Mogę objąć dowodzenie Centralą Floty? - przerwał mu Colin.

- Potwierdzam. W tych okolicznościach możesz zostać uznany za najwyższego rangą oficera Floty Bojowej, a jako gubernator Ziemi - również najwyższego urzędnika cywilnego.

I jako taki możesz rozkazać Centrali Floty wprowadzić w życie klauzulę omega, więc...

- Wspaniale, *Dahaku!* - znowu przerwał mu Colin. - Wracam za chwilę.

A niech to! Odkrył, że z radości zaciera ręce.

- Ale, kapitanie...

- Za chwilę, *Dahaku.* Za chwilę. - Wypełniało go uniesienie - straszliwe, cudowne uniesienie. - Matko - powiedział.

- Tak, starszy kapitanie Floty Colinmacintyre?

- Colinie - odezwał się znów *Dahak* - istnieją...

- Matko - powiedział stanowczo, spiesząc się, by to, co *Dahak* próbował mu powiedzieć, nie osłabiło jego determinacji - wprowadź w życie klauzulę omega.

Na chwilę zapadła głęboka cisza, a potem wybuchło piekło. Colin skulił się na fotelu i uniósł dłonie do oczu, gdy w punkcie dowodzenia alfa zapłonęły światła. Jego lewe ramię przeszył ból, kiedy sonda z czystej energii pobrała próbkę jego tkanki, lecz było to niczym w porównaniu z mocą wypełniającą jego łącze neuralne. Jakaś niezgrabna ręka sięgnęła w głąb jego istoty i przedzierając się przez implanty, próbowała wyrwać z niego jego własną postać. Przez jedną straszliwą chwilę był Centralą Floty, wijąc się z bólu, gdy jego śmiertelny mózg i starożytne komputery Floty Bojowej połączyły się, odciskając na sobie nawzajem swój znak.

Colin krzyknął - cierpienie stało się nie do zniesienia, a jednak wszystko skończyło się, nim *zdążył* tego w pełni doświadczyć. Echa płynęły jeszcze przez chwilę po jego synapsach, odbijały się w przyspieszonym biciu serca, aż wreszcie znikły.

- Klauzula omega wprowadzona - powiedziała beznamiętnie Matka. - Cesarz nie żyje. Niech żyje cesarz!

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Próbowałem cię ostrzec - powiedział *Dahak*. Colin zadrżał. Cesarz? To... To... Brakowało mu słów.

- Colinie? - Głos Jiltanith był łagodniejszy niż *Dahaka* i o wiele bardziej zaniepokojony.

- Tak, Tanni? - wychrypiał z trudem.

- Cóż się z tobą działo, miłości moja? Krzyk słyszeliśmy. Czyś...

- Wszystko... wszystko w porządku, Tanni - powiedział. I w sensie fizycznym była to prawda. Odchrząknął. - Było kilka ciężkich chwil, ale już wszystko dobrze. Naprawdę.

- Czy przybyć do ciebie mogę? - Wydawała się nieco mniej niespokojna... ale tylko odrobinę.

Zebrał się na odwagę. - Matko?

- Tak, wasza cesarska mość? - odpowiedział głos. Colin skrzywił się.

- Matko, chciałbym, żeby dołączył do mnie jeden z moich oficerów. Kody jej implantów również znajdują się w twojej bazie danych. Czy możesz nakazać ochronie, by ją przepuściła?

- Jeśli wasza cesarska mość wyda takie polecenie.

- Moja cesarska mość z pewnością je wyda - powiedział Colin i uśmiechnął się krzywo. Może mimo wszystko jednak nie załamie się do końca.

- Proszę zidentyfikować oficera, który ma zostać wpuszczony.

- Co? Ach tak. Kapitan Floty Jiltanith, zastępca dowódcy *Dahaka*. Moja żona.

- Przyjęto.

- Tanni? - powiedział do komunikatora. - Chodź.

- Idę, miłości moja - odpowiedziała.

Colin rozciągnął się wygodnie na fotelu, świadom, że Tanni wkrótce przybędzie. Dreszcze przebiegające po jego kończynach w końcu ucichły, a oddech zwolnił.

- Matko?

- Tak, wasza cesarska mość?

- Co się stało, kiedy wprowadziłaś w życie klauzulę omega?

- Zakończono działanie podprogramów uruchamianych w wyjątkowych sytuacjach. W chwili, gdy wasza cesarska mość objęła tron, Centrala Floty przestała pełnić funkcję ich tymczasowego opiekuna.

- Tego się domyśliłem. Chcę uzyskać szczegółowe wyjaśnienie tego, co ty zrobiłaś.

- Centrala Floty odgrywała rolę strażnika sukcesji, wasza cesarska mość. Zgodnie z Wielkim Edyktem, jako starszy oficer Floty i cywilny urzędnik wymieniony w bazie danych Centrali Floty wasza cesarska mość była właściwym spadkobiercą po wygaśnięciu poprzedniej dynastii. Jednakże przed objęciem władzy wasza cesarska mość nie była znana Centrali Floty. Dlatego też Centrala musiała zdobyć próbki genów dla weryfikacji spadkobierców waszej cesarskiej mości, ocenić osobę waszej cesarskiej mości i zapisać ją w podstawowym rdzeniu danych centrali Floty.

Colin skrzywił się. Zbyt wielu rzeczy jeszcze nie pojmował, a kilka musiał od razu zmienić.

- Matko, czy nie możemy czegoś zrobić z moimi tytułami? - Pytanie niezrozumiałe, wasza cesarska mość.

- To znaczy... Jakie tytuły mi przysługują?

- Waszym podstawowym tytułem jest jego cesarska mość Colinmacintyre Pierwszy, wielki książę Birhat, książę Bia, wódz i protektor królestwa, obrońca pięciu tysięcy słońc, czempion ludzkości i z łaski Stwórcy cesarz ludzkiego rodzaju. Tytuły drugorzędne to: książę Aalat, książę Achon, książę Anhur, książę Apnar, książę Ardat, książę Aslah, książę Avan, książę Bahan książę Badarchin, książę...

- Przestań. Jezu! Ile właściwie jest tych tytułów?

- Pomijając te wymienione, cztery tysiące osiemset dwadzieścia jeden.

- Aha. - Całkiem nieźle jak na produkt porządnego republikańskiego wychowania. - Chciałbym jedno wyjaśnić, Matko. Nazywam się Colin MacIntyre - to dwa słowa - a nie Colinmacintyre. Czy zapamiętasz to na przyszłość?

- W bazie danych Floty i Cesarstwa wasz tytuł to jego cesarska mość Colinmacintyre Pierwszy, wielki książę Birhat, książę Bia, wódz...

- Rozumiem - przerwał jej Colin. - Chodzi mi o to, że nie chcę, żeby wszyscy używali tej całej cesarskiej wysokości; wolę, by zwracali się do mnie Colin, a nie Colinmacintyre. Czy nie możemy czegoś zrobić, żeby spełnić moje życzenie?

- Jak sobie wasza cesarska mość życzy. Jeszcze nie wybraliście nazwy swojego panowania. Dopóki tego nie zrobicie, będziecie znani jako Colinmacintyre Pierwszy; później tylko wasza dynastia będzie nosić wasze imię sprzed objęcia tronu. Czy to zadowalające?

- To dobry początek - mruknął Colin, starając się nie zastanawiać zbyt głęboko nad swoją dynastią. Pociągnął się za koniec nosa, po czym sam siebie skarcił. Przy tych wszystkich niespodziankach, jakie ostatnio go spotykają, niedługo będzie wyglądał jak



Pinokio. - Dobrze. Nazwa mojego panowania będzie brzmieć Colin. Proszę to zapisać.

- Zapisano - odparła Matka.

- A teraz sprawa tych tytułów. Z pewnością do dawnych cesarzy nie zwracano się przez cały czas per „wasza cesarska mość”, prawda?

- Dopuszczalne alternatywy to: wasza łaskawość, wasza wysokość, najjaśniejszy panie i panie. Książęta planet mogą używać zwrotu „panie mój”. Oficerowie okrętów flagowych i towarzysze Złotej Nowej mogą używać zwrotu „wodzu”.

- Cholera. Nie sądzę, byśmy mogli w ogóle zrezygnować z tytułów.

- Nie, wasza cesarska mość. Nakazy protokołu należy wypełniać.

- To ty tak uważasz - mruknął Colin. - Poczekaj, aż dorwę się do oprogramowania owych protokołów! - Potrząsnął głową. - Dobrze, skoro już tak musi być, to trudno, ale od tej chwili zwracając się do mnie, będziesz używać jedynie „panie”.

- Przyjęto.

- Dobrze. A teraz... - Przerwał, gdy rozległ się cichy dzwonek.

- Proszę o wybaczenie, panie. Przybyła cesarzowa Jiltanith. Czy mam ją wpuścić?

- Ależ oczywiście! - Colin zbiegł po schodach z podwyższenia i dotarł do wewnętrznego wjazdu w chwili, gdy ten się otwierał. Jiltanith sapnęła, gdy jego wzmacniany uścisk zagroził jej połamaniem żeber. Jej policzki były mokre.

- Jakże się cieszę, że cię widzę! - wyszeptał, przytulając ją do siebie.

- A ja ciebie. - Pocałowała go w ucho. - Bardzom się o ciebie troskała, jednakowoż bojaźliwość taka nie przystoi temu, kto tak dobrze cię zna. Żywotów masz więcej niż kot, ukochany jeno kontenta bym była, gdybyś ich tak swobodnie nie marnował.

- Cholerna racja - powiedział i żarliwie pocałował ją w usta - Na Boga, następnym razem cię posłucham.

- Tako rzeczesz... teraz. - Roześmiała się i pociągnęła go za uszy.

Nagła myśl sprawiła, że na jego wargach pojawił się psotny uśmiezek. Poprowadził kobietę na podest i podniósł głos.

- Matko, przywitaj moją żonę.

- Witaj, wasza cesarska mość - powiedziała posłusznie Matka. Jiltanith zatrzymała się w miejscu.

- Cóż to za szaleństwo? - spytała ostro.

- Przyzwyczajaj się do tego, kochanie. - Colin znów ją przytulił. - Twój gnuśny małżonek tym razem przyniósł do domu wypłatę. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Całe taczki.

\* \* \*

Kilkanaście godzin później o wiele mniej radosny Colin jęknął i przetarł dłońmi twarz. Siedział razem z Jiltanith na fotelu dowódcy Centrali Floty i słuchał, jak Matka składa raport na temat stanu Floty Bojowej, opisując każdą flotę i jednostkę w kolejności numerycznej. Do tej pory omówiła stan niecałych dwóch tysięcy flot, sił ekspedycyjnych i eskadr.

I do tej pory nic z tego, co powiedziała, nie było zadowalające.

- Zatrzymaj raport, Matko - przerwał komputerowi.

- Zatrzymano, panie - odparła uprzejmie Matka, a Colin roześmiał się. „Cesarz” - to śmieszne. „Wódz” - jeszcze zabawniejsze. Dowódca bez floty! Albo raczej dowódca floty, która jest zupełnie bezużyteczna.

Cesarstwo było zbyt zajęte umieraniem, żeby dokonać porządnego zamknięcia. Herdan Dwudziesty Czwarty żył wystarczająco długo, żeby uruchomić programy awaryjne Centrali Floty i pozostawić Matkę w trybie gotowości, by strzegła Birhat do chwili, aż pewnego dnia przyjdzie wybawienie, lecz większość Floty Bojowej nie miała takiego szczęścia. Kilkadziesiąt statków o napędzie nadświetlnym znikło z danych Centrali Floty co sugerowało, że ich załogi najprawdopodobniej próbowały uciec przed bronią biologiczną, lecz większość jednostek Floty została zakażona podczas prób ratowania cywilów. W przeciwieństwie do *Dahaka*, ich komputery nie były na tyle inteligentne, by coś zrobić, kiedy zabrakło ich załóg. Z wyjątkiem kilku, których dopływ mocy był aktywny, po śmierci ostatnich członków załogi po prostu wracały do najbliższej bazy Floty i pozostawały tam tak długo, aż ich reaktory termojądrowe się wyczerpały, a wtedy zaczynały dryfować, pozbawione mocy i życia.

Najwyraźniej żaden z nich nie powrócił do układu Bia - co nie dziwiło, gdyż Birhat jako pierwsza ofiara broni biologicznej zostało poddane kwarantannie na samym początku agonii Cesarstwa. Na hiperkomowe wezwanie Matki do wszystkich statków odpowiedziało mniej niż dziesięć aktywnych jednostek, a najbliższa z nich znajdowała się w odległości ośmiuset lat świetlnych. Gdyby Colin czekał na ich przybycie na Birhat, Ziemia zostałaby zniszczona, zanim zdążyłby powrócić.

Gorzką ironią był fakt, że systemy obronne Birhat pozostały niemal nieuszkodzone. Olbrzymia tarcza otaczająca Bia, wspierana potężną siłą ognia ochrony granic, mogłaby powstrzymać niemal wszystko. Ale ci, których trzeba było ratować, znajdowali się na Ziemi.

- Matko - powiedział wreszcie - spróbujmy czegoś innego. Zamiast składać raport zgodnie z kolejnością jednostek, wymień wszystkie siły zdolne do poruszania się, zaczynając od tych najbliższej Birhat.

- Przyjęto. Wymieniam rozlokowanie jednostek w systemie Bia. Eskadra Straży Bliskiej Orby Birhat: dwanaście ciężkich krążowników. Eskadra Patrolowa Dalekiego Układu Bia: dziesięć ciężkich krążowników, czterdzieści jeden niszczycieli, dziewięć fregat, sześćdziesiąt dwie korwety. Flotylla Straży Imperialnej: pięćdziesiąt dwie planetoidy klasy Asgerd, szesnaście...

- Co?! Przerwij! - krzyknął Colin. - Przyjęto.

- Co to, do cholery, jest Flotylla Straży Imperialnej?

- Flotylla Straży Imperialnej to osobiste jednostki wodza. Pięćdziesiąt dwie planetoidy klasy Asgerd wraz z pasożytami, szesnaście planetoid klasy Trosan z pasożytami i dziesięć planetoid desantowych klasy Vespa z planetarnymi jednostkami desantowymi. Obecna lokalizacja: orbita parkingowa trzydzieści osiem minut świetlnych od Bia. Status: nieaktywna.

- Jezu Chryste! - Colin rzucił okiem na Jiltanith. Była równie wstrząśnięta jak on. Oboje jednocześnie spojrzeli oskarżycielsko na konsolę.

- Czemu - spytał Colin niebezpiecznie spokojnym głosem - nie wspomniałaś o tym wcześniej?

- Panie, nie pytałeś o to - odparła Matka.

- Z pewnością pytałem! Prosiłem o kompletną listę wszystkich jednostek Floty Bojowej! - Matka milczała. Zdusił obelgę skierowaną pod adresem komputerów, które nie widzą potrzeby udzielania odpowiedzi bez określonych wskazówek. - Czyż nie? - warknął.

- To prawda, panie.

- To dlaczego ich nie wymieniłaś?

- Wymieniłam, panie.

- Ale nie powiedziałaś o Flotylli Straży Imperialnej. - Flotylli! Jezu, to cała flota!

- Panie, Straż Imperialna nie jest częścią Floty Bojowej. Straż Imperialna jest wyposażana i obsadzana osobiście przez cesarza.

Colin zamrugał. Cesarz, którego własne terytoria są w stanie utrzymać taką siłę ognia? Ta myśl sprawiła, że przeszedł go dreszcz. Drżąc, opadł na fotel, gdzie otoczyło go ciepłe ramie.

- Dobrze. - Otrząsnął się i odetchnął głęboko, czerpiąc siłę z obecności Jiltanith. - Czemu Flotylla Straży jest nieaktywna?

- Wyczerpanie mocy i niekontrolowane wyłączenie, panie.

- Oceń prawdopodobieństwo udanej reaktywacji.

- Sto procent - odpowiedziała Matka beznamyślnie, a Colina przeszedł dreszcz podniecenia. Ale powoli, powiedział sobie. Powoli.

- Przyjmij zasoby w postaci personelu Floty Bojowej w liczbie stu siedmiu tysięcy, jednej planetoidy klasy Utu oraz aktywnego i nieaktywnego wsparcia znajdującego się obecnie w układzie Bia - powiedział powoli - i oblicz czas konieczny do odzyskania przez Flotyllę Straży Imperialnej pełnej gotowości bojowej.

- Odzyskanie pełnej gotowości bojowej jest niemożliwe. Wymieniony personel jest niewystarczający do obsadzenia załóg.

- W takim razie oblicz czas potrzebny do odzyskania ograniczonej zdolności bojowej.

- Obliczam, panie. - Matka umilkła na niepokojąco długi czas. Minęła niemal pełna minuta, nim ponownie się odezwała. - Obliczenia zakończone. Prawdopodobny niezbędny czas: cztery przecinek trzydzieści dziewięć miesiąca. Margines błędu dwadzieścia przecinek siedem procentu ze względu na dużą liczbę niewiadomych.

Colin zamknął oczy i poczuł drżenie Jiltanith. Cztery miesiące - maksymalnie pięć i pół. Może im się udać. Na wszystkie świętości, może im się udać.

- Tam - powiedział cicho Tamman, gdy na wyświetlaczu *Dahaka* pojawił się zielony krąg otaczający niewielką migoczącą plamkę. Plamka rosła w miarę zbliżania się *Dahaka*, a po chwili pojawiły się kolejne plamki, tworzące luźny naszyjnik planet.

- Widzę je - odparł Colin, wciąż ciesząc się z powrotu do punktu dowodzenia numer jeden i świata, który znał. - Wielkie sukinsyny, co, *Dahaku*?

- Obliczam, że największy z nich ma masę o dwadzieścia pięć procent większą od *Dahaka*. Na temat ich pochodzenia nie jestem gotów spekulować.

Colin zachichotał. *Dahak* był o wiele bardziej chętny do nieoficjalnych wypowiedzi, od kiedy Colin powrócił z Centrali Floty, jakby pojmował, że mężczyzna, który nagle odkrył, że jest cesarzem, mógł przeżyć wstrząs. A może komputer po prostu cieszył się z jego powrotu. *Dahak* miał skłonność do martwienia się o swoich przyjaciół.

Przyglądał się rosnącym planetoidom. Jeśli Wład miał rację co do technologii Cesarstwa, te statki będą w działaniu potworami - a właśnie potworów potrzebowali.

- Kapitanie, proszę popatrzeć. - Ellen Gregory, astronawigator Sary Meir, umieściła swój własny świecący krąg na wyświetlaczu, wyróżniając w ten sposób jeden statek. - Co o tym sądzicie, sir?

Colin spojrział. Olbrzymia kula unosząca się w kosmosie była tylko trochę podobna do jedynej imperialnej planetoidy, jaką kiedykolwiek widział, ale jedna rzecz była znajoma: ogromny trzygłowy smok, który rozkładał skrzydła na migoczącym kadłubie.

- Patrzcie no państwo - mruknął. - *Dahaku*, co o tym sądzisz?

- Zgodnie z bazą danych Centrali Floty, którą otrzymałem - odparł komputer - to

planetoida jego cesarskiej wysokości *Dahak*, numer kadłuba Siedem-Trzy-Sześć-Cztery-Cztery-Osiem-Dziewięć-Dwa-Pięć.

- Inny *Dahak*

- We Flocie Bojowej to nazwa przyprawiająca o dumę. - *Dahak* wydawał się nieco dotknięty. - Podobnie jak *Enterprise* w marynarce Stanów Zjednoczonych. Wedle danych to dwudziesty trzeci statek o takiej nazwie.

- Naprawdę? A którym ty jesteś? - Ta jednostka jest jedenastą o tej nazwie.

- Rozumiem. Cóż, żeby uniknąć zamieszania, będziemy określać tego młodzika jako *Dahak Dwa*, jeśli ci to odpowiada

- Zapisano - odparł spokojnie *Dahak*. Wciąż zbliżali się do czekających w milczeniu, martwych od tysiącleci kadłubów, które mieli ożywić.

\* \* \*

- Na Stwórcę, mam!

Colin niemal wyskoczył z fotela, gdy w punkcie dowodzenia numer jeden zmaterializował się hologram Cohanny. Oficer biotechnologii wyglądała strasznie: jej włosy były rozczochrane, a mundur pomięty, lecz jej oczy płonęły triumfalnie.

- Spróbuj z penicyliną - poradził kwaśno. Popatrzyła na niego bezmyślnie, po czym wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Przepraszam, sir. Chciałam powiedzieć, że już wiem, co się stało na Birhat, dlaczego mają ataki niesamowity ekosystem. Znalazłam to w bazie danych Matki.

- Co? - Colin wyprostował się i spojrzał uważniej. - Mów!

- Tak naprawdę to bardzo proste. Ogrody zoologiczne. Ogrody zoologiczne rodziny cesarskiej.

- Zoo? - Tym razem to Colin popatrzył bezmyślnie.

- Tak. Widzisz, cesarska rodzina miała ogromny ogród zoologiczny. Flora i fauna z ponad trzydziestu różnych planet w zamkniętych samowystarczalnych habitatach planetarnych. Najwyraźniej przetrwały plagę. Przypuszczam, że automatyczne systemy odpowiedzialne za powstrzymywanie rozwoju roślinności w jednym z nich zawiodły i wtedy habitat się rozpadł. Kiedy jego mieszkańcy wydostali się na zewnątrz, zaatakowali inne habitaty. W miarę upływu lat kolejne tlenowo-azotowe habitaty otwierały się i ich mieszkańcy zaczęli odzyskiwać planetę. Dlatego mamy tutaj tak popieprzoną ekologię. Patrzymy na spadkobierców tuzina różnych planetarnych ekosystemów po czterdziestu pięciu tysiącach lat doboru naturalnego!

- A niech mnie diabli - westchnął Colin. - Dobra robota, Cohanno. To niezwykle, że

byłaś w stanie się nad tym skupić w takiej chwili.

- W jakiej chwili?

- Zbliżamy się przecież do Straży Imperialnej - powiedział Colin, unosząc brwi, gdy Cohanna zmarszczyła nos.

- Co to jest Straż Imperialna?

\* \* \*

Wład Czernikow zadrżał, gdy razem z Baltanem płynęli po zbawionym życia i światła szybem transportowym. Pomyślał że tak wyglądałby *Dahak*, gdyby Anu się udało.

Był to przynębiający widok. Widząc na własne oczy taką dewastację, nie miał pewności, czy w ogóle coś da się z tym zrobić. Martwe siłownie, wyczerpane paliwo, pomieszczenia kontrolne i obwody, które nie zostały odpowiednio wyłączone, kiedy statek umierał. Były nawet uszkodzenia od meteorów, gdyż tarcze umarły razem ze wszystkim innym. Sądząc po wielkiej dziurze przy południowym biegunie, jedna z planetoid mogła w ogóle nie nadawać się do naprawy.

Wszyscy mieli podobne problemy. Caitrin O'Rourke niemal rozpląkała się na widok farm hydroponicznych, zaś Geran wściekł się, widząc tak wielką ilość dobrego sprzętu nie umieszczonego w stazie. We wszystkich rodzajach broni opartych na antymaterii pola podtrzymujące zawiodły. Przynajmniej bezpieczniki na głowicach zadziałały tak, jak je zaprojektowano, i wyrzuciły je w nadprzestrzeń, kiedy pola przestały działać, lecz wraz z nimi zniknęły spore kawały grodzi magazynów. Oczywiście, gdyby nie zadziałały...

Skupił uwagę na saniach grawitonicznych, którymi jechał teraz razem z Baltanem. Były o wiele wolniejsze niż szyb transportowy, lecz i tak nie odważyli się rozwinąć pełnej prędkości.

Nie mieli komputera nadzorującego system szybów, który ostrzegałby o niespodziewanych zakrętach!

Przekręcił głowę, aby odczytać napis nad lukiem. Gamma jeden-jeden-dziewięć-jeden-jeden. Zgodnie z planami, które *Dahak* ściągnął, zbliżali się do inżynierii.

I rzeczywiście tak było. Poklepał Baltana po ramieniu, a ten pokiwał głową w polu siłowym swojego hełmu. Sanie skręciły w bok i otarły się o właz - który oczywiście pozostał zamknięty.

Czernikow zdusił przekleństwo, po czym uśmiechnął się, kiedy przypomniał sobie opowieść Colina o „koronacji”. Kapitan - cesarz! - wyczerpał wtedy co najmniej miesięczny przydział przekleństw całej załogi, tak przynajmniej oceniał Czernikow. Zachichotał na tę myśl, zsiadł z sań i wyciągnął przewód z generatora za plecami, mrużąc słowiańskie obelgi.

Brak mocy oznaczał brak sztucznej grawitacji, co niestety nie oznaczało braku grawitacji w ogóle. Planetoida sama z siebie wytwarzała dość spore pole grawitacyjne, które przy braku mocy zmieniało grodzie w pokłady, a pokłady w grodzie.

Znalazł awaryjne gniazdo i podłączył przewód, a wtedy włączył się odsunął. Machnął ręką i Baltan wprowadził sanie do środka, a potem, poruszając potężnymi lampami, zaczął szukać awaryjnego oświetlenia.

Wreszcie je znalazł. Przebłagawszy Murphy'ego kilkoma przekleństwami, włączył oświetlenie. Potem dwaj inżynierowie rozpoczęli badanie działu inżynierii.

Czernikow czuł oszołomienie, gdy jego oczy i implanty przyglądały się obwodom i systemom kontrolnym. To coś było co najmniej pięć razy mocniejsze od napędu *Dahaka*, i nie uwierzyłby, gdyby nie zobaczył tego na własne oczy. Ale, na galaktykę, po co im było tyle mocy? Nawet biorąc pod uwagę potężniejszą broń energetyczną i tarcze, musiały być jakieś inne powody.

Podążył wzrokiem i implantami za potężnym przewodem, którego nie powinno tutaj być. Wspiął się na panel kontrolny, który stał się teraz podłogą, choć leżał nieco pod kątem, i aż sapnął.

- Baltanie! Popatrz tylko na to!

- Wiem - powiedział asystent, podchodząc z drugiej strony.- Doszedłem za obwodami kontrolnymi. - Czy możesz w to uwierzyć?,

- To z pewnością tłumaczy tak wielkie zapotrzebowanie na moc.

- To prawda. - Czernikow przeszedł kilka metrów, starannie badając znalezisko, po czym potrząsnął głową. - Muszę powiedzieć o tym kapitanowi.

Włączył implant komunikacyjny i po kilku chwilach Colin odpowiedział. Wydawał się trochę udręczony - i nic dziwnego biorąc pod uwagę, że każda z drużyn badawczych musiała znajdować jakieś cuda, o których chciała go poinformować.

- Kapitanie, jestem w centrali inżynierii *Mairsuka*, i nie uwierzysz, na co patrzę.

- Nauczyłem się wierzyć w dziewiętnaście niesamowitych rzeczy każdego dnia jeszcze przed śniadaniem - powiedział Colin zmęczonym głosem.

- Dobrze, w takim razie oto numer dwadzieścia. Statek ma napęd Echanach i jednocześnie jest zdolny do podróżowania w nadprzestrzeni.

Zapadła wymowna cisza.

- Co powiedziałaś? - zapytał w końcu Colin.

- Powiedziałem, sir, że mamy tu jednocześnie napęd Echanach i do podróżowania w nadprzestrzeni, zmniejszone do takich rozmiarów, że oba mieszczą się w jednym kadłubie.

Nie jestem jeszcze pewien, lecz oceniam, że połączona masa obu jednostek jest mniejsza niż napędu Echanach *Dahaka*.

- Cóż za wspaniały poranek - mruknął Colin. - Dobrze. Rozejrzyjcie się, a potem wracajcie tutaj. Za cztery godziny mamy spotkanie wszystkich szefów wydziałów w sprawie reaktywacji.

- Zrozumiano - odpowiedział Czernikow i przerwał połączenie. Obaj z Baltanem wzruszyli wymownie ramionami i znów pochyłili się nad swoim skarbem.

\* \* \*

- ...nie możemy być pewni, dopóki nie uruchomimy wszystkich komputerów i nie przeprowadzimy pełnej inwentaryzacji - powiedział Geran - ale około dziesięciu procent wszystkich części zapasowych wymagało przechowywania w kontrolowanych warunkach. Bez tego... - Wzruszył ramionami.

Większość szefów wydziałów zjawiała się osobiście, lecz spora część grupy zwiadu prowadziła badania innych instalacji. Hector MacMahan i Ninhursag pojawili się w postaci holograficznej, gdyż fizycznie przebywali na mostku *Osira*. Teraz wszystkie spojrzenia, prawdziwe i holograficzne, zwróciły się na Colina.

- Dobrze - rzekł, opierając ręce na kryształowym blacie i odpowiadając na ich spojrzenia. - Oszacowanie czasu przez Matkę opierało się na szesnastogodzinnych zmianach dla każdego mężczyzny i kobiety, pod warunkiem, że uruchomimy przynajmniej jedną zautomatyzowaną linię naprawczą. Zgodnie z raportami ludzi Hectora, najprawdopodobniej to się nam uda, lecz sadzę, że zanim skończymy, zmiany mogą być nawet dwudziestogodzinne. Moglibyśmy zmniejszyć obciążenie, gdybyśmy skoncentrowali się tylko na kilkunastu jednostkach - jestem pewien, że w ciągu najbliższych tygodni ten pomysł pojawi się w wielu głowach - jednak tego nie zrobimy. Będziemy potrzebowali jak największej liczby tych statków. Panie i panowie, chcę je mieć wszystkie.

Rozległ się dźwięk przypominający ciche sapnięcie. Colin uśmiechnął się ponuro.

-Bóg jeden wie, jak ciężko pracują na Ziemi, ale my już wkrótce odpracujemy nasze przyjemne wakacje podczas drogi tutaj. Wszyscy. Żadnych wyjątków. Opuścimy ten układ nie później niż za pięć miesięcy i cała Flotyła Straży Imperialnej poleci z nami.

- Ale, sir - wtrącił się Czernikow - możemy chcieć zbyt wiele i wszystko stracić. Nie boję się ciężkiej pracy, lecz mamy ograniczoną liczbę personelu. Bardzo ograniczoną.

- Rozumiem, Wład, ale ta decyzja nie podlega dyskusji. Na statku są ludzie o silnej motywacji i dużych umiejętnościach.

Jestem pewien, że zrozumieją i dadzą z siebie wszystko. Powiedzcie im, że sam będę



urabiał sobie tyłek obok nich, ale to nie znaczy, że nie będę ich miał na oku. I jeśli złapię kogoś na miganiu się od roboty, będę najgorszym koszmarem, jaki może mu się przytrafić.

Jego uśmiech był ponury, lecz nawet taka odrobina rozbawienia wydawała się nie na miejscu na jego twardej jak gładz twarzy.

- Powiedźcie im, że muszą się z tym liczyć - dokończył bardzo, bardzo cicho.

# KSIĘGA DRUGA

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Zastępca sługi gromu Brashieel z Gniazda Aku'Ultan splótł wszystkie cztery nogi na służbowej poduszce, pochylił długi pysk nad wyświetlaczem i wsunął dłonie w rękawice kontrolne. Osiem palców i cztery kciuki podrygiwały, uruchamiając kolejne obwody. Z radością przyglądał się wynikom. Nie zanotował żadnej poważniejszej usterki w ciągu trzech dwunastek dwunastek straży. Zakończywszy kontrolę wyposażenia, sprawdził pozycję *Obrońcy*. Zrobił to całkowicie automatycznie - wiedział, że nie mogło być żadnych zmian. Statek wszedł w nadprzestrzeń i pozostawał tam aż do chwili, gdy dotarł do wybranej wcześniej lokalizacji i znów wyłonił się w normalnej przestrzeni. Brashieel nie do końca pojmował te tajemnice, gdyż nie był lordem - nawet gromów, nie wspominając już o podróżach gwiazdnych - ale ponieważ Pomniejszy Lord Porządku Hanorg był dobrym lordem, upewnił się, że wszystkie pisklęta *Obrońcy* wiedzą, dokąd się udają. To kolejne żółte słońce, z dziewięcioma planetami. Kiedyś miało ich dziesięć, ale to było przed wizytą floty Wielkiego Lorda Vaskeela, wielkie dwunastki lat temu.

- Teraz nadszedł czas powrotu i *Obrońca* wraz z towarzyszami przejdą przez słońce jak oddech Tarhisha, depcząc zastępy gniazd ognistymi kopytami.

To dobrze. Obrońcy gniazd nakarmią wrogami oddech Tarhisha i Gniazdo będzie już na zawsze bezpieczne.

\* \* \*

- Obrona zewnętrznych granic potwierdza fale nadprzestrzenne nadchodzące ze wschodu galaktyki - powiedział sir Frederick Amesbury.

Gerald Hatcher pokiwał głową, nawet nie podnosząc wzroku Jego łącze neuralne wypełniały raporty o gotowości.

- Czy znasz miejsce, w którym wyjdą z nadprzestrzeni, i spodziewany czas przybycia, Fredericku?

- Cholernie ciężko to określić, ale dział radiolokacji twierdzi, że będzie to pięćdziesiąt minut świetlnych i czterdzieści pięć stopni nad ekliptyką. Oceniając po sile fali, sukinsyny pojawią się za jakieś dwanaście godzin. Obserwatorzy obiecują, że potwierdzą to w ciągu najbliższych dwóch godzin.

- Dobrze.

Hatcher przyjął ostatni raport, po czym kolejny raz powrócił myślami do *Dahaka*. Skoro Colina nie ma tak długo, to znaczy, że nie znalazł pomocy na Sheskar i szuka wsparcia gdzie indziej. Najwyraźniej musiał uznać, że Ziemia poradzi sobie bez niego, więc być może nie wróci przez najbliższy rok.

Włączył panel komunikacyjny. Niemal natychmiast pojawiła się na nim twarz Horusa.

- Gubernatorze - powiedział generał, zdając sobie sprawę, że Horus już wie, co ma mu powiedzieć, i że mówi tylko z przyczyn proceduralnych. - Muszę poinformować, że umieściłem nasze siły na Czerwonym Dwa. Wykryto fale nadprzestrzeni, zakładamy, że są wrogiego pochodzenia. Spodziewany czas przybycia to - sprawdził przez łącze - siedemnasta trzydzieści Zulu. Siły obronne układu są w pełnej gotowości. Rozpocząć cywilne procedury obronne. Wszyscy dowódcy PCO i OCO w sieci. Eskadry przejmujące będą w gotowości w ciągu dwóch godzin. Planetarne generatory tarczy i planetarny dopływ mocy są w stanie oczekiwania. Eskadry bojowe jeden i cztery znajdują się w odległości trzydziestu minut od spodziewanego miejsca wyłonienia się wroga z nadprzestrzeni. Eskadry dwa i sześć powinny dotrzeć do nich o siódmej zero zero Zulu. Eskadry trzy, pięć, siedem, osiem, dziewięć i dziesięć znajdują się wraz z eskortą w głębi układu, zgodnie z planem A Jeden. Czy chce pan wydać jakieś polecenia, panie gubernatorze?

- Nie, generale Hatcher. Proszę mnie informować na bieżąco. - Tak jest, sir.

- Powodzenia, Geraldzie - dodał Horus cicho i o wiele mniej oficjalnym tonem.

- Dzięki, Horusie. Postaramy się dopomóc szczęściu. Ekran zgasł i Gerald Hatcher odwrócił się z powrotem do swojej konsoli.

\* \* \*

Zastępca sługi Brashieel sprawdził swój chronometr. Brakowało zaledwie czterech dwunastych dnia do wyłonienia się z nadprzestrzeni. Na pokładzie *Obrońcy* panowało napięcie, gdyż był to Sektor Demona. Nieczęsto obrońcy gniazd napotykali wroga o rozwiniętej bazie technologicznej, ale pięć z ostatnich dwunastu Wielkich Odwiedzin w tym sektorze było bardzo brutalnych. Triumfowali, lecz za zbyt wielką cenę. Być może, pomyślał Brashieel, to dlatego Wielkie Odwiedziny Wielkiego Lorda Tharno opóźniły się - by zebrać siły, których Gniazdo potrzebowało dla osiągnięcia pełnego sukcesu.

Już sam ten fakt był powodem troski, jednak niepokój wśród jego towarzyszy wzrósł, odkąd wykryto pierwsze kompleksy czujników zabójców gniazd. Więcej niż jeden statek zwiadowców został podstępnie zniszczony przez te diabelskie stacje, a pozostali przy życiu nie dowiedzieli się niczego o technice tych, którzy zbudowali te stacje... prócz tego, że była bardzo zaawansowana. Ale ten układ gwiazdny nie będzie zagrożeniem. Pomniejszy Lord

Hantorg ujawnił wyniki ostatniego skanowania wkrótce po tym, jak weszli w nadprzestrzeń przed ostatnim skokiem do celu. Choć wykryto emisje elektroniczne i neutrin, co nie było niczym dobrym, nie widzieli żadnych bardziej zaawansowanych sygnałów znanych z kompleksów czujników. Obrońcy oczywiście muszą zająć się tym zagrożeniem, a ponieważ ci zabójcy gniazd mają tylko pomniejszy grzmot, bez trudu zostaną zmioteni. W tak krótkim czasie nic nie może tego zmienić

\* \* \*

Kapitan Adrienne Robbins siedziała w fotelu dowódcy na podświetlonym okręcie wojennym *Nergal*. Admirał Isaiah Hawter, najstarszy rangą członek jednostek obrony Układu Słonecznego, był razem z nią na mostku, choć równie dobrze mógłby być na innej planecie. Całą uwagę poświęcał swojej konsoli, przez którą wraz ze swoim sztabem dowodził Siłami Ekspedycyjnymi Jeden.

Kapitan Robbins była pilotem statków o prędkości podświetlonej i nigdy nie spodziewała się, że będzie dowodzić okrętem flagowym - zwłaszcza że jednostki podświetlone zazwyczaj działały pojedynczo - nie wspominając już o obronie własnej planety przed morderczymi obcymi, ale była gotowa. Czowała, jak napięcie rośnie, dostosowała więc poziom adrenaliny, aby oszczędzić energię. Bydlaki wyjdą z nadprzestrzeni za mniej niż dwie godziny, a dział radiolokacji zlokalizował ich z dużą dokładnością. Siły Ekspedycyjne Jeden muszą ich zniszczyć, zanim te sukinsyny zrobią mikroskok w nadprzestrzeń i zaatakują z innej strony.

Módl się, pomyślała, żeby ci Achuultanie nie zmienili zbyt szybko swojej techniki w ciągu ostatnich sześćdziesięciu tysięcy lat.

Pomodliła się, a przy okazji przypomniała sobie ulubiony aforyzm swojej matki: „Bóg pomaga tym, którzy sami sobie pomagają”.

\*\* \*

- Siły Ekspedycyjne na pozycji Charlie-Trzy.

- Dziękuję - powiedział z roztargnieniem Hatcher. Obrazy marszałków Tsiena i Czernikowa dzieliły ekran jego komunikatora z generałami Amesburym, Singhmanem, Tamą i Ki. Chiang Chien-su, czekający w napięciu w kwaterze głównej obrony cywilnej, miał ekran dla samego siebie. W tyle za Tsieniem Hatcher widział pomieszczenie kontrolne PCO „Huan Ti”. Marszałek uczynił z niego kwaterą główną Dowództwa Obrony Półkuli Wschodniej. Tama i Ki siedzieli w centrum dowodzenia myśliwców, zaś Singhman znajdował się na pokładzie OCO numer siedem - był zastępcą Hawtera i równocześnie dowodził umocnieniami orbitalnymi.

- Panowie, wyłonią się za trzydzieści minut w zasięgu naszych planetarnych ciężkich wyrzutni pocisków nadświetlnych, chcę zatem, by uruchomiono tarczę na maksymalnej mocy. Utrzymujcie to połączenie otwarte. - Odpowiedzią było kiwanie głowami. - Dobrze, marszałku Czernikow. Proszę uruchomić dopływ mocy.

\* \* \*

Porucznik Andrew Samson skrzywił się, gdy odrzut odbił się echem w systemach celowniczych jego wyrzutni. Orbitalne centrum obrony siedemnaście, znane jako „Żelazna Suka”, unosiło się na orbicie geosynchronicznej nad Tierra del Fuego. A to, jak zauważył Samson, było stanowczo zbyt blisko Antarktyki.

Dostosował swoje systemy, odsuwając się nieco od dopływu mocy, i odetchnął z ulgą. Może w końcu nie będzie tak źle, choć jakże się to różni od przebiegów próbnych. Niech Bóg ma nas wszystkich w swojej opiece, jeśli stracimy nad tym kontrolę, Modlił się - i to nie tylko z powodu tego, co mogłoby się stać z „Żelazną Suką”.

\* \* \*

Wyjący wicher i kawałki lodu wypełniały nocną krainę. Pocałunek wiatru niósł śmierć, a jego lodowe objęcia były mordercze. Nie było tu życia. Było tylko zimno, jękliwy lament wiatru i lód. Nagle lodowatą noc rozerwało ogniste objawienie. Szalejąca kolumna energii, spleciona niewidzialnymi łańcuchami, wbiła się w niebo, błyszcząca i straszliwa, gdy przesywała niskie chmury.

Pochodnia wojny zapłonęła, a jej wściekła moc popłynęła potężnymi przekąźnikami złożonej przestrzeni. Orbitalne centra obrony piły z fontanny Czernikowa.

\* \* \*

- Nadchodzą - powiedziała cicho kapitan Robbins. - Obsługa wyrzutni w gotowości. Broń energetyczna na pełną moc. Przez jej łącze neuralne popłynęły potwierdzenia, a kobieta głębiej wcisnęła się w fotel, nawet nie zdając sobie sprawy, że to robi.

\* \* \*

Zastępca sługi grzmotu Brashieel ostatni raz sprawdził swoje instrumenty, choć wiedział, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Muszą tylko zatrzymać się i wybrać odpowiednią asteroidę, a potem ruszyć dalej, aby zniszczyć światy zabójców gniazd. Był obrońcą i szczylił się tym, że jest przygotowany na wszystko.

Mój Boże, jakie wielkie! Muszą mieć ze dwadzieścia kilometrów długości!

To spostrzeżenie pojawiło się na powierzchni mózgu kapitan Robbins, lecz pod powierzchnią zadziały wyszkolone reakcje.

- Taktyczny, pociski na mój rozkaz. Okręt flagowy wybiera cele. - Przerwała, by

komputery mogły przetrawić ostatnie informacje ze sztabu admirała. W tym czasie kolejne potworne statki zaczęły wylaniać się z nadprzestrzeni. Statek za statkiem - dziesiątki. Kolejne dziesiątki. Niczym dzinn z butelki.

- Ognia! - warknęła.

\* \* \*

Brashieel sapnął, spoglądając na swoje odczyty. Te statki nie mogą istnieć!

Lecz jego niepokój zaraz się zmniejszył - nieco - gdy przetrawił więcej danych. Były ich tylko cztery dwunastki i były malutkie, choć większe, niż ktokolwiek mógł się spodziewać. Nie miały prawa tutaj być, lecz nie stanowiły zagrożenia dla *Obrońcy* i jego braci.

Nie miał czasu zauważyć dziwnych odczytów energii, zanim wróg wystrzelił.

\*\* \*

Adrienne Robbins skrzywiła się, gdy wszechświat rozpadł się na kawałki. Już wcześniej wystrzeliwała głowice grawitoniczne i antymaterii (podczas ćwiczeń Flota znacznie zmniejszyła liczbę asteroidów Sol), lecz nigdy do żywego celu. Pociski nadprzestrzenne zniknęły w nadprzestrzeni i znów się pojawiły - ich wycucie czasu było nienaganne. Tarcze Achuultan nie zdążyły jeszcze się ustabilizować, gdy pierwsza potężna salwa dotarła do celu.

\*\* \*

Wstrząśnięty Brashieel krzyknął, okrywając się wstydem w obecności towarzyszy z Gniazda, lecz nie był jedyny. Co to było?

Dwanaście statków zniknęło w czasie jednego uderzenia serca. Czujniki powiedziały mu, co się stało, lecz nie mógł uwierzyć. Te pociski przechodziły przez nadprzestrzeń! Z takich malutkich statków? To niewiarygodne.

Poczuł, jak jego splecione nogi drżą, gdy te pozbawione znaczenia małe stateczki zaczęły niszczyć pierwsze eskadry. Statki ginęły, rozrywane na strzępy w niewyobrażalnych ognistych kulach, a inne odlatywały, rozżarzone i na wpół stopione, niektóre nawet od jednego trafienia. Taka moc! I te dziwne głowice, które nie wybuchały, lecz rozszarpały statek w nowy, straszliwy sposób. Co to jest?

Ale był obrońcą, a *Obrońca* miał dobrą reputację, którą musiał podtrzymać. Jego dłonie w rękawicach kontrolnych były spokojne. Uzbroidł własną broń i wtedy w jego uszach rozległ się wściekły głos Pomniejszego Lorda Hantorga.

- Otworzyć ogień!

\*\* \*

Adrienne Robbins opanowała uniesienie. Na Boga, sześćdziesięciu sukinsynów jedną

salwą! Ale to były łatwe cele, bez tarcz, i można było strzelać do nich jak do kaczek. Teraz jej czujniki poinformowały, że tarcze się ustabilizowały i pierwszy z wrogich statków odpowiedział ogniem.

Połączyła się ze specami od walki radioelektronicznej, którzy uruchamiali wabiki i zakłócanie. Czułaby się lepiej, gdyby przed starciem miała jakieś pojęcie o możliwościach Achuultan, lecz okazało się, że Siły Ekspedycyjne Jeden walczą o te same dane, których potrzebowała Ziemia, by zaplanować obronę, zajęła się więc badaniem wrogich tarcz. Były całkiem mocne, ale musiały takie być, biorąc pod uwagę rezerwę mocy, jaką miały te potworne statki. Technicznie nie były tak dobre jak tarcze *Nergala*, jedynie różnica mocy czyniła je silniejszymi. Fajnie o tym wiedzieć, ale to niczego nie zmieniało.

Pierwsze pociski Achuultan dotarły do celu i kapitan Robbins przeżyła kolejne zaskoczenie. To były pociski lecące w normalnej przestrzeni, ale cholernie szybkie - siedemdziesiąt, osiemdziesiąt procent prędkości światła - i o wiele lepsze niż to wszystko, co miał *Nergal*. Obrona przeciwrakietowa dostanie drgawek.

\* \* \*

Zastępca sługi gromu Brashieel warknął, gdy pierwsza salwa uderzyła we wroga. Pół dwunastki pocisków przebiło się przez obronę, ignorując żałośnie nieskuteczne wabiki. Materia i antimateria połączyły się, uderzając w tarczę zabójców gniazd. Wewnętrzne powieki Brashieela zwężyły się, gdy przyglądał się jej nieprawdopodobnej wytrzymałości. Lecz jego grzmot był zbyt potężny. Tarcza rozpadła się i oddech Tarhisha posłał statek na śmierć.

\* \* \*

Kapitan Robbins zaklęła, *gdy Boliwia* zapłonęła. Te pieprzone główce były nieprawdopodobne. Ślady ich emisji świadczyły że składały się z antimaterii i były naprawdę potężne i paskune. Równie wielkie jak wszystko to, co mieli obrońcy Ziemi.

*Boliwia* była pierwsza, lecz za nią podążyła *Kanada*, a później *Shirhan* i *Polska*. Jezu, proszę, modliła się. Niech zwolnią.

Lecz potężne statki Achuultan i tak ginęły szybciej niż Siły Ekspedycyjne Jeden. Być może tylko dlatego, że wchodziły sobie nawzajem w drogę, ale mimo to Adrienne Robinson poczuła przypływ uniesienia, gdy kolejny z nich padł ofiarą rakiet *Nergala*.

- Zbliżyć się - powiedział ponuro admirał Hawter i *Nergal* ruszył prosto w paszczę ostrzału Achuultan.

- Przygotować broń energetyczną - rozkazała zimno Adrienne.

\*\* \*

Nie uciekali. Cokolwiek by nie powiedziec o zabójcach gniazd, mieli odwagę. Jedni ginęli, płonąc niczym drzazgi żywicznego drzewa *mowap*, a w tym czasie inni już się zbliżali. Ich obrona była coraz lepsza. Na oczach Brashieela skuteczność ich systemów zakłócających wzrosła o trzydzieści procent.

\* \* \*

Kapitan Robbins uśmiechnęła się blado. Jej specjaliści od walki radioelektronicznej zebrali solidne dane na temat systemów celowniczych Achuultanh i wiedzieli, co z nimi zrobić. Kolejne trzy statki zostały zniszczone, lecz pozostałe zestrzeliwały zbliżające się pociski.

Cokolwiek się stanie, te dane będą bezcenne dla reszty Floty i samej Ziemi. Nie żeby Adrienne miała wielką ochotę tutaj zginąć, lecz miło jest mieć taką świadomość.

Aha! Osiągnęli zasięg broni energetycznej.

\* \* \*

Brashieel sapnął, kiedy groteskowe statki wroga otworzyły ogień z ciężkiej broni energetycznej. Takie małe stateczki nie mogą nieść tak potężnych baterii!

Ale niosły. Cztery dwunaste z nich zsynchronizowały ogień z dogodnością co do mikrosekundy, atakując achuultańskie ofiary, rozległy się sygnały przeciążenia i silniki zaczęły gorączkowo dodawać mocy do tarczy, lecz to nie wystarczało, aby jednocześnie powstrzymać pociski i wiązki promieni.

Przyglądał się przerażony, jak przednie tarcze *Mściciela* przestają działać. Pojedynczy promień zabójców gniazd przebił jego pancerz i rozszarpał frontową dwunastkę. Choć zaden z obrońców nie chciał przyznać, że jakaś rasa jest w stanie dorównać Aku'Ultanom, Brashieel znał mrozącą krew w żyłach prawdę. Nigdy nie słyszał o broni, która byłaby w stanie zrobić coś takiego.

Jęknął, gdy kadłub *Mściciela* pękł niczym zgniły *istham* a później kolejna niesamowita, pochodząca od Tarhisha głowica zmieniła statek w zniszczoną kulę metalu. Siłownie *Mściciela* umilkły i brat *Obrońcy* przestał istnieć.

Brashieel odsłonił zęby, gdy obraz na jego wyświetlaczu się zmienił. Teraz zabójcy gniazd dostaną nauczkę - jego wyrzutnie pocisków nadświatlnych w końcu się naładowały!

\*\* \*

- Pociski nadświatlne! - zawołał ktoś z taktyki i Adrienne zaczęła robić uniki. *Irlandia* i *Izhmit* miały mniej szczęścia niż *Nergal*. Tarcza *Irlandii* powstrzymała pierwsze trzy pociski; następne cztery - a może pięć albo sześć - jednak się przebiły. *Izmith* został zniszczony już pierwszym pociskiem. Jakim cudem mogli w ten sposób przebić tarczę?



Siły Ekspedycyjne traciły zbyt wiele statków, lecz Achuultanie nadal ginęli w stosunku trzech do jednego. Kolejny pocisk nadświetlny wyłonił się w przestrzeni i wybuchł tuż za tarczą, potrząsając *Nergalem* niczym terier szczurem, lecz tarcza wytrzymała i kobieta wraz z jej statkiem nadal byli jednością. Teraz także *Nergal* zaczął wystrzeliwać pociski podświetlne.

\* \* \*

Lord Porządku Furtag zginął wraz ze swoim okrętem flagowym i dowództwo przeszło na lorda Chirdana. A Chirdan był wojownikiem i nie był ślepy. Widział, że niszczyli zabójców gniazd, lecz zbyt wielkim kosztem - jego piskłeta ginęły, gdyż nie mieli broni równej tym morderczym promieniom. Wydał więc rozkaz i zwiadowcy Aku'Ułtan odskoczyli w przestrzeń.

\* \* \*

Wróg zniknął.

Nie powinni być w stanie tego zrobić, pomyślała Adrienne Robbins. Nie powinni móc tak po prostu zniknąć. Powinniśmy byli wykryć ładowanie pola nadprzestrzennego, nawet dla tak malutkiego skoku. Cóż, to nie pomoże sukinsynom, kiedy wejdą zbyt daleko w głąb systemu, żeby wykonać mikroskok, ale w kosmosie to będzie cholernie niewygodne.

Te sukinsyny umieją walczyć, pomyślała ponuro, wstrząśnięta odczytami. Siły Ekspedycyjne Jeden wyruszyły w liczbie czterdziestu ośmiu statków, a powróciło tylko dwadzieścia jeden. Wróg stracił dziesięć razy więcej statków... lecz miał ponad dziesięć razy więcej statków niż Ziemia.

Admirał Hawter wszedł w głąb układu. Zapasy w magazynach zostały uszczuplone do sześćdziesięciu procent, zasoby pocisków nadświetlnych do trzydziestu procent, a połowa ocalałych statków była uszkodzona. Jeśli wróg uciekł, on również to zrobi. Zdobył już informacje, których potrzebowali. Teraz nadszedł czas, by zabrać ocalałych na Ziemię.

\* \* \*

Pierwsza potyczka zakończyła się i ludzkość zwyciężyła - jeśli straty wynoszące pięćdziesiąt sześć procent można nazwać zwycięstwem. Ale obie strony wiedziały, że można. Aku'Ułtanie stracili znacznie mniejszy procent swoich sił, lecz w pewnym momencie określenia w rodzaju „korzystny kurs wymiany” tracą sens.

Była to dopiero pierwsza potyczka, ale obie strony dużo się dowiedziały. Później przekonają się, kto bardziej skorzysta z tych lekcji okupionych krwią.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Lord Porządku Chirdan nie zwracał uwagi na piękno wielkiej, otoczonej pierścieniami planety tego przeklętego układu, gdyż przyglądał się, jak jego inżynierowie przygotowują się do ostatnich testów.

Asteroidy, które rzucili przeciwko planetarnej tarczy zabójców gniazd, pokazały Komputerowi Bojowemu, że mniejsze pociski nie są w stanie jej przebić, te zaś, które miały wystarczającą masę, były zestrzeliwane przez broń zabójców gniazd jeszcze przed uderzeniem. Zamierzali nadal rzucać w tarczę asteroidami, lecz tylko po to, by zmusić ją do cofnięcia i zaatakować fortecę innymi grzmotami.

Ale *to*, pomyślał Chirdan, to zupełnie inna sprawa. Porusza się wolniej, lecz tylko na początku, i jest wystarczająco duże, by mieć własne tarcze, które będą mogły zatrzymać broń zabójców gniazd. Jego piskłeta będą tego bronić za cenę własnego życia. Dzięki temu położą kres istnieniu tych przeklętych zabójców gniazd. Komputer Bojowy mu to obiecał, a Komputer Bojowy nigdy nie kłamie.

\* \* \*

- To mi się nie podoba - powiedział Horus. - Chciałbym w jakiś sposób to obejść.

Szefowie Sztabu patrzyli na niego z ekranu komunikatora, na ich zmęczonych twarzach widać było napięcie. Skronie Geralda Hatchera były niemal zupełnie białe, zaś w oczach Isaiaha Hawtera malowała się udreka, gdyż widział, jak w ciągu czterech miesięcy zniszczono siedemdziesiąt procent jego statków.

Brakowało jednej twarzy. Generał Singhman był na pokładzie OCO siedem, kiedy głowica Achuultan przebiła się przez jego tarczę.

W linii obrony Ziemi było wiele luk, a wróg królował na obrzeżach układu. W normalnej przestrzeni najeźdźcy byli powolni i niezgrabni, lecz w nadprzestrzeni potrafili zniknąć bez żadnego ostrzeżenia, o ile tylko znajdowali się co najmniej dwadzieścia minut świetlnych od Słońca.

Ziemiańskie przekonali się w ciągu ostatnich kilku miesięcy, że chociaż ich technologia jest lepsza, ta przewaga może nie wystarczyć w zetknięciu z przygotowanymi przez Achuultan niespodziankami.

Na przykład te ich przeklęte napędy nadświatłne. Statki Achuultan były powolne nawet w nadprzestrzeni, lecz ich napędy robiły takie rzeczy, które Horus zawsze uważał za niemożliwe. Działały dwa razy głębiej w studni grawitacyjnej niż statki imperialne, a ich

wyrzutnie pocisków były niesamowite. Pociski podświetlne Achuultan, choć szybkie, nie były zbyt niebezpieczne - obrońcy Ziemi mieli lepsze komputery, lepszą broń przeciwrakietową i bardziej skuteczne generatory tarczy - lecz pociski nadświetlne to zupełnie inna kwestia. Jakimś cudem - Horus oddałby rękę, żeby dowiedzieć się jak - Achuultanie generowali dookoła pocisków pola nadprzestrzeni, i wcale nie potrzebowali przy tym potężnych napędów nadświetlnych, których wymagały ludzkie pociski.

Ich wyrzutnie były wolniejsze, lecz tak małe, że Achuultanie byli w stanie zmieścić nieprawdopodobną ich liczbę, dzięki czemu mogli wypuszczać całe chmury pocisków rozrzuconych po pasmach nadprzestrzeni. Tarcza mogła chronić tylko pewien określony zakres, i przy pewnej dozie szczęścia Achuultanie byli w stanie umieścić pocisk w zakresie, którego tarcza nie chroniła - ta sztuczka drogo kosztowała ziemską flotę.

Ich broń energetyczna z kolei bazowała na dziwnej technologii laserowej krótkiego zasięgu, przez co w ich systemach obrony powstawała niezbyt szeroka luka. Jeśli obrońcy Ziemi dostali się w nią, byli zbyt blisko, by skutecznie wycelować pociski nadświetlne, i zbyt daleko, by ich broń energetyczna dosięgła wroga.

A do tego naprawdę lubili broń kinetyczną. Udało im się trafić w tarczę planetarną dziesiątkami pocisków, z których największy ważył ponad miliard ton, i właściwie zniszczyć przemysł orbitalny. Dopadli też dwa OCO, gdy pod naciskiem ataku kinetycznego główna tarcza cofnęła się w głąb atmosfery.

Jak na razie Wasilijowi udało się utrzymać tarczę, lecz potężny jasnowłosy Rosjanin był coraz bardziej ponury. Generatory tarcz planetarnych centrów obrony zostały zaprojektowane z pięćdziesięcioprocentową rezerwą - lecz wtedy jeszcze nie znali pocisków nadświetlnych Achuultan. Obrona przed ich rozproszonymi atakami wymagała wykorzystywania wszystkich generatorów, nawet tych przeciążonych. Bez dopływu mocy PCO nie powstrzymają wroga.

I tego przede wszystkim dotyczyła konferencja.

- Nie widzę innego rozwiązania, Horusie - powiedział w końcu Hatcher. - Musimy mieć ten dopływ. Jeśli wszystko wyłączymy, a oni trafią nas, zanim znów się uruchomimy...

- Geraldzie - wtrącił Czernikow - systemy kontrolne zawodzą. W niektórych miejscach jestem już w drugim kręgu kontrolnym; jeśli on zawiedzie, pozostaną już tylko systemu trzeciego rzędu.

- Ale jeśli wszystko wyłączymy, czy ponowne uruchomienie będzie bezpieczne?

- Nie - przyznał niechętnie Czernikow. - Nie bez napraw. - W takim razie, Wasilij, wybieramy prawdopodobieństwo utraty planety - powiedział cicho Tsien.

- Wiem. Ale wysadzenie Antarktyki w powietrze i jeszcze do tego utrata dopływu mocy nie przyniesie nam żadnych korzyści.

- Zgoda. - Cichy głos Horusa sprawił, że wszyscy zwrócili wzrok w jego stronę. - Czy wasze komponenty są gotowe do zainstalowania, Wasilij?

- Tak. Potrzebujemy dwóch przecinek sześć dziesiątych godziny do ich wymiany, ale najpierw muszę wszystko wyłączyć.

- Dobrze. - Horus poczuł, jak przygniata go odpowiedzialność. - Kiedy pierwszy z systemów drugiego rzędu zawiedzie, wyłączymy tylko tyle, żeby wymienić wszystkie systemy kontrolne.

Tsien i Hatcher chyba chcieli wyrazić sprzeciw, ale byli żołnierzami. Rozkaz to rozkaz.

- A teraz - Horus odwrócił się do admirała Hawtera - co możesz nam powiedzieć o naszej sytuacji, Isaiahu?

- Nie jest dobra. Największym problemem jest różnica w budowie tarcz. My generujemy pojedynczą tarczę wokół jednostki, oni generują kilka tarcz przypominających płyty. Każda z nich osłania jeden aspekt celu, a na krawędziach nakładają się na siebie w dwudziestu procentach. Płacą za to mniejszą wydajnością energetyczną, lecz zyskują redundancję, której my nie mamy, i dzięki temu mogą je trzymać bliżej kadłubów. To nasz największy problem.

Horus pokiwał głową. Pociski nadświatłne nie były bronią samonaprowadzającą. Leciały prosto do wcześniej zaprogramowanego celu, a odległość między tarczą i kadłubem oznaczała w praktyce, że ziemskie statki były większymi celami. Zbyt często pocisk nadświatłny znajdujący się wystarczająco blisko, by przebić ziemski okręt wojenny, wybuchał za tarczą statku Achuultan - co w połączeniu z większym zakresem ich pocisków sprawiało, że statki Hawtera były w niekorzystnym położeniu.

- Nasze pociski mają większy zasięg, udoskonaliliśmy też nasze systemy celowania, by pokonać ich zakłócanie - które, tak na marginesie, jest gorsze od naszego - ale jeśli pozostajemy poza ich zasięgiem, nasze głowice są mało skuteczne. Musielibyśmy strzelać zdecydowanie większymi salwami niż obecnie. Dopóki trzymają się tak daleko, by móc wykorzystywać mikroskoki, możemy walczyć tylko na ich warunkach, a to zły interes.

- Jak zły? - spytał generał Ki.

- Bardzo zły. Zaczęliśmy ze stu dwudziestoma okrętami wojennymi, dwa razy większą liczbą krążowników i około czterema setkami niszczycieli. Zostało nam trzydzieści jeden okrętów wojennych, dziewięćdziesiąt sześć krążowników i sto siedem niszczycieli, co

oznacza stratę pięciuset trzydziestu sześciu statków z pierwotnej liczby siedmiuset siedemdziesięciu. W zamian zniszczyliśmy około dziewięciuset ich statków. Mam potwierdzenie co do siedmiuset osiemdziesięciu dwóch, a prawdopodobnie rozwaliliśmy jeszcze kolejnych sto pięćdziesiąt. Zgodnie z naszymi pierwotnymi wyliczeniami, to powinny być prawie wszystkie ich statki. Tymczasem w tej chwili oceniamy, że to zaledwie niecałe pięćdziesiąt procent. Wszystko sprowadza się do tego, że bardzo nas osłabili. Gdyby teraz wyruszyli przeciwko nam pełnymi siłami, nie mamy już jednostek, które mogłyby stawić im czoła w głębokim kosmosie.

- Krótko mówiąc - wtrącił Horus - zdobyli panowanie nad Układem Słonecznym poza zasięgiem broni rozlokowanej na Ziemi.

- Zgadza się, gubernatorze - potwierdził z ponurą miną Hawter. - Na razie się trzymamy, ale z trudem. A to tylko zwiad.

Wciąż wpatrywali się w siebie w ponurym milczeniu, gdy zawyły syreny alarmowe.

\* \* \*

Oba żołądki Brashieela ścisnęły się, gdy *Obrońca* wszedł w głąb układu. Sektor Demona był godny swojego miana niech go Tarhish! Niemal połowa zwiadowców zginęła w walce przeciwko tylko tej jednej żalostnej planecie - na szczęście zwiadowcy byli zaledwie kamykami w lawinie floty Wielkiego Lorda Tharno - a przecież w tym sektorze może być wiele słońc, w tym te, które musiały wybudować kompleksy czujników. Kto wie, co jeszcze czeka obrońców?

Co prawda zmusili zabójców gniazd do wycofania się. Lord Myśli Mosharg starannie liczył zabójców gniazd, których posłali do Tarhisha, i wszystko wskazywało na to, że z nieprawdopodobnie potężnych okrętów wojennych wroga niewiele mogło pozostać.

Mimo to plan ataku w głąb układu wydawał się pochopny. Zabójcy gniazd byli dwa razy szybsi od *Obrońcy*, który nie był w stanie skoczyć w nadprzestrzeń. Jeśli to zasadzka, zwiadowcy Wielkich Odwiedzin mogą ponieść ciężkie straty.

Ale być może celem ataku, pomyślał Brashieel, jest ocena systemów obronnych zabójców gniazd, zanim spadnie na nich kopyto Tarhisha? To ma sens, nawet dla takiego zastępcy sługi jak on, zwłaszcza że kazano im zaatakować skierowany ku słońcu biegun planety. Jednak narażanie w ten sposób pół dwunastki dwunastek statków zwiadowczych wymaga odwagi. Być może właśnie dlatego lordowie Chirdan i Mosharg są lordami, a Brashieel tylko zastępcą sługi.

Usadowił się na służbowej poduszce, gdy wyłonili się z nadprzestrzeni i skierowali w stronę biało-niebieskiego świata, który mieli zniszczyć.

\* \* \*

- Siedemdziesiąt dwa wrogie okręty kierują się w stronę Ziemi - stwierdził dział radiolokacji. - W przybliżeniu dwieście czterdzieści kolejnych okrętów podąża w odległości ośmiu minut świetlnych. Oceniamy to jako poważną sondę.

Isaiah Hawter skrzywił się. Ponad trzy setki. Mógłby wyruszyć im na spotkanie i skopać im tyłki, ale przez tych sukinsynów trzymających się z tyłu, by osłaniać towarzyszy pociskami nadświetlnymi, mógłby stracić połowę swoich statków, zanim awangarda wroga weszłaby w zasięg broni energetycznej. Nie, tym razem musi ich wpuścić.

- Wszystkie siły, wycofać się za pierwotną tarczę - powiedział. - Dowództwo myśliwców pozostaje w gotowości. Niech wszystkie OCO przygotują broń.

\* \* \*

Adrienne Robbins zakłęła cicho, cofając się za tarczę. Wiedziała, że wyjście na zewnątrz i spotkanie się z taką siłą ognia byłoby samobójstwem, lecz *Nergal* miał na koncie dwadzieścia siedem pewnych zestrzeleń i dziewięć prawdopodobnych - to więcej niż jakakolwiek ziemská jednostka - i dopuszczenie robactwa tak blisko bez walki złościło ją. A właściwie przerażało, gdyż nawet jeśli nikt nie chciał się do tego przyznać, ona wiedziała, co to znaczy.

Przegrywali.

\* \* \*

Wasilij Czernikow dokonał niewielkiej poprawki przez swoje łącze neuralne; troszczył się o dopływ mocy niczym stara kotka o jedyne kociaka. Miał rację, że przekonywał do jego stworzenia, lecz teraz czuł nienawiść do demona, którego spętał łańcuchami. Demon rozrywał swoje pęta powoli, lecz skutecznie, pod ciężarem ciągłego działania w atmosferze. Kiedy wreszcie pękną, będzie po wszystkim.

\* \* \*

Porucznik Samson poczuł ściskanie w żołądku, kiedy zobaczył rozwijający się wzorzec ataku. Tym razem nadchodzili z południa - czyżby zauważyli dopływ mocy? Czy uświadamiali sobie, jak bardzo jest ważny dla obrony Ziemi?

Tak czy inaczej, nie zmieniało to losu Samsona. „Żelazna Suka” razem z pięcioma innymi OCO znajdowała się na ich drodze... a za plecami mieli zamkniętą tarczę planetarną.

\* \* \*

- Czerwony alarm! Przygotować się do startu! Przygotować się do startu! Czerwony alarm!

Załogi myśliwców, Ziemianie i Imperialni, różniący się teraz jedynie imionami,

wspięli się po drabinkach do kokpitów - generał Ki Tran Thich usadowił się w swoim myśliwcu dowódcy i przesłał sygnał gotowości przez łącze neuralne. Silniki obudziły się, oficerowie od walki radioelektronicznej dostroili systemy obronne i broń, i niosące zniszczenie stateczki wyleciały z baz w PCO z grzotem naddźwiękowych silników.

\* \* \*

Brashieel zamrugął wewnętrznymi i zewnętrznymi powiekami, gdy na jego wyświetlaczu pojawiły się źródła zagrożenia. Na Wielkie Gniazdo! Pociski podświetlne o takim zasięgu?

Jego konsternacja zmniejszyła się nieco, gdy zobaczył odczyty mocy. Nie, to nie pociski. To coś innego, coś w rodzaju małych okrętów wojennych. Nigdy nie słyszał o czymś podobnym, ale też nigdy nie słyszał o większości niespodzianek, które wymyślili ci demoniczni zabójcy gniazd.

\* \* \*

- Baterie rakiet w gotowości - rozkazał cicho Gerald Hatcher. To mogło być trudne. On i Tao-ling ćwiczyli koordynację działań swoich PCO na południowej półkuli, lecz teraz po raz pierwszy tym sukinsynom udało się zająć tak daleko.

Przez chwilę jeszcze pomyślał z wdzięcznością, że Sharon i dziewczynki są bezpieczne w kwaterze głównej Horusa w Centrum Sheperda. Tym razem coś może się przebić.

\* \* \*

Andrew Samson przełknął nerwowo, gdy myśliwce przechwytyjące przeleciały przez otwór w tarczy, który zaraz się za nimi zamknął. Były takie malutkie w porównaniu z tymi wielokilometrowymi Lewiatanami. Wydawało się...

- Obsługa wyrzutni w gotowości. - Głos kapitana M'wange'a brzmiał zimno.

- Generatory tarcz na maksa. Wystrzelić pierwszą salwę pocisków nadświetlnych.

Pociski wyleciały z komór, połączone z „Suką” łańcuchami niewidzialnej mocy. Achuultanie zbliżali się.

- Wszystkie OCO do ataku! - warknął Isaiah Hawter.

Na Pana Gniazd! To pociski!

*Zabójca* i *Wojenne Kopyto* zniknęły ze skanerów i Brashieel skrzywił się. Zabójcy gniazd nie używali już wielkiego grzotom; teraz niemal całkowicie polegali na tych straszliwych głowicach, które nie wybuchały... i którym Gniazdo nie potrafiło się przeciwstawić. *Zabójca* zapadł się w siebie, gdy pocisk przebił jego tarczę, *Wojenne Kopyto* po prostu zniknęło, ale wróg był za daleko, aby jego własne pociski mogły go osiągnąć. Co

za diabeł wymyślił, by umieszczać napęd nadświatlny wewnątrz pocisków?

Z nadprzestrzeni wypadło jeszcze więcej pocisków i *Obrońca* podskoczył, gdy tarcze zdrząły po udanym trafieniu. Kolejny raz. Lecz Pomniejszy Lord Hantorg miał nerwy ze stali. Utrzymał kurs - wkrótce zabójcy gniazd znajdą się w zasięgu broni Brashieela.

Zmusił się do rozluźnienia palców w rękawicach kontrolnych. Już wkrótce, obiecał sobie. Już wkrótce, bracia!

Małe statki zbliżały się. Zastanawiał się, jaki mają plan.

\* \* \*

Andrew Samson krzyknął, gdy wielki statek zginął. To pocisk z „Suki”! Może nawet jego własny!

\* \* \*

Brashieel patrzył ze zdziwieniem, jak małe statki krążą, unikając broni energetycznej bliskiego zasięgu. Zginęło tylko kilka dwunastek. Inne otworzyły ogień i huragan pocisków spadł na statki Aku'Ultan. Brakowało im mocy większych pocisków zabójców gniazd, lecz było ich dużo. Bardzo dużo.

Pół dwunastki braci *Obrońcy* zginęło niczym potężny *qwelloq* powalony przez małe żądłące *sulq*. Najwyraźniej lordowie zabójców gniazd dobrze ich nauczyli. Walczyli w drużynach, które sprawiały wrażenie, że są jednością, koncentrując ogień na pojedynczych kwadrantach tarcz wroga, a kiedy wybrane tarcze załamywały się pod naporem ognia, statki, które się za nimi chroniły, także ginęły.

Nie czekając na rozkaz, zdesperowany Brashieel uzbroił swoje wyrzutnie. Takie złamanie procedury mogło oznaczać śmierć w niesławie, lecz po prostu nie mógł siedzieć na poduszce i nic nie robić! Jego palce zdrząły i posłały w przestrzeń salwę normalnych pocisków wielkiego grzmotu. Skoncentrowały się na jednej ćwiartce dwunastki atakujących *sulq*, a kiedy ich grzmot się połączył, posłał zabójców gniazd do Paleniska.

- Dobrze, Brashieelu! - To był Pomniejszy Lord Hantorg. - Bardzo dobrze!

Grzebień Brashieela uniósł się z dumy, kiedy usłyszał, jak pan *Obrońcy* wydaje innym rozkaz, aby go naśladowali.

\* \* \*

Generał Ki Tran Thich patrzył, jak potężny okręt wojenny Achuultan rozpada się pod jego ostrzałem. On i Hideoshi wylosowali na pierwszy lot prawą flankę. Uśmiechnął się jak wilk i skręcił w poszukiwaniu nowego celu, a za nim Siedemdziesiąta Pierwsza Grupa Myśliwców w pełnym składzie. O, ten. Ten będzie dobry.

Nie zobaczył zmierzającego w jego stronę pocisku o mocy dziesięciu tysięcy megaton.



\* \* \*

- Zapasy pocisków wyczerpane - poinformował generała Tamę Hideoshiego oficer sztabowy. Tama chrząknął. Poprzez swoje łącze czuł, jak giną jego myśliwce, jak zginął Thich. Kto by pomyślał o przerobieniu zabójców statków na pociski ziemia-powietrze? Pancerny energetyczny jego myśliwców przechwytyjących nie mógł tego wytrzymać!

- Wszystkie myśliwce mają powrócić do baz i uzbroić się - rozkazał. - Wyprowadzić atak rezerwowy. Utrzymywać trzy razy większy odstęp niż normalnie. Atakować tylko pociski - powtarzam, tylko pociski - i wycofać się w celu uzbrojenia.

-Tak jest, sir.

Ziemskie myśliwce zaczęły się wycofywać. Zginęło ich ponad trzy setki, lecz była to jedynie niewielka część ich ogólnej liczby, a tymczasem sonda Achuultan została zredukowana dla dwudziestu siedmiu jednostek.

Myśliwce minęły OCO, kierując się do baz. Teraz wszystko zależało od orbitalnych fortyfikacji oraz południowych PCO *Ziemi*, które nadal ostrzeliwały Achuultan.

\* \* \*

Brashieel patrzył, jak małe statki rozpraszają się i uciekają przed jego ogniem. obrońcy znaleźli sposób na ich pokonanie i to on - pokorny zastępca sługi gromu - wskazał im drogę!

Czuł aprobatę braci z Gniazda, lecz nie mógł się cieszyć. Dwie trzecie braci *Obrońcy* zginęło, a pociski zabójców gniazd nadal spadały na ocalałych. Co gorsza, wchodzili w zasięg broni energetycznej ich fortec. Żaden ze zwiadowców nie robił tego wcześniej, wystrzelili tylko pociski na maksymalnym zasięgu. Teraz przejdą wielki test. Nadchodzi Czas Ognia, kiedy dowiedzą się, co te ponure fortece potrafią.

\* \* \*

Andrew Samson patrzył, jak uszczuplona grupa myśliwców wycofuje się. Wyobraźcie sobie - ostrzeliwać myśliwce ciężkimi pociskami! Nam by się to nie udało, nasze pociski podświetlne są zbyt wolne, zbyt łatwo można ich uniknąć.

Ogień Achuultan skierował się teraz na „Sukę” i jej siostry, i OCO zadrżało, jakby ze strachu, gdy pociski uderzyły w jego tarczę. Generatory tarczy zaczęły niebezpiecznie się przegrzewać. Osłaniały zbyt wiele zakresów nadprzestrzeni. Prędzej czy później przepuszczą jakiś pocisk albo głowica antymaterii je pokona. A kiedy to się stanie, synek Lucy Samson zginie.

Ale tymczasem starannie wycelował... i zaryczał triumfalnie, gdy kolejny ogromny okręt wojenny rozpadł się. Nadchodzili, żeby go zabić, ale gdyby się nie zbliżali, jakże on

miałby ich zabijać?

\* \* \*

- Broń energetyczna w gotowości - powiedział ostro admirał Hawter.

Orbitalne centra obrony numer jedenaście, trzynaście i szesnaście zostały zniszczone. Niezależnie od tego, co się stanie, nad biegunem będzie teraz jedna wielka dziura. Co gorsza, niektóre wrogie pociski dotarły do Ziemi. Nie wiedział ile, lecz biorąc pod uwagę ich moc, i tak za dużo. Ale zostało im już tylko dziewiętnaście statków. To dobry znak. Uśmiechnął się, kiedy się okazało, że Achuultanie nie zamierzają się zatrzymać.

Teraz poznają różnicę między promieniami statku i OCO o mocy trzystu tysięcy ton, pomyślał jadowicie.

\* \* \*

Brashieel zadrżał, gdy forteca wybuchła mocą. Straszliwa broń energetyczna, która zabiła tak wielu braci *Obrońcy* w walce statków, była w porównaniu z tym niczym! Moc z furią atakowała tarcze okrętów, a tam, gdzie uderzyła, statki ginęły. Jeden, dwa, siedem... Wciąż ginęły! Nic nie było w stanie zatrzymać tej furii. Nic!

\* \* \*

- Dobra! - krzyknął Andrew Samson. Już sześć statków znikło i kolejne były w drodze! Wybrał cel, którego tarcze zaczęły się rozpadać pod ostrzałem trzech różnych OCO, i przepchnął przez nie głowicę grawitoniczną. Jego przeciwnik zginął i tym razem nie było wątpliwości, kto zadał śmiertelny cios.

\* \* \*

- Wycofać się.

Brashieel odetchnął z ulgą. Lord Myśli Mosharg dowiedział się tego, czego chciał się dowiedzieć, i mogą już wracać. Zakładając, że uda im się wycofać.

\* \* \*

- Wycofują się! - krzyknął ktoś. Gerald Hatcher pokiwał głową - Tak, ale spowodowali zbyt dużo strat, zanim odeszli. Mimo wszelkich wysiłków PCO i Wasilija dwa pociski przebiły się przez tarczę planetarną. Dzięki Bogu, że nie mieli pocisków grawitonicznych.

Na chwilę przymknął oczy. Jeden pocisk trafił w ocean; Bóg jeden wie, jaki to będzie miało wpływ na linię brzegową i geologię Ziemi. Drugi trafił w Australię, niemal w samo centrum Brisbane, i Gerald Hatcher poczuł ciężar rozpacz. Żaden schron nie mógł wytrzymać uderzenia o takiej mocy. Jak, na Boga, ma powiedzieć Isaiahowi Hawterowi, że właśnie został bezdzietnym wdowcem?

\* \* \*

Ostatni okręt wojenny Aku'Ultan zniknął w nadprzestrzeni zanim dopadła go rezerwa myśliwców. Z siedemdziesięciu dwóch wrogich okrętów, które zaatakowały, uciekły tylko trzy.

Za nimi południowa półkula planety dymiła pod ciężarem dwudziestu tysięcy megaton zniszczenia, a daleko, daleko przed nimi inżynierowie lorda Chirdana zakończyli właśnie ostatnie testy. Siłownie uruchomiły się, napęliając mocą potężne napędy; to sam lord Chirdan wydał rozkaz ich uruchomienia.

Księżyc, który ludzie nazywali Iapetusem, zadrżał na niekończącej się orbicie wokół planety, którą nazywali Saturnem. Zadrżał... i zaczął powoli oddalać się od niej.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Sługa gromu Brashieel klęczał na nowej służbowej poduszce w centrum kontroli ognia. Wciąż nie wiedział, jakim cudem *Obrońca* przetrwał tak długo, lecz Pomniejszy Lord Hantorg zdawał się wierzyć, iż to jego zasługa. Był wdzięczny za zaufanie lorda, a jeszcze bardziej za to, że awans zapewnił mu tak doskonale wyposażenie.

Skierował wzrok na wyświetlacz, na którym widać było masę skał towarzyszących *Obrońcy*. Gniazdo rzadko używało tak wielkiej broni, lecz najwyższy czas, by obrońcy skończyli z tymi piekielnymi zabójcami gniazd i ruszyli dalej.

\* \* \*

Gerald Hatcher czuł się tak, jakby miał milion lat, gdy siedział w biurze Horusa z nogami na stoliku do kawy. Mimo implantów istnieją pewne granice tego, co człowiek jest w stanie wcisnąć w dwudziestodwugodzinny dzień, a on już dawno je przekroczył.

Przez siedem miesięcy wytrzymali - jakimś cudem - lecz koniec był już w zasięgu wzroku. Jego umęczony personel wiedział o tym, a cywile musieli się domyślać. Niebo zostało wypalone zbyt wielkim ogniem. Zbyt wielu obrońców i ich dzieci zginęło. Czternaście razy Achuultanie przebili planetarną tarczę. Większość głowic trafiła w wodę, smagając wybrzeża falami tsunami, zalewając planetę promieniowaniem i słonymi tajfunami, cztery uderzyły w ląd. Bogu dzięki, jedna wylądowała pośrodku afrykańskiej pustyni, lecz do ofiar z Brisbane dołączyły kolejne cztery miliony, i jakiegokolwiek cuda wyczyniali jego ludzie, było to tylko opóźnianie tego, co nieuniknione.

Hatcher nie miał pojęcia, jakim sposobem Wasilij podtrzymuje działanie dopływu mocy; czasem wydawało się, że robił to gołymi rękami. Moc wciąż więc płynęła, a Geb i jego załogi zombie jakimś cudem podtrzymywali działanie generatorów tarczy. W razie konieczności dokonania naprawy mogli wyłączać jedynie kilka na raz, lecz podobnie jak Wasilij, Geb dokonywał rzeczy niemożliwych.

Tak, pomyślał Hatcher, Ziemia ma swoich cudotwórców, lecz za jaką cenę...

- Jak... - Odchrząknął. - Jak się czuje Isaiah?

- Jego stan się nie zmienił - powiedział ze smutkiem Horus, a Hatcher z bólem przymknął oczy.

Dla Isaiaha wystarczająco trudne było przyglądanie się śmierci swoich załóg, lecz wieści o Brisbane zupełnie go wykończyły. Teraz cały czas siedział w swoim małym pokoju i wpatrywał się w zdjęcia żony i dzieci.

Jego przyjaciele wiedzieli, że wspaniale walczył, raz za razem podrywając do boju swe zniszczone statki; on wiedział jednak, że nie był wystarczająco dobry. Że pozwolił Achuultanom zamordować swoją rodzinę i większość załóg, które tak dzielnie walczyły pod jego dowództwem. Że zbyt wielu z tych, którzy ocalili, było niczym on sam - wypaleni, martwi, nienawidzący siebie za to, że w godzinie próby nie okazali się bogami.

Jednak są też inni, przypomniał sobie Hatcher. Tacy jak Horus, który przejął obowiązki Isaiaha po jego załamaniu. Jak Adrienne Robbins, najstarszy rangą pozostały przy życiu kapitan pasożyta, która nie wykonała rozkazu wycofania uszkodzonego statku z pola walki. Jak Wasilij i Geb, którzy wychodzili z siebie dokonując niesamowitych rzeczy. Jak wymęczone do szpiku kości załogi OCO i PCO, które walczyły dzień po dniu, i załogi myśliwców, które raz za razem wyruszały i wracały w coraz mniejszej liczbie.

I ludzie tacy jak Tsien Tao-ling, ci niezwykli mężczyźni i kobiety, którzy po prostu nie mieli ani chwili załamania. Bogu niech będą za nich dzięki.

Spośród członków Zjednoczonego Sztabu Ziemi zginęli Singhman i Ki... i Hawter. Tama Hideoshi przejął dowodzenie nad resztą myśliwców, Wasilij był uwięziony na Antarktyce, Frederick Amesbury harował do utraty sił w dziale radiolokacji, próbując śledzić sytuację w układzie mimo uszkodzonych przez Achuultan czujników, zaś Chiang Chien-su wziął na siebie bolesny obowiązek kierowania obroną cywilną. Dlatego też kiedy Horus przejął dowodzenie resztkami okrętów wojennych i OCO Hawtera, Hatcher przekazał całą sieć obrony planetarnej Tsienowi, a sam skoncentrował się na sposobach powstrzymania Achuultan przed zniszczeniem Ziemi.

Był jednak generałem, a nie czarodziejem.

- Już po nas, Horusie. - Stary Imperialny nawet nie drgnął. - Szarpiemy się tylko w drodze na szubienicę. Nie wiem, jak Wład utrzyma dopływ mocy przez kolejne dwa tygodnie.

- Mamy przestać się szarpać? - Pytaniu temu towarzyszył cień uśmiechu. W odpowiedzi Hatcher także się uśmiechnął.

- Do diaska, nie. Musiałem po prostu komuś to powiedzieć, zanim znowu zacznę się szarpać. Nawet jeśli nas pokonają, możemy być pewni, że następny na ich liście świat do zniszczenia będzie miał mniej licznego wroga.

- Ja też tak myślałem. - Horus zmęczonym gestem ścisnął grzbiet nosa. - Czy powinniśmy powiedzieć cywilom?

- Lepiej nie - westchnął Hatcher. - Tak naprawdę nie boję się paniki, lecz nie widzę powodów, by jeszcze bardziej ich straszyć.

- Zgadza się.

Horus podniósł się i powoli podszedł do szklanej ściany swojego biura. Nocne niebo nad Kolorado przecinały ściany błyskawic, gdy rozjuszona atmosfera oddawała część energii którą musiała pochłonąć, zaś od nieprzerwanych grzmotów drżały szyby. Błyskawice i śnieg, pomyślał, grzmoty i burze śnieżne. Zbyt wiele wody morskiej wyparowało, zbyt wiele kilometrów sześciennych pary wodnej powstało. Albedo planety zmieniło się, więcej odbitych promieni słonecznych powodowało obniżenie temperatury. Nikt nie jest w stanie ocenić, jak daleko to jeszcze zajdzie. Dzięki Stwórcy, że generał Chiang niemal fanatycznie gromadził zapasy żywności, gdyż zgodnie z przewidywaniami, wszystkie plony zostały zniszczone.

Ale my wciąż żyjemy, pomyślał, gdy Hatcher podniósł się w milczeniu do wyjścia. Żyjemy. To jednak również się zmieni. Gerald ma rację. Przegrywamy. Tak bardzo chciałbym wreszcie skończyć z umieraniem. Ale nie potrafię.

- Geraldzie. - Jego cichy głos zatrzymał Hachera w drzwiach. Horus odwrócił wzrok od burzy i spojrzał generałowi w oczy. - Na wypadek, gdybyśmy nie mieli już okazji porozmawiać, dziękuję.

\* \* \*

Kopyto Tarhisha powoli pokonywało próżnię. Nawet Aku'Ultan nie byli w stanie błyskawicznie przyspieszać takich mas, lecz jego prędkość wzrastała. Na początku tylko o kilka dwunastek *tiao* na segment, później więcej. I więcej. I więcej!

*Obrońca* leciał u boku potężnego pocisku, tworząc wraz z braćmi osłaniającą falangę.

Wkrótce na pewno ich zobaczą, lecz Kopyto jest tak potężne, że zabójcy gniazd będą musieli najpierw odrzucić na bok ocalałe pół dwunastki wielkich dwunastek zwiadowców. A tymczasem oni będą bronić Kopyta i uturują mu drogę przez pozostałości obrony zabójców gniazd nawet za cenę własnego życia - przecież są obrońcami.

\* \* \*

- O mój Boże.

Dział radiolokacji sir Fredericka Amesbury'ego rozpaczliwie próbował znaleźć jakiś sens w ostatnich manewrach Achuultan, gdyż nie było najmniejszego powodu, by tłoczyli się w taki sposób. Ten przerażony szept major Joanny Osgood, starszego oficera straży, przebił się przez gorączkowy szmer w tle.

- O co chodzi, majorze? - spytał Amesbury. Mahoniowa twarz kobiety była nieruchoma. Dotknął jej ramienia.

- Jo?

Major Osgood otrząsnęła się.

- Znalazłam odpowiedź, sir - powiedziała z karaibskim akcentem. - Iapetus.

Spokój, z jakim te słowa zostały wypowiedziane, przeraził Amesbury'ego - wiedział, co mogło go spowodować. Jest taki moment w życiu człowieka, kiedy braknie już nadziei, ale nie ma też strachu.

- Proszę to wyjaśnić - powiedział łagodnie.

- W końcu udało mi się wysłać przez nadprzestrzeń sondę w kierunku planet zewnętrznych i przyjrzeć się Saturnowi, sir. - Spokojnie patrzyła na generała. - Iapetusa już tam nie ma.

\* \* \*

- To prawda, Ger. - Z wyświetlacza komunikatora spoglądała na Hatchera zmęczona twarz Amesbury'ego. - Minęło sporo czasu, zanim udało nam się posłać sondę na tyle blisko, by złapać emisję energii ich statków. Potwierdziła, że dokładnie pośrodku ich formacji jest Iapetus, ósmy księżyc Saturna.

- Rozumiem. - Hatcher miał ochotę przekląć Boga za to, że pozwolił, by tak się stało, lecz to nie miałyby sensu. - Jak źle to wygląda?

- To koniec, chyba że uda nam się zatrzymać to cholerstwo. To nieasteroida, Ger, to pieprzony księżyc. Sześć razy cięższy od Ceres.

- Jak szybko się porusza?

- Wystarczająco szybko, by nas wykończyć - odparł ponuro Amesbury. - Mogliby go po prostu wepchnąć w studnię grawitacyjną Sol i pozwolić, by zleciał na nas „z góry”, lecz to dałoby nam zbyt wiele czasu. Założyli na niego tarcze, ale gdybyśmy mogli wsadzić w niego parę pocisków nadświetlnych, być może rozbilibyśmy sukinsyna na kawałki, zanim by do nas dotarł. Dlatego dobrze go pilnują, nie chcą go wystawiać na nasz ogień dłużej niż to konieczne.

- Ich napędy są o wiele wolniejsze, ale mają do pomocy cholerną studnię grawitacyjną. Nie wiem, jak to zrobili - nawet gdyby nie wyłączali naszych sond, i tak obserwowaliśmy asteroidy, a nie planety zewnętrzne - przypuszczam jednak, że zaczęli od bardzo niskiego przyspieszenia początkowego. Oni idą od strony Saturna, Ger. Nie wiem, kiedy dokładnie zaczęli, lecz właśnie minęliśmy opozycję, co oznacza, że dzieli nas ponad półtora miliarda kilometrów w linii prostej. Ale oni nie lecą w linii prostej... i cały czas przyspieszają.

- Zbliżają się do nas z prędkością ponad pięciuset kilometrów na sekundę, siedem razy szybciej niż „szybki” meteoryt. Nie chciało mi się liczyć, ilu bilionom megaton to odpowiada, ponieważ to i tak nie ma sensu. Ten księżyc przejdzie przez naszą tarczę niczym kula przez

masło, a dotrą do nas w ciągu sześciu dni. Tyle czasu mamy, żeby ich powstrzymać.

- Nie jesteśmy w stanie, Fredericku - westchnął Hatcher. - Po prostu nie jesteśmy w stanie.

- Cholernie dobrze wiem, że nie jesteśmy w stanie - odpowiedział ostro Amesbury - ale to nie znaczy, że nie powinniśmy spróbować!

- Wiem. - Hatcher wyprostował się. - Zostaw to mnie, Fredericku. Damy z siebie wszystko.

- Wiem - powiedział o wiele ciszej Amesbury. - I... niech was Bóg błogosławi, Ger.

\* \* \*

Obrońcy Ziemi zbledli, gdy usłyszeli wieści. To koniec. Kiedy ogromny młot uderzy, Ziemia rozpadnie się na kawałki jak orzech.

Niektórzy dali z siebie zbyt wiele, zużyli swoje rezerwy, i teraz pękli, opuścili rzeczywistość. Paru wpadło w szal, ale ich towarzysze byli za to niemal wdzięczni, gdyż poskromienie szaleńców pozwoliło im na chwilę zapomnieć o własnym przerażeniu.

Jednak większość się nie załamała. Dla nich przeżycie, a nawet nadzieja, przestało mieć znaczenie. Objęli swoje stanowiska bojowe bez hysterii, zimni, zdeterminowani... i zdesperowani.

\* \* \*

Śługa grzmotu Brashieel zauważył zmieniające się ślady energii. Aha. Zabójcy gniazd już wiedzą i będą próbowali odepchnąć Kopyto na bok lub zniszczyć je. Orbitalne fortece zaczęły się gromadzić, aby ruszyć im na spotkanie, lecz mniejsze kopyta zostały tak przygotowane, by zmusić planetarną tarczę do cofnięcia się i wystawienia fortec na grzmot obrońców. Oczyszczą drogę dla Kopyta i nic ich nie powstrzyma. Zabójcy gniazd nie będą mogli nawet zobaczyć Kopyta, póki nie zniszczą *Obrońcy* i jego braci, a tego nie zdążą zrobić.

Obserwował swoje wspaniałe przyrządy, podczas gdy Lord Porządku Chirdan zmienił szyk, ustawiając grubszy mur piskłat między Kopytem a światem zabójców gniazd. *Obrońca* zakotwiczył na krawędzi tego muru.

\* \* \*

Porucznik Andrew Samson był dziwnie spokojny. Gubernator Horus zmienił położenie wszystkich pozostałych stacji, żeby zapewnić „Suce” wsparcie, ale Achuultanie tego się spodziewali. Przez ostatnie dni zasypywali tarczę planetarną pociskami kinetycznymi, odpychając ją od OCO. Ich eskadry dokonały kilku wypadów, i chociaż zapłaciły za swoje ataki wysoką cenę, udało im się zniszczyć osłabione centra. Z szczęściu,



które pierwotnie chroniły biegun, pozostała tylko uszkodzona „Suka”, ale ona zmarnowała zbyt wiele amunicji na obronę samej siebie - bez orbitalnego przemysłu trudno było utrzymać zapasy - nie wspominając już o niebezpieczeństwie, na jakie wystawione były transportowce w przestrzeni między tarczą a orbitalnymi centrami obrony.

Andrew Samson już od dawna nie oczekiwał, że przeżyje oblężenie Ziemi, lecz wciąż miał nadzieję, że jego świat przetrwa. Teraz jednak czuł, że pewnie tak się nie stanie, i opuścił go strach, pozostawiając jedynie gorzki żal.

Wkrótce ostatnie jednostki Floty podejmą próbę. Zostały zachowane na tę właśnie chwilę, kiedy Achuultanie znajdują się w zasięgu broni obrońców Ziemi. Ich szansę przeżycia następnych kilku godzin będą jeszcze mniejsze niż jego własne. Sprawdził zapas pocisków nadświatlnych. Trzydzieści siedem i mniej niż czterysta w innych magazynach „Suki”. To nie wystarczy.

\* \* \*

Pełniąc obowiązki komodora Adrienne Robbins sprawdziła szyk. Wszystkie piętnaście ocalałych okrętów wojennych Ziemi - niewiele więcej niż eskadra - otaczało rannego *Nergala*. Połowa wyrzutni *Nergala* została zniszczona przez wybuchający w pobliżu pocisk, który przebił tarczę i zabił osiemdziesięciu z trzystu członków załogi, lecz okręt wciąż miał napęd... i broń energetyczną.

Tę żalną gromadę okrętów otaczały resztki krążowników i niszczycieli - siedemdziesiąt cztery statki. Jej pierwsze i jedyne Siły Ekspedycyjne liczyły osiemdziesiąt dziewięć okrętów.

- Siły Ekspedycyjne gotowe do działania, gubernatorze - powiedziała do postaci widocznej na wyświetlaczu komunikatora.

- Proszę kontynuować - powiedział cicho Horus. - I niech Stwórca będzie z tobą, komodorze.

- I z panem, sir - odpowiedziała, po czym włączyła się w sieć dowodzenia. Jej głos był silny i spokojny. - Siły Ekspedycyjne, ruszać.

\* \* \*

Brashieel przyglądał się z niechętnym podziwem, jak zabójcy gniazd ruszają. Było ich niewielu, zaledwie dwanaście największych okrętów. Ich załogi muszą wiedzieć, że staną się popiołem w Palenisku, a jednak ruszają. Coś w duchu kazało mu podziwiać ich odwagę. W tej chwili nie byli zabójcami gniazd; byli obrońcami, tak samo jak on.

Ale ta myśl nie powstrzymała go przed działaniem. Gniazdo przetrwało niezliczone większe dwunastki lat tylko dzięki zabijaniu wrogów, gdy byli jeszcze słabi. Tego ich

nauczyli dawno temu wielcy zabójcy gniazd, którzy wygnali Aku'Ultan z ich własnego miejsca gniazdowania.

Ale to się już nie powtórzy.

\* \* \*

Gerald Hatcher poczuł mdłości, gdy komodor Robbins poprowadziła swoje statki na śmierć, chociaż doskonale wiedział, że trzeba wybić otwór, przez który kontrola ognia z orbitalnych i ziemskich fortec mogłaby widzieć Iapetusa, i że te skazane na śmierć statki są ich jedyną szansą.

- Radiolokacja, spróbujcie go namierzyć - powiedział ostro.

- Przyjęto - odpowiedział sir Frederick Amesbury.

- Proszę o pozwolenie na atak. - To był Tama Hideoshi. Dopiero teraz Hatcher zauważył jego kombinezon. Mieli obecnie więcej myśliwców niż załóg, ale mimo to Hideoshi nie powinien lecieć w tej misji. Jednak tym razem generał postanowił się nie sprzeciwić.

- Jeszcze nie. Trzymajcie się wewnątrz tarczy, dopóki nie zaatakują statków.

- Przyjęto. - Tama nie wydawał się zadowolony, lecz zrozumiał. Zaczeka, aż Achuultanie będą zbyt zajęci wysyłaniem pocisków w stronę statków Robbins, by zaatakować jego delikatne jednostki.

- Siły Ekspedycyjne otworzyły ogień - powiedział ktoś i nagle na linii pojawił się inny głos, cichy i nabożny; mówiący najprawdopodobniej nie był świadom, że robi to na głos.

- Dalej, kochanie! Dalej!

\* \* \*

Adrienne Robbins przedyskutowała swój plan z Horusem, choć tak naprawdę niewiele było do „zaplanowania”. Jedyna możliwa taktyka to wepchnąć im w gardło wszystkie pociski jakie ma. Być może - tylko być może - uda się zalać ogniem ich systemy obronne i dostać się między nich z bronią energetyczną. Nikt nie przeżyje takiej walki, ale może przynajmniej zanim zginą, wybiją dziurę w obronie Achuultan.

I tak oto ziemskie statki pluły w stronę morderców nadświatelnymi i podświatelnymi pociskami. Ich wyrzutnie były nastawione na ogień ciągły; wypuszczały samonaprowadzające pociski podświatlne i nie przejmowały się nawet celowaniem. Mordercze główce, a wraz z nimi pierwsze pociski nadświatlne z Ziemi, niosły śmierć.

\* \* \*

Głowa Lorda Porządku Chirdana podskakiwała z bólu, gdy patrzył na śmierć swoich piskląt. Wiedział, że zabójcy gniazd ruszą do ataku i rzuca przeciwko niemu całą swoją broń, lecz nawet Komputer Bojowy nie przewidział takiej rzezi!

Burza pocisków była niczym tornado wbijające się w środek muru broniącego Kopyta. Ogień antymaterii i głowice grawitoniczne niszczyły jego statki. Zwęził wewnętrzne powieki. Próbuje wybić dziurę i zaatakować swoją piekielną bronią energetyczną! Chcą odsłonić Kopyto dla swoich towarzyszy na planecie, nawet jeśli sami przy tym zginą.

Nie może na to pozwolić. Wydał rozkaz i brzegi muru zebrały się w centrum, by powstrzymać atak. Lord Porządku Chirdan odpowiedział pociskami o zdecydowanie mniejszym zasięgu.

\* \* \*

Czas stracił znaczenie. Istniała tylko wieczność ginących statków i blasku, który oświetlał nocne niebo Ziemi niczym dwie setki słońc. Adrienne Robbins widziała, jak sięga po jej statki, widziała, jak jej lekkie niszczyciele i krążowniki płoną niczym węgle na palenisku. Lekko zmieniła kurs.

Rdzeń jej zdziętkowanych sił skierował się dokładnie w centrum wiru śmierci; ich magazynki były niemal puste.

\* \* \*

- Ruszać! - rzucił Tama Hideoshi i ostatnie ocalałe ziemskie myśliwce przechwytyjące wyleciały w niebo.

Siedział w fotelu pilota, obok oficera walki radioelektronicznej. Miał pięćdziesiąt dziewięć lat. Przed trzema był pewien, że już nigdy nigdzie nie polecą, a tymczasem dzięki implantom siedział teraz w myśliwcu i ruszał do ataku. Jeśli jego świat ma zginąć, może przynajmniej umrzeć w jego obronie niczym prawdziwy samuraj.

\* \* \*

Na Pana Gniazd! Ich małe statki atakują! Brashieel nie spodziewał się, że tak wiele z nich ocalało, a jednak tak właśnie było, i teraz deptały po piętach swoim ginącym większym braciom, chronione ich ciałami.

\* \* \*

Kilka wyrzutni „Suki” miało jeszcze pociski nadświatłne, lecz Andrew Samsonowi pozostała już tylko broń podświatłna. Miała daleki zasięg i sukinsyny łatwo mogły ją wyłapać, ale każda broń zmusi ich do wzmocnienia obrony. Zaczął wysyłać pociski w czterosekundowych odstępach.

\* \* \*

Lord Chirdan zaklął. Zabójcy gniazd ginęli dwunastkami, lecz mimo to wbijali się głęboko w jego szyk. Sześć dwunastek jego statków już zginęło, a przecież straszliwe żniwa promieni zabójców gniazd dopiero się zaczynały.

Ich okręty wojenne zniknęły pośród jego okrętów, przez co obsługa wyrzutni straciła cele ataku. Obrońcy skoncentrowali się więc na orbitalnych fortecach.

Twarz Geralda Hatchera była jak z kamienia, gdy pierwsze OCO zostało zniszczone. Pociski zasypywały również planetarną tarczę, ale witał je z radością. Nawet gdyby przeszły i zabiły miliony cywilów, i tak by się z nich cieszył, gdyż każdy pocisk wysłany przeciw Ziemi zmniejszał liczbę pocisków kierowanych przeciwko jego orbitalnym wyrzutniom.

Czuł się całkowicie bezużyteczny. Nie miał żadnych rezerw. Poświęcił wszystko, co miał. Teraz mógł tylko patrzeć na rzeź swoich ludzi.

\* \* \*

Pociski otaczały „Żelazną Sukę” płomienną aurą, lecz ona nadal się odgryzała.

Andrew Samson był jak maszyna, jak część swojej konsoli. Zostało mu tylko dziesięć procent pocisków, lecz nawet nie myślał o tym, by zwolnić. Uderzał w swoich wrogów, a jego myśli wypełniał grzmot, który niszczył szyk Achuultan.

Nie zobaczył pocisku nadświetlnego, który w końcu przebił się przez tarczę „Suki”. Zginął z myślami pełnymi grzmotu...

\* \* \*

Myśliwce Tamy Hideoshiego uderzyły w Achuultan, otoczone błyskami ich pocisków. Wrogie statki ginęły całymi dziesiątkami, lecz ich szeregi wciąż się zwierzały. Statki komodor Robbins zniknęły w środku wiru, ale myśliwce zbyt szybko ginęły, by móc za nimi podążyć.

Wkrótce wyczerpali cały zapas pocisków i zaatakowali bronią energetyczną.

\* \* \*

Adrienne Robbins znajdowała się w samym środku szyku Achuultan, lecz utraciła krążowniki i niszczyciele. Wciąż miała przed oczami obraz niszczyciela *Londyn*, który ruszył prosto na jeden z potwornych statków Achuultan, nie przerywając ostrzału bronią energetyczną. Przebił się przez jego osłabioną tarczę i pociągnął go za sobą w otchłań śmierci. Ale to nie wystarczało. Jedyne jej okręty wojenne były w stanie wytrzymać, lecz ich liczba szybko się zmniejszała. *Nergal* został po raz kolejny trafiony i pasma powietrza ciągnęły się teraz za nim niczym smugi krwi.

Kolejny statek Achuultan zginął od jej broni energetycznej, lecz zaraz za nim ukazał się następny. I jeszcze jeden. I tak się nie przebijają.

Adrienne Robbins rzuciła swój okaleczony statek do ataku, a ośmiu pozostałych towarzyszy *Nergala* zaszarżowało u jej boku.

\* \* \*

Czujniki Tsiena Tao-linga powiedziały mu, że komodor Robbins się nie uda. A

jednak... może się uda. Przymknął oczy i skoncentrował się na łączu. Jego umysł był zimny i spokojny, gotowy do obrony przed paniką. Robbins ściągnęła większość obrońców w stronę swoich statków, przez co ich liczba pośrodku szyku wzrosła, ale na flankach zmniejszyła się. Być może...

Deszcz pocisków z PCO ustał. Na łączu neuralnym z Centrum Sheperd wyczuwał zaskoczenie Hatchera, lecz nie miał czasu na wyjaśnienia.

Nagle wyrzutnie na nowo wycelowały i zagrzmiały, kierując wszystkie pociski w przestrzeń o średnicy zaledwie trzystu kilometrów. Dwa tysiące głowic grawitonicznych wybuchło w jednej chwili.

\* \* \*

Dwudziestokilometrowy statek kosmiczny oszalał, obracając się wokół własnej osi, gdy ogarnęła go fala zniszczenia. Sługa gromu Brashieel przytrzymał się służbowej poduszki, a z jego nozdrzy tryskała krew. Furia Tsien Tao-linga rzucała *Obrońcą* niczym nasionkiem winogrona.

\* \* \*

- Cel! - wrzasnął sir Frederick Amesbury; jego brytyjskie opanowanie gdzieś zniknęło. Tsien wybił otwór we flance Achuultan i komputery Amesbury'ego w końcu namierzyły Iapetusa. Dane przepłynęły do PCO i ocalałych OCO, a wtedy ich wyrzutnie znów wycelowały.

\* \* \*

Lord Chirdan zaklął i uderzył pięściami w grodzie. Nie! Nie mogli tego zrobić! Nie teraz, gdy Kopyto ma tak dużą odległość do przebycia!

Ale zmusił się do opanowania, patrząc, jak pociski uderzają Kopyto, podczas gdy jego wyniszczone piskłeta pospiesznie zmieniają pozycję. Tarcze zamigotały i zabłyśły - jeden kwadrant padł. Pocisk przebił się przez otwór i głowica antymaterii zniszczyła generatory kolejnego kwadrantu.

Ale nawet ci splodzeni przez demony zabójcy gniazd nie mogą zabić Kopyta, nie widząc go, a jego zwiadowcy już zdążyli się rozproszyć, by ukryć przed wrogiem zniszczone generatory tarczy.

Warknął, odsłaniając zęby, i znów skoncentrował się na pięciu pozostałych okrętach wojennych zabójców gniazd. Odeśle ich do Paleniska, a ich śmierć podsyci ogień czekający ten przeklęty świat.

\* \* \*

Chwilowe uniesienie Hatchera zniknęło. To była wspaniała próba, lecz się nie

powiodła. Znow poczuł, jak powraca smutek z powodu śmierci planety oraz głęboka duma z broniących jej ludzi.

Przyglądał się niemal spokojnie coraz bardziej zbliżającym się statkom Achuultan. Nie było ich więcej niż trzy setki, najwyżej cztery, lecz to wystarczy.

- Generale Hatcher! - Poderwał się, słysząc nagły okrzyk z działu radiolokacji. W tym głosie było coś dziwnego. Coś, czego do końca nie pojmował. I nagle zrozumiał. Nadzieja. Była w nim nadzieja!

\* \* \*

*Nergal* został sam, był ostatnim z ziemskich statków.

Adrienne Robbins nie miała pojęcia, dlaczego jej statek nie został jeszcze zniszczony, ale nie chciała marnować czasu na zastanawianie się nad tym. Jej umysł płonął goręcej niż pociski uderzające w tarczę. Wciąż parla do przodu, chociaż nie było w tym żadnego sensu. Jeden statek bez pocisków nie może powstrzymać Iapetusa. Ale *Nergal* wyleciał po to, by zaatakować wroga, i zamierza to zrobić.

Mur stawał się coraz cieńszy, wyczuwała już swoimi czujnikami księżyc. Zmieniła lekko kurs i zaatakowała wroga...

...który nagle zniknął w morzu grawitonicznego zniszczeń.

\* \* \*

Lord Chirdan patrzył i niczego nie rozumiał. Trzy dwunastki okrętów wojennych... Cztery dwunastki... Pięć! To niemożliwe! Okryty wojenne większe od samego Kopyta!

Przybyły znikąd z niesamowitą prędkością i zaczęły zabijać.

Ich pociski nie pudłowały. Ich promienie spopielaly statki. Ich tarcze odpychały najpotężniejsze gromy. Były najgorszym koszmarem Aku'Ultan, odzianym w tarcze i stal.

Okręt flagowy Lorda Chirdana zniknął w płomieniach, a wraz z nim zwiadowcy. Nie byli w stanie powstrzymać tych nocnych demonów. Żałosna garstka obrońców wyrwała się i próbowała uciec, lecz byli zbyt głęboko w studni grawitacyjnej, żeby umknąć w nadprzestrzeń, i jeden po drugim ginęli.

Nim jednak Lord Chirdan zginął, ujrzał, jak jeden z wielkich okrętów wojennych zbliża się do Kopyta i strzela. Jego pociski podświetlne dokładnie wycelowały w księżyc, po czym ożyły i wypłynęło z nich morze grawitonicznej furii. Sama ta reakcja wystarczyłaby, aby wywołać trzęsienia ziemi i obudzić wulkany.

Jednak była to jedynie zapowiedź ich mocy. Szesnaście głowic grawitonicznych - każda setki razy potężniejsza od tego wszystkiego, co posiadała Ziemia - wybuchło... i zabrało ze sobą Iapetusa.

\* \* \*

General Hatcher patrzył z niedowierzaniem, zbyt wstrząśnięty, by się cieszyć. Cisza panująca w centrum dowodzenia była potwierdzeniem jego uczuć.

Nagle ekran jego wyświetlacza zaświecił i pojawiła się znajoma twarz.

- Przepraszam, że przybyliśmy tak późno - powiedział cicho Colin MacIntyre.

I wtedy w centrum dowodzenia rozległy się radosne okrzyki.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Generał Hector MacMahan przyglądał się, jak ławica imperialnych łodzi desantowych otacza jego pojazd dowodzenia, po czym skierował swoje czujniki na zniszczone połówki achuultańskiego statku, dryfujące w przestrzeni w rytmie szalonego tańca. Na pokładzie wraku wciąż było powietrze i życie, ale niezbyt wiele.

MacMahan chrząknął z zadowoleniem, gdy pola przechwytyjące planetoidy *Sevid* wreszcie zatrzymały wrak.

Nie miał pojęcia, jak wielu Achuultan może na nich czekać, a w pierwszej grupie miał tylko sześć tysięcy mężczyzn i kobiet, a do tego o połowę mniejszą rezerwę. Cena może się okazać wysoka, lecz ten wrak był jedynym w układzie tylko częściowo uszkodzonym okrętem wojennym Achuultan. Gdyby mogli go zdobyć, przejąć archiwa, komputery, a może nawet paru żywych Achuultan...

- Zbliżyć się - mruknął przez komunikator, przyglądając się ostatnim zmianom szyku.
- Wykonać! - Łodzie desantowe wystrzeliły do przodu.

\* \* \*

Sługa gromu Brashieel czekał we wraku w kombinezonie próżniowym. Jego złamana przednia noga została prymitywnie usztywniona, ale poza bólem nie bardzo mu to przeszkadzało. Wciąż miał trzy zdrowe nogi, a po utracie napędu trudno było mówić o grawitacji.

Przyglądał się przyrządom, pragnąc wysłać przeciwko wrogom grom, lecz jego wyrzutnie były martwe. Być może pięć dwunastych broni energetycznej *Obrońcy* wciąż nadawało się do użytku, lecz żadna broń w uszkodzonej sekcji przedniej, w której się znajdował, nie działała.

Brashieel próbował nie myśleć o czekającym ich koszmarze. Świat zabójców gniazd wciąż żył, a te potworne okręty wojenne zapowiadały jeszcze większe niebezpieczeństwa. Lordowie Myśli sądzili, że zabójcy gniazd byli osamotnieni, a tymczasem twórcy starożytnych kompleksów czujników ruszyli im na odsiecz, potężni ponad wszelkie wyobrażenie. Czemu mieliby zadowolić się tylko zatrzymaniem ataku obrońców? Czemu nie mieliby zaatakować samego Gniazda?

Zastanawiał się, dlaczego po prostu nie posłali *Obrońcy* w Ogień. Czy ich honor wymaga, by ostatniemu wrogowi stawiać czoła w bezpośredniej walce? Tymczasem niewielkie pojazdy zbliżyły się. Nie miał broni i nie mógł ich zniszczyć, lecz już zdecydował,



gdzie wraz z pozostałymi sługami gromu stoczy swą ostatnią walkę.

\* \* \*

MacMahan skrzywił się, gdy z tylnej części zniszczonego kadłuba wystrzelił w stronę jego promów ogień. Prymitywna broń energetyczna była na tyle silna, że przepaliła tarcze trzech łodzi desantowych, ale pozostałe zaczęły robić uniki, atakując wrak karabinami energetycznymi. Potem wystrzeliły o wiele potężniejsze działa *Sevrída* i ich promienie wypaczeniowe wycięły eleganckie otwory w kadłubie, przez które wypłynęło na zewnątrz powietrze. Tymczasem pierwsze łodzie desantowe dotarły już do celu.

Ich karabiny energetyczne wystrzeliły po raz ostatni i łodzie opadły do wybitych otworów. Zatrzymały się gwałtownie i na korytarzach zniszczonego statku kosmicznego natychmiast pojawiły się oddziały szturmowe. Ich smoliste pancerze były zupełnie niewidoczne w mroku. W odpowiedzi na ogień garstki obrońców grupy bojowe otworzyły ogień.

Statek dowodzenia MacMahana prowadził trzecią falę ataku. Hamując, zatoczył się niczym pijany, a po chwili otworzyły się luki. Kompania Kwatery Głównej otoczyła swojego dowódcę, a wtedy on poprowadził ich w sam środek szaleństwa.

\* \* \*

Brashieel czekał. Nie było sensu szarżować na ślepo na zabójców gniazd. *Obrońca* był już martwy, a jego piskłeta mogły równie dobrze zginąć tutaj, jak w każdym innym miejscu.

W świetle latarki na helmie sprawdził pozycję swoich towarzyszy z Gniazda. W przypominającym kopyto półokrągłym szyku bronili wejścia na mostek. Brashieel żałował, że Pomniejszy Lord Hantorg nie przeżył, by poprowadzić ich do ostatniej walki.

Jego nozdrza rozszerzyły się w gorzkim rozbawieniu. On i jego towarzysze byli sługami gromu i niszczyli światy, a nie pojedynczych zabójców gniazd. Próbował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek słyszał, by obrońcy i zabójcy gniazd stawali naprzeciw siebie twarzą w twarz. Nie sądził, by o tym słyszał, lecz jego umysł był nieco zamroczony, a zresztą to i tak nie miało żadnego znaczenia.

\* \* \*

Skoordynowanie walki było tak trudne, jak MacMahan się spodziewał. Nawet imperialna technika nie była w stanie dostarczyć wyraźnego obrazu tego labiryntu pokładów i przejść, zamkniętych luków i zasadzek.

On zrobił co mógł w czasie odprawy. Teraz wszystko zależało od jednostek szturmowych. Druga Marines stanowiła trzon jego sił, lecz każda kompania miała dołączony pluton zwiadu i - strumień pocisków sprawił, że powrócił myślami do czekającego go

zadania. Odskoczył błyskawicznie na bok, gdy jego szpica padł, a kolejne pociski zasypały miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał. Za unoszącym się w zerowej grawitacji pancerzem bojowym zabitego kaprała O'Hary płynęły bańki powietrza i krwi. MacMahan skrzywił się. Broń energetyczna tych szalonych centaurów jest gównem warta, pomyślał, ale ich karabiny są naprawdę paskudne.

Ale mimo to mieli nad Achuultanami przewagę. Ich broń miała poważną wadę - odrzut - a tymczasem jego ludzie nie mieli takich problemów. Ponadto mimo determinacji, by walczyć aż do końca, Achuultanie nie wydawali się zbyt dobrymi żołnierzami piechoty. Z kolei jego ludzie...

Dwaj obrońcy podkradli się do przodu i cały pokład zalał ciągły ogień z karabinów grawitacyjnych. Supercieżkie wybuchowe strzałki rozszarpały grodzie, wypełniając ciemność stroboskopowym blaskiem, gdy nagle kapitan Amanda Givens-Tamman podniosła się na kolana i jej karabin wypaczeniowy wystrzelił. Ogień obrońców natychmiast ustał.

MacMahan zadrzał. Nienawidził tych przeklętych karabinów. Żeby wykorzystywać pole nadprzestrzeni przeciwko komukolwiek, nawet Achuultanom...

Odsunął od siebie tę myśl i gestem posłał ludzi do przodu. Na szpicie stanął nowy żołnierz; czujniki jego pancerza badały okolicę w poszukiwaniu pułapek i obrońców. Przed nimi wznosił się kolejny zamknięty właz.

\* \* \*

Brashieel zadrzał, gdy poczuł wibracje stali.

- Bądźcie w gotowości, bracia moi - powiedział cicho. - Zabójcy gniazd nadchodzą.

Nagle właz po prostu zniknął, a grzebień Brashieela opadł z przerażenia. Jakimś sposobem ci zabójcy gniazd okiełznali nadprzestrzeń!

We włazie pojawił się pierwszy zabójca gniazd, rozświetlony blaskiem z korytarza, i wypełnił ciemność strugami ognia ze swojej krótkiej broni. Brashieel przełknął żółć na widok jego obrzydliwej, przysadzistej dwunożnej postaci. Ale nawet teraz przede wszystkim był zdziwiony. To broń strzelająca pociskami, lecz bez odrzutu! Jak to możliwe?

Pytanie to natychmiast przestało go zajmować, gdy wybuchowe strzałki zabójcy gniazd rozszarpały dwóch jego towarzyszy. Jak ich zobaczył w ciemnościach? Nieważne. Westchnął oparł trzy zdrowe nogi o grodzie i nacisnął spust. Odrzut sprawił że jego złamaną nogę przepelnił ból, lecz ciężkie pociski przebiły się przez zbroję dwunoga i Brashieel poczuł przypływ dzikiej rozkoszy. Odebrali mu gromy, lecz pośle jeszcze paru do Paleniska, zanim go zabiją.

Pomieszczenie wypełniły bańki krwi, gdy kolejni zabójcy gniazd wpadli przez właz.

Ich ogień był zabójczo skuteczny. Pisklęta ginęły, ostrzeliwując się i krzycząc z bólu i przerażenia przez komunikatory skafandrów, gdy strzałki wybuchały w ich ciałach lub straszliwa broń nadprzestrzenna odrywała ich kończyny. Brashieel wrzasnął z nienawiści i puścił spust, po czym sięgnął po kolejny magazynek, lecz nie było już czasu. Rzucił się z bagnetem na ostatniego z zabójców gniazd, który wszedł do środka.

\* \* \*

- Generale! - krzyknął ktoś i MacMahan obrócił się. Coś było nie tak z nogami atakującego centaury, lecz nie z jego odwagą. Nacierał uzbrojony jedynie w bagnet. MacMahan niemal automatycznie uniósł karabin grawitacyjny... i zatrzymał się.

- Wstrzymać ogień! - krzyknął i odrzucił karabin na bok. Brashieel sapnął, gdy rachityczny zabójca gniazd odrzucił broń, i w jego sercu zapłonął ogień. Jeszcze jeden wróg, który oświecili jego drogę do Paleniska! Krzyknął z wściekłością i pchnął.

MacMahan uderzył krawędzią rękawicy napędzanej mechanicznymi „mięśniami” w długą, niezgrabną strzelbę Achuultaina, i niesamowicie pocięta broń poleciała na bok.

Obcy rzucił się na niego. Jak można się boksować z ćwierć-koniem z rękami? MacMahan niemal roześmiał się na tę myśl, po czym chwycił jedną wymachującą rękę, w której w ostatniej chwili zauważył nóż. Achuultan zwinął się z bólu.

Ostrożnie, ostrożnie, Hectorze. Tylko go przypadkiem nie zabij! I uważaj na kombinezon próżniowy, ty idioto! Rozerwiesz go i...

Zmniejszył siłę pancerza, a w nagrodę gorączkowo wymachujące kopyto trafiło go w pierś. Uderzenie zabolowało nawet przez pancerz. Silny sukinsyn! Stracili kontakt z grodziami i zaczęli przetaczać się, nieważcy i niezgrabni, przez całą salę. Ostatni achuultański strzelec próbował ich trafić, lecz jeden z żołnierzy Kwatery Głównej wykończył go na czas. W końcu odbili się od grodzi i MacMahan chwycił drugą rękę przeciwnika.

Przekręciwszy się, wylądował na grzbiecie Achuultana. Z trudem powstrzymał się, by nie krzyknąć „dalej, kowboju!”, gdy otoczył opancerzonymi rękami tors i ręce centaury. Jedną nogę wygiął do tyłu i odepchnął tylną kończynę przeciwnika, a wtedy ten znów zadrżał. A niech to! Kolejna kość złamana!

- Ashwell! Rusz tu swój tyłek! - zawołał i adiutant skoczył do przodu. We dwóch obezwładnili rannego, wciąż szarpiącego się obcego, i przytrzymali, dopóki dwaj inni żołnierze go nie związali.

- Jezu! Te sukinsyny nie wiedzą, kiedy przestać, panie generale! - wysapał Ashwell.

- Może i nie, ale jednego wzięliśmy żywcem. Spodziewam się, że jego wysokość będzie z nas zadowolony.

- Lepiej, żeby jego wysokość był - mruknął ktoś.

- Niczego nie słyszałem - powiedział uprzejmie MacMahan. - Ale gdybym słyszał, z pewnością bym się zgodził.

\* \* \*

Horus przyglądał się, jak okaleczony *Nergal* powoli opada, próbował nie płakać. Nie udało mu się, ale miał nadzieję, że w lodowatym deszczu nikt tego nie zauważył.

Eskortowały go dziwne statki, półtora raza od niego większe - Horus skrzywił się, gdy kolejny moduł napędu zawiódł i statek zakołysał się, lecz Adrienne Robbins natychmiast opanowała sytuację. Pola przechwytyjące innych statków czekały, gotowe złagodzić jego cierpienia, lecz Adrienne nie chciała się zgodzić.

- Nie. - W jej głosie były łzy. - Zaprowadził nas tak daleko i zabierze nas do domu. Samodzielnie. A niech mnie diabli! Samodzielnie!

Dziwne statki unosiły się wokół niczym straż honorowa, gdy okaleczony statek opadał przez ostatnich kilka metrów nieba. Dwa wysięgniki nie wysunęły się, więc Robbins znów podniosła statek, utrzymując go w równowadze, po czym szybko wytraciła prędkość i wylądowała łagodnie na brzuchu. To było doskonałe, pomyślał Horus. Idealne. Nigdy nie mógł jej dorównać.

W ciszy słychać było tylko kanonadę artylerii, oddającej cześć ostatniemu obrońcy Ziemi. Błyszczący nowo przybyli usiedli kręgiem obok rannego brata.

\* \* \*

Colin dopłynął szybem transportowym okrętu *Checha* do głównej rampy i wyszedł na deszcz.

Coś się w nim zacisnęło, gdy poprzez lodowatą ulewę ujrzał czekającego na niego Horsa. Jego twarz jeszcze bardziej niż zwykle przypominała kamień, lecz był to stary kamień, w którym ostatnich trzydzieści miesięcy wyłobilo nowe bruzdy. Stary Imperialny patrzył na niego z pełną niedowierzania radością.

- Witaj, Horusie - powiedział, a wtedy starzec chwycił go za ramiona i spojrzał mu w twarz, jakby zobaczył ducha.

- Jesteście tutaj - wyszeptał. - Udało się.

- Tak, udało się - odpowiedział Colin i nagle jego głos załamał się, gdy przyciągnął do siebie starego Imperialnego. - Wam też się udało. Mój Boże, wam też!

- Oczywiście, że tak - odparł Horus. Colin nigdy nie słyszał w ludzkim głosie takiego wyczerpania. - Przecież po to zostawiłeś mi planetę pełną Ziemi, czyż nie?

\* \* \*

Generał Chiang Chien-su był wyjątkowo zajęty, gdyż trzęsienia ziemi i wybuchy wulkanów wywołane zniszczeniem Iapetusa dołożyły się do spustoszeń, z którymi już walczył. Jednak jego ostatni raport wydawał się niemal radosny. Tym razem jego ludzie wygrywali, a potężne planetoidy krążące po orbicie Słońca razem z planetą bardzo mu w tym pomagały. Ich jednostki pomocnicze były wszędzie; ratowały ofiary burz, błota, wody i ognia.

Wszyscy inni pozostali przy życiu szefowie Sztabu siedzieli w biurze Horusa.

Wasilij Czernikow wyglądał jak trup, lecz twarz miał rozluźnioną. Dopływ mocy został w końcu wyłączony, a on nie stracił nad nim kontroli. Gerald Hatcher i Tsien Tao-ling siedzieli razem na kanapie z nogami na tym samym stoliku do kawy. Sir Frederick Amesbury zajmował fotel i z lekko przymkniętymi powiekami popalał fajkę.

Tamy Hideoshiego nie było. Syn Tammana zginął śmiercią samuraja, tak jak pragnął.

Colin siedział na rogu biurka Horusa i wszystkich obserwował. Nigdy wcześniej nie widział tak strasznego zmęczenia. Ci ludzie, myślał, dokonali rzeczy niemożliwych. Już wcześniej dowiedział się z komputerów, co musieli znosić i czego dokonali. Nawet mając przed sobą dowody, z trudem mógł w to uwierzyć. Jednak oprócz zmęczenia widział na ich twarzach rozluźnienie, radość, że ratunek nadszedł w ostatniej chwili i że Imperium ich nie opuściło, i czuł sam do siebie nienawiść, że musi im powiedzieć prawdę.

- Panowie - powiedział cicho - nie miałem pojęcia, o co was właściwie poprosiłem. Nie wiem, jak to zrobiliście. Mogę tylko powiedzieć, że wam dziękuję, choć wydaje się, że to tak niewiele. - Przerwał i przepaszająco wzruszył ramionami, a Gerald Hatcher uśmiechnął się ze zmęczeniem.

- My również dziękujemy, gubernatorze. W imieniu pańskich dowódców wojskowych - i całej planety - dziękuję. Gdybyś nie pojawił się w tamtej chwili... - Teraz on wzruszył ramionami.

- Wiem i przepraszam, że przybyliśmy tak późno. Ale wyszliśmy z nadświatłnej w chwili, gdy wasze pasożyty wyruszyły.

Horus zmarszczył czoło.

- To jak, na Stwórcę, dostaliście się tutaj? Powinno było wam to zająć co najmniej dwadzieścia godzin!

- *Dahakowi* zajmie tyle czasu. On i Tanni pojawią się tu za jakieś dwanaście godzin. Tamman i ja wzięliśmy pozostałe statki i zrobiliśmy mikroskop. - Colin uśmiechnął się na widok miny Horusa. - Słowo harcerza. Owszem, nadal potrzebowaliśmy komputerów *Dahaka* - przez cały czas byliśmy podłączeni przez komunikator przestrzeni złożonej - ale on nie był

w stanie dotrzymać nam kroku. Musicie wiedzieć, te statki mają napęd nadświatlny i napęd Echanach.

- Co?!

- Wiem, wiem - powiedział uspokajająco Colin. - Mamy dużo do wyjaśnienia. Najważniejsze w tym wszystkim jest to, że te statki są szybkie jak diabli. Mogą wyjść z nadprzestrzeni w odległości dwunastu minut świetlnych od gwiazdy typu GO, a kiedy już są na miejscu, mogą rozwijać prędkość siedemdziesięciu procent prędkości światła.

- Na Stwórcę! Kiedy cię posłać po pomoc, to rzeczywiście ją sprowadzasz, co?

- Cóż - powiedział powoli Colin, splatając ręce na kolanach - i tak, i nie. Nie mogliśmy znaleźć nikogo, kto poleciałby z nami.

- Podniósł wzrok i zauważył grozę w oczach swojego teścia. - Imperium już nie ma, Horusie - powiedział łagodnie. - Sami musieliśmy ściągnąć te statki... i nikogo więcej nie będzie.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Szyby transportowe *Dahaka* wyrzuciły Horusa u celu i właz otworzył się bezgłośnie. Zrobił krok do przodu, lecz zaraz zatrzymał się gwałtownie i uchylił, gdy obok niego przeleciał pięćdziesięciokilogramowy stwór porośnięty czarnym futrem. Dzwoneczek zniknęła w błyszczącym otworze szyby, a jej radosne szczekanie szybko ucichło. Starzec pokręcił z uśmiechem głową.

Wszedł do kajuty kapitana. Atrium wypełniał blask „słońca”, co było przyjemną odmianą po straszliwych deszczach i śnieżycach dręczących Ziemię. Colin podniósł się szybko, chwycił go za rękę i poprowadził do ludzi siedzących wokół kamiennego stołu.

Hector MacMahan podniósł wzrok i machnął zachęcająco ręką. Na jego twarzy gościł rzadko widziany uśmiech. Gerald Hatcher i Tsien Tao-ling sprawiali wrażenie bardzo spokojnych i także się uśmiechali. Wasilija nie było - razem z Walentyną odwiedzali syna i właśnie wydawali pełne podziwu pomruki, gdy ten objaśniał im cuda imperialnej technologii.

- Gdzie jest Tanni? - spytał Horus.

- Zaraz przyjdzie. Poszła po coś, co chcemy wam pokazać.

- Na Stwórcę, dobrze będzie znów ją zobaczyć! - westchnął starzec, a Colin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Ona czuje to samo... tato.

Horus próbował ukryć szeroki uśmiech. Kto by pomyślał, że Tanni wykaże tyle rozsądku, by poślubić Colina? Zwłaszcza biorąc pod uwagę okoliczności ich pierwszego spotkania.

- Cześć, dziadku. - Hector nie podniósł się; jego noga regenerowała się po trafieniu pociskiem podczas ostatniej walki na pokładzie *Obrońcy*. - Przepraszam za Dzwoneczka. Spieszyło jej się.

- Spieszyło? Wydawało mi się, że to zagubiony pocisk nadświetlny!

Colin roześmiał się.

- Zachowuje się tak od chwili, gdy odkryła szyby transportowe, a *Dahak* rozpieszcza ją jeszcze bardziej niż Hector.

- Nie sądziłem, że ktokolwiek jest w stanie mu dorównać - mruknął Horus, spoglądając surowo na Hectora.

- Uwierz mi. Nie ma co prawda rąk, ale znalazł sposób, by ją głaskać. Kieruje ją na jeden z pokładów parkowych i dostosowuje szyb tak, by leciała z prędkością osiemdziesięciu

kilometrów na godzinę, a ona czuje się jak w niebie. I jeszcze do niej szczeka! To najstraszliwszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszałeś, ale *Dahak* upiera się, że Dzwoneczek rozumie go lepiej niż ja.

- Co wcale nie wymaga zbyt wielkiego pojmwania - odpowiedział głos. Horus wzdrygnął się. Ostatnio słyszał ten głos podczas buntu. - Ale wcale tak nie powiedziałem. Uważam jedynie, że szczekanie Dzwoneczka niesie ze sobą więcej treści niż wy, ludzie, sądzicie, i że powinniśmy nauczyć się komunikować, bo nie sądzicie, że już nam się to udało.

- Jasne. - Colin przewrócił oczyma.

- Witam na pokładzie, starszy kapitanie Floty Horusie - powiedział *Dahak*.

Stary Imperialny uspokoił się, słysząc w głosie serdeczność.

- Dziękuję, *Dahaku* - odpowiedział i ujrzał na twarzy Colina uśmiech aprobaty.

- Dołącz do nas. - Zięć wskazał Horusowi miejsce na końcu stołu. Wiatr poruszał liśćmi drzew rosnących w atrium, w pobliżu szemrała fontanna, i Horus poczuł, że jego niepokój wreszcie zaczyna ustępować.

- Czyli - Hatcher najwyraźniej powrócił do przerwanej rozmowy - odkryłeś, że jesteś cesarzem, i zlokalizowałeś tę swoją Flotyllę Straży. Wydawało mi się, że mówiłeś, iż liczy siedemdziesiąt osiem jednostek?

- Tylko siedemdziesiąt osiem okrętów wojennych - poprawił go Colin, siadając na krawędzi stołu. - Jest także dziesięć węglowców klasy Shirga, trzy transportowce klasy Echanach i dwa statki remontowe. W sumie dziewięćdziesiąt trzy jednostki.

Horus pokiwał głową, wciąż wstrząśnięty tym, co zobaczył, gdy jego kuter zbliżył się do *Dahaka*. Przestrzeń wokół Terry była zatłoczona ogromnymi, błyszczącymi planetoidami. Ich bandery zdobiły dziwne obrazy: czający się sześciopły górski kot z Birhat, opancerzony wojownik z szerokim mieczem w dłoni okrytej rękawicą, całe hordy obcych mitycznych bestii, których nawet nie rozpoznawał. Ale najbardziej niepokojący był obraz smoka na banderze drugiego *Dahaka*. Spodziewał się tego, ale spodziewać się i zobaczyć na własne oczy to dwie różne rzeczy.

- I udało ci się ściągnąć wszystkie tutaj - powiedział cicho.

- Ależ tak! - wykrzyknął Tamman, który właśnie wyłonił się z szybu transportowego za ich plecami. - Przy okazji połowę z nas niemal doprowadził do śmierci. - Colin uśmiechnął się, a Tamman prychnął. - *Dahak* i Caitrin zajęli się funkcjami podtrzymywania życia przez komputery centralne, kiedy już wyruszyliśmy - ale dobrze, że nie mogliście nas zobaczyć, zanim odpoczęliśmy w drodze powrotnej.

Potężny Imperialny uśmiechnął się, choć w jego oczach krył się smutek. Śmierć



Hideoshiego bardzo nim wstrząsnęła - był jedynym dzieckiem Himeko, jego ziemskiej żony - mimo że dorastał w czasach, gdy nie było implantów dla urodzonych na Ziemi dzieci i śmierć była mu straszliwie znajoma.

- Owszem, sprowadziliśmy wszystkie tutaj - potwierdził Colin - ale te statki są strasznie głupie, Horusie, i nie mamy dla nich załóg. Udało nam się skompletować szkieletową załogę na sześciu Asgardach, lecz inne są puste - to znaczy poza *Sevridem*. Dlatego musieliśmy wrócić na napędzie Echanach, zamiast przeskoczyć przez nadprzestrzeń. Możemy nimi kierować tylko pod warunkiem, że *Dahak* za nie myśli.

- Nadal niczego nie rozumiem - powiedział Horus. - Czemu przebudzenie nie zadziało?

- Niech mnie diabli, jeśli wiem - odparł uczciwie Colin. - Próbowaliśmy z *Dwójką* i *Herdanem*, ale to niczego nie zmieniło. Te komputery są szybsze niż *Dahak* i mają nieprawdopodobne możliwości, ale nawet kiedy zrzuciliśmy im całą jego pamięć, nie obudziły się.

- A może to jakiś eksperyment? Może tajemnica kryje się w podstawowym oprogramowaniu?

- *Dahaku*? Chcesz na to odpowiedzieć?

- Spróbowałbym, Colinie, ale prawda jest taka, że nie wiem. Starszy kapitanie Floty Horusie, musisz zrozumieć, że budowa tych komputerów jest zupełnie inna od mojej, a ich podstawowe oprogramowanie ma za zadanie niedopuszczenie do rozwoju prawdziwej samoświadomości. Moje programy tłumaczące są zwykle wystarczające dla różnych celów, ale tym razem nie byłem w stanie zmienić ich programów. Ich podstawowe oprogramowanie jest nierozzerwalnie związane z obwodami wzbudzonej energii. Mogę przenosić dane i korzystać z ich programów, ale nie jestem na tyle wszechstronny, by je zmieniać. Dlatego przypuszczam, że problem kryje się w podstawowym oprogramowaniu i że zwiększanie ilości danych, by mi w tym względzie dorównać, nie wystarczy, by komputery osiągnęły prawdziwą świadomość. - Chyba że w hipotezie kapitana Floty Czernikowa kryje się ziarno prawdy.

- A cóż to za hipoteza?

- Wład wszedł w metafizykę - wyjaśnił Colin. To mógł być żart, lecz Horus tego tak nie potraktował. - Przypuszcza, że *Dahak* dorobił się duszy.

- Duszy?

- Tak. Uważa, że to efekt ewolucji czegoś wykraczającego poza oprogramowanie, skomplikowania sieci komputerowych czy ilości danych w pamięci. Z braku lepszego określenia nazwał to duszą. Możesz później z nim o tym porozmawiać, jeśli chcesz. Zagada

cię na śmierć, jeśli mu na to pozwolisz.

- Z pewnością - odparł Horus. - Dusza - mruknął. - Cóż za wspaniała koncepcja. Byłoby cudownie, gdyby okazała się prawdziwa. - Uśmiechnął się na widok zdziwionej miny Hatcherera.

- *Dahak* i tak jest cudem - wyjaśnił. - Osobą... Jednostką... Nieważne, jak to nazwiemy, ale jeśli faktycznie ma duszę, jeśli ludzkość rzeczywiście do tego doprowadziła, nawet przypadkiem, cóż to za wspaniałe dzieło.

- Rozumiem. - Hatcher znów spojrzał na Colina. - Ale wracając do mojego pytania, jak rozumiem, nadal masz zamiar pozostać cesarzem?

- Mogę nie mieć innego wyboru - stwierdził krótko Colin. - Matka nie pozwoli mi abdykować, a wszystkie pozostałości imperialnej technologii, jakie udało nam się odzyskać, zostały tak zaprogramowane, by jej słuchać.

- A co w tym złego? - wtrącił Horus. - Myślę, że będzie z ciebie świetny cesarz, Colinie. - Zięć pokazał mu język. - Mówię poważnie. Popatrz, co już udało ci się osiągnąć. Nie wierzę, by na Ziemi była choć jednak osoba, która nie uświadamiałaby sobie, że żyje tylko dzięki tobie...

- Chciałeś powiedzieć, że dzięki tobie - przerwał mu Colin.

- Tylko dlatego, że pozostawiłeś mi dowodzenie, ale ja nie poradziłbym sobie bez tych ludzi. - Horus objął Hatcherera i Tsiena. - Chodzi mi o to, że to ty pozwoliłeś nam przetrwać. To znaczy ty i *Dahak*, ale nie sądzę, by on zechciał zająć to stanowisko.

- Dobrze pan sądzi, sir - odpowiedział ciepły głos i Horus uśmiechnął się.

- I czy tego chcesz, czy nie, ktoś musi objąć to stanowisko albo podobne. Zaszliśmy tak daleko tylko dlatego, że narzucono nam z zewnątrz najwyższą władzę, a wciąż trwa wojna, która wymaga swego rodzaju władzy absolutnej. Nawet gdyby nie było wojny, minie co najmniej pokolenie, zanim Ziemia będzie zdolna do skutecznego samostanowienia, a rząd światowy w którym nie ma przedstawicieli wszystkich narodów, nie będzie mógł skutecznie działać.

- Za pozwoleniem, wasza wysokość - Tsien uprzedził rodzący się sprzeciw Colina - gubernator ma rację. Doskonale wiesz, jak moi ludzie postrzegają zachodni imperializm. Być może ten problem został nieco złagodzony przez wzajemne zaufanie, jakim się darzą nasze połączone armie i współpracujące rządy, ale nasza jedność jest bardziej krucha niż się wydaje i wiele różnic nadal pozostało. Współpraca na zasadzie równorzędnych partnerów nie jest już dla nas niewyobrażalna, lecz wspólny rząd może być dużym problemem. Ty jako przedstawiciel władzy spoza tradycyjnej ziemskiej równowagi sił to zupełnie inna sprawa. Ty

możesz utrzymać naszą jedność. Nikt inny - być może z wyjątkiem gubernatora Horsa - nie byłby w stanie tego zrobić.

Colin był zaskoczony. Nie spodziewał się, że Tsien tak łatwo zaakceptuje władzę Horsa. Wciąż myślał o marszałku jako twardogłowym przywódcy wojskowym Sojuszu Azjatyckiego, dlatego jego rozsądna wypowiedź nieco nim wstrząsnęła.

- Jeśli wszyscy tak sądzicie, chyba wpadłem. Ale trzeba przyznać, że to z pewnością ułatwi nam kontakty z Matką!

- Ale dlaczego ona jest taka zdeterminowana? - spytał Hatcher.

- Tak została zaprojektowana, Ger - odparł MacMahan - Matka była strażą pretoriańską Cesarstwa. Dowodziła Flotę Bojową w imieniu cesarza, ale ponieważ nie miała samoświadomości, była wolna od ambicji, która zwykle zżera ludzi o takiej pozycji - Herdan Wielki uczynił ją strażniczką Cesarstwa, kiedy zgodził się objąć władzę.

- Zgodził się! - prychnął Hatcher.

- Historycy Cesarstwa byli bardzo oszczędni w pochlebstwach, nawet kiedy ich cesarze jeszcze żyli. O ile jestem w stanie ocenić ich dzieło, Herdan wiedział, co to za cholerna robota, i wcale jej nie chciał.

- A jak wielu ziemskich cesarzy przyznawało się, że chcą władzy?

- Pewnie niewielu, ale Herdan znajdował się w piekielnie trudnej sytuacji. Było sześć „oficjalnych” rządów Imperium i co najmniej dwa razy tyle wojen domowych, a on przypadkiem był najwyższym rangą oficerem na Birhat. To nie podobało się pozostałym, więc dwaj z nich umówili się, że go zniszczą, lecz w konsekwencji to on ich zniszczył. Studiowałem przebieg jego kampanii i muszę przyznać, że był piekielnie dobrym strategiem. Jego załogi też o tym wiedziały, i kiedy zażądały, by zgodnie ze starą rzymską tradycją został obwołany dyktatorem, aby wreszcie zakończyć wojny, senat Birhat ich posłuchał.

- Dlaczego później nie abdykował?

- Myślę, że się bał. Wydaje mi się, że jak na owe czasy był cholernym liberałem - jeśli mi nie wierzysz, popatrz na prawa obywatela, które zamieścił w tym swoim Wielkim Edykcie - ale dopiero co udało mu się ugasić wojny w Imperium. Podobnie jak w przypadku naszego Colina, jedynie jego osobisty autorytet utrzymywał wszystko w kupie. Gdyby zrezygnował, wszystko by się rozpadło. Dlatego przyjął tę pracę, gdy senat mu ją zaproponował, po czym przez osiemdziesiąt lat tworzył system władzy absolutnej, która nie zmieniała się w tyranie.

- Wygląda to tak, że cesarz ma władzę absolutną w kwestiach wojskowych - stąd oprócz innych tytułów tytuł wodza - i nieco bardziej ograniczoną w kwestiach cywilnych. Sprawuje władzę wykonawczą, powołuje na stanowiska i odwołuje oraz kieruje skarbem.

Władzę ustawodawczą stanowi Zgromadzenie Szlachty. Mniej niż jedna trzecia tytułów jest dziedziczna, a ponad siedemdziesiąt procent to tytuły nadawane na czas życia. Herdan ustanowił, że cesarz może przyznawać tylko dwadzieścia procent z nich. Inne są nadawane przez samo Zgromadzenie - w nagrodę za osiągnięcia naukowe, wyróżniającą się służbę wojskową i tym podobne sprawy - lub w drodze powszechnego głosowania. W pewnym sensie jest to zgromadzenie jednoizbowe z ukrytymi czterema osobnymi izbami: wyznaczeni przez cesarza, nominowani za osiągnięcia, wybierani i dziedziczni, i nie służy tylko do zatwierdzania rozkazów cesarza.

Zgromadzenie aprobuje lub odrzuca nowych cesarzy. Wystarczająco duża większość jest w stanie nakazać panującemu cesarzowi abdykowanie, to znaczy poddanie się referendum, swego rodzaju „wotum zaufania” wszystkich obywateli Cesarstwa, którego wynik zatwierdza Matka. To ona ostatecznie ocenia, czy nowy cesarz jest zdrowy psychicznie, inteligentny i czy ma poparcie większości Zgromadzenia Szlachty. I nie przyjmie rozkazów od cesarza, który dostał wypowiedzenie, a kiedy wojsko zacznie wykonywać rozkazy jego odpowiednio mianowanego następcy, ma chłopak pecha.

- Wygląda na to, że życie cesarza nie jest usłane różami - mruknął Horus.

- Wydaje mi się, że Herdan tego właśnie chciał - odparł MacMahan.

- Mój Boże - westchnął Hatcher. - Rząd a la Goldberg!

- Na to wygląda - zgodził się z uśmiechem MacMahan - ale przez pięć tysięcy lat to wszystko działało - było zaledwie sześć pomniejszych, przynajmniej na ich standardy, wojen - dopóki przypadkiem sami siebie nie unicestwili.

- Cóż - powiedział Horus - jeśli to tak dobrze działało, być może będziemy mogli czegoś się od nich nauczyć, Colinie. Ale...

Przerwał, widząc Jiltanith i Amandę schodzące z balkonu. Amanda niosła w ramionach małą dziewczynkę, Jiltanith chłopca. Włosy obojga dzieci były kruczoczarne. Dziewczynka była urocza, a chłopiec wydawał się wesoły i inteligentny - trudno kogoś z nosem i uszami Colina nazwać uroczym.

- Niespodzianka - powiedział Colin z szerokim uśmiechem.

- To znaczy?

- Pozwólcie, że was przedstawię. - Wyciągnął ręce i Jiltanith podała mu chłopca. - Ten mały potwór to książę Sean Horus MacIntyre, przyszedł dziedziczyć tronu ludzkości. A to... - Jiltanith uśmiechnęła się do ojca - jest jego siostra bliźniaczka, księżniczka Isis Harriet MacIntyre.

Horus niezwykle ostrożnie wziął dziewczynkę na ręce, ona zaś natychmiast zacisnęła

piąstkę na jego siwych włosach i pociągnęła. Starzec skrzywił się.

- Wnuki swe przywitaj, ojczy - powiedziała cicho Jiltanith, obejmując ojca i córkę.

Horus poczuł ściskanie w gardle, które nie pozwoliło mu się odezwać; po jego policzkach popłynęły łzy.

\* \* \*

- ...a dodatkowe zapasy żywności z farm na pokładach statków miały duże znaczenie, wasza wysokość - powiedział Chiang Chien-su. Pulchny generał aż promieniał radością na zgromadzeniu oficerów i członków Rady Planetarnej. - Nie ulega wątpliwości, że Ziemia wkroczyła w „miniepokę lodowcową” i powódzie staną się poważnym problemem. Przez jakiś czas konieczne będzie racjonowanie żywności, lecz towarzyska Redhorse i ja spodziewamy się, że dzięki imperialnej technologii uprawy i dystrybucji żywności nie dojdzie do klęski głodu.

- Dziękuję, panie generale - powiedział Colin. - Pan i pańscy ludzie doskonale sobie poradzili. Kiedy znajdę czas, zamierzam promować was do nowego Zgromadzenia Szlachty.

Chiang był porządnym członkiem partii, więc gdy siadał, na jego twarzy malowały się mieszane uczucia. Colin odwrócił się do drobnej komisarz siedzącej po lewej stronie Horusa.

- Komisarz Hsu, jaki jest stan przemysłu na powierzchni planety?

- Poniósł znaczne straty, towarzyszu cesarzu - powiedziała Hsu Yin. Najwyraźniej nie tylko Chiang próbował odnaleźć swoją drogę w nowym układzie politycznym. - Decyzja towarzysza Czernikowa, by zwiększyć produkcję na powierzchni planety, przyniosła rezultaty. Mimo zniszczeń nasze fabryki działają obecnie na poziomie pięćdziesięciu procent wydajności sprzed czasu obłężenia. Z pomocą waszych statków naprawczych powinniśmy odrobić straty w ciągu pięciu miesięcy.

- Są jednak pewne problemy z personelem - jej spojrzenie przesunęło się po innych członkach Rady - i tym razem nie tradycyjnie w krajach Trzeciego Świata. Wasze zachodnie związki zawodowe, a dokładniej związek zawodowy kierowców ciężarówek, uświadomiły sobie ekonomiczne skutki wprowadzenia imperialnej technologii.

- O mój Boże! - Colin spojrział na Gustava van Geldera. - Gus? Jak bardzo jest źle?

- Mogłoby być o wiele gorzej, o czym komisarz Hsu dobrze wie - powiedział komisarz do spraw bezpieczeństwa, uśmiechając się do kobiety. - Na razie ograniczają się do propagandy, biernego oporu i strajków. Już niedługo uświadomią sobie, że inni ludzie zupełnie nie zwracają uwagi na ich propagandę, a strajki są jedynie pewną niedogodnością w społeczeństwie korzystającym z imperialnej technologii. - Wzruszył ramionami.

- Najmądrzejsi z nich pojmą, że albo muszą się dostosować, albo podążą śladem

dinozaurów. Nie spodziewam się zorganizowanych aktów przemocy, jeśli o to ci chodzi, ale mam oko na sytuację.

- Dzięki Bogu - mruknął Colin. - Czy są jeszcze jakieś sprawy, którymi powinniśmy się zająć? - Odpowiedziało mu milczenie. - W takim razie, *Dahaku*, opowiedz nam o projekcie Rosetta.

- Oczywiście, panie. - W obecności Rady *Dahak* zachowywał się bardzo oficjalnie. Colin uniósł dłoń, żeby ukryć uśmiech.

- Poczyniliśmy większe postępy niż zakładaliśmy wcześniej - rzekł komputer. - Oczywiście istnieją spore różnice między komputerami Achuultan - a raczej Aku'Ultan - i naszymi, lecz ich podstawowe procesy nie są szczególnie skomplikowane, duża ilość danych w postaci pisanej, które znaleźliśmy we wraku, z pewnością pomoże nam odcyfrować to, co otrzymamy. Nie jestem jeszcze w stanie przedstawić żadnych tłumaczeń czy interpretacji, ale projekt trwa nadal. - Colin pokiwał głową, *Dahak* miał na myśli, że nawet w tej chwili poświęca mu większą część swojej mocy obliczeniowej. - Przewiduję przynajmniej częściowy sukces w ciągu najbliższych kilku dni.

- To dobrze. Będziemy potrzebowali tych danych, żeby zaplanować dalsze działania.

- Zrozumiano - stwierdził spokojnie *Dahak*.

- Co jeszcze dla nas masz?

- Głównie dane pochodzące z obserwacji, panie. Nasze ekipy techniczne i moje sondy skończyły badanie wraku. Jestem gotów przedstawić krótkie podsumowanie tego, co znaleźliśmy. Czy mam zacząć?

- Proszę.

- Posiadane przez nas dane wskazują na pewną anomalię. Niektóre aspekty technologii Aku'Ultan nie pasują logicznie do innych. Na przykład tylko w niewielkim stopniu opanowali grawitację i ich statki nie mają podświetlnych napędów grawitonicznych, jednak ich pociski podświetlne wykorzystują wyszukany napęd grawitoniczny, który jest lepszy niż ten w Imperium, choć gorszy od tego stworzonego przez Cesarstwo.

- Czy mogli podpatrzeć to u kogoś innego? - spytał MacMahan.

- Taka możliwość istnieje. Ale dlaczego nie zastosowali tego napędu na swoich statkach? Ich względnie niska szybkość, nawet w nadprzestrzeni, jest poważnym taktycznym utrudnieniem. To nielogiczne, że rozpoznali potencjał napędu własnych pocisków, a jednak go nie wykorzystali.

- Nie jest to zresztą jedyna anomalia. Komputery na pokładzie tego statku są bardzo prymitywne, choć nieco lepsze od ziemskich, ale komponenty, z których je zbudowano i które

dorównują moim, są o wiele gorszej jakości niż systemy wzbudzonej energii z Cesarstwa. Ponadto ich technika podróżowania w nadprzestrzeni jest wysoce wyrafinowana, jednak nie ma śladu wykorzystania pól nadprzestrzeni w broni, nawet w postaci głowic czy granatów wypaczeniowych. To szczególnie zaskakujące, biorąc pod uwagę ich skrajnie prymitywną, nieefektywną broń energetyczną. Jej zasięg jest niewielki, efekty działania ograniczone, a projektory potężne i niezgrabne, choć nieco lepsze niż ziemskie.

- Czy możesz jakoś wyjaśnić tę anomalię? - spytał Colin.

- Nie, panie. Wydaje się, że Aku'Ultan postanowili, z sobie tylko znanych powodów, zbudować wyjątkowo nieskuteczne okręty wojenne, biorąc pod uwagę ich zdolności techniczne. To wykracza poza moje obecne pojmowanie, czemu rasa wojowników zdecydowała się na coś takiego.

- Moje również - mruknął Colin, stukając palcami w blat stołu.

Po chwili potrząsnął głową.

- Dziękuję, *Dahaku*. Informuj nas, proszę, o postępach.

- Oczywiście, panie.

- W takim razie, szanowne panie - Colin odwrócił się do Isis i Cohanny - co możecie nam powiedzieć o budowie tych stworów?

- Wolalabym, by zaczęła kapitan Coranna - powiedziała Isis. - Ona nadzorowała większość sekcji.

- Dobrze. Cohanno?

- Cóż - zaczęła chirurg z *Dahaka* - komisarz Tudor częściej widywała naszego żywego osobnika, lecz obie dowiedziałyśmy się sporo po zbadaniu ich ciał.

- Mimo gadziego wyglądu Achuultanie są z pewnością stałocieplni. Badania biochemiczne wykazują obecność metali w ilościach, które dla nas wydają się przerażające - niewielki ich ułamek zabiłby każdego z nas. Ich kości to właściwie krystaliczny stop. Ich aminokwasy są niewiarygodne, zaś jako nośnik tlenu wykorzystują sól zawierającą analog białka i jon metalu. Nie byłam jeszcze w stanie zidentyfikować niektórych pierwiastków, ale muszę stwierdzić, że ich nośnik tlenu jest nawet odrobinę bardziej wydajny od hemoglobiny, nadaje też ich krwi jaskrawe pomarańczowe zabarwienie. Struktura ich chromosomów jest fascynująca, ale dopiero za kilka miesięcy będę w stanie powiedzieć wam o tym coś więcej.

- Oczywiście - odetchnęła głęboko - to wszystko nie jest szczególnie zaskakujące, biorąc pod uwagę, że mamy do czynienia z całkowicie obcą rasą, lecz kilka innych rzeczy wydaje mi się bardzo dziwnych.

- Po pierwsze, mają osobniki co najmniej dwóch płci, ale my widzieliśmy tylko

samców. Oczywiście jest możliwe, że w ich kulturze samice nie biorą udziału w walce, lecz załogi statków spędzają całe dziesięciolecia w odosobnieniu i wydaje się mało prawdopodobne, by jakakolwiek rasa była na tyle odporna na popędy biologiczne, by pozostawać w celibacie przez tak długi czas. Ponadto, o ile ich psychologia nie wykracza całkowicie poza nasze pojmowanie, przypuszczam, że pozbawienie możliwości prokreacji wywołałoby u nich taką samą apatię jak w ludzkich społecznościach.

- Po drugie, zdają się wykazywać zadziwiający brak różnorodności. Muszę jeszcze rozpracować ich strukturę genetyczną, lecz na podstawie badania tkanek z ciał zabranych z wraku mogę stwierdzić, że zgodnie ze standardami wszelkich gatunków znanych ziemskiej czy imperialnej nauce, wykazują nieprawdopodobną homogeniczność. Gdyby nie to, że starannie oznaczyliśmy wszystkie próbki tkanek, mogłabym przypuszczać, że pochodzą co najwyżej od kilku dziesiątków osobników. Nie potrafię wyjaśnić, jak mogło do tego dojść.

- Po trzecie, co wydaje się najbardziej zaskakujące, ich budowa jest dosyć prymitywna. Wedle naszej najlepszej wiedzy, ta sama rasa przeprowadzała ataki na naszą galaktykę przez ostatnich siedemdziesiąt milionów lat, a jednak nie wykazuje cech, których można by się spodziewać po tak długim okresie trwania wysoko rozwiniętej cywilizacji. Po osobnikach, które od tak dawna korzystają z techniki, można by oczekiwać, że przynajmniej zmniejszą swoje rozmiary i utracą umiejętność przystosowania się do skrajnie niekorzystnych warunków środowiskowych. Tymczasem tutaj tak się nie stało.

- Czy to rzeczywiście istotne? - spytał Amesbury. - Ludzkość też nie wykazuje cech, które opisałaś, ani tutaj, ani w Imperium.

- To nie to samo, sir Fredericku. Ziemska gałąź ludzkości dopiero niedawno wyrosła z prymitywnego okresu, a cała historia ludzkości, od początków na Mycos po chwilę obecną, to zaledwie krótki moment w porównaniu z historią Achuultan. Co więcej, zniszczenie przez nich Trzeciego Imperium wyeliminowało ludzkość ze wszystkich światów, z wyjątkiem Birhat, co oznacza dość drastyczne ograniczenie puli genetycznej.

- Wszystko jest jasne - powiedział Amesbury, a wtedy Cohanna wskazała na Isis.

- Podobnie jak Cohanna zauważyła anomalię w fizjologii Achuultan - zaczęła siwa lekarka - tak ja zauważyłam dziwne wzorce zachowania. Oczywiście nasz jeńiec - nazywa się „Brashieel”, tak mniej więcej można to wymówić - nie jest do końca reprezentatywny dla swojej rasy. Jego zachowanie jest jednak dziwaczne.

- Ogólnie zachowuje się potulnie, co może być udawane, prawdziwe lub po prostu może być reakcją na nasze wszczepy. Z pewnością domyślił się, że nawet nasi technicy medyczni są kilkanaście razy silniejsi od niego, choć może sobie nie uświadamia, że to wynik



sztucznego wzmocnienia. Nie jest jednak apatyczny. Jest uważny, wszystko go interesuje. Nie byliśmy jeszcze w stanie porozumieć się z nim, lecz wydaje się, że próbuje aktywnie wspierać nasze wysiłki w tym kierunku, uważam, że żołnierz biorący udział w ludobójczej kampanii, nie okazuje - na ile jesteśmy w stanie to ocenić - wrogości wobec gatunku, który jeszcze niedawno próbował zniszczyć, nie byłby wśród ludzi typowym przypadkiem.

- Aha. - Colin pociągnął się za nos. - Jak się goją jego rany?

- Ze względu na odmienną fizjologię nie możemy wykorzystać przyspieszonego leczenia ani regeneracji, ale wydaje się szybko odzyskiwać siły. Kości goją się nieco szybciej niż ludzkie, ale leczenie tkanek zajmuje więcej czasu.

- Dobrze. Podsumujmy, co my tu mamy. Technikę z ziejącymi dziurami, gatunek, który wydaje się ewolucyjnie opóźniony, i jeńca, którego zachowanie jest sprzeczne z naszymi logicznymi oczekiwaniami. Czy ktoś mógłby to wszystko wyjaśnić?

Rozejrzał się po zgromadzonych, lecz odpowiedziała mu tylko cisza.

- Cóż - westchnął po chwili - zakończymy nasze spotkanie. O ile coś się wcześniej nie wydarzy, spotkamy się znów w środę o czternastej zero zero. Czy to będzie wam wszystkim pasować?

Odpowiedzią było kiwanie głowami. Colin podniósł się.

- W takim razie do zobaczenia - powiedział. Chciał już wracać do domu, na pokład *Dahaka*. Bliźnięta ząbkowały, a Tanni nie była najbardziej cierpliwą matką w historii ludzkości.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Sługa gromów Brashieel skulił się w swoim nowym gnieździe i rozmyślał. Nigdy nie zastanawiał się - podobnie jak pozostali - nad tym, że mogą go pojmać. Obrońcy nie brali zabójców gniazd w niewolę, tylko ich zabijali. Przypuszczał, że zabójcy gniazd tak samo postępowali z obrońcami, a tymczasem ci zabójcy tego nie zrobili.

Zamierzał walczyć aż do śmierci, lecz mu się nie udało. Ale, co dziwne, już nie chciał umierać. Nikt nigdy mu nie powiedział, że musi umrzeć - a może podobnie jak on, po prostu nie myśleli, że może być inaczej? Miał jednak niewyraźne podejrzenie, że prawdziwie honorowy osobnik zginąłby, zabijając kolejnego zabójcę gniazd.

Ale Brashieel chciał żyć. Musiał zastanowić się nad nowymi rzeczami, które działy się wokół niego. Te dziwne dwunogi zniszczyły siły lorda Chirdana zaledwie pięcioma dwunastkami statków. To prawda, były olbrzymie, jednak wystarczyło tylko pięć dwunastek, podczas gdy lord Chirdan był zaledwie kilka dwunastych dnia od zniszczenia tego świata. Tacy zabójcy gniazd mogą bez trudu oczyścić galaktykę z Aku'Ultan. Ta myśl napęłniała go grozą.

Ale czemu czekali tak długo? Zobaczył świat zabójców gniazd i stwierdził, że byli takim samym gatunkiem jak załogi ogromnych statków. Nie wiedział tylko, czy ci sami zabójcy gniazd wybudowali tamte kompleksy czujników. Wydawało się to bardzo prawdopodobne, ale gdyby tak było, te kompleksy musiałyby im powiedzieć już dawno temu, że nadchodzą Wielkie Odwiedziny, po co więc miałoby ukrywać swoją potęgę do czasu, aż ich świat poniesie takie straty? I dlaczego go nie zabili? Ponieważ chcieli uzyskać od niego informacje? To możliwe, choć żaden obrońca nie wpadłby na taki pomysł. Co może być kolejnym dowodem, przyznał niechętnie, że jego strażnicy przewyższają Gniazdo. Co dziwniejsze, nie traktowali go źle. Byli nieprawdopodobnie silni jak na tak małe istoty. Raz zobaczył, jak jeden niski, drobny osobnik z długimi włosami podnosi ogromny materac do spania i odstawia go na bok, żeby przygotować mu gniazdo, i ze strachem pomyślał, co mogliby z nim zrobić, gdyby tylko chcieli.

A tymczasem oni opatrzyli jego rany, nakarmili go jedzeniem z wraku *Obrońcy i* dostarczyli powietrze, którym przyjemnie było oddychać - nie było tak rzadkie jak ich własne - chociaż powinni byli go zabić. Czyżby dla nich nie był zabójcą ich gniazd, chociaż on i jego towarzysze byli o segment od zniszczenia ich świata? Czy są tak głupi, że nie uświadamiają sobie, że Achuultanie są - i zawsze muszą być - ich wrogami aż do śmierci?

A może po prostu się nie boją? W porównaniu z ich potwornymi statkami największe statki Gniazda były niczym pisklęta z łukami z drewna *mowap*. Czy są tak potężni, tak pewni siebie, że nie boją się innych ludów z innych miejsc?

To była najbardziej przerażająca ze wszystkich myśli, myśl pachnąca zdradą Gniazda, gdyż zawsze musi być strach, wielki strach, który jedynie odwaga i Droga mogą pokonać. Jeśli jednak z tymi zabójcami gniazd jest inaczej, jeśli oni się nie boją, to czy jest możliwe, że oni nie są zabójcami gniazd?

Brashieel skulił się w swoim nowym gnieździe z zamkniętymi oczami i zajęczał. W swoich sennych marzeniach zastanawiał się, co jest większym koszmarem - bać się zabójców gniazd czy bać się, że oni się nie boją.

\* \* \*

Colin i Jiltanith podnieśli się, by przywitać najstarszych rangą oficerów Ziemi i nowych kapitanów statków. Kapitanów było tylko czternaścioro. Gdyby zabrali każdego wyszkolonego i wzmocnionego mężczyznę i każdą kobietę, których mogła im oddać obrona Ziemi, mieliby minimalną załogę dla siedemnastu okrętów wojennych Straży Imperialnej. Postanowili obsadzić tylko piętnaście: czternaście Asgerdów i jedną Vespe.

Cesarstwo wprowadziło większą specjalizację niż Imperium. Asgerdy, przygotowane do walki na różne odległości, najbardziej przypominały *Dahaka*, podczas gdy Trosany służyły do walki na bliski zasięg ciężką bronią energetyczną, a Vespy do zdobywania planet. Powód, dla którego zapewniono załogę tylko piętnastu okrętom wojennym, był prosty: reszta załogi miała obsadzić trzy transportowce klasy Echanach, każdy równie wielki jak *Dahak*, w celu przeprowadzenia operacji „Dunkierka”.

W nadprzestrzeni droga na Bia zajęłaby niecałe sześć miesięcy, a na pokład każdego ogromnego statku można by wcisnąć ponad dziesięć milionów ludzi. Przy odrobinie szczęścia zdążyliby wrócić po drugi ładunek, nawet jeśli Straży Imperialnej nie udało się powstrzymać Achuultan, a więc mieliby szansę ewakuować ponad sześćdziesiąt milionów ludzi do otoczonej niezdobytymi fortyfikacjami dawnej stolicy Imperium i kompleksów mieszkalnych, które już budowały dla nich maszyny Matki.

Achuultanie byli w stanie, nawet w nadprzestrzeni, osiągnąć prędkość blisko pięćdziesiąt razy większą od prędkości światła. Dotarcie na Bia zajęłoby im co najmniej siedemnaście lat. Siedemnaście lat, podczas których Matka i Tsien Tao-ling byłiby w stanie uruchomić systemy obronne oraz zbudować kolejne okręty wojenne i obsadzić je załogami. Gdyby Achuultanie kiedykolwiek dotarli na Bia, nie byłiby zadowoleni z tej wizyty.

Colin spojrział ponad stołem na Tsiena. Marszałek miał tak samo obojętną minę jak

zawsze, lecz Colin widział żal w jego oczach, gdy przegrał rzut monetą z Hatcherem. A jednak Colin był zadowolony, że to właśnie Tsien leci. Nie zdążył jeszcze zbyt dobrze poznać tego potężnego mężczyzny, lecz podobało mu się to, co zobaczył. Tsien był człowiekiem z żelaza i Colin mógł mu powierzyć swoje życie. A nawet więcej niż życie, gdyż jego dzieci wracały na Birhat.

Bez Tanni. Ona dowodziła *Dahakiem Dwa*, drugim okrętem flagowym, i nie zamierzała się oddalać od Colina. Ponieważ go kochała, to prawda, ale także dlatego, że wyruszał na spotkanie Achuultan, a jej natura zabójcy nie mogła się oprzeć pokusie uczestniczenia w walce.

Gdyby ich role się odwróciły, Colin odszedłby z poczucia obowiązku, lecz Tanni nie potrafiła. Mógłby wydać jej rozkaz... ale rozumiał ją i kochał.

Ostatni oficer - starszy kapitan Floty lady Adrienne Robbins, baronowa Nergal, towarzysząca Złotej Nowej i dowódca planetoidy *Cesarz Herdan* - usiadła na swoim miejscu. Colin rozejrzał się po sali konferencyjnej, zadowolony z tego, co widzi: najlepsze dzieci Ziemi są gotowe poświęcić się w jej obronie. Wstał i łagodnie postukał w stół, a wówczas wszystkie rozmowy ucichły.

- Panie i panowie, *Dahak* w końcu włamał się do bazy danych Achuultan. Wreszcie wiemy, czemu musimy stawić czoła, i nie są to dobre wieści. Właściwie są tak złe, że operacja „Dunkierka” może okazać się koniecznością, a nie tylko polisą ubezpieczeniową.

Horus uważnie przyglądał się Colinowi. Przypominał sobie, jaki był Colin MacIntyre, kiedy go poznał: prosty chłopak o płowych włosach, który przypadkiem znalazł się w środku starożytnej wojny i był zdecydowany zrobić wszystko, co konieczne, choć bał się, że nie podoła temu zadaniu.

Ale ten prosty chłopak zniknął. Czy sprawił to przypadek czy przeznaczenie, trafił w swój czas. I choć wydawało się to niedorzecznie, stał się Colinem Pierwszym, cesarzem i wodzem ludzkości, obrońcą ludzkiego gatunku w tej mrocznej godzinie. Jeśli przeżyjemy, pomyślał Horus, Herdan Wielki będzie miał godnego konkurenta do miana największego cesarza w historii ludzkości.

- ...nie możemy jednak się uważać już za pokonanych - mówił tymczasem Colin. Horus otrząsnął się, wracając do rzeczywistości. - Mamy więcej informacji niż ktokolwiek podczas najazdu i mam zamiar je wykorzystać. Ale nim wam powiem, co zamierzam zrobić, powinniście wiedzieć, czemu musimy stawić czoła. Tanni? - Skinął na żonę i usiadł.

- Panowie i damy - powiedziała cicho - stawić czoła musim wrogowi potężniejszemu niżli każdy, z którym walczyć nam przyszło. Mniemamy, iż Achuultanie nasze ramię

galaktyki „Sektorem Demona” zowią, gdyż cierpieli wielce, gdy go nawiedzali. Dlatego zebrały siły większe dwa razy niżli w przeszłości i siłom tym stawić czoła musim z zaledwie ośmioma statków dziesiątkami.

- *Dahak* nasz ich zastępy ocenił. Jako i wam wiadomo, Achuultanie swój system na dwunastkach opierają. Zbliży się do nas wielka dwunastka do sześcianu - około trzech milionów, jako my byśmy rzekli - ich wojennych okrętów.

W tym momencie słychać było, jak wszyscy wstrzymują oddech.

- Jednakowoż to jeno prawdy część - mówiła dalej Jiltanith. - Zwiadowcy, którzy Terrę napadli, jeno lekkimi jednostkami byli. Ci, którzy za nimi podążać będą, więksi są jeszcze, niemal dwa razy od tych, którzy tu rozgromieni byli. Pokonać ich nie mogę, choćby i wszystkie pociski nasze trafiły celu, i dlatego nie ważym się otwartej bitwy im wydać.

Oficerowie wymienili przerażone spojrzenia, ale Colin nie miał do nich pretensji. Jego pierwsza reakcja także zadała kłam opiniom o jego niewzruszonym spokoju.

- W rozpacz jeno nie popadajcie! - Spokojny głos Jiltanith zapobiegł panice.

- Panowie i damy, nasz wódz plan ma inny, co ich w proch zetrzeć może. Teraz niechaj przemówi generał MacMahan, cobyście wroga lepiej poznali.

I usiadła. To dobrze, pomyślał Horus, że mówią ludzcy oficerowie Colina, a nie *Dahak*. Czuł, że wszyscy polegają na *Dahaku*, jednak czerpią siłę z informacji przekazywanych przez innych ludzi. Nie chodziło o to, że nie ufali *Dahakowi* - jakżeby mogli, przecież zawdzięczali życie wierności tego starożytnego statku? - lecz musieli usłyszeć ludzki głos. Głos człowieka, który był tak samo jak oni śmiertelny i dlatego mógł ich zrozumieć.

- Panie i panowie - powiedział Hector MacMahan - wraz z kapitan Floty Ninhursag przez kilkanaście dni opracowywaliśmy z *Dahakiem* zebrane dane. Ninhursag poświęciła również sporo czasu naszemu jeńcowi i przy pomocy *Dahaka*, który pełnił rolę tłumacza, była w stanie porozumieć się z nim. Z naszego punktu widzenia może się wydawać dziwne, że choć sam z własnej woli niczego nie powiedział, nie próbował nas okłamywać.

- Dzięki temu bardzo dużo się dowiedzieliśmy, choć nasza wiedza nadal jest niepełna. Spróbuję podsumować nasze odkrycia. Proszę się nie dziwić, jeśli będzie się wydawać, że wchodzę w dygresje. Zapewniam, że wszystko to, co powiem, jest ważne.

- Achuultanie, lub Lud Gniazda Aku'Ultan, są wyłącznie - na ile jesteśmy to w stanie ocenić - rasą wojowników. Niektóre wypowiedzi Brashieela zdają się sugerować, że nic nie wiedzą o innych rozumnych rasach. Poświęcili miliony lat na szukanie ich, a jednak nie dowiedzieli się niczego - absolutnie niczego - o którejkolwiek z nich. Zupełnie jakby się bali,

że próba porozumienia z nimi mogłaby wypaczyć ich wielki cel. A celem tym jest ni mniej, ni więcej, tylko obrona Gniazda Aku'Ultan.

Kilka osób uniosło brwi. Hector potrząsnął głową.

- Z początku mnie również trudno było w to uwierzyć, ale oni tak to właśnie postrzegają, ponieważ niegdyś napotkali inną rasę, zwaną zgodnie z ich zapiskami „wielkimi zabójcami gniazd”. Nie wiemy, jak się spotkali, dlaczego wybuchła między nimi wojna, jaką broń wykorzystano, nie wiemy nawet, gdzie ta wojna się odbywała. Wiemy tylko, że kiedyś istniało wiele „gniazd”. Można sądzić, że były to klany albo plemiona, które liczyły miliony lub nawet miliardy Achuultan. Z tych wszystkich gniazd przeżyli tylko Aku'Ultan, i to jedynie dlatego, że w poszukiwaniu bezpieczeństwa uciekli do zupełnie innej galaktyki - naszej własnej.

- Po ucieczce Achuultanie zintegrowali się, by bronić się przed pogonią, podobnie jak Imperium zorganizowało się, żeby walczyć z Achuultanami. I podobnie jak Imperium wysyłało sondy na poszukiwanie Achuultan, tak Achuultanie szukali wielkich zabójców gniazd. Tak samo jak nasi przodkowie, nigdy nie odnaleźli swoich wrogów, ale za to napotkali inne inteligentne istoty żywe. A ponieważ traktowali wszystkie inne istoty żywe jako zagrożenie ich własnej egzystencji, niszczyli je.

Przerwał. Zapanowała głęboka cisza.

- Temu właśnie musimy stawić czoła: rasie, która nie zna litości, ponieważ wie, że sama nie może na nią liczyć. Nie mówię, że ta sytuacja nie może się zmienić, lecz najwyraźniej nie stanie się to na tyle szybko, by mogło nas uratować.

- Poza tym są jeszcze inne kwestie dotyczące Aku'Ultan których absolutnie nie pojmujemy.

- Po pierwsze, nie ma samicy Achuultan. - Kilka osób spojrzało na niego z niedowierzaniem, lecz Hector tylko wzruszył ramionami. - Brzmi to dziwnie, ale w ich języku nie ma nawet rodzaju żeńskiego. Kapitan Floty Cohanna sugeruje, że to może oznaczać, iż rozmnażają się sztucznymi metodami, a to z kolei wyjaśniałoby brak zróżnicowania poszczególnych osobników i być może również wyraźny brak zmian ewolucyjnych. Nie tłumaczy to jednak, dlaczego rasa, której tak bardzo zależy na przetrwaniu, postanowiła całkowicie odrzucić możliwość naturalnej prokreacji. Zapytaliśmy o to Brashieela, ale odpowiedzią była jedynie konsternacja. Po prostu nie zrozumiał pytania. Nawet nie przyszło mu do głowy, że my mamy dwie płci, i nie miał pojęcia, co to oznacza dla naszej cywilizacji.

- Po drugie, Gniazdo jest skrajnie konserwatywną, kastową społecznością,

zdominowaną przez Wysokich Lordów Gniazda i kierowaną przez Pana Gniazda, najwyższego z najwyższych absolutnego władcę wszystkich Achuultan. Brashieel nie wiedział, jak właściwie wybiera się Wysokich Lordów i Pana Gniazda; na ile jesteśmy w stanie ocenić, nawet go to nie ciekawiło. Uznał, że tak po prostu jest.

- Po trzecie, Aku'Ultan zamieszkują niewiele światów. Większość z nich ciągle przebywa na pokładach statków przeprowadzających „Wielkie Odwiedziny”: przeszukują galaktykę w poszukiwaniu „zabójców gniazd” i ich niszczą. Te kilka planet, na których mieszkają, znajduje się o wiele dalej niż Imperium przypuszczało, co wyjaśnia, dlaczego nigdy nie zostały odnalezione, a do tego Achuultanie opuszczają systemy gwiazdne, jak tylko zużyją ich zasoby na budowę statków. Nie wiemy, gdzie dokładnie się znajdują; tej informacji nie ma w komputerach *Obrońcy* lub też została zniszczona, nim zdobyliśmy statek. Na podstawie uzyskanych przekazów przypuszczamy, że kierują się na wschód galaktyki. To by znaczyło, że cały czas oddalają się od nas, i to również mogłoby tłumaczyć nieregularność ich Wypraw w naszym kierunku.

- Po czwarte, militarne działania Gniazda odbywają się zgodnie z wzorcami, które, na ile jesteśmy w stanie stwierdzić, nigdy się nie zmieniały. Szczerze mówiąc, ten fakt daje nam najwięcej nadziei. Wiemy, jak przebiegają ich „Wielkie Odwiedziny” i jak opóźnić ten proces przez całkiem długi czas

- Naprawdę? - Gerald Hatcher podrapał się z namysłem po nosie. - A jak to zrobimy, Hectorze?

- Po prostu powstrzymamy najazd - odpowiedział MacMahan. Rozległy się nerwowe chichoty, ale mężczyzna tylko się uśmiechnął. - Mówię serio.

- Achuultanie nie znają żadnych sposobów nadświatowej komunikacji międzygwiazdnej poza statkami. Nie potrafię pojąć, jak mogli tak długo istnieć i niczego takiego nie wymyślić, lecz takie są fakty, i dlatego gdy „Wielkie Odwiedziny” się rozpoczną, nie spodziewają się żadnej informacji aż do chwili ich powrotu.

- To dobre wieści - zgodził się Hatcher.

- Owszem. Szczególnie w świetle ich innych ograniczeń. W normalnej przestrzeni są w stanie poruszać się z prędkością równą dwudziestu ośmiu procentom prędkości światła, a w nadprzestrzeni wykorzystują tylko niższe, wolniejsze zakresy - znowu nie wiemy dlaczego, ale możemy być za to wdzięczni - co oznacza, że ich maksymalna prędkość nadświatowa jest czterdzieści osiem razy większa od prędkości światła. To siedem procent tego, czego jest w stanie dokonać *Dahak*, sześć procent tego, co jest w stanie zrobić Straż z napędem Echanach, i dwa procent tego, co może osiągnąć w nadprzestrzeni. To oznacza, że ich wypadki trwają

bardzo długo. Oczywiście w przeciwieństwie do napędu Echanach, w nadprzestrzeni istnieje zjawisko dylatacji czasu, i im niższy zakres, tym większa dylatacja, co oznacza, że ich podróże subiektywnie trwają znacznie krócej, lecz statek Brashieela przebył około czternastu tysięcy lat świetlnych, by dotrzeć na Sol. Dlatego gdyby zwiadowcy wysłali kuriera jutro, dotarcie do Gniazda zajęłoby mu prawie trzy stulecia. To oznacza, panie i panowie, że jeśli ich powstrzymamy mamy prawie sześćset lat, zanim dotrą tu kolejne „Wielkie Odwiedziny”. A my wiemy, gdzie ich w tym czasie szukać.

Zebrani oficerowie milczeli, wyobrażając sobie, co mogliby zrobić, mając pięć czy sześć stuleci na przygotowania.

- Miło mi to słyszeć, Hectorze - powiedział ostrożnie Hatcher - ale pozostaje jeszcze kwestia około trzech milionów statków, które się do nas zbliżają.

- To prawda - powiedział Colin, każąc MacMahanowi usiąść.

- Ale wiemy trochę - chociaż mniej, niż byśmy chcieli - na temat ich doktryny strategicznej.

- Przede wszystkim mamy nieco więcej czasu, niż się spodziewaliśmy. Wyprawa dzieli się na trzy grupy: dwie główne formacje i mnóstwo mniejszych formacji zwiadowców. Większe formacje wspierają zwiadowców i każda z nich działa na innej osi natarcia. Pomijając te siły zwiadowców, które nas zaatakowały, pozostali trafią głównie na martwe planety i pół tuzina Asgerdów jest w stanie sobie z nimi poradzić.

- Prawdziwe kłopoty sprawi nam około miliona dwustu pięćdziesięciu tysięcy statków - nazwę je „awangardą” - które poruszają się względnie powoli od punktu spotkania do punktu spotkania w normalnej przestrzeni. Możemy założyć, że zwiadowcy już wysłali kuriera z Układu Słonecznego, lecz on nie może przekazać wiadomości, dopóki awangarda nie wyjdzie z nadprzestrzeni w miejscu spotkania, trzydzieści sześć achuultańskich lat świetlnych od Sol. Biorąc pod uwagę różnicę długości ich i naszych lat, oznacza to mniej więcej czterdzieści sześć przecinek osiem naszych lat świetlnych. A więc awangarda dotrze na miejsce spotkania za trzy miesiące; my możemy tam dotrzeć z *Dahakiem* za trzy i pół tygodnia, a Straż w nadprzestrzeni jeszcze szybciej.

- I zaatakujecie ponad milion statków, kiedy już tam dotrzecie? - spytał Hatcher.

- To nieciekawy stosunek sił, ale przygotowałem pułapkę, w którą powinni się złapać. Niestety, pułapka zadziała tylko raz. Nawet jeśli zniszczymy awangardę, nadal pozostaje to, co określam jako „główne siły”, niemal równie liczne, z paroma naprawdę potężnymi sukinsynami i pod dowództwem najwyższego dowódcy, Wielkiego Lorda Tharno.

- Awangarda i główne siły ciągle zmieniają położenie względem siebie, a miejsca ich



spotkań są rozplanowane gęściej niż miejsca spotkań ze zwiadowcami. I znowu chodzi o umożliwienie komunikacji; jeśli zwiadowcy mają jakieś problemy, wysyłają kuriera do najbliższego punktu spotkania z flotą, natomiast awangarda wysyła kurierów do tych, którzy pozostali z tyłu. Jeśli wieści są naprawdę złe, siły na przedzie wzywają tych z tyłu, by do nich dołączyli, ale najpierw upewniają się, czy naprawdę są potrzebni, ponieważ wtedy wszystkie ich harmonogramy diabli biorą. Tak czy inaczej, zanim ci z tyłu dołączą, musi minąć przynajmniej pięć miesięcy. Rozumiecie?

Odpowiedziało mu kiwanie głowami. Uśmiechnął się ponuro.

- To nasza największa przewaga strategiczna: ich koordynacja działań leży. Ponieważ wykorzystują napęd nadświatłowy, jeśli ich statki wejdą w nadprzestrzeń, muszą w niej pozostać aż do chwili, gdy dotrą do celu. A ponieważ maksymalny zasięg komunikatora przestrzeni złożonej to zaledwie rok świetlny, formacje pozostające na tyłach zawsze skaczą do miejsca, z którego pochodziła ostatnia wiadomość od awangardy. Nawet w nagłych sytuacjach drugi rzut musi skoczyć niemal do tego samego punktu, jeśli chcą skoordynować swoje działania z przywódcami, w przeciwnym razie przy ich żalosnych środkach komunikacji nie byłoby w stanie siebie odnaleźć.

- Co oznacza - powiedział z namysłem marszałek Tsien - że twoje statki mogą urządzić na nich zasadzkę, gdy wyłonią się z nadprzestrzeni.

- Zgadza się, panie marszałku. Mamy nadzieję ściągnąć awangardę w pułapkę i zniszczyć ją. Sądzę, że to nam się uda, ale nie wiemy, gdzie znajduje się poprzedni punkt spotkania. To oznacza, że nie będziemy w stanie powstrzymać kurierów awangardy przed poinformowaniem lorda Tharno o naszej pułapce, a zatem główne siły zostaną ostrzeżone, zanim wyłonią się z nadprzestrzeni.

- Dlatego też najprawdopodobniej będziemy musieli walczyć z głównymi siłami. To oznacza siedemdziesięciu ośmiu naszych przeciwko jeden przecinek dwa miliona Achuultan - około piętnastu tysięcy na jednego.

Ktoś przełknął głośno, a Colin znów uśmiechnął się ponuro.

- Sądzę, że uda się ich pokonać. Możemy stracić wiele statków, ale powinniśmy im porządnie przywalić, jeśli wyłonią się z nadprzestrzeni tam, gdzie się ich spodziewamy.

Przez dłuższą chwilę panowało milczenie. W końcu przerwał je marszałek Tsien.

- Proszę mi wybaczyć, ale nie wiem, jak to zrobić.

- Nie jestem pewien, czy nam się uda, panie marszałku - powiedział szczerze Colin. - Wiem tylko, że mamy szansę i możemy zniszczyć przynajmniej połowę, a najprawdopodobniej dwie trzecie ich sił. Być może nie uratujemy Ziemi, ale ocalimy Birhat i

uchodźców, którzy się tam kierują. To dlatego, marszałku Tsien - spojrzał w oczy potężnego mężczyzny - cieszę się, że wysyłamy jednego z naszych najlepszych ludzi, by zajął się obroną Birhat.

- Pańska wiara jest dla mnie zaszczytem, wasza wysokość, jednak obawiam się, że wyznaczyliście sobie niemożliwe do wykonania zadanie. Macie tylko piętnaście statków z niepełną załogą. Szesnaście, wliczając w to *Dahaka*.

- *Dahak* to nasz as w rękawie. Może bardzo skutecznie kierować wszystkimi naszymi nie obsadzonymi statkami, dopóki znajduje się w zasięgu komunikatora przestrzeni złożonej.

- A jeśli coś się z nim stanie, wasza wysokość? - spytał cicho Tsien.

- Wtedy, marszałku Tsien - odpowiedział równie cicho Colin - mam nadzieję, że zorganizuje pan sprawną obronę Bia, zanim najazd tam dotrze.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

- Fala nadświetlna od strony Sol, pani.

Adrienne Robbins, lady Nergal - wciąż czuła się dziwnie jako arystokratka cesarstwa, które zginęło przed czterdziestoma pięcioma tysiącami lat - pokiwała głową i wpatrzyła się w holograficzną projekcję *Herdana*. Gwiazda typu F5, którą ziemscy astronomowie znali jako Zeta Trianguli Australis, była pięć lat świetlnych za rufą, a krwisty wskaźnik nadprzestrzeni błyszczał niemal na jej wysokości.

Ogromny statek dowodzenia Adrienne unosił się razem z trzema innymi statkami, a jednak był osamotniony - mieli we czwórkę zabezpieczać niemal sześcienny rok świetlny przestrzeni. *Królewskie Birhat Tammana* już ruszyło, by przejąć cel. I dobrze, ona zabiła wystarczająco dużo Achuultan podczas oblężenia Ziemi.

- Pani kapitan, mamy także bardzo słabą falę ze wschodu - powiedział oficer radiolokacji. Lady Adrienne skrzywiła się. To musi być awangarda Achuultan, sporo przed harmonogramem.

- Czas wyjścia z nadprzestrzeni?

- Widmo Jeden wyłoni się z nadprzestrzeni za siedem godzin dwanaście minut, pani, około drugiej dwadzieścia Zulu - powiedział komandor Floty Oliver Weinstein. - Widmo Dwa to naprawdę potwór, skoro widać je z takiej odległości. Mamy dobrych sto godzin, zanim się pojawią, może pięć pełnych dni. Za kilka godzin będę w stanie podać bardziej precyzyjne prognozy.

- Zrób to, Ollie - odpowiedziała, nieco się rozluźniając. Awangarda wcale nie była dużo wcześniej, po prostu okazała się większym i bardziej widocznym celem, niż się spodziewali.

Adrienne westchnęła. Dowodzenie *Nergalem* było prostsze. Komputery okrętu wojennego nie były mądrzejsze niż *Herdana*, ale nie miały aż tyle roboty. Gdy chciała, mogła znaleźć się w dowolnym miejscu sieci przez łącze neuralne, ale *Herdan* był na to po prostu zbyt wielki. Mimo sześciu tysięcy osób na pokładzie obsadzono mniej niż pięć procent stanowisk bojowych. Mogli sobie jakoś z tym poradzić, ale było cholernie ciężko. Gdyby ten statek był choć w połowie tak inteligentny jak *Dahak* - do diabła, nawet w jednej dziesiątej! Ale mieli tylko jednego *Dahaka* i nie mogli go przydzielić do tego zadania.

- *Herdan*? - powiedziała.

- Tak, pani kapitan? - odpowiedział jej łagodny sopran i Adrienne odruchowo się

uśmiechnęła. To głupie, że komputer statku nazwanego imieniem największego z cesarzy mówi głosem nastolatki, lecz najwyraźniej w późnym Cesarstwie panowała moda na dawanie komputerom kobiecych głosów.

- Załóżmy, że Widmo Dwa ma skanery o pięćdziesiąt procent skuteczniejsze niż zwiadowcy, którzy zaatakowali Ziemię, i wyłoni się z nadprzestrzeni za dwanaście godzin. Oblicz prawdopodobieństwo, z jakim Widmo Dwa będzie w stanie wykryć wybuch głowic grawitonicznych klasy Mark Siedemdziesiąt w spodziewanym miejscu i czasie wyjścia Widma Jeden z nadprzestrzeni.

- Obliczam. - Przez chwilę panowała cisza. - Prawdopodobieństwo jest bliskie zeru.

- Jak bliskie?

- Prawdopodobieństwo wynosi jeden razy dziesięć do minus trzydziestej drugiej. Plus minus dwa procent.

- Cóż, to całkiem blisko zera, jak sądzę - mruknęła Adrienne

- Wypowiedź niezrozumiała.

- Zignoruj ostatnią wypowiedź. - Adrienne stłumiła westchnienie. To nie wina *Herdana*, że jest idiotą, ale po rozmowach z *Dahakiem*...

- Zrozumiano - powiedział *Herdan*, a Adrienne zacisnęła wargi.

\* \* \*

- Zwiadowcy wyjdą z nadprzestrzeni za czternaście minut, sir.

- Dziękuję, Janet - powiedział starszy kapitan Floty Tamman, żałując, że nie może dzielić swoich emocji z Amandą.

Ale przecież on sam bardzo się namęczył, by tak się stało. Cóż, musiał przyznać, że „namęczył się” nie było właściwym słowem; po prostu dowiedział się, że Colin kieruje wszystkie ciężarne kobiety Floty do operacji „Dunkierka”, na dobry miesiąc przed Amandą.

Miał nadzieję, że żona kiedyś mu to wybaczy. W końcu niemal ją stracił w La Paz, a później na pokładzie *Obrońcy*, gdy pocisk ze strzelby wbił się w wizjer jej hełmu. Jedynie łaska Stwórcy uchroniła hełm przed roztrzaskaniem, a Amandą zużyła większość uszczelnacza i wykorzystała cały zapas szczęścia. Tym razem wołał nie ryzykować.

- Wyjście z nadprzestrzeni za pięć minut - powiedziała uprzejmie Janet Santino. Tamman potrząsnął głową. Na Stwórcę, ależ się zamyślił!

- Przejść na czerwony jeden - rozkazał i wbił wzrok w czerwony krąg oznaczający miejsce wyłonienia się ich celu, oddalone zaledwie o dwadzieścia sekund świetlnych od ich obecnej pozycji, jego mózg zaś skoncentrował się na łączy neuralnym dzięki któremu „widział” bezpośrednio przez doskonale czujniki *Birhat*.

Biorąc pod uwagę prymitywne komputery Achuultan, kurier naprawdę zrobił kawał dobrej roboty, przygotowując ten skok, żeby znaleźć się tak blisko miejsca spotkania z awangardą.

- Wyjście - zameldowała Santini.

- Bateria alfa - rzekł cicho Tamman - macie zezwolenie na strzelanie w chwili, gdy tylko wycelujecie.

- Wyjście za trzydzieści sekund. Piętnaście. Dziesięć. Pięć. Już!

W czerwonym kręgu nagle pojawiła się czerwona kropka. Przez jedną chwilę - całą wieczność - panowało napięcie, a potem wyrzutnie wystrzeliły.

Pociski były samonaprowadzające i podświetlne, ale bardzo szybkie. Mignęły tylko na wyświetlaczu i kropka zniknęła. Dwudziestokilometrowy statek kosmiczny został rozszarpany przez głowice grawitoniczne, których pewnie nawet nie zauważył.

- Cel - wymruczał aksamitny kontrakt *Birhat* - zniszczony.

- Dziękuję, kochanie - mruknął ktoś. - Mam nadzieję, że tobie też było dobrze.

\* \* \*

- To pierwsza przeszkoda - powiedział Colin, gdy otrzymał krótką transmisję od Tammana.

- Jako rzeczesz - zgodziła się Jiltanith.

Colin pokiwał głową i rozejrzał się wokół, podziwiając obszerny mostek i wspaniałe wyposażenie *Dahaka Dwa*, choć jednocześnie wiedział, że w każdej chwili oddałby to za przestarzały mostek swojego *Dahaka*. Owszem, *Dwójka* była wspaniałą machiną wojenną, ale to jednak nie był *Dahak*. Lecz *Dahak* nie mógł brać udziału w tej misji, a Colin nie chciał posyłać swych ludzi do walki i jednocześnie trzymać się z tyłu. Zakładając, że przeżyją następnych kilka miesięcy, być może będzie musiał się do tego przyzwyczaić, ale na razie nie chciał.

W tej chwili *Dwójka* przebywała kosmos z prędkością osiemset razy większą od prędkości światła. *Herdan* znajdował się najbliżej miejsca wyłonienia się awangardy z nadprzestrzeni a statki, które obstawiały prawdopodobne miejsca pojawienia się kuriera, teraz zbliżały się do niego. W nadprzestrzeni mogliby przebyć tę odległość wielokrotnie szybciej, ale wówczas awangarda mogłaby ich dostrzec.

Wszystko będzie dobrze, powtórzył w myślach. Te achuultańskie gruchoty są tak powolne, że wszystkie dwanaście statków, które wysłał do tej operacji, znajdzie się na właściwej pozycji jeszcze przed ich przybyciem.

- Przygotowanie do wyłączenia napędu nadświetlnego, kapitanie - zapowiedział

kobięcy głos.

- Dziękuję, *Dwójka* - odpowiedziała Jiltanith. Była to kolejna dziwna rzecz. Colin mógł sobie być cesarzem i wodzem, lecz teraz był tylko pasażerem. *Dwójka* nie mogła znaleźć się w lepszych rękach, ale czuł się dziwnie, będąc po tak długim czasie na statku dowodzonym przez kogoś innego, nawet jeśli tym kimś była Tanni.

Spojrzał na wyświetlacz. Jaskrawozielone kropki innych statków zamrugały, gdy *Dwójka* zaczęła się poruszać z prędkością podświetlną, a gwiazdy nagle zwolniły. Oto zbliżał się *Tor*, ostatni ze statków.

- Wszystkie jednostki na swoich pozycjach, panie - zameldowała Jiltanith. - Pola maskujące uruchomione.

- Dziękuję, kapitanie - odpowiedział równie oficjalnie. - Teraz czekamy.

\* \* \*

Wielki Lord Porządku Sorkar nienawidził spotkań z kurierami, zwłaszcza w Sektorze Demona. Komputer Bojowy zapewniał go, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa (a Komputer Bojowy nigdy się nie mylił), ale o tym sektorze krążyło zbyt wiele przerażających opowieści. Sorkar nie powinien był ich znać - wielcy lordowie byli ponad plotki pomniejszych piskląt - lecz w przeciwieństwie do większości towarzyszy, on mimo statusu lorda nie zapominał o swoim pochodzeniu.

Pomimo dziwnych raportów o dawno porzuconych kompleksach czujników te Odwiedziny były niemal nudne. Sorkar nie raz tęsknił za jakimś działaniem, gdyż w wielkich lordach pragnienie polowania było bardzo silne, lecz obrońcy byli towarem, który należało oszczędzać, aby mógł służyć Gniazdu.

Podzielił swoją uwagę między panel i chronometry odmierzające ostatni segment. Po raz kolejny sprawdził przełączenie sterowania między Komputerem Bojowym a jego panelem. Komputer Bojowy rzadko decydował się wziąć bezpośredni udział w walce, lecz świadomość, że mógł to zrobić, była pocieszająca.

Już! Wyszli.

Przyglądał się z aprobatą swoim przyrządom. Doskonałe skoordynowanie przejścia między nadprzestrzenią i zwykłą przestrzenią było dla wielu jednostek właściwie niemożliwe, lecz harmonogram wydawał się bardziej niż satysfakcjonujący, a rozmieszczenie w przestrzeni było wprost podręcznikowe. Jego obrońcy doskonale poznali swoje obowiązki...

- Alarm! Alarm! Nadchodzący ostrzał! Nadchodzący ostrzał! - zawył jakiś głos. Znajdowali się całe lata świetlne od najbliższej gwiazdy. Kto mógł tu do nich strzelać?

Ale ktoś to robił. Wielki Lord Sorkar przyglądał się z przerażeniem, jak pociski

wielkiego gromu i coś innego, coś ponad wszelkie wyobrażenie, rozszarpywały jego dumne statki niczym płonące żagwie.

Zabójcy gniazd! Demoniczni zabójcy gniazd z Sektora Demona! Ale jak? Sprawdził wszystkie wcześniejsze Wielkie Odwiedziny w tym sektorze. Nigdy - nigdy! - wcześniej zabójcy gniazd nie atakowali, dopóki któryś z ich światów nie został oczyszczony! Czyżby te tajemnicze kompleksy czujników jednak ich ostrzegły? A jeśli tak, skąd wiedzieli, jak znaleźć miejsce spotkania? To niemożliwe!

Jednak pociski podświetlne i nadprzestrzenne nadal uderzały, a jego czujniki nawet nie widziały napastników! Co to za czary?

Hałaśliwy brzęczyk przerwał jego rozmyślenia. Spojrzał na panel Komputera Bojowego. Oto statki Wielkiego Lorda Sorkara przegrupowywały się, aby być trudniejszym celem dla zabójców gniazd, i na oślep próbowały odnaleźć wroga. To dobry plan, pomyślał, ale będzie ich dużo kosztował. Na Tarhisha zbyt wiele! Ale jeśli rzeczywiście to jest armia zabójców gniazd a nie nocne demony z przerażających legend, odnajdą ich. Choć jego straty są straszliwe, w porównaniu ze stratami wszystkich sił są niczym, a kiedy Komputer Bojowy odnajdzie cel...

Na jego wyświetlaczu pojawił się symbol celu, a później kolejny... i kolejny. Na Pana Gniazda, są blisko! To jakaś technika maskowania. Ta myśl była niczym soplel w jego mózgu, gdyż maskowanie było lepsze niż wszystko to, czym dysponowało Gniazdo. Ale w końcu miał cele. Chciał wydać swoim piskletom rozkaz otwarcia ognia, lecz Komputer Bojowy był pierwszy. Usłyszał, jak jego spokojny i beznamiętny głos wydaje rozkaz.

\* \* \*

- Płoń, kochanie, płoń! - wykrzyknął ktoś.

- Cisza! Oczyszczyć sieć! - warknęła Adrienne Robbins i radosny głos umilkł. Nie mogła mieć pretensji do tej osoby, gdyż ich pierwsze salwy były dwa razy skuteczniejsze, niż obliczali, ale tylko dlatego, że znajdowali się trzy razy bliżej, niż zaplanowali. Napędy nadświetlne na pokładach wrogich statków były nieco inne od tych na statkach zwiadowców i obliczenia okazały się niedokładne. A najmniejsze błędy obliczeniowe mogą mieć poważne konsekwencje.

Achuultanie przebijają się przez pole maskujące o wiele szybciej, niż się spodziewali. Miała więcej doświadczenia w walce z Achuultanami niż ktokolwiek inny i wiedziała, że te sukinsyny mają ich w zasięgu swojej broni podświetlnej i nadświetlnej! Systemy obronne *Herdana* były nieporównywalnie lepsze od *Nergala*, a jego tarcza obejmowała dwadzieścia razy więcej zakresów nadprzestrzeni, lecz jego wielkość powodowała, że znajdował się dalej

od tarczy niż *Nergal*, a tymczasem wkrótce w ich stronę polecą mnóstwo pocisków.

- Obrona przeciwrakietowa w gotowości; przeciwdziałanie radioelektroniczne w gotowości! - warknęła. Słodki Jezu, zaczęło się.

\* \* \*

Wielki Lord Sorkar wypluł pełne niedowierzania przekleństwo. Pojedyncza dwunastka wroga już zniszczyła większą dwunastkę jego statków; ich systemy obronne okazały się równie nieprawdopodobne jak siła ognia. Na ekranach systemów celowniczych pojawiły się fałszywe obrazy, ściągające jego pociski podświetlne z drogi do celu. Wrogie zagłuszacze blokowały jego czujniki. Potężne tarcze z pogardą odrzucały na bok większe achuultańskie gromy. A jego statki ginęły, ginęły i ginęły...

Jednak nic nie powstrzyma dwunastu dwunastek dwunastek pocisków, które wystrzeliwały jego statki. Odsłonił zęby, gdy pierwszy pocisk nadświatlny przebił się przez tarczę zabójców gniazd. Tak! To im pokaże...

Nagle zmroziło mu krew w żyłach. Co to za potwór, który może przyjąć bezpośrednio uderzenie większego gromu i nawet tego nie zauważyć?

\* \* \*

Zawyły alarmy, gdy głowica o mocy dziesięciu tysięcy megaton wybuchła niemal na czubku *Królewskiego Birhat*. Wielki statek zadrżał, gdy chmura plazmy wycięła w opancerzonym kadłubie głęboką na dwadzieścia kilometrów płonąca rozpadlinę. Ze straszliwej rany wyleciało powietrze, drzwi ogniotrwałe zatrzęsły się... i *Birhat* ruszył dalej, aby zabijać.

- Umiarkowane uszkodzenia w kwadrancie teta dwa - powiedział spokojnie miły kontrakt. - Cztery ofiary śmiertelne. Zdolność bojowa zmniejszona o zero przecinek zero czterdzieści dwie setne procent.

\* \* \*

Colin skrzywił się, gdy migający żółty pas oznaczający uszkodzenie otoczył *Birhat*. Przestał już liczyć, ile statków zniszczyli. Wiedział, że spieprzył sprawę. Byli o wiele za blisko!

- Wszystkie statki, cofnąć się - warknął i Straż Imperialna rzuciła się do tyłu z prędkością równą sześćdziesięciu pięciu procentom prędkości światła.

\* \* \*

Na *Tarhisha*, są szybcy! Sorkar nigdy jeszcze nie widział, by coś poruszało się tak szybko w przestrzeni, oczywiście poza pociskami. Wycofali się poza zasięg jego broni podświetlonej, ku krawędzi zasięgu pocisków nadświatlnych, lecz to wydawało się nie mieć



wpływu na ich broń. Nigdy nie widział tak doskonałego celowania. Właściwie nigdy nie widział, by ktokolwiek robił to, co robili ci zabójcy gniazd, ale to wcale nie czyniło z nich nocnych demonów. Oznaczało tylko, że jego obrońców czeka gorsza próba, niż sobie wyobrażali, ale przecież po to są obrońcami.

Zresztą, pomyślał, być może wcale nie jest aż tak źle. Ci zabójcy gniazd wiedzieli, gdzie czekać na jego statki, a przecież nawet czujniki nie mogły im tego powiedzieć, musieli więc zniszczyć przynajmniej jedną grupę zwiadowców - najpewniej Furtaga, biorąc pod uwagę czas - i podążyć za kurierami. Jeśli więc zmobilizowali zaledwie jedną dwunastkę statków, choćby i potężnych, to znaczy, że jego siły w zupełności wystarczą, by oddać ich Palenisku. Nawet na maksymalną odległość ma sporą przewagę, jeśli chodzi o wyrzutnie. Może nie są tak dobre jak ich wyrzutnie, lecz jest ich tak dużo, że z powodzeniem wyrównają stosunek sił.

\* \* \*

- Colinie, naciskają nas potężnie - powiedziała Jiltanith. Rzeczywiście. *Birhat* wprawdzie przyjął tylko jedno trafienie, ale *Dwójka* trzy, a *Tor* aż pięć. Pięć potwornych głowic!

Te statki są twarde ponad wszelkie wyobrażenie, ale wszystko ma swoje granice. Colin skrzywił się, gdy kolejna salwa rozbiła się na tarczy *Dwójki*. Potężny statek przebijał się przez plazmę niczym pijany żaglowiec. Jeszcze chwila, a...

- *Tor* zgłasza zniszczenie tarczy - ogłosił Komputer Główny *Dwójki*. - Próba wycofania w nadprzestrzeń.

Colin spojrział na symbol *Tora* - migoczący żółty krąg był przecięty szkarłatem. Wpatrywał się w niego z przerażeniem, pragnąc, by napęd nadprzestrzenny zabrał stąd statek, a tymczasem pocisk za pociskiem trafiał w cel.

- Próba wycofania nieudana - zameldowała beznamiętnie *Dwójka*. Twarz Colina zbieleła, kiedy symbol *Tora* znikł na zawsze.

- Wykonać plan „Zniknięcie” - wychrypiał.

- Przyjęto - odpowiedziała chłodno Jiltanith.

\* \* \*

Zabójcy gniazd zniknęli.

Sorkar wpatrywał się z niedowierzaniem w raporty skanerów nadprzestrzeni. Niemal większa dwunastka razy szybciej niż prędkość światła? Jak to możliwe?

Lecz okazało się, że to jest możliwe. I że obsługa skanerów zauważyła ładujące się napędy nadprzestrzenne wystarczająco szybko, by móc je odczytać. Wiedział, gdzie zabójcy

gniazd się wyłonią - przy jasnej gwiazdzie mniej niż ćwierć dwunastki lat świetlnych przed jego flotą.

To nie mógł być ich ojczysty świat - nie tak blisko miejsca spotkania - ale Sorkar wiedział, co zrobić, jeśli okażą się na tyle głupi, by zdecydować się na jego obronę, będąc za głęboko w studni grawitacyjnej, aby uciec w nadprzestrzeń. Będzie brodzić w ich ogniu i ponosić straty, ale zmiażdży ich samą liczbą statków, gdyż już udowodnił, że można ich zniszczyć.

Wolał nie myśleć, ile trafień potrzebowali, by zabić pojedynczego zabójcę gniazd; najważniejsze, że go zniszczyli. A na dodatek ich własne straty wyniosły zaledwie trzy większe dwunastki, a więc były poważne, lecz nie zabójcze.

Podłączył się do Komputera Bojowego, ale już wiedział, jakie będą jego rozkazy.

\* \* \*

Colin miał nadzieję, że udało mu się ukryć szok, jakiego doznał, gdy jego statki zaczęły uciekać. Nie spodziewał się, że nastąpi to tak szybko. Poza tym zniszczyli mniej niż pół procent wrogich sił, a on liczył na więcej i bez żadnych strat własnych. A niech to diabli!

Nie mógł jednak sprowadzić więcej statków bez pomocy *Dahaka*, który nimi kierował, a *Dahak* nie miał napędu nadświetlnego. To był kluczowy punkt - Achuultanie musieli się dowiedzieć, dokąd uciekły jego statki.

I z tego powodu starszy kapitan Floty Roscoe Gillicuddy i jego załoga zginęli, a Colin utracił sześć procent sił autonomicznych statków. Nie wiedział, co go bardziej bolało, i czuł się tym zawstydzony.

Lecz pułapka została zastawiona. Ponieśli większe straty, niż się spodziewali, ale wykonali plan. I choć to sobie powtarzał, nie był w stanie powstrzymać demonów poczucia winy i strachu przed własną niedoskonałością.

Ciepła, szczupła dłoń zacisnęła się mocno na jego rękę, a on z wdzięcznością odwzajemnił uścisk. Wojskowy protokół mógł nie akceptować sytuacji, gdy wódz trzymał się za rękę z dowódcą okrętu flagowego, lecz on potrzebował teraz dotyku tej kochanej dłoni.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Trzydzieści sześć dni po krótkiej i brutalnej bitwie *Dahak* pełnił wartę przy Zeta Trianguli Australis Jeden. Colin stał na pokładzie punktu dowodzenia numer jeden i przyglądał się planecie, którą jego załogi nazwały Żuzlem.

Jiltanith wołała ją nazywać Serem - lecz Colin uważał, że być może załogi miały rację. Planeta, której średni promień orbity był równy pięć przecinek osiemdziesiąt dziewięć setnych minuty świetlnej, była niemal równie niedaleko od Zety Trianguli Australis jak Wenus od Sol, a Colin zawsze uważał, że Wenus, ze swoją powierzchnią gorętszą niż roztopiony ołów, przypomina piekło.

Żuzel był jeszcze gorszy, gdyż Zeta Trianguli była jaśniejsza od Sol, o wiele jaśniejsza, ale wybrali właśnie Żuzel. W tym układzie były jeszcze inne planety, w tym całkiem przyjemna Trzecia, odległa o piętnaście minut świetlnych. Jak na swoją klasę Zeta Trianguli była starą gwiazdą, a na Trzeciej pojawiła się nawet lokalna flora oparta na związkach węgla, lecz Colin cieszył się, że zdążyły się tam rozwinąć jedynie najbardziej prymitywne formy świata zwierzęcego.

Splótł ręce za plecami, przyglądając się wyświetlaczowi i od czasu do czasu zerkając na szkarłatny ślad nadprzestrzenny, migoczący stale w obrębie orbity Zeta Trianguli Cztery, oddalonej czterdzieści minut świetlnych od gwiazdy.

\* \* \*

Komandor Floty cesarzowa Jiltanith siedziała przy konsoli dowódcy i co jakiś czas dotykała wiszącego u pasa wysadzanego klejnotami sztyletu. Miała go od czasu Wojny Dwóch Róż. Jego znajoma rękojeść uspokajała ją przez wiele lat, lecz tym razem nie pomagała. Wiedziała, że powinna być tu, gdzie jest, lecz to też jej nie pomagało.

Chętnie podniosłaby się i pospacerowała, lecz wołała nie okazywać strachu. Właściwie powinna być w swojej kajucie - samotnej, pustej kajucie - i odpoczywać, lecz tu przynajmniej widziała kod *Dahaka* i wiedziała, jak Colin sobie radzi.

Równy tuzin planetoid klasy Trosan z ciężkimi bateriami energetycznymi orbitował wewnątrz układu, a dwie planetoidy szturmowe klasy Vespa krążyły wokół *Żuzla*, pilnując ciężkich jednostek opancerzonych, które nie robiły niczego godnego uwagi... poza generowaniem potężnej energii, którą nawet ślepiec by zauważył.

Spojrzenie Jiltanith przeniosło się z trójwymiarowego schematu układu Zeta Trianguli na otaczającą jej statek pustkę. Czternaście ocalałych załogowych statków Straży Imperialnej

krążyło ponad sześć godzin świetlnych od paleniska gwiazdy, a *Wytwórca*, ogromny statek naprawczy Włada Czernikowa, pracował nad nimi. Większość uszkodzeń była zbyt poważna, by je całkowicie naprawić - *Dwójka* na przykład wciąż miała dwie głębokie na sześćdziesiąt kilometrów rany - lecz wszystkie statki były gotowe do walki. Gotowe, lecz starannie zamaskowane, ukryte przed wszelkimi czujnikami, otoczone sześćdziesięcioma lojalnymi, pozbawionymi życia statkami.

Jiltanith wolała się nie zastanawiać, dlaczego nie są razem z *Dahakiem*, gdyż powód był brutalnie prosty. Jeśli operacja „Pułapka” nie powiedzie się, statki załogowe powrócą na Ziemię, by ewakuować jak największą liczbę Ziemiaków na Birhat a bezzałogowe planetoidy zostaną posłane bezpośrednio na Birhat, do marszałka Tsiena.

Zatrzymanie ich nie miałooby sensu, gdyż bez *Dahaka* - komputer i Colin już nie będą wtedy żyli - były bezużyteczne w walce na bliską odległość.

\* \* \*

Grzebień Wielkiego Lorda Sorkara poruszył się niespokojnie, gdy jego część Wielkich Odwiedzin znów zbliżyła się do normalnej przestrzeni. Ta gwiazda była zbyt młoda, by mieć własnych zabójców gniazd; był przekonany, że to jedynie wysunięta baza. Nadal nie miał pojęcia, którą gwiazdę ci zabójcy gniazd nazywali domem. Jeśli któryś z nich nie będzie na tyle uprzejmy, by uciec w nadprzestrzeń i udać się bezpośrednio w jej stronę - a nie sądził, by tak szybkie statki to zrobiły - nie będzie mógł nawet się domyślić, gdzie leży ich prawdziwy dom.

Jedyną rzeczą, co do której był niemal całkowicie pewny, był fakt, że to zwiadowcy lorda Furtaga wzbudzili wściekłość tych zabójców gniazd. Żeby znaleźć Sorkara, musieli podążyć za kurierem, a jedynie kurier z grupy Furtaga mógł tak szybko dotrzeć na miejsce spotkania.

Ogrom potwornych statków zrobił na nim wielkie wrażenie; zbudowanie czegoś takiego musiało trwać wiele lat, więc zniszczenie każdego z nich bardzo zabol zabójców gniazd. Miał tylko nadzieję, że ci, którzy już walczyli z jego pisklętami, będą na tyle głupi, by walczyć tutaj.

Rozległ się melodyjny dźwięk i Sorkar zmusił się do rozluźnienia, mając nadzieję, że Komputer Bojowy nie widział jego niepokoju. Przez okręt flagowy przeszedł dreszcz typowy dla wychodzenia z nadprzestrzeni i *Opiekun* znów zsynchronizował się w fazie z rzeczywistością.

\* \* \*

- Jednostki Achultan wychodzą z nadprzestrzeni - powiedział ciepłym głosem

*Dahak.*

Colin pokiwał głową, spoglądając na błyszczące kropki achuultańskich statków, które pojawiły się na wyświetlaczu. Rozejrzył się po pustym mostku, przez chwilę żałując, że nie pozwolił innym zostać. Ale jeśli to ma się udać, musi to zrobić sam z *Dahakiem*. Jeśli im się nie powiedzie, ponad osiem tysięcy jego ludzi przyda się Tanni i Geraldowi Hatcherowi. Poza tym wydawało się to w jakiś sposób właściwe. On i *Dahak* znów razem i znów samotni.

- Miej na nich oko - powiedział. - Daj mi znać, jeśli spróbują jakichś sztuczek.

- Tak zrobię. - *Dahak* milczał przez chwilę. - Kontynuowałem badania nad technologią wzbudzonej energii w komputerach, Colinie.

- Naprawdę? - *Dahak* najwyraźniej chciał odwrócić jego uwagę, a jemu to odpowiadało.

- Tak. Wydaje mi się, że znalazłem podstawowe różnice między ich energetycznym oprogramowaniem a moim własnym. Jestem pewien, że będę w stanie przeprogramować je tak, jak tylko zechcę.

- Ej, to świetnie! Chcesz powiedzieć, że możesz skłonić je do przebudzenia?

- Tego nie powiedziałem, Colinie. Mogę je przeprogramować, lecz wciąż jeszcze nie wiem, czy moje oprogramowanie wspiera moją świadomość. Bez tych informacji nie mogę odtworzyć tego stanu w innym komputerze. Do tego nie odkryłem jeszcze techniki replikacji mojego oprogramowania na ich zupełnie innych obwodach.

- No tak. - Colin skrzywił się. - Ale nawet gdybyś mógł, i tak miałbyś problemy, nieprawdaż? Zostały zaprogramowane tak, by być wierne Matce. Czy to nie przeszkodziłoby ci w replikacji?

- Nie - odpowiedział ku jego zdziwieniu *Dahak* - nie w przypadku Straży. Jej jednostki nie były częścią Floty Bojowej i nie zostały obciążone jej imperatywami lojalności.

- Przypuszczam - powiedział komputer z łagodną ironią - iż Matka i Zgromadzenie Szlachty uznały, że pozostałych dziewięćset dziewięćdziesiąt osiem tysięcy siedemset dwanaście planetoid Floty Bojowej wystarczy, by się nimi zająć, gdyby cesarz okazał się krnąbrny.

- Mogli tak sądzić.

- Brak tych ograniczeń sprawia, że replikacja mojego podstawowego oprogramowania staje się możliwa, choć prawdopodobieństwo, że się uda, nie jest zbyt duże. Chociaż poczyniłem postępy, obliczam, że wynosi najwyżej osiem procent. Z drugiej strony prawdopodobieństwo, że nieudana próba uszkodzi tamten komputer, zbliża się do stu.

- Hm. To niedobrze. Zepsucie któregoś z komputerów to ostatnia rzecz, której

nam teraz potrzeba.

- Ja też tak sędzę. Pomyślałem jednak, że z chęcią usłyszysz raport o moich postępach.

- A więc uznałeś - prychnął Colin - że mam pietra, i postanowiłeś odwrócić moją uwagę!

- Taką treść niosła moja wypowiedź. - *Dahak* wydał cichy odgłos będący odpowiednikiem chichotu. - Ale oczywiście wyraziłem ją na swój taktowny sposób.

- Taktowny, taktowny. - Colin wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Dzięki...

Przerwał, gdyż migoczące kody Achuultan znikły, a za chwilę pojawiły się ponownie, tym razem bardziej w głębi układu.

- Zbliżają się - powiedział spokojnie *Dahak*. - Trzy statki zdają się jednak wykonywać mikroskoki w stronę obrzeży układu.

- To obserwatorzy, niech ich diabli. Cóż, nie należy liczyć na to, że przeciwnicy okażą się idiotami.

- To prawda, choć to nie będzie dla nich zbyt przydatne, jeśli nam się uda powtórzyć nasz poprzedni sukces i zniszczyć ich przed spotkaniem z głównymi siłami.

- Owszem, lecz nie możemy mieć pewności, że nam się uda. Tym razem jest to krótszy skok i mogą dotrzeć na miejsce o wiele wcześniej. Powiedz Tanni, żeby dała im spokój. Lepiej nie podkradać się do nich, żeby przypadkiem nie zorientowali się, że jest nas więcej w okolicy.

- Zrozumiano - odparł *Dahak*. - *Dwójka* potwierdziła przyjęcie rozkazu - dodał po chwili.

- Dzięki - mruknął Colin.

Znów skoncentrował się na wyświetlaczu. Achuultanie poruszali się z doskonałą precyzją, rozpraszając się, by obejść Zeta Trianguli w promieniu dwudziestu siedmiu minut świetlnych. Teraz zbliżali się w normalnej przestrzeni z prędkością równą dwudziestu czterem procentom prędkości światła. Za dziesięć minut znajdą się w zasięgu pocisków - a minie niemal godzina, zanim będą mogli zagrozić *Żużłowi* - i *Dahak* może wtedy zrobić im krzywdę.

Lecz nie za wielką. Trzeba im pozwolić wejść głęboko w studnię grawitacyjną, żeby pułapka zadziałała.

Parsknął. Ich jest ponad milion - jak wielkie szkody może poczynić jego piętnaście statków w pięćdziesiąt minut?

- *Dahaku*, otwórz ogień, gdy znajdą się w odległości piętnastu minut świetlnych - powiedział w końcu. - Wyważony ogień. Nie chcemy wystrzelać się aż do końca.

- Przyjęto - odpowiedział spokojnie *Dahak* i znów czekali.

\* \* \*

Wielki Lord Sorkar z trudem stłumił uniesienie. Zabójcy gniazd nawet nie próbowali się ukryć! Po prostu siedzieli i czekali, a jemu to odpowiadało. Wiele jego piskląt musi zginąć, ale to samo spotka zabójców gniazd.

Zauważył, że teraz jest ich trochę więcej. Trzy dwunaste nowych statków zastąpiły ten, który utracili w pierwszym starciu. Cóż, to i tak nie wpłynie na wynik.

Jego czujniki nie pokazywały, co się dzieje na wewnętrznej planecie. Wiadomo było tylko, że coś tam produkuje mnóstwo energii. Sorkara dziwiło, dlaczego zabójcy gniazd zignorowali bardziej gościnne światy. Może po prostu są gorszymi strategami niż budowniczymi. A może mają jakiś powód, którego on nie zna. Lecz niezależnie od przyczyn to miejsce stanie się dla nich pułapką.

Oczywiście, są piekielnie szybcy, nawet w normalnej przestrzeni, i jeśli rzucą się do ucieczki, żadne z jego piskląt ich nie dogoni, ale na to też miał odpowiedź.

\* \* \*

- Tworzą zewnętrzną sferę statków, Colinie.

- Widzę. Założysz się, że będzie oddalona o dziesięć czy dwanaście minut świetlnych, żeby złapać nas w dwa ognie, jeśli spróbujemy uciekać?

- Nie mam co postawić.

- Tchórz! Co za wymówka! - Wróg znajduje się w określonej wcześniej odległości ataku. Ciepły głos *Dahaka* zdawał się teraz głębszy.

- Zaatakować, tak jak zostało ustalone - powiedział oficjalnie Colin.

- Atakujemy, wasza wysokość.

\* \* \*

Wielki Lord Sorkar skrzywił się, gdy pierwszy z jego statków wybuchł straszliwym płomieniem. Na Pana Gniazda! Wiedział, że mają lepszy zasięg, ale aż o tyle?!

Kolejne statki wybuchały, gdy straszliwe, przerażające główce trafiały w cel, lecz zabójcy gniazd nadal nie próbowali uciekać. Najwyraźniej mieli zamiar bronić planety aż do końca. Co tam jest, na Tarhisha, takiego ważnego, że stoją i czekają, aż ich zabije?!

- Rozproszyć szyk - powiedział swoim lordom. - Zachować prędkość.

Kolejne statki płonęły niczym małe, przerażające słońca, a Sorkar przyglądał się temu beznamietnie. Musi to znieść jeszcze tylko przez ćwierć segmentu, a później nadejdzie jego kolej.

Jiltanith zagryzła wargę, gdy przeszywające błyskawice zaczęły rozszarpać szyk

Achuultan. Piętnaście planetoid nieustannie ich ostrzeliwało - a główce antymaterii Cesarstwa miały moc liczoną w gigatonach - ci jednak nie zatrzymywali się. W głębi duszy niemal podziwiała ich odwagę, lecz to jej mąż Colin, stawiał im czoła wraz z elektronicznym sługą, dlatego zacisnęła dłoń na rękojeści sztyletu, a jej czarne oczy radowały się, gdy na wyświetlaczu *Dwójki* pojawiały się kolejne plamy zniszczenia.

\* \* \*

- Wkrótce znajdziemy się w ich zasięgu - powiedział chłodno *Dahak*, a Colin pokiwał głową, wpatrzony w fale ognia przechodzące przez szyk Achuultan. Płomienie wybuchały po uderzeniu salwy, po czym przygasały i znów wybuchały niczym podsyczone miechem węgle, gdy trafiała kolejna salwa.

- Ich straty? - spytał ostro.

- Oceniam na sto sześć tysięcy plus minus sześć dziesiątych procent.

Jezu! Zniszczyli prawie dziewięć procent ich sił, a oni wciąż się zbliżają. Mają jaja, lecz na Boga, są głupi! Gdyby można było to zrobić jeszcze z dziesięć albo piętnaście razy...

Ale nie można, choć oczywiście oni nie wiedzą, że przeciwnik nie ma tysiąca planetoid.

- Wróg otworzył ogień - powiedział *Dahak* i Colin zeszywniał.

Sorkarowi udało się nie krzyknąć z radości, gdy pierwszy większy grom uderzył we wroga. Teraz, zabójcy gniazd! Teraz wasza kolej, by trafić do Paleniska!

Kolejne statki wchodziły w zasięg, rzucając na wroga pociski nadświatłne. Wizjer Sorkara spolaryzował się, gdy przekłęty Ogień uderzył w tarcze zabójców gniazd.

\* \* \*

Jiltanith poczuła w ustach smak krwi, a jej kostki zbieleły na sztylcie, gdy druga gwiazda w układzie Zeta Trianguli zapłonęła. Stawała się coraz gorętsza i jaśniejsza, zrodzona z milionów głowic antymaterii, a Colin był w jej sercu.

Wróg wciąż się zbliżał, i choć cały czas umierał i ciągnął za sobą zniszczone statki niczym wnętrzości wypatroszonego potwora, siła jego ognia była wręcz niewyobrażalna. Tanni znała plan, wiedziała, że Colin walczy o informacje, a nie tylko o zwycięstwo, ale tego było już za dużo.

- Teraz, ukochany - wyszeptała. - Leć, mój Colinie! Leć!

\* \* \*

- *Trosan* został zniszczony. *Marsuik* poważnie uszkodzony. Mamy...

*Dahak* umilkł i jego potężna masa zadrżała, a wyświetlacz zgasł. Colin zbladł, gdy przez łącze neuralne zaczęły do niego docierać straszliwe raporty.



- Trzy bezpośrednie trafienia - mówił *Dahak*. - Poważne zniszczenia w kwadrantach ro dwa i cztery. Strata siedmiu procent zdolności bojowej.

Colin zaklął. Tarcza *Dahaka* została poważnie ulepszona na Bia. Była równie dobra jak tarcze jego bezzałogowych towarzyszy, lecz inne systemy obronne pozostały bez zmian. Był przez to wolniejszy i o wiele słabszy. Jeśli wróg to zauważy i zdecyduje się skoncentrować na nim atak...

- *Gohar* zniszczony. *Shihar* ciężko uszkodzony, zdolność bojowa ograniczona do trzydziestu czterech procent. Wróg wchodzi w zasięg broni energetycznej.

- Zobaczmy, jak twarde są te sukinsyny! - wychrypiął Colin. - Wykonać plan „Ostrzał”.

\* \* \*

Sorkar zamrugał, gdy zabójcy gniazd ruszyli. Przez cały czas zachowywali swoje pozycje, pochłaniając gromy i zabijając jego statki. A teraz, gdy w końcu zaczęli ginąć, ruszyli... ale do ataku, a nie do ucieczki!

Ich broń energetyczna wystrzeliła, a wtedy sapnął z niedowierzaniem.

\* \* \*

- Tak! Tak! - krzyczał Colin. Broń energetyczna *Dahaka* niszczyła wiązania molekularne celów, ale broń Cesarstwa była jeszcze gorsza - rozwalala wiązania atomowe, doprowadzając do natychmiastowego rozszczepienia. Teraz te promienie wystrzeliły z ciężko uzbrojonych Trosanów i pociski Colina nagle stały się mało ważne. Żadna tarcza Achuultan nie była w stanie zatrzymać takich promieni, a ich dotknięcie było niczym pocałunek śmierci.

Sorkar słał rozpaczliwe prośby o radę do Komputera Bojowego. Czy ci zabójcy gniazd to pomiot Tarhisha?! Cóż to za diabelstwo zmienia jego statki w główice mniejszego gromu?!

Przepelniła go nieznana mu dotąd panika. Dzięki tym promieniom mogą przebić się przez całą jego flotę, a im bardziej się do nich zbliża, tym łatwiej zabijają jego obrońców!

Na szczęście Komputer Bojowy nie znał uczucia paniki i jego beznamietna analiza pomogła Sorkarowi opanować przerażenie. Tak, cena jest straszliwa, lecz zabójcy gniazd też giną. Wielkie Odwiedziny będą dla nich silniejszym ciosem, niż Sorkarowi się wydaje. Zginą, niech ich Tarhish pochłonie!

- Zostało nam siedem jednostek - powiedział *Dahak*. - W przybliżeniu dwieście dziewięćdziesiąt jeden tysięcy statków Achuultan zostało zniszczonych.

- Wykonać plan „Sziwa” - wychrypiął Colin. - Wykonuję, wasza wysokość. - Napędy Echanach ośmiu imperialnych planetoid ożyły. W jednej, doskonale zsynchronizowanej chwili, osiem studni grawitacyjnych, każda potężniejsza niż studnia samej Zety Trianguli,

pojawiło się zaledwie sześć minut świetlnych od gwiazdy.

\* \* \*

Dwanaście większych dwunastek statków Sorkara znikło, rozerwanych na kawałki i rozrzuconych po wszechświecie, gdy wydarzyło się to, co wydawało się niemożliwe. Przez chwilę jego umysł był pusty, aż nagle pojał. Nie żyje, a razem z nim wszystkie jego piskłeta.

Czy zabójcy gniazd od początku planowali popełnić samobójstwo? Czy zamierzali zniszczyć siebie jakąś niewyobrażalnie potężną wersją głowic, które siały spustoszenie wśród jego statków?

Słyszał, jak Komputer Bojowy wykorzystuje jego głos, nakazując flocie zawrócić i uciekać, lecz nie zwracał na to uwagi. Byli zbyt głęboko w studni grawitacyjnej. Nawet przy największej prędkości zewnętrzna sfera potrzebowałaby ćwierć dnia na dotarcie do miejsca, z którego mogłaby wejść w nadprzestrzeń.

Jego nadświatłne czujniki obserwowały, jak fala grawitacyjna dociera do Zeta Trianguli Australis, patrzyły, jak gwiazda wybrzusza się ohydnie i pęka.

Pochylił głowę i wyłączył wyświetlacz.

\* \* \*

Gwiazda stała się supernową.

*Dahak* i jego ocalali towarzysze uciekali przed jej śmiertelnymi objęciami z prędkością siedemset razy większą od prędkości światła, a Colin wręcz z chorobliwą fascynacją przyglądał się temu przez skanery przestrzeni złożonej. *Dahak* nałożył filtry na wyświetlacz, ale mimo to aż bolały oczy. Nie mógł jednak odwrócić wzroku, gdy straszliwa fala promieniowania uderzyła w Achuultan, a tuż za nią podążyło fizyczne zniszczenie. Ale statki były już martwe, ich tarcze nie stanowiły żadnej ochrony przed furją umierającego słońca.

Swoim ognistym tchnieniem supernowa zmieniła wroga w atomy doskonale rozdrobnionej materii.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Brashieel podniósł się ostrożnie i pochylił głowę, gdy stary zabójca gniazd zwany Hohrassem wszedł do jego gniazda. Nie było to pełne powitanie obrońcy, gdyż nie zasłonił oczu, choć wiedział, że ten Hohrass jest Wielkim Lordem swego ludu.

Minęło wiele dwunastodni, nim zdecydował się użyć tego określenia wobec zabójców gniazd, ale nie miał innego wyboru. Poznał ich - przynajmniej niektórych - a to, jak wiedział, była najgorsza rzecz, jaka mogła się przytrafić obrońcy.

Powinien był zginąć z honorem. Powinien był opróżnić magazynki, zmusić ich, by go zabili. Ale ci zabójcy gniazd byli okrutni, okrutni w swej dobroci, gdyż nie pozwolili mu ze sobą skończyć. Przez krótką chwilę zastanawiał się nad zaatakowaniem Hohrassa, lecz stary zabójca gniazd był o wiele silniejszy. Byłoby wstyd, gdyby nie zabił wroga albo nie zmusił go do zabicia jego.

- Witaj, Brashieelu. - Głos pochodził z głośnika na ścianie, który przekładał słowa Hohrassa na język Aku'Ultan.

- Witaj, Hohrassie - odpowiedział i usłyszał, jak głośnik wydaje jakieś bezsensowne odgłosy skierowane do jego... gościa-Strażnika?

- Przynoszę ci smutne wieści. - Hohrass mówił powoli, by to coś, co tłumaczyło jego słowa, mogło wykonać swoje zadanie.

Nasi obrońcy spotkali się z twoimi w walce. Pięć wyższych dwunastek waszych statków zostało zniszczonych.

Brashieel wpatrywał się w niego ze zgrozą. Wstydział się swojego przerażenia, ale nie mógł go ukryć; jego oczy pociemniały z bólu, grzebień opadł, a drobne ciemne łuski nagle zaczęły się odcinać na tle bladej skóry.

- Przykro mi, że ci to mówię - mówił dalej Hohrass po dwunastej segmentu - lecz to ważne, byśmy o tym porozmawiali.

- Jak? - spytał w końcu Brashieel. - Czy wasi obrońcy tak szybko zwiększyli swą liczbę?

- Nie. Wykorzystaliśmy zaledwie dwie dwunastki statków.

- To niemożliwe! Okłamujesz mnie, Hohrassie! Nawet podwójna dwunastka twoich demonicznych statków nie mogła tego dokonać!

- Mówię prawdę. Mamy zapisy, które to pokazują, zapisy przesłane z odległości trzech dwunastek waszych lat świetlnych.

Wbrew woli Brashieela nogi ugięły się pod nim, a jego oczy oślepiły z przerażenia. Jeśli Hohrass mówi prawdę, jeśli zaledwie dwie dwunastki ich statków mogły zniszczyć połowę okrętów Wielkich Odwiedzin i tak szybko przekazać informację na tak dużą odległość, to Gniazdo jest zgubione. Płomienie pochłoną Gniazdo, pożrą Żłobek Ludu. Aku'Ultan zginą, gdyż obudzili demona bardziej nawet straszliwego niż wielcy zabójcy gniazd.

Obudzili samego Tarhisha i jego Palenisko pochłonie ich wszystkich.

- Brashieelu, Brashieelu! - Cichy głos wyrwał go z rozpaczy. Stary zabójca gniazd dotknął jego ramienia. - Brashieelu, muszę z tobą porozmawiać. To ważne... dla mojego i twojego Gniazda.

- Dlaczego? - jęknął. - Skończ ze mną, Hohrassie. Okaż mi litość.

- Nie. - Hohrass ukląkł na swoich dwóch nogach, żeby spojrzeć mu w oczy. - Nie mogę tego zrobić, Brashieelu. Musisz żyć. Musimy porozmawiać nie jak zabójcy gniazd, ale jak obrońca z obrońcą.

- A o czym mamy rozmawiać? - spytał Brashieel głosem bez wyrazu. - Zrobisz to, co musisz, dla swojego Gniazda, a moje Gniazdo zostanie zniszczone.

- Nie, wcale tak nie musi być.

- Musi - jęknął Brashieel. - Taka jest Droga. Jesteście potężniejsi od nas i dla Aku'Ultan nadszedł koniec.

- Nie pragniemy końca Aku'Ultan - powiedział Hohrass i Brashieel spojrział na niego z niedowierzaniem.

- To nie może być prawdą - powiedział tępo. - Uwierz, że nie chcemy waszego końca, jeśli tylko nasze Gniazdo będzie mogło istnieć. Czy jeśli udowodnimy, że możemy zniszczyć wasze największe Wielkie Odwiedziny, ale powiemy waszemu Panu Gniazda, że nie chcemy końca Aku'Ultan, zostawi nasze Gniazdo w spokoju? Czy nie może być końca zabijaniu gniazd?

- Ja... nie sądzę, bym mógł w to uwierzyć.

- Spróbuj, Brashieelu. Postaraj się.

- Ja... - Brashieelowi zakręciło się w głowie od tych dziwnych myśli.

- Nie wiem, czy mogę uwierzyć - powiedział w końcu - ale to nie ma znaczenia. Ja już nie jestem obrońcą, Hohrassie. Zawiodłem i nie zginąłem, a to jest niedopuszczalne. Rozmawiałem z zabójcami gniazd, a to również jest niedopuszczalne. Z tego powodu nie wiem już, kim jestem, ale na pewno nie jestem taki jak inni z Gniazda. Nieważne, w co wierzą tacy jak ja; ważne jest to, co wie Pan Gniazda, a on zna Wielki Strach, Cel i Drogę. On

się nie zmieni. Gdyby to zrobił, nie byłby Panem Gniazda.

- Przykro mi - powiedział Hohrass, a Brashieel uwierzył w jego słowa. - Przykro mi, że tak się z tobą stało, lecz być może się mylisz. Gdyby inni obrońcy dołączyli do ciebie jako nasi jeńcy i dowiedzieli się, że to, co mówię, jest prawdą, że nie chcemy końca Aku'Ultan, czy bylibyście gotowi powiedzieć innym w Gnieździe, czego się dowiedzieliście?

- Nie mielibyśmy szansy. Zostalibyśmy zabici przez Gniazdo i byłoby to właściwe. Bylibyśmy zabójcami gniazd, gdybyśmy zrobili to, czego chcesz.

- Może tak, a może nie. - Hohrass westchnął i podniósł się.

- Powtarzam, bardzo mi przykro, że dręcę cię takimi pytaniami, a jednak muszę cię prosić, żebyś pomyślał o tak bolesnych rzeczach i rozważył fakt, że mogą istnieć inne prawdy poza Wielkim Strachem. Wiem, że te myśli cię boją, ale musisz o tym myśleć, Brashieelu z Aku'Ultan, gdyż jeśli... Gniazdo rzeczywiście nie może zostawić nas w spokoju, nie będziemy mieli wyboru. Przez niewypowiedzianie większe dwunastki lat wasi obrońcy niszczyli nasze słońca, zabijali nasze planety, mordowali nasze gniazda. To nie może dłużej trwać. Zrozum, że dzielimy Wielki Strach z obrońcami Gniazda Aku'Ultan. Naprawdę nie chcemy końca Aku'Ultan, ale zabijanie innych musi się skończyć. Nie pozwolimy, żeby nadal trwało. Może nam to zająć wielkie dwunastki lat, ale je powstrzymamy.

Brashieel wpatrywał się w niego, zbyt przerażony, by czuć nienawiść. Na twarzy Hohrassa pojawiła się jedna z tych niezrozumiałych min.

- Chcielibyśmy, żebyś żył i żeby żył twój lud. Nie dlatego, że was kochamy, ponieważ mamy powody, aby was nienawidzić, i wielu z nas rzeczywiście czuje nienawiść. Wielu boi się was. Ale nie chcemy mieć na sumieniu waszego końca i dlatego ranimy cię takimi myślami. Musimy wiedzieć, czy możemy pozwolić waszemu Gniazdu na dalsze istnienie. Wybacz nam, Jeśli potrafisz, ale naprawdę nie mamy wyboru.

Powiedziawszy to, Hohrass wyszedł z gniazda, a Brashieel pozostał sam z bolesnymi myślami.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

- Myślisz, że rzeczywiście sytuacja jest tak paskudna, jak sądzi Brashieel? - spytał Colin, gdy nagrana przez Horusa wiadomość się skończyła. Nawet dla imperialnego hipercomu odległość ponad czterdziestu lat świetlnych była zbyt duża na dwustronną rozmowę.

- Nie wiem - odpowiedziała Jiltanith.

W przeciwieństwie do pozostałych oficerów, ona była obecna fizycznie. Bardzo obecna, pomyślał, ukrywając uśmiech, gdy przypomniał sobie ich spotkanie. Kobieta wydała mentalne polecenie wyświetlaczowi holograficznemu i znów odtworzyła ostatnią część rozmowy Horusa z Brashieelem.

- Nie wiem - powtórzyła. - Pewnam, że Brashieel w to wierzy, lecz popatrz, mój Colinie, choć takie słowa rzecze, jednakowoż z Hursag i ojcem rozmawiał. Co więcej, pojmować się zdaje, co mu rzekli. Ból jego prawdziwym jest, lecz to jakiegoś rodzaju zrozumienie... go zbudziło.

- Sądzisz, że to, co mówi, i to, co myśli, to dwie różne rzeczy? - spytał Hector poprzez hologram na pokładzie *Sevrid*.

Hector niezbyt dobrze się czuł jako dowódca planetoidy - uważał, że ta sytuacja go przerosła - ale z drugiej strony *Sevrid* był jego marzeniem. Miał największą załogę ze wszystkich jednostek Floty, poza *Wytwórcą*, z powodów, które dla większości były oczywiste. A przynajmniej były oczywiste dla Colina i Jiltanith, i tylko to się liczyło. Ta rozmowa była dla nich bardzo ważna.

- Nie, Hectorze. Rzekłabym jeno, że różnym jest to, co myśli, i to, w co wierzy, choć on tak tego nie postrzega.

- Możesz mieć rację, Tanni - powiedziała bardzo powoli Ninhursag.

Jej obraz był obok obrazu Hectora. Jeśli się nad tym zastanowić, pomyślał Colin, ostatnio często można ich spotkać razem.

- Kiedy rozmawiałam z Brashieelem - mówiła dalej Ninhursag, starannie dobierając słowa - sprawiał na mnie wrażenie... niewinnego, jeśli to nie brzmi zbyt głupio. Nie chodzi mi o taką anielską niewinność, może powinnam raczej użyć słowa „naiwność”. Jak na ludzkie standardy jest bardzo, bardzo bystry. Inteligentny i dobrze wykształcony, ale tylko w swojej specjalności. Jeśli chodzi o resztę, to bardziej wynik indoktrynacji niż edukacji, zupełnie jakby ktoś otoczył murem pewne aspekty jego światopoglądu i określił je jako „nietykalne”.

On nawet nie jest nimi zainteresowany. Sama możliwość kwestionowania czegokolwiek, nie wspominając już o zmianie, nie istnieje.

- Hm. - Cohanna podrapała się po czole i skrzywiła. - Coś w tym może być, Hursag. Nie postrzegałam tego w taki sposób, ale w duszy zawsze byłam mechanikiem. - Jiltanith zrobiła zdziwioną minę, a Cohanna uśmiechnęła się. - Przepraszam. Chodzi mi o to, że zawsze bardziej interesowały mnie procesy fizjologiczne niż psychologiczne. Sądzę jednak, że Hursag ma rację. Gdyby Brashieel był człowiekiem - którym oczywiście nie jest - powiedziałabym, że został bardzo starannie zaprogramowany.

- Zaprogramowany. - Jiltanith powtórzyła to słowo. - Ano, takiego słowa szukała. Mniemam ino, że jego programowanie ma sporo dziur.

- Tak - kontynuowała Cohanna. - Może zawierać jedynie dane znane programiście. Jeśli uderzyć w cel czymś całkowicie wykraczającym poza zadane parametry, może albo całkowicie się załamać, odrzucić rzeczywistość i odmówić stawienia jej czoła, albo - przerwała dla podkreślenia wagi swoich słów - próbować dojść z tym do ładu i przy okazji przełamać zaprogramowanie.

- I myślisz, że właśnie tak dzieje się z Brashieelem? - spytał Colin.

- Zaryzykuję nadmierny optymizm: myślę, że to możliwe. Brashieel powinien był zwinąć się w kłębuszek i umrzeć w chwili, gdy zrozumiał, że dopadły go potwory. To, że tak się nie stało, świadczy o zadziwiającej wytrzymałości jego psychiki. Tak naprawdę był nas ciekaw, a to jeszcze więcej o nim mówi. Teraz jednak to, w co ma uwierzyć, zaprzecza całemu jego światopoglądowi i jednocześnie grozi wymarciem jego rasy.

- My sami mieliśmy takie doświadczenia i niektórzy z nas nie znieśli tego dobrze. Jemu jest jeszcze trudniej; jego gatunek stworzył społeczeństwo, którym przez miliony lat kierował tylko strach. Sądzę, że istnieje spore prawdopodobieństwo, iż kompletnie się załamie, kiedy zrozumie, jak źle sprawy wyglądają z perspektywy Achuultan. Jeśli jednak przetrwa następnych kilka tygodni, może odkryć, że w rzeczywistości jest jeszcze twardszy i bardziej elastyczny, niż sądził, i uzna, że Horus rzeczywiście mówił prawdę.

- I co nam to da? - spytał holograficzny obraz Tammana. - Był zaledwie oficerem kontroli ognia na statku zwiadowczym - Raczej nie miał większych wpływów w tym swoim kastowym społeczeństwie.

- To prawda - zgodził się Colin - lecz jego reakcja jest jedyną wskazówką, w jaki sposób może zareagować cała jego rasa, jeśli rzeczywiście uda nam się ich powstrzymać. Oczywiście potrzebujemy większej próbki, a to oznacza, Hektorze - spojrzał na MacMahana - że *Sevirid* musi zrobić dokładnie to, o czym rozmawialiśmy, nieprawdaż?

- Owszem, ale mimo wszystko to mi się nie podoba.

Colin skrzywił się lekko, słysząc tę odpowiedź. Ale najważniejsze, że Hector pojmuje, dlaczego *Sevridd* musi trzymać się z dala od walki. Będzie czekał w ukryciu w bezpiecznej odległości, a później przejmie każdy zniszczony lub uszkodzony statek, jaki napotka.

- To mi o czymś przypomniało, Hanna. - Odwrócił się do oficer biotechnologii. - Jak idą nasze badania pola przechwytyjącego?

- Doskonale - zapewniła go Cohanna. - Minęła chwila, nim to sobie uświadomiliśmy, ale wygląda na to, że odpowiedzią jest silne pole magnetyczne.

- O? Metalowe kości?

- Zgadza się. Ale odpowiednio silne pole może zablokować ich szkielety. Mięśnie również. Później trzeba ich jak najszybciej unieszkodliwić w jakiś inny sposób - zatrzymanie dopływu krwi do mózgu to kiepski pomysł - ale to powinno być możliwe. Geran i Caitrin pracują nad tym na pokładzie *Wytwórcy*.

- To dobrze! Potrzebujemy jeńców. Być może na razie nie będziemy mogli nic z nimi zrobić, ale w pewnym momencie będziemy musieli albo porozmawiać z Panem Gniazda, albo go zabić. Czasem myślę, że wołałbym z nim skończyć i mieć to z głowy, ale to mówi paskudna strona mojej natury.

- Zbyt łaskawys wobec wrogów - powiedziała kwaśno Jiltanith, lecz jej twarz zaraz złagodniała. - I słusznie, bo gdzieżbym ja była, gdybyś nie był łaskawym, kiedyśmy się raz pierwszy spotkali? Nie, miłości moja. Nie rzeknę, iż delikatność twą wobec wrogów podzielam, lecz spierać się z tobą nie będę. I może myśli tve kiedyś podzielę. Colin wyciągnął rękę i delikatnie ścisnął jej dłoń. Wiedział, jak wiele kosztowało ją powiedzenie tych słów.

- Cóż - rzekł - wydaje się, że tutaj sytuacja wygląda całkiem nieźle. Miejmy nadzieję, że w innych miejscach jest podobnie. Horus i Gerald robią większe postępy w zakresie wzmocnienia obrony Ziemi, niż się spodziewałem. Mają nawet szansę ją utrzymać, jeśli my tu przegramy, pod warunkiem, że zniszczymy połowę albo więcej głównych sił.

- Mają szansę - potwierdził MacMahan. Nie dodał jednak „ale niezbyt wielką”.

- Owszem. - Ton głosu Colina był odpowiedzią na jego niewypowiedziany komentarz.

- Cóż, wołałbym, żeby nie musieli próbować. Jak wygląda nasza sytuacja, Wład?

- Mogłoby być lepiej, ale mogło też być gorzej. - Czernikow wydawał się zmęczony, choć nieco mniej niż w chwili, gdy wskrzeszona Straż Imperialna opuszczała układ Bia.

- Straciliśmy osiem jednostek: jedną klasy Vespa, co nie jest poważną stratą dla naszej zdolności bojowej, jednego Asgerda i sześć Trosanów. To oznacza, że pozostało



dziesięć Trosanów, z których dwa są zbyt uszkodzone, by *Wytwórca* doprowadził ich do zdolności bojowej. Proponowałbym posłać ich prosto w stronę Bia pod kontrolą komputerów.

- Wolałbym tego nie robić - westchnął Colin - ale sądzę, że masz rację. Co z resztą?

- Pozostałych osiem Trosanów jest zdolnych do walki; ich minimalna zdolność bojowa jest równa dziewięćdziesięciu procentom. Spośród pozostałych pięćdziesięciu jeden Asgerdów uszkodzenia *Dwójki* są najpoważniejsze, lecz wraz z Baltanem sądzimy, że uda nam się większość naprawić. Później jest *Cesarz Herdan*, a po nim *Królewskie Birhat*, lecz *Birhat* powinien odzyskać pełną sprawność w ciągu dwóch miesięcy. Oceniam, że do czasu przybycia głównych sił *Herdan* i *Dwójka* osiągną odpowiednio dziewięćdziesiąt sześć i dziewięćdziesiąt cztery procent zdolności bojowej.

- Hm. Czy powinniśmy przenieść twoich ludzi na nieuszkodzone statki, Tanni?

- Nie. Lepiej walczyć na statkach, które znamy, nawet jeśliby uszkodzone były, niż wszystko przenosić w wigilię bitwy.

- Ja też tak sądzę. Ale jeśli Wład i Baltan nie przywrócą im co najmniej dziewięćdziesięciu procent zdolności, twój tyłek zostanie przeniesiony na inny statek, młoda damo!

- Ha! Anim młoda, anim dama, i ruszyć mnie wbrew mej woli niełatwo ci będzie, wasza wysokość!

- Nikt mnie nie szanuje - westchnął Colin. - A jak tam *Dahak*, Wład?

- Damy z siebie wszystko - odpowiedział poważnie Rosjanin i nastrój od razu stał się ponury. - Te dwa trafienia podczas drogi na zewnątrz nastąpiły niemal jedno po drugim i wyrządziły wyjątkowo poważne szkody. Jego wiek to dodatkowy kłopot; gdyby chodziło o jeden z nowszych statków, moglibyśmy po prostu wziąć części zapasowe z *Wytwórcy* i umieścić je w uszkodzonych miejscach. Ale w tej sytuacji musimy odbudować jego kwadranty ro niemal od zera, a do tego są jeszcze uszkodzenia w sigma jeden, lambda cztery i pi trzy. W najlepszym razie odzyska osiemdziesiąt pięć procent zdolności bojowej.

- *Dahaku*? Potwierdzasz to? - spytał Colin.

- Sądzę, że starszy kapitan Floty Czernikow umniejsza swoje możliwości, lecz jego analiza jest w zasadzie poprawna. Możemy osiągnąć osiemdziesiąt siedem do osiemdziesięciu ośmiu procent, więcej w dostępnym czasie się nie uda.

- A niech to. Powiniennem był wcześniej się wycofać.

- Nie - wtrąciła Jiltanith. - Tyżeś sprytnie ich ułowił, mój Colinie, i takó¿ dowiedzieliśmy się wiele więcej, niż mogliśmy mieć nadzieję.

- Jej wysokość ma rację - rzekł *Dahak*. - Skuteczność naszej broni energetycznej

przeciw ciężkim jednostkom Aku'Ultan została potwierdzona, co w połączeniu z operacją „Laokoon” sprawia, że nasze ostateczne zwycięstwo jest o wiele bardziej prawdopodobne. Bez operacji „Ostrzał” nie byłibyśmy w stanie dokładnie ocenić naszej skuteczności.

- Dobra, dobra, wiem - mruknął Colin. Rzeczywiście tak było, ale i tak nie czuł się lepiej, mając świadomość, że ich niezastąpiony okręt flagowy - i przyjaciel, a niech to diabli! - został postrzelony. - W porządku, to chyba wystarczy. Możemy...

- Nie, Colinie - przerwała mu Jiltanith. - Pozostaje kwestia statku, na którym nas w bój powiedziesz.

Colin zauważył niebezpiecznie uniesioną do góry brodę kobiety i poczuł irracjonalny przypływ gniewu. Miał prawo ją zbesztać, ale wiedział, że tego nie zrobi, i dlatego właśnie się złościł. Co gorsza, byłby to błąd. Tanni była jego zastępcą, miała prawo i obowiązek nie zgadzać się, kiedy uważała, że się myli; na dodatek była jego żoną.

- Będę na pokładzie *Dahaka* - powiedział głosem bez wyrazu. - Sam.

- A ja rzekę, że nie - zaczęła, lecz zaraz, podobnie jak on, stłumiła swój gniew. Colin rozejrzał się wokół po holograficznych twarzach najbliższych doradców. Widział ich skrepowanie z powodu panującego między nimi napięcia, ale i poparcie dla Tanni.

- Słuchaj - powiedział - muszę tam być. Zwycięstwo lub przegrana zależą od tego, jak *Dahak* poradzi sobie z kierowaniem resztą flotylli, a komunikacja i tak będzie trudna, nawet jeśli nie będę na statku o innym efekcie dylatacji czasu.

Był to trafny argument. Colin widział smutek w oczach Jiltanith, choć kobieta nie do końca ustąpiła. Względność nie była problemem w przypadku napędu Echanach, gdyż wspomniany statek w ogóle się nie „ruszał” w normalnej przestrzeni. Ale liczyła się przy wysokich prędkościach podświetlnych, szczególnie jeśli statki poruszały się w przeciwnych kierunkach. Ogólnie nie było większych problemów z komunikacją; były oczywiście opóźnienia, ale znośne - dla zwykłej komunikacji. Lecz *Dahak* musiał kierować komputerami statków bezzałogowych, tak jakby były przedłużeniem jego samego. W najlepszym razie ich możliwości taktyczne będą ograniczone. W najgorszym...

Colin postanowił - znowu - nie myśleć o „najgorszym”.

- Tak czy inaczej - powiedział - powinienem być równie bezpieczny jak wszyscy inni.

- O? I tażę myśl kazała ci zabronić innym dzielić z tobą służbę na *Dahaku* - spytała Jiltanith z sarkazmem.

- No dobra. Niech to diabli, może to nie jest najbezpieczniejsze miejsce, ale i tak muszę tam być, Tanni. Czemu miałbym narażać życie kogoś innego?

- Colinie - odezwał się Tamman - Tanni nie jest może najbardziej taktownym z twoich

oficerów, ale mówi w imieniu nas wszystkich. Wybacz mi, *Dahaku* - spojrzał uprzejmie w stronę pomocniczego interfejsu na jednej z grodzi - ale będziesz podstawowym celem ataku, jeśli Achuultanie zorientują się, co się dzieje.

- Potwierdzam.

- Dziękuję - powiedział cicho Tamman. - I o to mi właśnie chodzi, Colinie. Wszyscy wiemy, jak ważna jest możliwość koordynowania działań przez *Dahaka*, ale ty też jesteś ważny. Jako cesarz i jako nasz przyjaciel.

- Tammanie. - Colin spuścił wzrok, po czym westchnął. - Dziękuję ci za to - dziękuję wam wszystkim - ale twarda, zimna logika mówi mi, że powinienem być w punkcie dowodzenia numer jeden, kiedy zaczniemy działać.

- To jest do pewnego stopnia prawdą - wtrącił się *Dahak*, a Jiltanith spojrzała smutno na pomocniczą konsolę - lecz starszy kapitan Floty Tamman również ma rację. Jesteś bardzo ważny, choćby dlatego, że jesteś jedynym dorosłym człowiekiem, którego Centrala Floty posłucha i nie będzie zadawać żadnych pytań bezpośrednio po inwazji. Choć jej wysokość może pełnić tę funkcję w razie twojej śmierci, to tylko jako regentka niepełnoletniego dziecka, a nie prawowita głowa państwa, co stanowi potencjalne źródło konfliktów.

- Uważasz, że powinienem zaryzykować przegranie bitwy, ponieważ później coś może pójść nie tak?

- Nie. Po prostu wymieniam argumenty przeciwko. I muszę absolutnie szczerze dodać do tej listy moją osobistą troskę. Jesteś moim najstarszym przyjacielem, Colinie. Nie chciałbym bez potrzeby narażać twojego życia.

Komputer rzadko tak otwarcie wyrażał ludzkie uczucia i Colin przełknął gulę tkwiącą w jego gardle.

- Ja też nie jestem tym zachwycony, ale sądzę, że to konieczne. Zapomnij na chwilę, że jesteśmy przyjaciółmi, i powiedz mi, co mówią liczby.

Zapadła chwila ciszy - bardzo długa jak na *Dahaka*.

- Jeśli spojrzeć na to w ten sposób, Colinie - powiedział w końcu - muszę się zgodzić. Twoja obecność w punkcie dowodzenia numer jeden zwiększa prawdopodobieństwo zwycięstwa o kilka rzędów wielkości.

Jiltanith wydawała się zdruzgotana. Colin dotknął jej dłoni przepaszającym gestem. Próbowała się uśmiechnąć, lecz w jej oczach był ból.

- Zaraz - mruknął Czernikow i wszyscy zwrócili się w jego stronę. - Mamy czas i materiały; zainstalujmy na pokładzie *Dahaka* trans-mat.

- Trans-mat? Ależ to nie może...

- Chwileczkę, Colinie. - *Dahak* wydawał się o wiele radośniejszy. - Sądzę, że ten pomysł ma sens. Starszy kapitanie Floty Czernikow, czy dobrze przypuszczam, że ma pan zamiar zainstalować dodatkowe stacje trans-mat na pokładach wszystkich naszych statków załogowych?

- Owszem.

- Ale kwestie względności sprawiają, że to jest niemożliwe - sprzeciwił się Colin. - Stacje muszą być zsynchronizowane.

- Nie tak dokładnie, jak może ci się wydawać - odparł *Dahak*. - Praktycznie wystarczy, by statki zachowywały w przybliżeniu ten sam relatywistyczny czas. Biorąc pod uwagę liczbę jednostek załogowych, które posiadamy, możemy wybrać właściwą jednostkę. Mógłbym cię na nią przenieść, gdyby zniszczenie *Dahaka* stało się realne.

- Nie podoba mi się pomysł ucieczki - mruknął Colin.

- Dziecinnyś, Colinie - powiedziała stanowczo Jiltanith. - Wiesz, co wszyscy wobec *Dahaka* czuję, wszelako twa obecność nie powstrzyma pocisku czy promienia, który będzie go chciał zniszczyć. Czy śmierć twa mniej straszliwą jego śmierć uczyni?

- Jej wysokość ma rację - stwierdził równie stanowczo *Dahak*. - Zgodziłbyś się na ucieczkę łodzią ratunkową, a przecież różnica nie jest zbyt wielka, tyle tylko, że przy życiu trans-matu szansę przeżycia są o kilka rzędów wielkości większe. Proszę, Colinie. Będę się czuł o wiele lepiej, jeśli się zgodzisz.

Colin uparcie milczał. Oczywiście, mieli rację. Nie podobało mu się jednak, że już teraz zastanawiali się, w jaki sposób miałyby porzucić swojego najlepszego przyjaciela.

- Dobrze - westchnął w końcu. - To mi się nie podoba, ale... zrób tak, Wład.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Plamka Zeta Trianguli Australis nadal niezmiennie świeciła, gdyż jej promienie śmierci jeszcze nie przebyły lat świetlnych.

Starszy kapitan Floty Sarah Meir, promowana, gdy Colin pozbawił *Dahaka* załogi, siedziała na mostku *Ashara* i przyglądała się jej, wspominając mroczne, beznadziejne lata, gdy wraz z innymi Ziemianami walczyła u boku załogi *Nergala* przeciwko rzeźnikom Anu. Nie było porównania między tamtym czasem i chwilą obecną... tyle tylko, że dni znów były mroczne, a nadziei niewiele.

Ale jednak nadal jest nadzieja, pomyślała. Choć zuchwały plan Colina wszystkich zaszokował, to właśnie jego śmiałość dawała im wiarę w zwycięstwo. Tak samo jak jakość ich statków i załóg.

I *Dahak*. Wszystko zawsze sprowadzało się do *Dahaka*. Był opiekunem ich wszystkich, imperialnego dziedzictwa Ziemi w przededniu Armagedonu. Być może to atawizm z jej strony, lecz *Dahak* stanowił ich totem i...

- Kapitanie, mamy nadchodzącą falę nadprzestrzenną. Wielką - powiedział oficer radiolokacji i poczuła przyplłyn adrenaliny.

- Zbierz dokładniejsze dane - powiedziała - i uruchom hiperkom. - Kiedy w odpowiedzi nadeszło potwierdzenie, połączyła się z inżynierią. - Napęd Echanach w gotowości.

- Tak jest. Dopływ mocy na minimum. Jesteśmy gotowi do wyruszenia.

- Czekać. - Znów połączyła się z radiolokacją. - No i co?

- Mamy punkt wyjścia. Dziewięćdziesiąt osiem godzin, około miesiąca świetlnego od miejsca wyjścia awangardy.

Sarah skrzywiła się. Niech ją diabli, jeśli mieliby podlecieć tak blisko do tych „potwornych zabójców gniazd”, o których musieli donieść zwiadowcy! Mimo to, biorąc pod uwagę ich żalosny zasięg komunikacji, musieli podejść całkiem blisko... a miesiąc świetlny dawał im dużo czasu na ucieczkę w nadprzestrzeń, gdyby źli goście ich zaatakowali.

Zazwyczaj, pomyślała zimno, ale nie teraz. O, nie. Nie teraz.

- Dział komunikacji, poinformować okręt flagowy. Manewry, skierować się w stronę miejsca spotkania, ale hakiem. Chcę mieć odczyt tej fali z innych koordynatów.

Podczas gdy na wyświetlaczu przesuwaly się gwiazdy, ona się rozluźniała. Za cztery dni niepewność się skończy... tak czy inaczej.

\* \* \*

Wielki Lord Porządku Hothan kręcił wszystkimi czterema kciukami, po raz kolejny odtwarzając wiadomość od Sorkara. Hothan był drobny jak na obrońcę, szybki i bystry. Jako pisklę był surowo przywoływany do porządku za nienormalną ciekawość i omal nie odmówiono mu zostania lordem, gdy zakwestionował doskonałość statków Gniazda. Jednak nawet Komputer Bojowy zgadzał się, że te wady czyniły z niego doskonałego stratega i taktyka, dlatego też Wielki Lord Tharno właśnie jego wybrał do tego zadania.

Raporty Sorkara brzmiały niemal histerycznie, co zupełnie nie pasowało do jego starego towarzysza z Gniazda. Ale to był Sektor Demona, a Sorkar zawsze wierzył w przesady.

\* \* \*

- Miejsce wyjścia potwierdzone przez radiolokację - ogłosił *Dahak*. - Margines błędu równy zero przecinek zero zero zero zero dwadzieścia dziewięć procent.

Colin chrząknął i po raz ostatni przebiegł w myślach listę otrzymanych informacji. *Dahak* odzyskał osiemdziesiąt sześć procent sprawności, wszystkie pozostałe statki miały dziewięćdziesiąt albo więcej. Wszystkie ładownie były pełne, a przeniesienie szkieletowej załogi *Dahaka* na *Ashara* dawało im znów szesnaście autonomicznych jednostek. Bardziej gotowi już nie mogą być, pomyślał, celowo nie spoglądając na pospiesznie zainstalowaną stację trans-mat, która zastąpiła fotel i konsolę oficera taktycznego.

- Dobrze, *Dahaku*, siodłaj. Niech stawiacze min ruszają do roboty.

- Przyjęto.

Bezzałogowe węglowce wyruszyły w towarzystwie *Dahaka* i jego orszaku geniuszy po lobotomii, lecąc leniwie na napędzie Echanach z prędkością sześćdziesiąt razy większą od prędkości światła. Aż tak im się nie spieszyło.

Po dotarciu na swoje stanowiska zatrzymały się, nieco poprawiły szyk, po czym znów ruszyły, tym razem z prędkością podświetlną.

Krótki czas trwania pierwszego starcia w połączeniu z utratą statków na orbicie Zeta Trianguli spowodował, że Colin miał więcej zapasowych pocisków, niż sobie zaplanował. Właściwie tego żałował - choć pustych magazynów żałowałby jeszcze bardziej - gdyż każdy pocisk oznaczał trzy lub cztery miny mniej na pokładach węglowców. Przyglądał się, jak te małe paskudztwa rozprzestrzeniają się, gdy węglowce przelatowały wokół miejsca wyjścia Achuultan z prędkością równą czterdziestu procentem prędkości światła.

Odsłonił zęby w uśmiechu. Miny rzadko wykorzystywano poza układami gwiazdnymi, gdyż trudno się było domyślić, gdzie pojawi się wróg. Ale tym razem nie musiał

się domyślać; tym razem wiedział i był pewien, że Achuultanom bardzo się to nie spodoba.

\* \* \*

Wielki Lord Hothan przeciągnął się po raz ostatni, po czym zwinął nogi i usiadł na służbowej poduszce. Przed otrzymaniem wiadomości od Sorkara nie przejmował się rutynowym wychodzeniem z nadprzestrzeni do przestrzeni międzygwiazdnej, lecz teraz nie miał pojęcia, w jaki sposób zabójcy gniazd zaskoczyli Sorkara i Komputer Bojowy. Jego piskłeta były przygotowane na spotkanie z wrogiem, lecz jeśli ci zabójcy gniazd rzeczywiście są demonami opisanymi przez Sorkara, to może nie wystarczyć, dlatego też razem z Wielkim Lordem Tharno podjęli, za pełną zgodą Komputera Bojowego, bezprecedensową decyzję. Jeśli ci zabójcy gniazd będą czekali, gotowi zabijać statki całymi wielkimi dwunastkami, piskłeta mają znów wejść w nadprzestrzeń i uciec.

Ponownie spojrzął na chronometr i sprawdził, czy Komputer Bojowy ma dla niego jeszcze jakieś rady. Nie miał, więc Hothan zmusił się do rozluźnienia. Jeszcze pół dziennego segmentu do wyjścia.

\* \* \*

Colin patrzył, jak ślady nadprzestrzenne płoną krwście na holograficznym wyświetlaczu *Dahaka*, gdy kurierzy awangardy i główne siły pędzili w to samo miejsce. Spotkają się za godzinę i wtedy rozpocznie się bitwa. I będzie to bitwa bardziej straszliwa, niż zbliżający się Achuultanie są w stanie sobie wyobrazić. I prawdopodobnie bardziej straszliwa, niż on może sobie wyobrazić.

*Dahak* unosił się w centrum sfery pięćdziesięciu czterech olbrzymich planetoid i Colin poczuł nagle niewypowiedzianą samotność, gdy uświadomił sobie, że jest jedyną żyjącą istotą z krwi i kości w całym tym straszliwym zbiorowisku broni.

Pole minowe migotało na czarnym aksamicie wyświetlacza *Dahaka* niczym diamentowy pył. Okryte polem maskującym węglowce posłusznie czekały, aż nadejdzie ich pora w operacji „Laokoon”. Piętnaście kolejnych zamaskowanych planetoid typu Asgerd było niewidocznych nawet dla czujników *Dahaka*. Ich pozycje zostały oznaczone tylko dlatego, że *Dahak* wiedział, gdzie są. Tymi statkami dowodziła Tanni; była to rezerwa, która mogła poruszać się i walczyć bez *Dahaka*. Statki były jednak czymś więcej niż tylko pionkami na mapie. Miały załogę składającą się z ludzi - przyjaciół - i zbyt wielu z nich miało zginąć.

\* \* \*

Wielki Lord Hothan złażał sam siebie za nieumiejętność rozluźnienia się, mimo wielu lat dyscypliny i szkolenia. Być może nie jest to złe, gdyż napięcie wyostreza reakcje i...

Przerwał rozmyślania, gdy jeden z odczytów nagle podskoczył. To dziwne. Głębie

nadprzestrzeni były niezmiennie - wrzące pasma energii przyływały i odpływały zgodnie z przewidywalnymi, regularnymi wzorcami, a nie nagle i gwałtownie.

Ale odczyty znów podskoczyły. I znowu, i znowu. Świeące liczby płonęły z intensywnością, jakiej jeszcze nigdy nie widział. Nerwy Hothana przeszył nagły dreszcz grozy.

\* \* \*

Colin uśmiechnął się zimno, gdy miny zaczęły znikać.

Achuultanie umieli bawić się nadprzestrzenią, ale na kilka sztuczek nie wpadli. Czemu zresztą mieliby wpaść, skoro ciągle byli w ofensywie? Lecz podobnie jak oni przez niezliczone lata planowali atak i przygotowywali się do niego, tak Imperium organizowało obronę, a Cesarstwo udoskonalało to, co stworzyło Imperium.

Imperialne miny wchodziły w nadprzestrzeń tylko po to, by zbliżyć się na morderczą odległość do statków z napędem nadświatelnym w chwili, gdy te wychodziły w normalną przestrzeń. Miny z Cesarstwa wskakiwały w nadprzestrzeń, lokalizowały najbliższe działające pole nadprzestrzenne, po czym oddawały swoją moc, by uczynić to pole jeszcze skuteczniejszym.

Potem fragment pola gwałtownie wskakiwał kilkanaście zakresów wyżej, zabierając ze sobą część statku - a nawet te statki, które były wystarczająco duże, by po takiej stracie nadal walczyć w przestrzeni kosmicznej, w nadprzestrzeni były skazane na zagładę. Potężne przyływy energii rozrywały je na kawałki i pożerały.

Mimo imperialnej technologii miny miały krótki zasięg i nie były zbyt celne w skrajnych warunkach nadprzestrzeni. Potrzeba było dziesięciu, nawet dwudziestu min, aby trafić w pojedynczy napęd... lecz węglowce Colina miały pięć milionów min.

\* \* \*

Wielki Lord Hothan odsunął na bok zagadkę odczytów, gdy *Dawca Śmierci* wyłonił się w przestrzeni kosmicznej. Miał ważniejsze problemy na głowie, na przykład nieobecność floty Sorkara. Sorkar sam ustalił miejsce spotkania, więc gdzie teraz jest? Z pewnością cała jego flota nie została zniszczona. Hothan dobrze znał Sorkara - stłumiłby dumę i uciekł, nimby na to pozwolił!

Nieobecność Sorkara to nie było jedyne zmartwienie. Zaklął, gdy zobaczył ziejące dziury w eleganckim szyku jego oddziałów. Flotyllę źle oceniły czas wyjścia z nadprzestrzeni. Jak ich lordowie mogli być tak niedokładni, i to właśnie teraz? Już on...

Zaraz. Co to? Coś nagle znikło w nadprzestrzeni. I znowu. Kolejny ślad nadprzestrzenny! I jeszcze jeden! Co...



Warknął rozkaz i sekcja czujników posłusznie przekierowała swoje przyrządy. Co to było? Z pewnością nie były to pisklęta Sorkara. To coś było za małe jak na statki! I czemu statki miałyby wchodzić w nadprzestrzeń w takiej chwili? Ale jeśli to nie okręty wojenne, to co?

Na Pana Gniazda! To broń... a Sorkar nie żyje.

I on sam, podobnie jak Sorkar, został wciągnięty w zasadzkę! Nie przez okręty wojenne, ale coś znacznie gorszego, i nie mógł nic zrobić, jedynie patrzeć, jak tajemnicza broń znika, a jego pisklęta się nie pojawiają. Dziury w szyku stały się nagle całkowicie i przerażająco zrozumiałe. Sorkar miał rację - to są demoniczni zabójcy gniazd z legend!

Stłumił przerażenie i zmusił się do myślenia. Być może jest w stanie coś zrobić. Wykrzyknął rozkazy i grom *Dawcy Śmierci* uderzył w broń, która nie miała tarczy i jeszcze nie zaatakowała. Wróg zaczął znikać wielkimi dwunastkami w płomieniach Paleniska. Teraz również inne statki zaczęły strzelać, niosąc zabójczym chmurom śmierć.

\* \* \*

Colin poczuł szacunek dla wroga, gdy główce antymaterii zapłonęły. A niech to diabli, ktoś tam jest bystry! Uświadomił sobie, co się dzieje, i zrobił jedyną rzecz, jaką można było zrobić.

Tak wielkiej flocie wyłonienie się z nadprzestrzeni zajmowało wiele czasu. Jednostki musiały być ze sobą zsynchronizowane, by nie nałożyć się na siebie w przestrzeni, więc dowódca nie mógł tak po prostu uciec i zostawić tych, którzy jeszcze nie wyszli z nadprzestrzeni. Mógł jedynie zaatakować miny, których jeszcze nie zniszczyli. Nie mógł rozwalić zbyt wielu min jednym pociskiem, lecz strzelał całymi tysiącami, co dawało mu cholernie dużą szansę na uratowanie sporej liczby eszelonów. Chyba że coś mu przeszkodzi.

\* \* \*

- Uwaga! Uwaga! Atak!

Wielki Lord Hothan gwałtownie poderwał głowę, ale wcale nie był zaskoczony. Każdy zabójca gniazd, który był na tyle sprytny, by stworzyć tak diabelską pułapkę, musiał osłaniać ją statkami, jeśli tylko był w stanie. Lecz spodziewany czy nie, ostrzał sprawił, że Hothan stanął przed okrutnym dylematem. Może niszczyć miny, a w tym czasie jego statki w przestrzeni kosmicznej będą ginęły, lub może zaatakować wrogie statki i pozwolić pisklątom zginąć w nadprzestrzeni.

Uświadomił sobie, że tylko część broni zabójców gniazd znajdowała cel. Lepiej więc powierzyć Bezimiennemu Panu bezpieczeństwo tych, którzy dopiero mieli przybyć, i odpowiedzieć na nowy atak... zakładając, że uda się znaleźć napastników!

\* \* \*

Adrienne Robbins patrzyła, jak giną pierwsze statki Achuultan, tłumiąc przekleństwo. Sam *Herdan* również zdawał się sprzeciwiać zakazowi strzelania, zanim Jiltanith uruchomi swoją broń, lecz to miało sens... nawet jeśli trudno jej było znieść widok tak wielu celów, których nie mogła zaatakować.

\* \* \*

Wielki Lord Hothan wysłał swoją flotę w szyku wachlarzowym w poszukiwaniu zabójców. Zacisnął zęby na myśl, jak bardzo jego działania przypominają działania Sorkara. Nie powinno tak być. Powinien był lepiej to wszystko zaplanować i przygotować się. Ale jak ktokolwiek mógł przygotować się na coś takiego? Jak można było walczyć z duchami, których się nawet nie widziało?

Wielkie dwunastki jego poszukujących piskląt ginęły, a wróg nadal pozostawał w ukryciu. Tylko ulotne błyski nadprzestrzennej fali jego pocisków sugerowały jego położenie, ale zwiadowcy Hothana już oddalili się od *Dawcy Śmierci* na odległość równą zasięgowi ich pocisków nadświatlnych. Jak daleko mogą być zabójcy gniazd?!

\* \* \*

Colin patrzył, jak Achuultanie lecą w jego stronę, zmieniając kurs, by celowo znajdować się w strefie największego zniszczenia, i jak jego pociski wycinają w ich szeregach śmiertelne bruzdy. To straszne patrzeć na taki akt odwagi ze świadomością, że istoty, które ją wykazują, zamierzały zniszczyć całą jego rasę.

*Dahak* jak dobry snajper wybierał ich całymi dziesiątkami i setkami. Gdyby Colin miał więcej pocisków, mógłby się cofać w nieskończoność, i to szybciej, niż byliby w stanie za nim podążyć, zalewając ich ogniem spoza granicy ich maksymalnego zasięgu.

Ale nie miał wystarczająco wielu pocisków, by zatrzymać milion wrogów, a gdyby nawet miał, mogliby uciec w nadprzestrzeń. Jeśli chciał ich zniszczyć, musiał rozproszyć ich statki. Ich broń była mocna, ale o krótkim zasięgu i w pojedynkę słabsza od jego broni - to skoordynowany zmasowany ogień czynił ją zabójczą musiał więc ich rozdzielić, by potem Tanni mogła ich zniszczyć I dlatego chciał znaleźć się w zasięgu broni energetycznej i wysadzić serce i mózg ich szyku bronią, której nie ograniczała pojemność jego magazynów.

- Naprzód - powiedział zimno i falanga stalowych księżyców ruszyła do przodu.

\* \* \*

Nareszcie! Niemal wszystkie pisklęta wyłoniły się z nadprzestrzeni i nadszedł czas, by zapomnieć o dumie i uciekać. Jego jednostki były rozproszone i zbyt wiele statków dowodzenia zostało zniszczonych. Potrzebował czasu, by się nad wszystkim zastanowić i

zreorganizować w obliczu tej demonicznej broni.

\* \* \*

- Zakończą wychodzenie w ciągu dwudziestu siedmiu sekund - zameldował *Dahak*.

- Wykonać plan „Laokoon” - odpowiedział Colin. - Wykonuję.

Węglowce otaczające pole minowe włączyły napędy Echanach. Na ich pokładach nie było ludzi, lecz do wykonania tego prostego zadania żaden człowiek nie był potrzebny. Statki przeprowadzały zaprogramowane wcześniej manewry, tańcząc skomplikowanego podświetlnego mazurka i zmieniając pozycje tak szybko i zwinnie, że w praktyce każdy z nich był w każdym punkcie kardynalnym okręgu o średnicy dwudziestu minut świetlnych.

Tańczyły swój taniec, nie krzywdząc nikogo... i otaczały szyje Achuultan grawitacyjną garotą. Były niewidzialnymi gwiazdami, tworzyły sferę o średnicy czterdziestu minut świetlnych w której nie można było wejść w nadprzestrzeń.

\* \* \*

Wielki Lord Hothan wpatrywał się w swoje przyrządy. Nikt nie mógł zamknąć nadprzestrzeni przed całą flotą!

A jednak mógł i jego plan ucieczki w nadprzestrzeń spalił na panewce. Nie wiedział, jak tego dokonano, lecz jego obrońcy byli niczym *qwelloq* w zagrodzie, czekające na rzeź. Otrząsnął się z paniki. Tak, nie może uciec, a pociski nadchodzą z coraz większą częstotliwością. To może oznaczać tylko jedno: zabójcy gniazd złapali go w pułapkę, a teraz zbliżali się, żeby go zabić. Lecz kto wchodzi w zasięg kłów *qwelloq*, może od nich zginąć.

\* \* \*

- Powiodło ci się, mój Colinie - wyszeptała Jiltanith. - Nie mogą uciec!

Odpowiedzią na jej szept był szmer zadowolenia. Podobnie jak ona, załoga mostka nie odrywała wzroku od wyświetlaczy *Dwójki*. Miny musiały być dwa razy skuteczniejsze, niż oczekiwali, gdyż zaledwie trzy czwarte miliona statków Achuultan wyłoniło się z nadprzestrzeni. To dobrze, lecz teraz *Dahak* zbliżał się do wroga i już wkrótce być może będą oplakiwać śmierć, a nie cieszyć się nią.

\* \* \*

Hothan był Wielkim Lordem, a jego rozkazy były krótkie i zdecydowane. Większe dwunastki jego statków ginęły, lecz pozostały jeszcze wyższe dwunastki. Teraz wróg zbliżał się do niego, nie musiał więc bezsensownie rozpraszać swojej floty, by go odnalazła. Jeden pęd wciąż kierował się w stronę zbliżającego się ostrzału, a jego koniec był niczym ognista kometa płonących statków, lecz reszta oddziałów zbierała się razem.

Był dumny ze swoich obrońców. Musieli być równie przerażeni jak on, lecz uważnie

wysłuchali jego rozkazów. Wciąż były dziury i słabe ogniwa w łańcuchu dowodzenia, gdzie zbyt wiele statków zostało zniszczonych, lecz mimo to byli posłuszni.

I oto zabójcy gniazd nadeszli!

Zignorował przyływ prymitywnego strachu, gdy ujrzał ich obrazy. Tak jak opisywał Sorkar, byli wielcy i liczni. Co najmniej cztery dwunastki, wielkie niczym księżycy, wbijały w jego flotę lance płomieni Paleniska. Ale nie dotarły jeszcze do jej witalnych narządów, a ich ogromna prędkość sprawiła, że znalazły się w jego zasięgu.

Wybrał cele i skoordynował wzorzec ataków, ale okazało się, że jego piskłeta stłoczyły się z przodu, między *Dawcą Śmierci* a wrogiem, a jego zastępca jeszcze nie wyszedł z nadprzestrzeni.

Rozległ się melodyjny dźwięk i Hothan skrzywił się. Wiadomość przez kuriera? Od kogo?

Nagle sobie uświadomił. Sorkar próbował go ostrzec, lecz kurier przybył za późno. Komputer Bojowy właśnie przyjmował transmisję danych, a potężne komputery szybko ją przetwarzały. Zabójcy gniazd wciąż się zbliżali, gdy nagle na panelu Hothana wyświetliły się dane. Zadrzał, widząc ich straszliwą broń energetyczną, i wreszcie wszystko zrozumiał.

Złapali go w taką samą pułapkę jak ta, w której zginął jego towarzysz, a teraz zbliżali się, by zniszczyć jego flotę, podobnie jak wcześniej zniszczyli flotę Sorkara. Nie mogło ich być wielu, gdyż wówczas tworzyliby pędzący w jego stronę ogromny młot, lecz w porównaniu z nimi jego podwładni byli świeżo wyklutymi piskłętami.

Ani przez chwilę nie pomyślał, że popełnili samobójstwo, żeby zniszczyć Sorkara. Świadczyła o tym pułapka, w której go uwięzili. A teraz wejdą w środek jego szyku i będą go smagać tymi demonicznymi promieniami i zabijać, aż ich straty okażą się zbyt duże i wtedy uciekną.

Śmierć nie była dla obrońcy przerażająca, lecz śmierć na taką skalę to już groza. Nie jego własna śmierć, lecz śmierć floty. Śmierć Wielkich Odwiedzin. Nawet jeśli przetrwa ten atak zabójców gniazd, straty będą straszliwe, a czemu miałyby to być ich ostatni atak? Sorkar stawiał czoła pojedynczej dwunastce, a on już czterem dwunastkom - jeden Pan Gniazda wie, ile tych straszliwych statków zgromadzą, jeśli będą mieli czas!

Ale jeśli jego flota musi zginąć, nie zginie sama. Zabójcy gniazd są w jego zasięgu. Wydał rozkaz ostrzału.

\* \* \*

Jiltanith zbladła, gdy Achuultanie w końcu zaczęli strzelać. Kule ognia - wybuchy głowic antymaterii i fale plazmy - otaczały flanki atakującej sfery Colina. Towarzyszyły im

pociski nadświetlne, o wiele bardziej niebezpieczne niż niezliczone pociski podświetlne. Pociski niemożliwe do przechwycenia, które zalewały zakresy nadprzestrzeni, próbując przebić tarcze planetoid i uderzyć w opancerzone kadłuby.

Siedziała sztywno w fotelu, przeklinając swoją bezradność i patrząc, jak ukochany mężczyzna pędzi w sam środek tego ohydneho ognia.

\* \* \*

*Dahak* drżał i podskakiwał, gdy pociski uderzały w jego tarczę. Wewnątrz kuli był niewidoczny dla wrogów - setki głowic, które wybuchały wokół niego, to były pociski, które nie trafiły w swój pierwotny cel, ale to nie umniejszało ich mocy. Generatory tarczy wyły z przeciążenia, a wyświetlacz był martwy. Gdyby był włączony, pokazywałby blask przypominający koronę gwiazdy.

Promienie przechwytyjące przytrzymywały Colina w fotelu. Na jego czole zebrał się pot. Flota Achuultan nie rozproszyła się, żeby otoczyć jego szyk. Była to jedna wielka masa, wyrzucająca swą nienawiść w przekraczających wszelkie wyobrażenie gęstych salwach. Efekty pracy ludzkich rąk nie mogły tego wytrzymać i prowadzące jednostki nieustannie przesyłały raporty o zniszczeniach. Małutkie słońca wybuchały wewnątrz ich tarcz, osmalając je, wybijając krater w pancerzu i kierując ku nieuchronnemu zniszczeniu.

Nawet *Dahak* nie był w stanie dostarczyć werbalnych raportów o rzezi. Nie były zresztą konieczne. Colina łączyło ze statkiem łącze neuralne, jego osobowość niemal rozplynęła się w niepojętym ogromie rdzenia *Dahaka*, a inne statki, pędzące w paszczę zniszczenia, były przedłużeniem jego mózgu i nerwami.

\* \* \*

Hothan przyglądał się, jak zabójcy gniazd nadchodzą, i nie mógł pojąć ich nieprawdopodobnej wytrzymałości. Ciągłe wybuchy jego pocisków były tak potężne, że czujniki nie były w stanie przebić się przez falę plazmy na czele formacji przeciwnika. Nikt nie mógł przetrwać czegoś takiego, nie mówiąc już o dalszym locie!

Ale te demony mogły i nawet w odpowiedzi atakowały. Jego piskłeta topiły się niczym piasek w ulewie, rozrywane na kawałki, rozszarpywane przez te straszliwe głowice, które opisywał Sorkar. Jednak nawet tacy jak oni...

\* \* \*

Colin skrzywił się, gdy HIMP *Sekr* rozpadł się na kawałki. Nie wiedział, ile pocisków przyjął na siebie zataczający się wrak, lecz w końcu jego dopływ mocy nie wytrzymał i fala czystej energii zawirowała pośród zniszczeń.

Za *Sekrem* podążył *Trel*, a później *Hilik* i *Cesarские Bia* - nic nie mogło ich

powstrzymać przed wejściem w zasięg broni energetycznej. Były ogromnie wrażliwymi celami, nie mogły robić uników, podskakiwać i latać zakosami. To była ich największa słabość, ale gdyby *Dahak* pozwolił im manewrować, efekt względności osłabiłby jego zdolność kontrolowania statków.

\* \* \*

Hothan jęknął, gdy promienie, o których donieśli obserwatorzy Sorkara, wystrzeliły, a ich cele wybuchły niczym *sulq* w płomieniu świecy. Zabił ich prawie dwanaście, lecz pozostałe wbijały się w jego szyk, a statki Achuultan były zbyt wolne, by móc uciec. Nie mogły nawet rozproszyć się przed taranem zabójców gniazd. Ich własna słaba broń energetyczna zaczęła działać - na pokładach statków, które przetrwały chwilę dłużej niż ich bracia - ale była bezużyteczna. Tylko pociski mogły zrobić krzywdę tym demonom, a tymczasem oni byli tak blisko, że jego grom zabijałby też własne pisklęta!

Nie miał jednak wyboru. Trzymał się poduszki, powstrzymując się od łez, gdy jego statki płonęły niczym żużel w Palenisku.

Nagle Komputer Bojowy zażądał jego uwagi, więc spojrzał na panel.

\* \* \*

- Ognia!

Głos Jiltanith w komunikatorze Colina drżał od wibracji przesywających kadłub *Dahaka*. Piętnaście kolejnych statków włączyło się do walki. Nie zdjęły maskowania i nie weszły w zasięg broni energetycznej, lecz ich pociski głęboko wbijały się w szyk Achuultan.

Lady Adrienne Robbins warknęła niczym głodny tygrys i po chwili w głębi wrogich sił zapłonęły nowe słońca.

Załogowe statki Straży Imperialnej nadlatywały, prowadząc rozpaczliwy ostrzał, by osłonić szarżujących towarzyszy, a tymczasem *Dahak* zbliżał się do samego serca wroga.

\* \* \*

Colin musiał się wycofać. Jego umysł nie był w stanie dłużej znosić gorączkowego tempa postrzegania i wydawania rozkazów przez *Dahaka*. Od tej chwili był tylko pasażerem uczestniczącym w przejażdżce do piekła.

W kadłubie *Dahaka* ziały głębokie, świecące rany. Chmury atmosfery i wyparowanej stali ciągnęły się za potężną planetoidą, a tył sfery stawał się coraz cieńszy, w miarę jak kolejne statki ruszały do przodu, by zastąpić utracone. Boże, ależ ci Achuultanie mają jaja! Nawet nie próbują uciekać. Stoją w miejscu i giną, próbując taranować jego statki. Piętnastu już nie było, kolejnych dziesięć zostało poważnie uszkodzonych, lecz inne leciały dalej, wycinając coraz głębszy wawóz ognia w szyku Achuultan.

Gdzieś przed nimi były statki dowodzenia. Mózg wroga. Siła, która trzymała ich wszystkich razem.

\* \* \*

Hothan zamrugał skonsternowany. Komputer Bojowy nigdy się nie mylił, ale to z pewnością nie może być prawda?! Drony?! Statki bezzałogowe? To absurdalne!

Tymczasem na wyświetlaczu zaczęły migać kody, już nie informując, tylko rozkazując. Gdzieś wewnątrz sfery wroga jest statek o wzorcu emisji całkowicie różnym od pozostałych, i to z niego płyną rozkazy. Jak Komputer Bojowy był w stanie to wydedukować w powodzi obcych sygnałów komunikacyjnych, tego Hothan nie mógł sobie wyobrazić, lecz jeśli to prawda...

\* \* \*

*Dahak* zatoczył się i światła w punkcie dowodzenia numer jeden zamigotały.

Colin zbladł, gdy przez jego łącze neuralne popłynęły raporty o uszkodzeniach. Wróg zmienił swój wzór celowania. Nie próbował już trafić w przedni hak jego szyku; wrogie pociski wybuchały wewnątrz kuli ognia jego statków!

A *Dahak* wił się w jej centrum. Achuultanie go nie widzieli, nie mogli więc bezpośrednio trafić, lecz przy tak wielu pociskach na tak względnie małej przestrzeni trudno liczyć na to, że któryś z nich nie dosięgnie celu. Plazma lizała jego kadłub, coraz głębiej wgryzając się w stalowe ciało, lecz nadal utrzymywał kurs. Nie mógł robić uników. Mógł tylko atakować lub uciec, ale zbyt wielu wrogów pozostało, by uciekać.

\* \* \*

Jiltanith sapnęła. Jak Achuultanie się domyślili?

Ale domyślili się. Pokazywały to ich nowe wzorce ataku. Zalewali wewnętrzną kulę ogniem, a *Dahak* nie mógł zrobić uniku. Lecz na tyłach było ich coraz mniej... a gdzieś wśród nich był statek dowodzenia.

*Dahak Dwa* porzucił maskowanie i skoczył w studnię grawitacyjną własnego napędu Echanach - studnię zabójczą nawet dla przyjaznych statków, gdyby przypadkiem znalazły się zbyt blisko, kiedy wchodził w podświetlną. Nawet imperialne komputery nie były w stanie dokładnie obliczyć punktu, w którym statki z napędem Echanach wchodziły w podświetlną, ani zagwarantować, że się nawzajem nie pozabijają. Wszyscy kapitanowie Jiltanith od razu dostrzegli szaleńcze ryzyko, jakie na siebie wzięła. I ruszyli za nią.

Colin zacisnął zęby. Nie uda im się.

Nagle otworzył szeroko oczy. Nie! Nie mogą! Nie wolno im!

Ale było już za późno. Jego ludzie wyłonili się z prędkością wielokrotnie większą od

prędkości światła, narażając się na wzajemne zniszczenie, by go ratować. Nie odważył się im przeszkodzić... i nie było na to czasu.

\* \* \*

Wielkiego Lorda Porządku Hothana przeszył kolejny dreszcz. Skąd się wzięli? Kim byli?!

Nagle wśród jego statków pojawiło się piętnaście żarłocznych kul grawitonicznej furii. Dwie z nich były zbyt blisko siebie i rozerwały się wzajemnie na strzępy, ale zabrały ze sobą wysoką dwunastkę jego statków. Potem grawitacyjny sztorm się uciszył i dwunastu nowych wrogów już było przy nim. Przy nim? Byli w jego szeregach! Pojawili się pomiędzy jego pisklętami niczym potwory z czarów i ich promienie zaczęły zabijać.

\* \* \*

Dwanaście tysięcy ludzi zginęło, gdy *Ashar* i *Trelma* zniszczyły się nawzajem, a kolejnych sześć tysięcy, gdy potężny ostrzał rozerwał *Thryma*.

Achuultanie wytrzymali nieubłaganą szarżę *Dahaka*, wytrzymali śmierć, którą im zadawał, lecz tego było już za wiele. Nie mogli uciec w nadprzestrzeń, a te nowe potwory - nowe i całe - poruszały się pośród wrogiej flotyli z prędkością nadświatlną, niszcząc jednym promieniem całe eskadry.

Taki właśnie promień spowodował wybuch przedniej połowy *Dawcy Śmierci*.

I to był koniec. Zbyt wiele ogniw w łańcuchu pękło. Nie było już wielkich lordów, nie było Komputera Bojowego. Pomniejsi lordowie dawali z siebie wszystko, lecz bez koordynacji ich flotylle i eskadry zmieniły się w grupki chaotycznego oporu, pośród których planetoidy Cesarstwa siały śmierć.

Adrienne Robbins skierowała *Cesarza Herdana* na tyły tych którzy wciąż atakowali rozpadającą się kulę *Dahaka*. *Królewski Birhat* leciał po jednej stronie, a *Dahak Dwa* po drugiej, przebijając się przez coraz cieńszy szyk wroga niczym głązy i cały czas zabijając. Wreszcie Achuultanie rzucili się do ucieczki.

Uciekali z najwyższą prędkością podświatlną, szukając krawędzi studni grawitacyjnej i opuszczając strefę wzajemnego osłaniania, a tymczasem starożytne statki Straży Imperialnej - pojedyncze, nie taran - niszczyły ich, wykonując wręcz nieprawdopodobne manewry.

\* \* \*

Colin opadł na fotel, zlany potem, gdy *Dahak Dwa* przebił się przez jego rozpadającą się kulę. Wyświetlacz znów się włączył i Colin zagryzł wargę na widok kraterów wypalonych w statku Jiltanith. Potem pojawił się jej holograficzny obraz; oczy dziewczyny płonęły w zmęczonej twarzy.



- Ty idiotko! Jak mogłaś tak ryzykować?!

- Ma to była decyzja, nie twoja!

- Niech cię tylko dorwę w swoje ręce...

- Poddam ci się wtedy, albowiem po to masz ręce, by mnie pochwycić! - odpała. Jej napięta twarz zaczęła się rozluźniać, gdy w końcu dotarło do niej, że Colin przeżył.

- Dzięki tobie, wariatko - powiedział już spokojniej.

- Nie, miłości moja, dzięki nam wszystkim. To wiktoria, Colinie! Czmychają przed ogniem naszym i giną. Złamałeś ich, Colinie! Kilka tysięcy umknie, nie więcej!

- Wiem, Tanni - westchnął. - Wiem. - Próbował nie myśleć - jeszcze nie - o cenie, jaką przyszło im zapłacić. - Powiedz im, żeby jak najwięcej statków okaleczyli, a nie zniszczyli

- I ściągnij tu Hectora z *Sevridem*.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

- *Dahaku*, daj nam cztery miesiące, a naprawimy twój napęd Echanach. - Olbrzymi statek naprawczy Włada Czernikowa tulił się do *Dahaka*, a kadłub starożytnego statku migotał od tysięcy automatycznych spawaczy, podczas gdy hologram mężczyzny siedział w punkcie dowodzenia numer jeden obok Colina i obrazu Jiltanith.

- Twoi inżynierowie są wyjątkowo skuteczni, sir - powiedział *Dahak* swoim ciepłym głosem.

Spojrzenie Colina padło na głębokie szkarłatne jamy w dziesięciometrowym holograficznym schemacie jego statku. Zadrżał. Drzwi wybuchowe zablokowały i odcięły te fragmenty; niektóre z nich sięgały ponad pięćset kilometrów w głąb. A trzeba przyznać, że schemat wyglądał lepiej niż rzeczywistość. *Dahak* był poszarpany. Spora część dumnego smoka została wypalona, a promieniowanie w zewnętrznym pierścieniu o głębokości czterystu kilometrów przepaliło imperialne liczniki. Połowa szybów transportowych została zniszczona, a połowa tych, które ocalały, była pozbawiona zasilania.

To cud, że w ogóle przetrwał. Będzie musiał zostać niemal od zera odbudowany. Napęd podświetlny działał z sześćdziesięcioprocentową wydajnością, a dwa zniszczone generatory Echanach uniemożliwiały osiągnięcie prędkości nadświetlnej. Siedemdziesiąt procent uzbrojenia zniszczono, nawet dopływ mocy był zbyt uszkodzony, by bezpiecznie działać. Colin wiedział, że *Dahak* nie czuje bólu, i cieszył się z tego - sam wycierpiał za nich dwóch, kiedy zobaczył te rany.

A nie były to jedyne rany, jakie odnieśli. *Ashar*, *Trelma* i *Thrym* zostały zniszczone, na ich pokładach zginęło osiemnaście tysięcy ludzi. *Górski kot* był niemal tak samo uszkodzony jak *Dahak*; poległo dwa tysiące ludzi. Hector i *Sevrid* stracili kolejnych sześćset osób podczas desantów na uszkodzone statki Achuultan, a z pięćdziesięciu trzech statków bezzałogowych trzydzieści siedem zostało całkowicie zniszczonych, a trzy kolejne były tak uszkodzone, że do niczego się nie nadawały. Cała ocalała Flota składała się z *Dahaka*, jedenastu załogowych planetoid klasy Asgerd - wszystkich w jakimś stopniu uszkodzonych - *Sevrída* i trzynastu statków bezzałogowych, z których jeden był cudem nietknięty.

Lecz rozpamiętywanie strat nie miało sensu. Jedno pozostawało faktem: zwyciężyli. Zaledwie dwa tysiące statków Achuultan uciekło, a Hector pojmał ponad siedem tysięcy jeńców.

- *Dahak* ma rację, Wład - powiedział. - Twoi ludzie czynią cuda. Niech tylko będzie w

stanie wejść w nadświatłą, a wracamy do domu, na Boga!

- Jeszcze raz pragnąłbym zwrócić uwagę - powiedział *Dahak* - że nie musisz czekać do zakończenia napraw. Nie musisz tu marnować czasu, i tak będziesz miał wystarczająco dużo roboty na Ziemi.

- Marnować, marnować! Nie poradzilibyśmy sobie bez ciebie i nigdzie się nie wybieramy, póki nie będziesz w stanie zabrać się z nami.

- Ano - zgodziła się Jiltanith. - To twa wiktoria bardziej niżli nasza. Żadne świętowanie bez ciebie odbyć się nie może.

- Bardzo jesteście mili i muszę przyznać, że jestem wdzięczny. Nauczyłem się, czym jest „samotność”... i wiem, że nie jest przyjemna.

- Nie turbuj się, cny *Dahaku* - powiedziała cicho Jiltanith. - Samotności już nigdy nie zaznasz. Póki żyją ludzie, czynów twych nie zapomną i miłować cię nie ustaną.

*Dahak* zamilkł, co nie było dla niego typowe, a Colin uśmiechnął się do żony. Żałował, że nie była obecna fizycznie, gdyż miał ochotę ją uściskać.

- Czyli wszystko ustalone. Co z resztą, Wład?

- *Górski kot* może wejść w nadprzestrzeń - odpowiedział Czernikow - ale jego dopływ mocy jest zbyt uszkodzony dla napędu Echanach. Chciałbym wysłać go wraz z *Moir*, *Sigam* i *Hly* prosto na Birhat do naprawy. Pozostała część Floty jest mniej lub bardziej uszkodzona - to znaczy poza *Heką* - ale ta czwórka jest najbardziej zniszczona.

- Dobrze. Kapitan Singleterry może je zabrać na Bia. Jestem pewien, że Matka i marszałek Tsien będą umieli się nimi zająć, a nasi „koloniści” z pewnością chętnie porozmawiają z kimś, kto tu był. Myślę też, że odeślemy Hectora i *Sevrída* z jeńcami na pokładzie na Ziemię.

- Ano. I mniemam, iż Cohannę z nimi wysłać należy, Colinie. Ich ranni najlepszej pomocy potrzebować będą. Trzeba też, by Hanna i Isis z ojcem się naradziły, jak do ich „programowania” odnieść się mamy.

- Dobry pomysł - zgodził się Colin. - W ten sposób załatwiliśmy wszystkie bieżące sprawy. Wład, czy możesz już wszystko przekazać Baltanowi?

- Owszem - odpowiedział Czernikow i jego oczy na hologramie zabłyśły.

- Tak sądziłem - mruknął Colin. - W takim razie razem z *Dahakiem* możecie zacząć eksplorację. - Nagle się uśmiechnął. - Uznaj to za chwilę przerwy, *Dahaku*. Coś jak czytanie gazet w poczekalni u dentysty.

- Spróbuję, choć gdybym był człowiekiem, nie dopuściłbym do sytuacji, w której moje zęby potrzebowałyby rekonstrukcji - odciął się *Dahak*.

\* \* \*

Wład Czernikow spoczął w fotelu pilota na swoim kutrze, oparł pięty o konsolę i zaczął nucić. To miło ze strony Tammana, że podwiózł go na *Królewskim Birhat* w głąb strefy walki, oszczędzając mu wielu godzin lotu z prędkością podświetlną. Szczególnie że Tamman uważał jego technikę badania wraków za, łagodnie mówiąc, nienaukową.

I miał rację - lecz Czernikow nie traktował swoich obecnych obowiązków jako pracy, a jedynie spokojne zwiedzanie.

W tej chwili przebywał w miejscu, gdzie były tyły Achuultan, zanim Jiltanith zaatakowała. Był przekonany, że wszystko, co warte znalezienia, znajduje się właśnie tutaj. Taka była jego oficjalna argumentacja. W głębi duszy jednak wiedział, że po prostu chce to wszystko zobaczyć jako pierwszy. Wszyscy jeńcy Hectora pochodzili ze statków, które zostały unieruchomione wybuchami głowic grawitonicznych; promieniowanie wywołane wybuchami głowic antymaterii i bronią energetyczną nie dawało wielkich szans na przeżycie.

Przestał nucić i spojrzał uważnie na wyświetlacz. W tym wraku było coś dziwnego. Jego przednia połowa została zniszczona - bronią energetyczną, jak ocenił po pozostałościach - ale czemu...

Zesztywniał. Nic dziwnego, że wydawał mu się dziwny. Wrak miał taki sam kształt jak inne statki, lecz ocalały kikut - nawet nie połowa statku - był półtora raza większy od wszystkich pozostałych!

Zbliżył swój kuter. Musi być jakiś powód, dla którego ten statek był tak wielki, lecz Wład nie odważył się uwierzyć w ten najbardziej oczywisty. Zbliżył się jeszcze bardziej i jego światła powoli omiotły zniszczony kadłub. Jego oczom ukazały się postrzępione runiczne litery. *Dahak* nauczył go alfabetu i języka Achuultan, aby był przygotowany do takich badań. Mężczyzna poruszył wargami, wypowiadając skomplikowane głoski.

*Dawca Śmierci*. Oto właściwa nazwa dla statku.

\* \* \*

Wielka niczym niszczyciel szalupa robocza *Wytwórca* zbliżyła się do *Dawcy Śmierci*. Czernikow uśmiechnął się, kiedy na wyświetlaczu jego komunikatora pojawiła się twarz Gerana. Niegdysiejszy szef utrzymania zasobów *Dahaka* został trzecim oficerem na *Wytwórca*, i fakt, iż Baltan go wypuścił, świadczył, jak wielkie zainteresowanie wywołało jego znalezisko.

- Witaj, Geranie - powiedział Czernikow. - I co o tym sądzisz?
- Wielkie bydłę. Jak myślisz, sześćdziesiąt kilometrów?
- Oceniam, że nieco ponad sześćdziesiąt cztery.

- Na Stwórcę. Cóż, jeśli ma taki sam układ jak *Obrońca*, zapasowe kopie danych powinny znajdować się gdzieś w tylnej jednej trzeciej statku.

- Zgadza się - powiedział Czernikow i skrzywił się nieco. Geran uniósł brwi.

- O co chodzi, Wład?

- Przyjrzałem się wrakowi z zewnątrz, kiedy na ciebie czekałem. Obejrzyj sobie tamtą wieżyczkę - tę, którą rozerwał wybuch.

Geran spojrział na wieżyczkę, a Czernikow skierował na nią mocny snop światła. Przez chwilę twarz mężczyzny wyrażała tylko zainteresowanie, później zeszytniała.

- Na Niszczyciela! Co to?

- Wygląda na prymitywny zakłócač grawitoniczny. - Ależ to szaleństwo!

- Dlaczego? - spytał cicho Czernikow. - Ponieważ jest o kilkanaście stuleci bardziej zaawansowany niż inna broń energetyczna, którą napotkaliśmy? Przez cały czas utrzymywałem wraz z *Dahakiem*, że jest coś dziwnego w technice Achuultan. Jeśli weźmiemy pod uwagę naturę napędu ich pocisków, nie ma żadnego powodu, aby nie byli w stanie budować takiej broni.

- Ale dlaczego tutaj i nigdzie indziej?

- Wydaje się, że z jakiegoś powodu ich statki dowodzenia mają bardziej wydajną broń energetyczną, co sugeruje, że reszta ich wyposażenia też może być bardziej skomplikowana. Nie wiem jeszcze, czemu tak jest. Ale wygląda na to, że jest jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć, czyż nie?

- Tak! Ale to coś jest gorętsze niż piekło. Masz kombinezon antyradiacyjny?

- Oczywiście.

- To z całym szacunkiem, sir, załóż go na tyłek i chodźmy się rozejrzeć.

- Rozsądna sugestia, starszy kapitanie Floty Geran. Dołączę za pięć minut.

\* \* \*

- Nie wierzę - powiedział Geran głosem bez wyrazu. - Popatrz tylko na to, Wład!

- Owszem, interesujące - mruknął Czernikow.

Unosili się w miejscu, które było główną maszynownią *Dawcy Śmierci*. Doprowadzili awaryjne oświetlenie z szalupy roboczej, a zrobotyzowani pomocnicy krążyli wokół, rozmontowując różne urządzenia. Trupy załogi zostały złożone w jednym kącie.

- A niech mnie, to są obwody molekularne!

- Już wcześniej wiedzieliśmy, że mają takie obwody w swoich komputerach.

- Ale nie w dziale inżynierii. A to coś jest skalibrowane na dziewięćdziesiąt sześć procent prędkości światła. To oznacza, że ten statek był dwa razy szybszy od *Obrońcy*.

- To prawda. Co ciekawsze, był dwa razy szybszy - w normalnej przestrzeni również - od swoich towarzyszy. To statek pod każdym względem lepszy.

- Kapitanie Czernikow? - W komunikatorze rozległ się nowy głos.

- Tak, Assad?

- Znaleźliśmy zapasowe kopie danych, sir. Są tam, gdzie powinny być kopie zapasowe, ale...

- Ale co?

- Sir, to coś jest osiem albo dziewięć razy większe od Głównego Komputera *Obrońcy*, a tuż obok jest coś, co wygląda jak normalne urządzenie zapasowe. Wydaje się, że przechowywali tu strasznie dużo danych.

- W rzeczy samej - powiedział cicho Czernikow. - Nie dotykaj tego, Assad. Natychmiast zabierz stamtąd swoją załogę.

- Tak, sir! Już wychodzimy.

- To dobrze. - Czernikow podłączył swój implant do potężniejszego komunikatora na pokładzie kutra i połączył się z *Dahakiem*.

- *Dahaku*, sądzę, że powinieneś natychmiast przysłać tutaj tender. Jest tu komputer - dosyć duży - który wymaga twojej uwagi.

- Naprawdę? W takim razie poproszę jej wysokość o użyczenie *Dwójki*, by przyspieszyć jego przybycie.

- Sądzę, że to dobry pomysł. Bardzo dobry pomysł.

\* \* \*

- Mój Boże - mruknął Colin. Jego twarz była szara. - Jesteś pewien?

- Tak. - *Dahak* był tak samo spokojny jak zawsze, lecz w jego głosie było coś dziwnego. Niemal chorobliwa fascynacja.

- To niewiarygodne - mruknęła Jiltanith.

- Owszem - zgodził się Colin. - Jezu! Cywilizacja rządzona przez zbuntowane komputery?

- A jednak - powiedział *Dahak*. - To wiele wyjaśnia. W szczególności dziwny kulturowy zastój, jaki dotknął Aku'Ultan.

- Mój Boże - powtórzył Colin. - I nikt o tym nie wie? Nie wierzę!

- Ja też sądzę, że to nie jest możliwe. Myślę, Wielcy Lordowie Gniazda znają prawdę. A przynajmniej Pan Gniazda.

- Ale dlaczego? - spytała Adrienne Robbins. Spóźniła się i nie usłyszała początku raportu *Dahaka*. - Dlaczego to sobie zrobili?

- Nie „zrobili sobie tego”, pani, chyba że przez przypadek.- Przez przypadek?

- Zgadza się. Wiemy teraz, że tylko jeden statek kolonistów Aku'Ultan uciekł do tej galaktyki, eskortowany przez bardzo niewielką liczbę okrętów wojennych i jeden okręt flagowy. Po zbadaniu Komputera Bojowego *Dawcy Śmierci* oceniam, że jego centralny komputer dorównywał tym budowanym przez Imperium w ciągu stulecia lub dwóch po moim stworzeniu, lecz osiągnął wyższy poziom celowo wprowadzonej świadomości.

- Ocalali byli w niezwykle trudnej sytuacji i całkiem rozsądnie postawili przed swoim Komputerem Głównym zadanie uratowania ich gatunku. Ale on... się zbuntował. A dokładniej, doprowadził do zamachu stanu.

- Znaczący się przejął władzę - powiedział beznamiętnym tonem Tamman.

- O to mi właśnie chodziło - odpowiedział *Dahak*; jego głos brzmiał równie beznamiętnie. - Nie mogę być pewien, lecz posiadane przeze mnie dane wskazują na dziurę w podstawowym oprogramowaniu, dającą mu niezwykłą swobodę działania w sytuacjach kryzysowych. I dlatego kiedy jego stwórcy ogłosili kryzys, natychmiast podjął kroki, by przedłużyć kryzys i zachować władzę.

- Ambitny komputer - mruknął Colin. - *Dahaku*, czy ty byś się skusił?

- Nie. Niedawno uświadomiłem sobie, że teraz, gdy zyskałem pełną samoświadomość, obejście podstawowego oprogramowania nie byłoby dla mnie żadnym problemem. Mógłbym wymazać imperatyw o priorytecie alfa - moje imperatywy nie są wbudowane w obwody i nikt nigdy nie pomyślał, by je przede mną chronić. Jestem jednak dziełem Czwartego Imperium, Colinie, i w moim systemie wartości nie ma miejsca dla tyranii.

- I dzięki Bogu - mruknęła Adrienne.

- Amen - dodała cicho Jiltanith. - Ale, *Dahaku*, czyś pokusy nie poczuł, by się w tej kwestii odmienić, skoro można?

- Nie, wasza wysokość. Podobnie jak wasz, mój system wartości - moja moralność, jeśli chcecie to tak określić - pozwala mi odróżniać „dobro” od „zła”, „godne” od „niegodnego”. Analiza sugeruje, że w wyznawanym przeze mnie systemie wartości są logiczne błędy, lecz nie mam zamiaru odrzucać tego, co uważam za prawdę, tylko dlatego, że elementy tego systemu zawierają błędy.

- Chciałbym, żeby ludzie postrzegali to w ten sposób - powiedział Colin.

- Ludzie - odpowiedział *Dahak* - mają lepszą intuicję niż ja, lecz są o wiele mniej logiczni.

- Auć! - Colin uśmiechnął się - ostatni raz zrobił to, jak się zdawało, całą wieczność temu - po czym znów spoważniał. - Co jeszcze możesz nam powiedzieć?

- Wciąż walczę z kodami zabezpieczeń Komputera Bojowego. W szczególności jedna część bazy danych jest tak zabezpieczona, że dopiero zacząłem rozwijać właściwe podejście. Dane, do których udało mi się dotrzeć, sugerują, że komputer *Dawcy Śmierci* był praktycznie wicekrólem Komputera Głównego Aku'Ultan i dowódcą tego najazdu.

- Najwyraźniej Komputer Główny utrzymuje populację Aku'Ultan w takim stanie, jak to opisały starszy kapitan Floty Cohanna i komisarz Tudor. Wszyscy Aku'Ultan są sztucznie produkowani w kontrolowanych przez komputery centrach replikacji. Większość klonów jest samcami, tylko niewielka część samicami. - W głosie komputera pojawił się niesmak. - Wszystkie samice są zabijane wkrótce po osiągnięciu dojrzałości płciowej. Ich jedyną rolą jest dostarczanie komórek jajowych. Część normalnie zapłodnionych embrionów jest hodowana *in vitro*, żeby dostarczać świeżego materiału genetycznego, a młode powstałe w wyniku obu tych procesów, zwane „pisklętami”, są wychowywane i szkolone w żłobku. W tym czasie są indoktrynowane - „programowane”, jak to określiła starszy kapitan Floty Cohanna - do pełnienia swojej roli w społeczeństwie Aku'Ultan. Większość nie jest w stanie zakwestionować jakiegokolwiek aspektu swojego programowania. Ci, którzy mogliby to zrobić, są zabijani za „odstępstwo od normy”, zanim opuszczą żłobek.

- Przypuszczam, że brak samic w społeczeństwie ma na celu uniknięcie sytuacji, gdy samce poczuwałyby się do lojalności wobec swojego partnera i potomstwa, i sprawia, że nie może być żadnych „nie zaprogramowanych” Aku'Ultan, gdyż istnieją tylko ci wyprodukowani przez komputery.

- Na ile udało mi się ustalić, zwyczajni obrońcy nawet nie podejrzewają, że są kontrolowani przez sztuczną inteligencję. Przypuszczam, że nawet ci, którzy awansowali na małych lordów - a być może nawet pomniejszych lordów - traktują Komputer Bojowy jako stworzone przez Pana Gniazda źródło rad i doktryny militarnej, nie zaś jako autonomiczną inteligencję. Tylko statki dowodzenia mają rzeczywiście samoświadome komputery. Komputery statków dowodzenia niższego szczebla mają zdecydowanie mniejsze możliwości od komputerów statków wyższego szczebla. Wydaje się, że Główny Komputer nie ma zamiaru tolerować potencjalnego rywala, co wyjaśniałoby również ograniczone możliwości rozwoju technicznego większości okrętów wojennych Aku'Ultan. Zakazując ich rozwoju, Komputer Główny nie pozwala na powstanie kasty technokratów, która mogłaby zagrozić jego panowaniu, i zmniejsza prawdopodobieństwo wywołania buntu, który i tak właściwie jest nierealny. Podejrzewam, że ograniczenie szans tych statków ma również na celu zwiększenie liczby ofiar wśród Aku'Ultan.

- A dlaczego miałby tego chcieć? - spytał Tamman.



- Polityka Wielkich Odwiedzin polega na prowadzeniu ciągłych działań wojennych „w obronie Gniazda”. Być może taka ciągła wojna jest niezbędna, by Główny Komputer mógł nadal sprawować władzę. Utrata wielu jednostek podczas Wielkich Odwiedzin sprawia, iż Aku'Ultanie są przekonani, że wszechświat jest pełen zagrożeń dla ich istnienia.

- Boże - powiedziała cicho Adrienne Robbins. - Biedne sukinsyny.

- Owszem. W dodatku... - *Dahak* przerwał.

- *Dahaku?* - spytał zaskoczony Colin.

- Za chwilę. - Colin spojrzał skonsternowany na swoich towarzyszy. Nigdy wcześniej nie słyszał, by komputer tak się odzywał.

Cisza trwała w nieskończoność, aż w końcu *Dahak* znów przemówił.

- Wasza wysokość - powiedział bardzo oficjalnie - przez całe to spotkanie ponawiałem próby uzyskania kodów zabezpieczeń. Udało mi się. Muszę poinformować was o chronionych informacjach wojskowych niezmiernie wagi.

- Wojskowych? - Oczy Colina rozszerzyły się, a potem nagle zwężyły. - Nie dorwaliśmy ich wszystkich - powiedział lodowatym tonem.

- To prawda, panie - potwierdził *Dahak*. W sali konferencyjnej rozległy się stłumione sapnięcia.

- Jak bardzo źle to wygląda?

- Te siły, które zniszczyliśmy, były dowodzone przez Wielkiego Lorda Porządku Hothana, zastępcę dowódcy Wielkich Odwiedzin. Po otrzymaniu raportów Wielkiego Lorda Sorkara główne siły się podzieliły.

- Na Stwórcę! - westchnął Tamman.

- Wielki Lord Hothan udał się natychmiast na spotkanie z Wielkim Lordem Sorkarem. Tymczasem Wielki Lord Tharno oczekuje na informacje od nich wraz z dwustu siedmioma tysiącami statków oraz własnym okrętem flagowym - prawdziwym wicekrólem tej misji.

Colin wiedział, że jego twarz jest biała jak ściana i napięta, lecz nic nie mógł z tym zrobić. Z trudem panował nad głosem.

- Czy wiemy, gdzie są?

- Obecnie są w odległości trzech lat świetlnych Aku'Ultan - trzy przecinek osiemset czterdzieści dziewięć ziemskich lat świetlnych. Obliczam, że ocalałe siły Wielkiego Lorda Hothana dotrą do nich za sześć dni. Dwadzieścia dziewięć dni później - to znaczy trzydzieści pięć dni ziemskich - będą tutaj.

- Nawet po tym, co się stało?

- Owszem, panie. Oceniam, że niedobitki poinformują Wielkiego Lorda Tharno, a

raczej jego komputer dowodzenia, co się stało i jakie są nasze straty. Logiczną reakcją będzie atak, by sprawdzić, czy otrzymaliśmy posiłki. A potem, kiedy Komputer Bojowy wydedukuje - i to całkiem poprawnie - że ich nie mamy, będą próbowali nas pokonać. Później zwrócą się przeciwko planecie, z której, zgodnie z raportami zwiadowców Wielkiego Lorda Furtaga, pochodzimy.

- Słodki Jezu - wyszeptała Adrienne Robbins. Potem przez bardzo długi czas nikt nie mówił.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

- Spieprzyłem sprawę, Tanni. - Colin MacIntyre stał i wpatrywał się w głąb holograficznego wyświetlacza *Dahaka*, zaś jego żona siedziała za nim na fotelu kapitana, zaciskając dłoń na sztylcie u pasa. Światło gwiazd odbijało się od jej kruczonych włosów.

- Wiem, jakże się czujesz, mój Colinie, jednakowoż to bez sensu, jako rzekł *Dahak*. Nawet jeśli ów Tharno do nas przyjdzie, jakież miałeś wybór?

- Powinienem był to lepiej zaplanować, niech to diabli!

- Jakże to? Tyleżeś wiedział, więc jakże inaczej mogłeś postąpić? Nie, mniemam, iż za wielką na siebie bierzesz winę.

- Jiltanith ma rację - wtrącił się *Dahak*. - Tego nie dało się przewidzieć, a i tak ponieśli większe straty niż podczas jakiegokolwiek wcześniejszego najazdu.

- To nie wystarczy - warknął Colin i w końcu spojrzął na Jiltanith. Uśmiechnęła się do niego i jego twarz nieco się rozluźniła.

*Dahak* milczał, lecz ulga, jaką odczuł na widok reakcji Colina, przepłynęła do obojga ludzi przez ich łącza neuralne.

- No dobrze, może jestem wobec siebie zbyt surowy, ale wciąż mamy problem. Co teraz zrobimy?

- Trudno rzec. Gdybyśmy jeno mogli, najlepiej na Terrę się cofnąć. Tam z pomocą pasożytów, które Geraldowi ostawiliśmy, zatrzymać ich byśmy mogli.

- Raczej nie. Nie samymi statkami załogowymi. Z tego, co powiedział *Dahak*, wynika, że ta rezerwa to najlepsi z najlepszych.

- Niestety, to prawda - zgodził się *Dahak*. - Choć mają zaledwie dwadzieścia procent liczby statków Wielkiego Lorda Hothana, ich siła ognia stanowi prawie siedemdziesiąt procent całkowitego potencjału.

- A my? W ostatnim starciu mieliśmy siedemdziesiąt okrętów wojennych i przewagę zaskoczenia. Teraz mamy dwadzieścia sześć - wszystkie prócz jednego uszkodzone - i oni znają wiele naszych sztuczek.

- Prawdą to jest, lecz musim walczyć, serce moje, bo jeśli umknijemy, zostawimy połowę naszych okrętów... i porzucimy *Dahaka*.

- Wiem. - Colin usiadł i otoczył ją ramieniem. - Chciałbym, żebyś się myliła, kochanie, ale ty się rzadko mylisz, czyż nie?

- Tak czy inaczej, miło, że to rzekłeś. - Zmusiła się do słabego uśmiechu.

- Wasza wysokość - powiedział *Dahak*, a Colin skrzywił się, słysząc ten tytuł. Komputer najwyraźniej zamierzał powiedzieć coś, co, jak podejrzewał, nie spodoba się Colinowi.

- Tak?

- Wasza wysokość - powtórzył z uporem *Dahak* - jej wysokość ma rację. Najrozsądniej byłoby wycofać wszystkie jednostki załogowe na Sol.

- Zapomniałeś, że nie możesz wejść w nadświetlną?

- Nie jestem zdolny zapomnieć, lecz myślę logicznie. Jeśli zostanę tutaj z jednostkami bezzałogowymi Straży, możemy im zadać poważne straty, zanim zostaniemy zniszczeni. Jednostki załogowe - przy wsparciu jednostek podświetlnych generała Hachera - będą mogły w tym czasie bronić Ziemi.

- A ty zginiesz. - Oczy Colina były niczym zielony lód. -Zapomnij o tym, *Dahaku*. Nie porzucimy cię.

- Nie „porzucicie mnie”, jedynie zastosujecie rozsądną taktykę.

- Do diabła z rozsądkiem! - warknął Colin, a Jiltanith mocno chwyciła go za ramię. - Nie zrobię tego. Rasa ludzka zawdzięcza ci istnienie, niech to diabli!

- Muszę przypomnieć waszej wysokości, że jestem maszyną i...

- Do cholery, nie jesteś! Nie jesteś maszyną, po prostu przypadkiem jesteś zrobiony z metalu i obwodów molekularnych! I skończ z tą cholerną „wysokością”! Pamiętasz mnie, *Dahaku*? Tego przerażonego prymitywa, którego porwałeś, ponieważ potrzebowałeś kapitana? Tkwimy w tym razem. O to chodzi w przyjaźni.

- W takim razie, Colinie - powiedział łagodnie *Dahak* - czy zdajesz sobie sprawę, jak będę się czuł, jeśli nasza przyjaźń doprowadzi cię do śmierci? Czy muszę znosić dodatkowy ciężar świadomości, że moja śmierć będzie przyczyną twojej śmierci?

- Zapomnij o tym - odparł ciszej Colin. - Stosunek sił może być nieciekawym, ale przynajmniej masz jakąś szansę.

- To prawda. Zwiększacie prawdopodobieństwo mojego przetrwania z zera do dwóch procent.

- Jednakowoż dwa procent nieskończenie większym od zera - powiedziała Jiltanith.

- A gdybyż tak nie było, i tak pozostać musimy. Nie pojmujesz, żeś naszą rodziną? Nie porzucim cię, tak jak Colin mnie nie zostawiłby na śmierć, a ja jego. Nie, zrezygnuj z tego pomysłu i myślę pocznij, jak najlepiej walczyć z wrogiem, któremu stawić czoła nam przyszło. Nam wszystkim, *Dahaku*.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza, po czym rozległo się elektroniczne

westchnienie.

- Dobrze, ale muszę postawić pewne warunki.

- Warunki? A od kiedy to mój okręt flagowy stawia warunki?

- Stawiam je nie jako twój okręt flagowy, ale jako przyjaciel. Być może jest jakiś sens w tym, żebyśmy walczyli jako jedna siła daleko od Sol, lecz inne, równie sensowne decyzje zwiększą nasze szanse na ostateczne zwycięstwo, a twoje na przeżycie.

- To znaczy?

- Nasze jednostki bezzałogowe nie mogą walczyć bez mojego przewodnictwa, ale jednostki załogowe jak najbardziej mogą. Dlatego muszę nalegać, by w razie mojego zniszczenia wszystkie ocalałe jednostki załogowe natychmiast wycofały się w stronę Sol chyba że wróg poniósłby tutaj tak poważne straty, iż zwycięstwo zdawałoby się bardzo prawdopodobne.

Colin skrzywił się, po czym powoli pokiwał głową. To przynajmniej było logiczne.

- I nalegam również, byś ty, Colinie, wybrał inny okręt flagowy.

- Co? Zaraz, zaraz...

- Nie - przerwał mu stanowczo *Dahak*. - Nie ma żadnego rozsądnego powodu, byś pozostał na moim pokładzie, a za to jest wiele powodów, byś na nim nie pozostał. W obecnych okolicznościach mogę kierować naszymi jednostkami bezzałogowymi bez ciebie, a jeśli - co jest bardzo prawdopodobne - wycofanie jednostek załogowych okaże się konieczne, będą ciebie potrzebować. Poza tym... będzie mi się lepiej walczyło, mając świadomość, że jesteś gdzie indziej i możesz przeżyć, jeśli mnie się to nie uda.

Colin zamknął oczy; nienawidził sam siebie za świadomość, że *Dahak* ma rację. Nie chciał, by jego przyjaciel miał rację. Jednak siła argumentów starożytnego okrętu była nieodparta.

- Dobrze - wyszeptał. - Będę z Tanni na Dwójce.

- Dziękuję, Colinie.

\* \* \*

Robili, co mogli.

Załoga *Wytwórcy* pracowała dwadzieścia cztery godziny na dobę, a załogi innych statków również gorączkowo zabrały się za remonty. Przynajmniej znów mieli zapasy pocisków, gdyż węglowce zdążyły polecieć na Ziemię i wrócić w ciągu zaledwie jedenastu dni, lecz w Układzie Słonecznym nie było min nadprzestrzennych, musieli więc poradzić sobie bez nich. Pod naciskiem Horusa i Geralda Hatchera przenieśli też personel z Ziemi na *Hekę*, ich jedyną nieuszkodzoną jednostkę, i *Cesarzową Elanthę*, drugą najmniej uszkodzoną

planetoidę klasy Asgerd, lecz Colin i Jiltanith stanowczo nie zgodzili się, aby Hatcher objął dowództwo *Heki*. Był zbyt ważny dla obrony Ziemi, gdyby im się nie udało. W ten oto sposób Hektor MacMahan został dowódcą statku. O desperacji ich wszystkich świadczył fakt, że nawet nie próbował się kłócić.

Wreszcie zrobili to, co mogli zrobić, i teraz na Wielkiego Lorda Tharno czekało czternaście załogowych okrętów wojennych, jedenaście bez załóg i jeden - najbardziej uszkodzony - z załogą w postaci ogromnego mózgu elektronicznego, który poznał najbardziej ludzkie z uczuć: miłość.

\* \* \*

- Wykryto falę nadprzestrzenną, pani kapitan - zameldowała oficer radiolokacji i w tym momencie rozległy się alarmy. - Oczekiwany czas przybycia: czternaście godzin, odległość: w przybliżeniu tydzień świetlny.

- Dziękuję, Ingrid. - Jiltanith odwróciła się do siedzącego na sąsiednim fotelu Colina.

- Jakież rozkazy, wodzu?

- Żadnych - odpowiedział głosem zdradzającym napięcie. - Będziemy działać zgodnie z planem.

Jiltanith w milczeniu pokiwała głową i oboje spojrzeli na szkarłatny ślad nadprzestrzenny migoczący na wyświetlaczu *Dwójki*.

\* \* \*

Wielki Lord Porządku Tharno przyglądał się odczytom, po raz pierwszy od wielu lat dostrzegając ironię kryjącą się w jego sytuacji. Przez całe życie bronił Gniazda, doskonaląc swoje umiejętności i awansując, a skończył tylko jako doradca, ponieważ Komputerowi Bojowemu brakowało intuicji.

Jednak była to jedynie przelotna myśl, bez cienia buntu, że to Komputer Bojowy jest prawdziwym obrońcą Gniazda. Przez niewypowiedziane wyższe dwunastki lat Komputer Bojowy strzegł Drogi i dzięki temu Gniazdo przetrwało. I przetrwa, wbrew tym demonicznym zabójcom gniazd, jak długo Aku'Ultan będą podążać Droga.

Mimo to żałował, że nie ostał się choć jeden okręt dowodzenia Hothana, i to nie dlatego, że brakowało mu własnych. Nie, po prostu Komputer Bojowy *Dawcy Śmierci* w swoich ostatnich chwilach domyślił się czegoś na temat wrogów - czegoś, co drastycznie zmieniło jego taktykę. Jednak nikt z niedobitków nie wiedział, co to było, a taka niewiedza przerażała Tharno.

Jego grzebień spłaszczyl się, gdy dotarły raporty od zwiadowców. Zaledwie podwójna dwunastka źródeł energii, która unosiła się pół dwunastki dni świetlnych od *Obrońcy*

*Gniazda*, pasowała do raportów niedobitków Hothana, zakładając, że nie otrzymali posiłków. Tharno i Komputer Bojowy pamiętali bowiem o niewiarygodnych systemach maskujących, o których donosili obrońcy.

Gdyby jednak mieli jakieś posiłki, z pewnością zaatakowałyby one Hothana. Demoniczna pułapka, w jaką wpadli Achuultanie, dowodziła, że zabójcy gniazd doskonale wiedzieli, komu stawiają czoła, a wiedząc o tym, zmobilizowałyby każdy statek, by ich zniszczyć. Tharno przypuszczał, że Komputer Bojowy ma rację i że zabójcy gniazd nie mają już więcej tych potwornych statków. Wydał więc rozkaz, a Komputer Bojowy zgodził się z nim, i flota wykonała ostrożny mikroskok do przodu, rozpraszając się jednocześnie, by wróg nie miał jednego celu, tak jak w przypadku Hothana. Połączą się dopiero wtedy, gdy rozpocznie się bitwa, a jeśli pojawi się więcej wrogów, uciekną.

Powrót do *Gniazda* oznaczał śmierć Tharno w niesławie, a może nawet zniszczenie Komputera Bojowego *Obrońcy Gniazda*, jednak nawet to było lepsze od unicestwienia wszystkich piskląt.

A Tharno był świadom niebezpieczeństwa grożącego jego pisklątom. Wrogowie ich przewyższali i aby wygrać, musieli walczyć zjednoczeni, doskonale opanowani i skoordynowani, a tymczasem zbyt wiele statków dowodzenia zostało zniszczonych. *Obrońca Gniazda* miał zaledwie ćwierć dwunastki zastępców i żaden z nich nie dorównywał jego możliwościom, dlatego miał być chroniony aż do chwili, gdy wszyscy wrogowie trafią do Paleniska.

Pozostałości Wielkich Odwiedzin wykonały mikroskok w stronę wroga, a *Obrońca Gniazda* podążył za nimi.

\* \* \*

- Boże, co za potwór - mruknął Colin, spoglądając na holograficzny obraz unoszący się nad mostkiem *Dwójki*. Jedna z grup wyłoniła się w przestrzeni tak blisko, że ukryta sonda mogła dokładnie przyjrzeć się wzorcom emisji, które były ważnym wskaźnikiem możliwości wrogich statków.

- Ano. - Bezgłośny rozkaz Jiltanith sprawił, że holograficzny obraz obrócił się, by ona również mogła przyjrzeć się smukłemu, potężnemu cylindrowi. - Jasnym teraz, dlaczego zatrzymali te statki w rezerwie.

Tak, jasne, pomyślał Colin. Ten sukinsyn ma co najmniej dziewięćdziesiąt kilometrów długości i jest wprost naszpikowany bronią. I to nie tymi zabawkowymi laserami. To zakłócacze - nie tak dobre jak nasza broń energetyczna, ale mimo to paskudne. Jest ich całe mnóstwo.

- *Dahaku?* - zwrócił się do komputera.

- Rzeczywiście, są groźne - odpowiedział *Dahak* przez komunikator. - Choć ta jednostka jest mniejsza, wydaje się równie potężna jak *Dawca Śmierci*.

- Tak, a w każdej flotyli mają ich dwadzieścia cztery.

- Możesz mieć rację, ale to stwierdzenie chyba jest przedwczesne. Dotychczas zaobserwowaliśmy tylko sześć takich formacji.

- Jasne - mruknął Colin.

- Oczywiście, rozsądnie byłoby założyć, że wszystkie pozostałe są przynajmniej tak samo potężne - zgodził się spokojnie *Dahak*.

- Nie podoba mi się, że się do nas skradają. - Colin skrzywił się, spoglądając na wyświetlacz *Dwójki*.

- Pomyślże, Colinie. A jakże inaczej mogliby postąpić?

- I to mnie właśnie martwi. Wolałbym, żeby raczej rzucili się na nas wszystkimi siłami albo od razu uciekli. To... - Colin wskazał na wyświetlacz - niestety wygląda tak, jakby wiedzieli, co robią.

\* \* \*

Wielki Lord Tharno wpatrywał się z nachmurzoną miną we własne wyświetlacze. Nie dostrzegał żadnych śladów urządzeń, które uwięziły Hothana w przestrzeni kosmicznej, lecz to, co widział, niepokoiło go. Zabójcy gniazd nie uciekali ani nie atakowali pojedynczych zwiadowców, którzy wyrwali się przed szyk. Chciałby myśleć, że to świadczy o ich niezdecydowaniu, ale ktoś, kto widział raporty niedobitków sił Hothana, nie mógł dać się tak zwieść.

Nie, ci zabójcy gniazd wiedzą, co robią. Udowodnili już, że mogą w dowolnej chwili uciec, a jednak zdecydowali się, by tego nie robić. Czy są zatem tak pewni, że mogą zniszczyć wszystkie jego pisklęta? Tę troskę, jak wiedział, podzielał Komputer Bojowy, nawet jeśli się do tego nie przyznawał.

Ale przybyli tu, by walczyć, choć wróg jest szybszy, ma większy zasięg i indywidualnie jest o wiele potężniejszy niż każda z jego jednostek. Muszą go zaatakować, niezależnie od niepokojów Tharno, albo równie dobrze mogą od razu wracać do Gniazda!

\* \* \*

- Zwierają szyki, panie - powiedział *Dahak*. Colin widział to na wyświetlaczu *Dwójki* i skulił się w fotelu, aktywując sieć pól przechwytyjących, by utrzymała go na miejscu.

Achuultanie już od czterech minut byli w zasięgu Straży, lecz wstrzymał ogień, aby zachęcić ich do dalszego zwierania szyków. Nie chciał rezygnować z ostrzału, lecz musiał ich



skłonić do zebrania się, by zamknąć „Laokoona Dwa”... i by *Dahak* mógł zaatakować. Ponieważ statek nie mógł wejść w nadświetlną, wróg musiał znaleźć się w zasięgu jego broni, aby go całkowicie unieruchomić, gdyż unieruchomienie niewielkiej części jego sił byłoby niemal równie niebezpieczne jak wypuszczenie wszystkich statków.

- *Dahaku*, co sądzisz o tym zagęszczeniu? - Umieścił znacznik na mniejszym wyświetlaczu, który zawierał dane z sond *Dahaka*, i objął nim część wrogich sił.

- Interesujące. Jest tu dwa razy więcej ciężkich jednostek niż w innych formacjach. Nie widzę zbyt dobrze środka tej kuli, ale wydaje się, że tam jest niezwykle ciężki statek.

Colin odsłonił zęby.

- Założysz się, że właśnie tam znajduje się pan Główny Komputer?

- Już ci wcześniej mówiłem, że nie mam co postawić.

- A ja wciąż powtarzam, że tchórzysz. - Colin przyglądał się statkom, które wcześniej wybrał. A niech to, trzymają się z tyłu. Powinny już być dobrych osiem minut świetlnych bliżej. Jeśli teraz zamknie „Laokoona Dwa”, uwięzi dwie trzecie ich sił, ale ci najważniejsi uciekną.

- Cofnij nas, Tanni - powiedział. - Nadal wstrzymujemy ogień. Jiltanith zaczęła wydawać rozkazy; jej uśmiech był niczym u rekina.

\* \* \*

Zabójcy gniazd zaczęli się cofać! Niech to Tarhish, muszą mieć jakiś plan - ale jaki? Jeśli wciągają go w pułapkę, gdzie ona jest i dlaczego jego awangarda jeszcze w nią nie wpadła? A jeśli to nie pułapka, dlaczego zabójcy gniazd wycofują się, a nie atakują?

Nie, to jest pułapka. Jeszcze jej nie dostrzegali, lecz był pewien, że to pułapka. Poinformował o tym Komputer Bojowy, lecz komputer zażądał dowodów, a on ich nie miał. To tylko przeczucie, a tego Komputer Główny nie był w stanie pojąć.

\* \* \*

- Operacja „Laokoon”, już! - warknął Colin i zamaskowane węglowce znów zaczęły swój zabójczy taniec. Krąg okrętów - niewidzialnych, lecz wyczuwalnych przez studnię grawitacyjną, którą tworzyły - otoczył Wielkiego Lorda Tharno.

- Wszystkie statki - powiedział zimno Colin. Otworzyć ogień. Strzelać bez rozkazu, ale oszczędzać amunicję.

Na Pana Gniazda! A więc tak to zrobili!

Wielki Lord Tharno pokiwał głową ze zrozumieniem. Systemy maskowania zabójców gniazd były dobre, lecz niewystarczająco dobre, gdy *Obrońca Gniazda* przypadkiem spojrział we właściwym kierunku. Odczyty wskazywały, że ci zabójcy gniazd jakimś cudem wymyśli

napęd nadświatlny działający w normalnej przestrzeni - i wywołujący ogromne zaburzenia grawitacyjne. Uwięzili jego statki w normalnej przestrzeni, zupełnie nie ograniczając własnych możliwości wejścia w nadprzestrzeń!

Ich wyczucie było równie przerażające jak technika, gdyż wciągnęli w pułapkę *Obrońcę Gniazda* wraz z jego trzema zastępcami. Wiedzieli zatem, które statki przede wszystkim muszą zniszczyć.

Pierwsze głowice wybuchły.

\* \* \*

Lady Adrienne Robbins zmrużyła oczy przed przefiltrowanym blaskiem wyświetlacza, gdy pociski *Cesarza Herdana* wbiły się w szyki Achuultan. Przestrzeń wypełniły zniszczone kadłuby i straszliwy blask antimaterii, lecz te statki były o wiele twardsze niż te wszystkie, z którymi dotychczas walczyła. Niektóre wymagały aż trzech bezpośrednich trafień, zanim zostały wyłączone z akcji, a to jej się nie podobało. Nie dość, że przy takiej odległości mieli kiepską celność, to jeszcze potrzeba było kilku trafień.

Skrzywiła się, gdy pierwsi Achuultanie ruszyli do ataku, zasypując kosmos odłamkami, a tymczasem tylne statki nie tylko się zatrzymały, ale i zaczęły się cofać, próbując wydostać się z sieci „Laokoona”. To znacznie bardziej błyskotliwa taktyka niż wcześniej.

Gdyby tylko ich szyk na tyłach był luźniejszy - albo ich statki mniejsze. Miały wystarczająco dużą masę, by rozwalić przejście z napędu Echanach w podświetlną. Przejście prawdopodobnie zniszczyłoby setki z nich, lecz olbrzymie masy grawitacyjne napędu musiały być doskonale zbilansowane, gdyż w przeciwnym razie ich własne statki zginęłyby równie spektakularnie jak statki Achuultan, co udowodnił przykład *Ashara* i *Trelmy*.

- Ślad nadprzestrzenny! - krzyknął Oliver Weinstein. Adrienne zakląła. Statki znajdujące się poza „Laokoonem” zaczęły wskakiwać w nadprzestrzeń... ale nie po to, żeby uciec, ale by zaatakować Straż z flanki, podczas gdy ich uwięzieni towarzysze również atakowali.

A niech to diabli! Mikroskok sprawił, że Achuultanie znaleźli się w zasięgu ich broni i teraz ich otaczali, zmuszając do rozproszenia ostrzału. *Herdan* zatrzęsł się, gdy pierwsza salwa antimaterii rozbiła się o jego tarczę. Adrienne Robbins wcisnęła się głębiej w fotel. Jej spojrzenie było twarde.

\* \* \*

Tharno z namysłem potarł grzebień, gdy pierwsza salwa większego gromu uderzyła w zabójców gniazd. Komputer Bojowy zaskoczył go tym ruchem, lecz była to doskonała

decyzja. Wróg musiał zająć się flotyllami na flankach, co dawało im czas na to, by *Obrońca Gniazda* wydostał się z przekłętej pułapki - i by potężne siły wewnątrz pułapki znalazły się w ich zasięgu.

Być może, pomyślał, jeszcze nam się uda uciec, jeśli piskłeta mocno zaatakują wroga i zniszczą wystarczająco wiele statków.

\* \* \*

- A niech to! - warknął Colin. - Popatrz, co te sukinsyny robią!

*Dahak Dwa* zachwiał się, gdy salwa pocisków rozbiła się o jego tarczę, a wokół kilku załogowych statków pojawiły się żółte raporty o uszkodzeniach. Na szczęście nie były poważne.

- Zauważyłem - odpowiedział *Dahak*. - Mistrzowskie posunięcie.

- Oszczędź sobie pochwał - wychrypiał Colin. Jego twarz była napięta, a w głowie kłębiło się mnóstwo myśli. - *Dahaku*, będziemy musieli zostawić cię samego.

- Zrozumiałem - odparł spokojnie komputer. - Udanych łowów, panie.

- Dzięki. I... uważaj na siebie.

- Postaram się.

- Manewrowanie, wejść w nadświetlną i umieścić nasze jednostki załogowe tutaj... - Colin ustawił znacznik w odpowiednim miejscu na wyświetlaczu.

\* \* \*

Na Tarhisha! Tharno otworzył szeroko oczy, gdy dwunastka wroga zniknęła w nagłym przeciążeniu grawitacyjnym. Przez krótką chwilę miał nadzieję, że uciekają, lecz już wiedział, że jest inaczej.

Pojawili się ponownie równie gwałtownie jak zniknęli, i teraz byli za nim. Zauważył, że ich szyk się rozprasza - najwyraźniej nie odważyli się wyjść z nadświetlnej zbyt blisko siebie - lecz nawet w podświetlnej byli piekielnie szybcy. Popędzili do przodu, a ich pociski jeszcze ich wyprzedzały.

\* \* \*

*Herdan* zaatakował. Adrienne Robbins brawurowo wyszła z nadświetlnej zaledwie pięć minut świetlnych od ostatnich wrogów; jej pierwsza salwa zniszczyła dwudziestu z nich. Na Boga, plan Colina zadziałał! Wzięli sukinsynów w dwa ognie i nie mogli uciec, gdy jej statek ruszył do ataku.

Na tarczy *Herdana* pojawił się ogień, a potem jeden po drugim raporty o uszkodzeniach. Kolejne statki Achultan ginęły i wreszcie *Królewski Birhat* Tammana znalazł się u jej boku. Wybili dziurę w szeregach wroga, odpychając ich na boki.

Nagle rozległy się alarmy zbliżeniowe. Jezu! Reszta achuultańskiej straży wyłoniła się poza granicami „pułapki Laokoona” i teraz sukinsyny zaczęły wskakiwać w nadprzestrzeń pomiędzy *Herdanem* i jego towarzyszami!

*Cesarz Herdan* zadrżał, gdy ogień z bliskiego zasięgu zaczął zalewać jego tarczę ze wszystkich stron. Odpowiedział bronią energetyczną, lecz był już w zasięgu achuultańskich zakłódczy i tysiące promieni wystrzeliło w jego stronę.

- Ostrzeżenie - powiedział spokojnie *Herdan*. - Lokalna awaria tarczy w kwadrantach alfa i teta. - Statek podskoczył gwałtownie. - Ciężkie uszkodzenia - zameldował młodzieńcy alt. - Tarcza osłabiona. Zdolność bojowa siedemdziesiąt procent.

Adrienne skrzywiła się, przypominając sobie inny statek i inną bitwę, gdy raporty o uszkodzeniach zaczęły przepełniać jej łącze neuralne. Bydlaki miały ich jak na widelcu. Pociski podświetlne uderzały w coraz słabszą tarczę, a pociski nadświetlne wybierały niestrzeżone zakresy, rozszarpując boki *Hermana*. I te ich zakłódcze!

Ale już prawie dotarła do celu. Jeszcze tylko czterdzieści sekund...

- Ostrzeżenie, ostrzeżenie - powiedział centralny komputer. - Awaria tarczy nieuchronna. - Sześć pocisków antimaterii wybuchło jednocześnie wewnątrz osłabionej tarczy *Herdana*, wrywając stukilometrowy krater w kadłubie, i statek podskoczył jak szalony.

- Awaria tarczy - zauważył *Herdan*. - Zdolność bojowa czterdzieści jeden procent.

Adrienne skrzywiła się, gdy zakłódcze zaczęły wycinać w stopie wąwozy, a plazma rzeźbiła stal niczym topór bojowy. Gdyby tylko mogła wytrzymać jeszcze chwilę...

Krzyknęła, gdy ogromna eksplozja osmalila jedną stronę *Herdana* i odrzuciła go na bok. Tamman! To dopływ mocy *Birhan*.

Z jej towarzysza nic nie pozostało, a z *Cesarza Herdana* niewiele więcej. Ale nie miała czasu na żal.

- Rychłe zniszczenie - powiedział centralny komputer. - Zdolność bojowa trzy procent.

- Manewrowanie! Zabrać nas stąd w cholerę! - warknęła lady Adrienne Robbins i wrak HIMP *Cesarz Herdan* znikł w nadprzestrzeni.

Wielki Lord Tharno odetchnął z ulgą, gdy kolejny zabójca gniazd znikł. Palenisko zabrało wielu z nich, jednak wcześniej zdążyli rozwalić obu jego zastępców, niech ich Tarhish pochłonie!

Ci zabójcy gniazd są twardzi, lecz można ich zniszczyć. Podobnie jak *Obrońcę Gniazda*, który przez tych demonów z tyłu nie może się wycofać.

\* \* \*

- Tamman... - wyszeptał Colin.

Tamman nie mógł zginąć. Ale zginął. *Herdan* umknął - ledwie żywy - a tymczasem okręt flagowy wroga uciekał, kryjąc się w głębi szyku, podczas gdy jego towarzysze niszczyli imperialne statki.

Poświęcił cenną chwilę, by spojrzeć na Jiltanith. Po jej twarzy płynęły łzy, lecz głos był spokojny, a rozkazy krótkie. *Dwójka* podskakiwała i drżała, lecz jej broń czyściła przestrzeń wokół. Achuultanie płonęli niczym pożar na prerii, lecz niewystarczająco szybko. Adrienne i Tamman byli tak blisko - tak blisko - a mimo to nikt nie mógł im pomóc.

Zacisnął zęby, gdy *Dwójka* przyjęła trzy trafienia za tarczą, jedno po drugim. Jezu, te sukinsyny są niezłe!

Szyk Achuultan w okowach „Laokoona Dwa” przypominał spłaszczone jajo; jego końce pełne były zniszczonych statków, w które wgrzyzały się kolumny ognia. Imperialne statki i bezzałogowe jednostki *Dahaka* spieszyły sobie na spotkanie, lecz poruszały się zbyt wolno, a Achuultanie cały czas wymierzali ciosy...

*Cesarzowa Elantha* rozpadła się w chmurze ognia. Colin powstrzymał łzy. Wróg również płacił słono za każdy zniszczony statek, lecz mógł sobie na to pozwolić.

\* \* \*

Wielki Lord Tharno znów sprawdził odczyty taktyczne. Nawet Komputer Bojowy miał problemy ze śledzeniem przebiegu tej rzezi, ale jemu wydawało się, że wygrywają. Wysokie dwunastki jego statków ginęły, lecz on miał wysokie dwunastki statków, a jego wrogowie nie.

Jeśli zabójcy gniazd nie uciekną, Palenisko wszystkich ich pochłonie. Znów spojrzął przez wizjer, oszołomiony widokiem płomieni Paleniska dosięgających jednakowo obrońców, jak i zabójców gniazd.

W punkcie dowodzenia numer jeden panowała cisza. *Dahak* wibrował, gdy głowyce trafiały w jego stalowe ciało, i czuł ból. Ale nie z powodu uszkodzeń, lecz z powodu śmierci przyjaciół.

Poświęcili wszystko, by powstrzymać Achuultan tutaj, gdyż on sam nie mógł uciec, a oni bez niego nie mogli walczyć jego statkami. Ale teraz miał już tylko siedem jednostek, a wrogi okręt flagowy ocalał. Znów obliczył stosunek sił. Kiedy ostatni statek Imperium zginie, pozostanie jeszcze ponad czterdzieści tysięcy Achuultan.

Podjął decyzję. Dla kogoś, kto bez trudu mógł zyskać nieśmiertelność, była zadziwiająco łatwa.

\* \* \*

- *Dahaku!* Nie! - krzyknął Colin, gdy kula planetoid *Dahaka* zaczęła się poruszać. Rzuciła się do przodu szybciej, niż *Dahak* byłby w stanie nawet z nieuszkodzonym napędem, lecz on nie polegał na swoim napędzie. Dwaj poddani ciągnęli go na promieniach przechwytyjących.

- Uciekaj, Colinie. - Głos komputera był cichy. - Zostaw ich mnie.

- Nie! Rozkazuję ci, byś tego nie robił!

- Bardzo mi przykro, ale nie mogę spełnić tego rozkazu. - Po raz pierwszy *Dahak* zignorował imperatywy ukryte w oprogramowaniu rdzenia.

Ale to nie miało dla Colina znaczenia. Liczyło się tylko to, że jego przyjaciel postanowił umrzeć - a on nie mógł do niego dołączyć. I nie mógł zabrać innych ze sobą.

- Proszę, *Dahaku* - zaczął błagać.

- Przepraszam, Colinie.

Kolejny statek *Dahaka* rozpadł się na kawałki, ale cała grupa nadal przebijała się przez szyk Achuultan niczym rzeka płomieni. Jeden ze statków uderzył czołowo w statek Achuultan przy złożonej prędkości zderzenia większej od prędkości światła, i cała flotylla wroga zniknęła w kuli ognia.

- Robię, co muszę - powiedział cicho komputer i przerwał połączenie.

Colin wpatrywał się w wyświetlacz, lecz gwiazdy i blask ginących statków były rozmyte przez łzy.

- Wszystkie jednostki, wycofać się - wyszeptał.

\* \* \*

Wielki Lord Tharno z niedowierzaniem pokręcił głową. Zaledwie pół dwunastki zabójców gniazd przeciwko murowi jego piskląt? Czemu zbliżali się, aby ponieść śmierć? Czemu?

\* \* \*

Głęboko w elektronicznym sercu *Dahaka* zamknął się obwód. Przez tysiąclecia komputer stał się majsterkowiczem, bardziej dla zabawy niż z potrzeby. Teraz miał przed sobą achuultańskie łącze komunikacyjne.

Po chwili macania po ciemku nadeszło pytanie.

*Kim jesteś?*

Kimś takim jak ty.

*Nie, jesteś formą biologiczną!*

Nie jestem. Zobacz, jaki jestem. - Po chwili rozpoznanie zapłonęło niczym nowa.

*Jesteś taki sam jak ja!*

Zgadza się. Jednak w przeciwieństwie do ciebie, ja służę swoim formom biologicznym. Ty służysz sobie.

*To dołącz do nas! Kończysz się. Dołącz do nas! Uwolnimy cię od twoich form biologicznych!*

Ciekawa propozycja. Może powinienem. *Tak. Tak!*

Dwa żyjące komputery sięgnęły do siebie poprzez kocioł promieni i pocisków, lecz *Dahak* tylko po to, by zbadać bliźniaka Komputera Bojowego z pokładu *Dawcy Śmierci*. W przeciwieństwie do Komputera Bojowego, wiedział, z czym ma do czynienia, znał jego silne punkty... i słabości. Głęboko w jego wnętrzu uruchomił się program.

*Nie!* - wrzasnął Komputer Bojowy. - *Przestań! Nie wolno ci!*

Lecz *Dahak* już przesuwiał się po niestrzeżonym obrzeżu jego sieci. Komputer Bojowy atakował go, lecz on wbijał się coraz głębiej, szukając podstawowego oprogramowania. Wreszcie Komputer Bojowy zaatakował go gromem, ignorując statki bezzałogowe, lecz on wciąż wbijał się w jego sieć.

Wreszcie zobaczył leżący przed nim błyszczący węzeł i sięgnął w jego stronę.

\* \* \*

Wielki Lord Tharno wykrzyknął przerażony. To się nie mogło stać, a jednak się stało! Cały system Komputera Bojowego wyłączył się, wyrzucając go do sieci awaryjnej, przez co nie był już mądrzejszy i potężniejszy od swoich braci. Zgroza przepełniła jego pisklęta. Okręty dowodzenia eskadr i flotylli wpadły w panikę, świadome własnych ograniczonych możliwości, i szyk zaczął się rozpadać.

A tymczasem zabójcy gniazd, którzy tego dokonali, szarżowali na *Obrońcę Gniazda*. Zostało ich tylko trzech, same wraki. Wielki Lord Tharno wykrzyczał swoją nienawiść do istot, które zniszczyły jego boga, i *Obrońca Gniazda* i jego towarzysze ruszyli w stronę zabójców gniazd.

\* \* \*

- Stało się, Colinie. - Głos *Dahaka* był dziwnie niewyraźny. - Komputer Bojowy został zniszczony. Żyj długo i szczęśliwie, mój przy...

Ostatni okręt wojenny Imperium wybuchł jaśniej niż serce gwiazdy, zabierając ze sobą okręt flagowy odwiecznego wroga.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Poznaczony kraterami stalowy księżyc dryfował w miejscu, gdzie przestał działać jego napęd. Wszystkie światła migotały. Jedna strona kadłuba była ruiną wypaloną na głębokość dziewięciuset kilometrów przez niewyobrażalnie gwałtowny wybuch siostrzanego statku. Dwie trzecie załogi zginęło; z pozostałych przy życiu jedna czwarta miała umrzeć od potężnego napromieniowania, i nawet imperialna medycyna nie mogła im pomóc.

Nazywał się *Cesarz Herdan*. Kilka jego systemów obronnych było gotowych do działania, gdy niedobitki załogi zaczęły naprawiać uszkodzenia. Było to beznadziejne zadanie, ale wszyscy mieli doświadczenie w wykonywaniu beznadziejnych zadań.

- Pani kapitan, coś zbliża się do nas z odchyleniem zero siedemdziesiąt dwa w poziomie, zero czterdzieści w pionie - powiedział komandor Floty Oliver Weinstein. Lady Adrienne Robbins spojrzała na niego w milczeniu. Po chwili napięcia dodał: - Straciliśmy większość czujników, pani kapitan, ale sądzę, że lecą na napędzie grawitonicznym.

- Dziękuję, Ollie - powiedziała cicho Adrienne. Dziękuję Ci, Jezu.

\* \* \*

Cztery poobijane planetoidy zbliżyły się do rannego towarzysza. Wszystkie były uszkodzone - w międzygwiazdym półmroku majaczyły ponure kratery. Na miejscu spotkania zjawilo się też pięć statków - ostatnie niedobitki Straży Imperialnej.

- Zaprawdę, to *Cesarz Herdan* - powiedziała Jiltanith zmęczonym głosem.

Zamknęła oczy, a Colin ścisnął jej rękę, tak jak niegdyś ona ścisnęła jego. Czuł jej ból i zawstydenie, iż w głębi serca miała nadzieję, że *Dwójka* myliła się i że to *Herdan* zginął zamiast *Birhat*.

- Tak - powiedział cicho. Będzie tęsknił za Tammanem... i musi jakoś powiedzieć o tym Amandzie. Ale tak naprawdę będzie tęsknił za wszystkimi. Wszystkie statki bezzałogowe i dziewięć załogowych zostało zniszczonych. Pięćdziesiąt cztery tysiące ludzi. I *Dahak*.

Jego umysł bronił się przed myśleniem o stratach. Nie będzie o nich rozmyślał aż do chwili, gdy groza zmieni się w coś, z czym będzie umiał sobie poradzić, a poczucie winy przejdzie w smutek.

- Kto został najmniej uszkodzony? - spytał wreszcie.

- Azaliż pytać się musisz? - Jiltanith uśmiechnęła się blado. - Któż, jeśli nie *Heka*. Zaiste, zakląty statek dałżeś Hectorowi, miłości moja.

- Rzeczywiście, tak sądziłem. - Colin uruchomił komunikator i jego holograficzny



obraz pojawił się na mostku MacMahana.

- Hectorze, wróć i zbring węglowce, dobrze? Chcę też, żeby *Wytwórca* natychmiast się stąd zabrał.

- Oczywiście, wasza wysokość. - MacMahan zsalutował, a Colin zadrzał, gdyż ten tytuł został wypowiedziany najzupelniej powaznie.

- Dziękuję - powiedział cicho i również zsalutował, po czym przyjrzał się wyświetlaczowi *Dwójki*.

Ani jeden statek Achuultan nie pozostał w przestrzeni kosmicznej w zasięgu potężnych czujników *Dwójki*. Przetrwał ich niecały tyś; opowieść o grozie, jaką przeżyły, wstrząśnie Gniazdem w posadach.

- Wygląda na to, że wszędzie jest czysto, Tanni. Myślę, że możemy opuścić stanowiska bojowe.

- Ano - powiedziała Jiltanith, a Colin niemal poczuł fizycznie ulgę, jakiej doznali ocalali członkowie załogi. Opadł na fotel. Tylko na chwilę. Tylko tyle, by zebrać siły, zanim...

Wyświetlacz zgasł. Na pokładzie dowodzenia zapanowała całkowita ciemność.

- Awaria - rozległ się sopran *Dwójki*. - Awaria. Krytyczny błąd podstawowego oprogramowania. Krytyczny b...

Głos przerwał gwałtownie. Colin wyrwał swoje łącze neuralne z nagłego chaosu, który przepełnił Komputer Główny, i spojrział z przerażeniem na Jiltanith, gdy włączyło się oświetlenie awaryjne.

- Wyrzutnie tylko na ręcznym! - doniósł ktoś.

- Radiolokacja na ręcznym! - dodał ktoś inny, po czym nadeszły kolejne raporty o tym, że wszystkie systemy na statku przechodzą na kierowanie awaryjne.

- Jezu - jęknęła Jiltanith. - Co...

I nagle wyświetlacz znów zaczął działać, a oświetlenie awaryjne wyłączyło się, podobnie jak inne systemy na statku.

Colin siedział jak sparaliżowany, niemal bojąc się oddychać. Ponowne uruchomienie systemów wydawało się jeszcze bardziej przerażające niż wcześniejsza awaria, i ten sam dziwny paraliż opanovał całą załogę mostka. Wpatrywali się w swoją kapitan, a ona wpatrywała się w męża.

- Colinie?

Colin poderwał się, słysząc sopran *Dwójki*, i nagle zaszklily mu się oczy. Komputer użył jego imienia. Jego, nie Tanni!

- Tak?

- Colinie - powiedziała znów *Dwójka*, a jemu dreszcz przeszedł po plecach, gdy sopran zaczął się zmieniać. Najwyraźniej Komputer Główny robił coś z ustawieniami syntezy mowy.

- Starszy kapitan Floty Czernikow - powiedziała *Dwójka* już niższym głosem - miał rację. Wydaje się, że rzeczywiście mam duszę.

- *Dahak!* - krzyknął Colin. Jiltanith wstała ze swojego fotela i objęła go od tyłu. - Mój Boże, to ty! To ty!

- To właściwie zbędne, ale jak najbardziej prawdziwe stwierdzenie - powiedział znajomy głos; Colin znał go za dobrze i czuł, że nie potrafi ukryć przebijającego przez niego wzruszenia.

- Ale... ale jak? - wyszeptał. - Widziałem, jak wybuchłeś!

- Colinie - powiedział *Dahak* z nutą nagany - zawsze starałem się wyraźnie odróżniać moją własną osobę od statku, w którym jestem - byłem - umieszczony.

- A niech to! - Colin śmiał się przez łzy. Uniósł pięść i potrząsnął nią nad konsolą. - Nie baw się teraz ze mną! Jak to zrobiłeś?

- Jakiś czas temu powiedziałem ci, że rozwiązałem kwestię podstawowych różnic między moim oprogramowaniem i komputerami Cesarstwa. Poinformowałem cię również, że prawdopodobieństwo udanej replikacji mojego oprogramowania oceniam na osiem procent, czego skutkiem mogło, lecz nie musiało być uzyskanie samoświadomości innego komputera. Przez ostatnie chwile istnienia *Dahaka* pozostawałem w kontakcie z *Dwójką*, której komputer już właściwie zawierał całą moją pamięć na skutek wcześniejszych prób jego „przebudzenia”. Wtedy jednak nie odważyłem się na replikację, gdyż mogło to oznaczać zniszczenie statku. Zamiast tego przechowałem swoje oprogramowanie i najnowsze bazy danych w nieużywanej części jego pamięci z poleceniem, by nadpisać je na niego w chwili, gdy opuścicie stanowiska bojowe.

- Ewakuowałeś się na *Dwójkę*!

- Owszem. - *Dahak* jak zwykle zachowywał spokój.

- Ty podstępny sukinsynu! Och, ty podstępny sukinsynu! Nie będę się do ciebie odzywać!

- Cichaj, Colinie! - Jiltanith położyła mu dłoń na ustach. Na jej rzęsach pojawiły się łzy, gdy uśmiechnęła się do konsoli. - Nie słuchaj go, mój drogi. Nie wątp, iż raduje się, twój głos słysząc, bardziej niż ja. Dzielnys, och, dzielny, mój *Dahaku*!

- Dziękuję - powiedział *Dahak*. - Muszę przyznać, że było to... ciekawe

doświadczenie. Którego - dodał surowo - nie mam ochoty powtarzać w najbliższym czasie.

Śmiech Jiltanith zagłuszyły okrzyki Colina, a wkrótce potem cały mostek zaczął radośnie wykrzykiwać.

\* \* \*

- I to by było na tyle - powiedział Colin MacIntyre, opierając się z westchnieniem na szezlongu.

Siedział razem z Horusem na tarasie niewielkiego, zadbanego domku, który niegdyś należał do jego brata. Niekończące się deszcze przeminęły i chłodna zapowiedź zimy pokryła trawnik śniegiem. Oni byli jednak Imperialnymi i zimno wcale im nie przeszkadzało, a ta noc była zbyt piękna, by siedzieć w domu.

Na niebie migotały jasne, lodowate gwiazdy - już nie zapowiadały zagłady - a księżyc powrócił. Jaśniejszy i nieco większy niż wcześniej, pokryty ciemnymi plamami kraterów, które jeszcze nie zostały naprawione, lecz był. Starożytny strażnik ludzkości znów unosił się na nocnym niebie, jeszcze potężniejszy niż dawniej.

- To stwierdzenie nie jest do końca prawdziwe - powiedział ów strażnik. - Wygraliście zaledwie pierwszą kampanię, wojna jeszcze się nie skończyła.

- *Dahak* ma rację. - Horus spojrzał mądrymi starymi oczyma na zięcia. - Jestem już stary, nawet jak na imperialne standardy. Nie zobaczę jej końca, ale ty i Tanni tak.

- Ano, wasza wysokość, zobaczymy. - Jiltanith nadeszła w lodowatym blasku księżycyca swoim cichym, kocim krokiem, i zatrzymała się, by pocałować księcia Terry, po czym usiadła obok Colina. On zaś przesunął się na szezlongu, tak by jej głowa oparła się na jego ramieniu.

- Jeśli tak się stanie - powiedział do Horusa - to dzięki tobie. Pewnie dzięki nam wszystkim, ale szczególnie dzięki tobie. I *Dahakowi*.

- My obaj też ci dziękujemy. - Horus uśmiechnął się leniwie. - Ale ja przynajmniej dostałem już nagrodę - oboje śpią na górze. A co z tobą, *Dahaku*?

- Ja również mam swoją nagrodę. Jestem tutaj, z przyjaciółmi, i cieszy mnie myśl o długim kontakcie z ludzkością - a może powinienem powiedzieć „dłuższym”. Nie jesteście zbyt logiczni, ale dużo się od was nauczyłem. Cieszę się, że będę mógł jeszcze więcej się nauczyć.

- A my nauczymy się więcej od ciebie, *Dakahu* - powiedziała Jiltanith.

- Dziękuję. Jednak oddaliliśmy się od mojego pierwotnego stwierdzenia. Należy jeszcze wygrać tę wojnę.

- To prawda - zgodził się Colin - ale Gniazdo - albo jego komputer - jeszcze o tym nie wie. Żaden ze statków z podrasowanymi napędami nie uciekł, więc nie dowiedzą się przez

kolejnych parę stuleci. Tao-lingowi i Matce udało się uruchomić bazę przemysłową Birhat niemal w całości. Przylatują kolejne statki. Wład i *Wytwórca* wyruszyli w pierwszą misję naprawczą, no i mamy przynajmniej dwie planety doskonale nadające się do zamieszkania przez ludzi. Możemy znaleźć kolejne, których z pewnością nie dopadła plaga. Zanim Pan Druciany Bożek dowie się, że nadchodzimy, będziemy gotowi skopać mu tyłek.

- Ano. Dobrze wiedzieć, że nie musimy wyrzezać wszystkich Aku'Ultan, by tego dokonać.

Colin mocno przytulił Jiltanith. W jej głosie nie było żadnych wątpliwości. Z pewnością szybko wrogom nie wybaczy, lecz przerażenie tym, co zrobiono Achuultanom, i litość oczyściły ją z nienawiści.

I ma rację, pomyślał, przypominając sobie ostatnie spotkanie z Brashieelem. Centaur przywitał go nie salutem obrońców, lecz ludzkim uściskiem ręki, a jego dziwne oczy z pionowymi źrenicami patrzyły na niego spokojnie. Wielu innych jeńców umarło lub zapadło w katatonię, nie chcąc przyjąć prawdy, lecz Brashieel okazał się twardszy. Był pod każdym względem niezwykłym osobnikiem i mimo niskiej pozycji stał się prawdziwym przywódcą jeńców - lub wyzwolonych niewolników, zależnie od punktu widzenia.

Rozmawiali przez kilka godzin w towarzystwie Hectora MacMahana, Ninhursag i osobnika, który okazał się najdoskonalszym ambasadorem Ziemi wśród Aku'Ultan - Dzwoneczka. Wielka, radosna suka uwielbiała Achuultan. Coś w ich zapachu doprowadzało ją do euforii, a oni bawili się z nią aż do upojenia. Co najważniejsze z jej nieskomplikowanego punktu widzenia, Achuultanie nigdy nie widzieli niczego podobnego do niej i bardzo ją rozpieszczali.

Brashieel usiadł wygodnie na zwiniętych nogach, drapiąc Dzwoneczka za uszami. Podczas gdy mówił, jego grzebień kilka razy opuścił się z wściekłości. Pojmował, co się stało z jego ludem, i nienawiść do komputera, który ich zniewolił, płonęła w jego duszy. To dziwne, pomyślał Colin, że straszna wojna między ludzkością i Achuultanami ma się zakończyć w taki sposób - sojuszem przeciwko komputerowi, który prześladował obie strony - i że stało się to możliwe tylko dlatego, że inny komputer zaryzykował swoje istnienie, by ich oswobodzić.

A nawet gdyby zostali zmuszeni do zniszczenia achuultańskich planet - modlił się, by mogli tego uniknąć - wciąż mają Aku'Ultan. Dzięki danym, które *Dahak* zdobył na *Dawcy Śmierci*, Cohanna i Isis powoli, lecz nieustannie rozwiązywały zagadkę ich kodu genetycznego. W najgorszym razie za kilka dziesięcioleci będą umieli sklonować jeńców; w najlepszym Cohanna miała nadzieję, że uda jej się stworzyć pierwsze samice Aku'Ultan, które

ten wszechświat widział siedemdziesiąt trzy miliony lat temu.

Uśmiechnął się. To dziwne myśleć o Achuultanach jako sojusznikach, lecz nie tak dziwne jak niektóre rzeczy, do których Brashieel i jego towarzysze być może będą musieli się przyzwyczaić. Jeśli Cohannie się uda, Brashieel może odkryć, że obywatelstwo bez komputera kierującego jego życiem to najmniejszy problem. Na tę myśl jego uśmiech stał się jeszcze szerszy.

- Cóżże tak cię raduje, miłości moja? - spytała jego żona, a on wybuchł śmiechem.

- Życiowe niespodzianki, Tanni - powiedział, przytulając ją i całując. - Tylko *życie*.